

NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

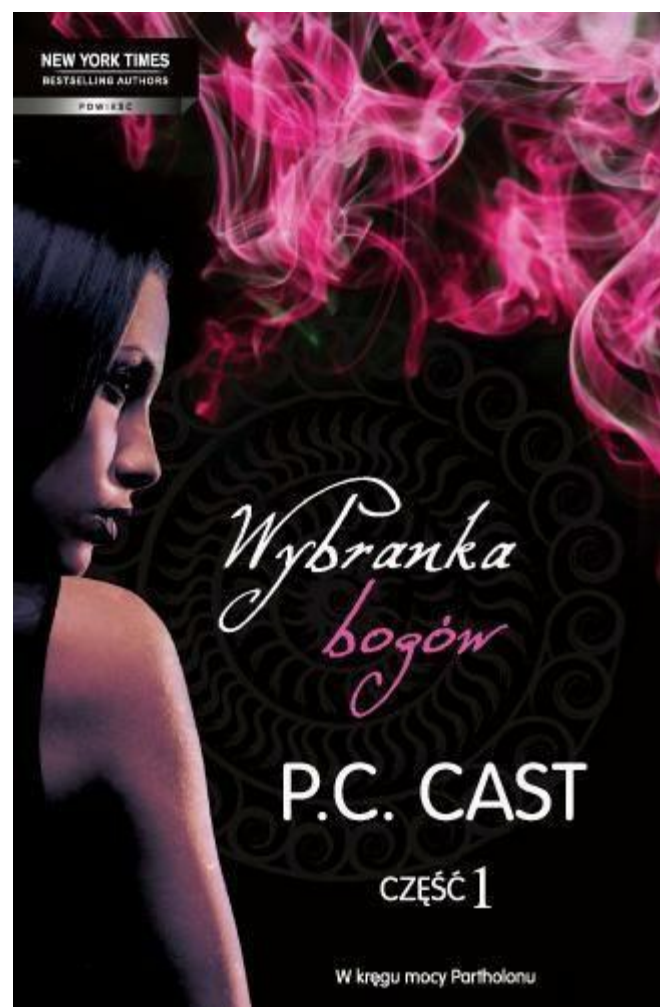
POWIŚĆ

*Wybranka
bogów*

P.C. CAST

CZĘŚĆ 1

W kręgu mocy Partholonu



P.C. Cast

W kręgu mocy Partholonu (tom: 1)

Wybranka bogów

TOM I

Jedyną atrakcją, jakiej Shannon Parker spodziewa się podczas letnich wakacji, jest wyprawa na aukcję niezwykłych przedmiotów. Nie wie jeszcze, że to początek największej przygody w jej życiu. Kupiona przez nią antyczna waza nagle ujawnia swoje magiczne moce. Shannon zostaje przeniesiona do mitycznego Partholonu, gdzie przez wszystkich jest traktowana jak bogini. W dodatku bardzo wybuchowa i nieprzewidywalna...

Wczoraj była przeciętną nauczycielką, a dziś jest Wielką Kapłanką i wybranką bogini Epony. W jednej chwili wszystko stanęło na głowie. Oszołomiona Shannon szuka racjonalnego wyjaśnienia, ale przyznaje, że takie życie jest kuszące. Która kobieta nie lubi czuć się jak królowa?

Jednak szybko okazuje się, że życie bogini nie jest usłane różami. W najbliższym otoczeniu budzi paniczny strach i wrogość, a Partholon staje na krawędzi wojny.

Na domiar złego Shannon musi wziąć rytualny ślub. Postanawia więc za wszelką cenę znaleźć drogę powrotną do domu. W Partholonie zarówno jej życie, jaki i zdrowe zmysły są nieustannie zagrożone...

KSIĘGA PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wreszcie hajda w drogę! Szosa prawie pusta, mały mustang mknie radośnie, nieomalże uprzedzając moje polecenia.

Skąd to się bierze, że świeżo umyty samochód prowadzi się najlepiej? Zabawne... Nachyliłam się i wsunęłam do odtwarzacza płytę CD. Nastawiłam od razu na szósty kawałek, bardzo rzewną pieśń Eponiny, po czym uruchamiając całą moc kompletnie pozbawionych słuchu płuc, zawtórowałam solistce.

Pośpiewałyśmy sobie razem o miłości, tej nieszczęśliwej, niespełnionej, a kiedy krótki występ dobiegł końca, wyprzedziłam brawurowo ślamazarnego chevroleta, wykrzykując mu prosto w nos:

– Kocham być nauczycielką!

Oczywiście! Mamy przecież pierwszy dzień czerwca, przede mną całe lato bez problemów, czyste, niewinne, urzekające. Mało tego – wreszcie...

– Będę mogła się wyspać! Hurra!

Już samo stwierdzenie powyższych faktów i wypowiedzenie tego na głos sprawiało mi ogromną radość.

A to, że nie pomyślałam sobie tylko o tym, nie powinno nikogo dziwić. My, nauczyciele – ten zawód uprawiam od lat dziesięciu – tak już mamy. Gadamy do siebie. Moim zdaniem to siła przyzwyczajenia, w końcu zarabiamy na chleb właśnie gadaniem, dlatego głośne wyrażanie swoich uczuć nie stanowi dla nas żadnego problemu. Więcej, daje nam komfort psychiczny. Chociaż może też być inaczej. Mówimy do siebie, ponieważ większość z nas jest zdrowo szurnięta, zwłaszcza ci, którzy uczą w szkole średniej. Bo tylko ktoś z odchyleniami od normy decyduje się na nauczanie nastolatków, prawda?

Moja najlepsza przyjaciółka, Suzanna, kiedy zdaję jej relację z najnowszych i najciekawszych wydarzeń na moich lekcjach angielskiego, reaguje zawsze w podobny sposób.

Krzywi się i jęczy:

– Och, nie! Oni są okropni! To chyba przez te hormony!

Suzanna – typowa profesorka z college'u, czyli przede wszystkim snobka, ale i tak ją kocham – nie potrafi docenić, że właśnie dzięki temu, że nastolatki są, jakie są, człowiek co i rusz ma tak zwany ubaw po pachy. Takie sympatyczne przerywniki w codziennej harówce.

Moje rozmyślenia przerwał nagle pełen dynamizmu męski głos, tenor Jeana Valjeana, sprowadzając mnie z powrotem na ziemię. Czyli na drogę międzystanową Oklahoma I-44 East w pierwszym dniu czerwca.

Pozwoliłam sobie jeszcze tylko wymamrotać pod nosem:

– Na tym właśnie polega życie nauczyciela szkoły średniej, obdarzonego poczuciem humoru. Notoryczny brak kasy, za to komizmu aż w nadmiarze... O cholera, przecież to już mój zjazd!

Na szczęście mój mały, słodki mustang bezbłędnie wykonał manewr i wjechał na US-412. Zgodnie z drogowskazem do Locust Grove było trzydzieści pięć kilometrów. Teraz prowadziłam samochód kolanem i jedną ręką, starając się jednocześnie rozłożyć folder o aukcji, w którym zapisałam namiary, jak dojechać tam, dokąd chcę.

A więc gdzieś w połowie drogi między Locust Grove (co za okropna nazwa!), a Siloam Springs powinien być duży, rzucający się w oczy drogowskaz z informacją o drodze bocznej.

Skręcam w nią, jadę do następnego drogowskazu, znów droga boczna, znów do drogowskazu i tak trzymam, aż dojadę do celu, czyli na Aukcję Przedmiotów Unikalnych – Rzeczy Niezwykłych – Wszystkie Oferty Brane Pod Uwagę – Wszystko Musi Być Sprzedane.

– A ja kocham wszelkiego rodzaju dziwne starocie – wyznałam, oczywiście na głos – Tanie uwielbiam.

Moją pracownię w szkole uczniowie nazywają obłądną pętlą czasu. Fakt, że ściany i szafy są pozawieszane dosłownie wszystkim, od reprodukcji obrazów Waterhouse'a i plakatów z Mighty Mouse począwszy, a na modelach ze „Star Treka” oraz dzwonkach skończywszy. Dzwonkach w ilościach zatrważających (mają przecież dobre qi). Moim mieszkaniem uczniowie nie byłiby więc zszokowani. Chociaż nie, z jednego powodu na pewno by ich przytknęło. Bo ja u siebie, w swoich czterech ścianach, mam kompletnego bzika na punkcie porządku, pracownia szkolna natomiast znajduje się w stanie permanentnego nieporządku. Z tym że panujący tu bałagan jest w pewnym sensie uzasadniony. Bo i po co robić porządek, skoro wszystko znajduje się bez najmniejszego problemu?

No właśnie. A poza tym...

– Muszę przestać kląć!

Krótkie zdanko wypowiedziane zostało bardzo głośno i bardzo dobitnie, postanowiłam bowiem zastosować metodę opartą na odruchu Pawłowa. Powtarzać sobie i powtarzać.

Wbijać do głowy aż do skutku, czyli do tej upragnionej chwili, kiedy faktycznie przestanę używać tak zwanych brzydkich wyrazów.

– Niestety, dziś nie mogę zabrać pana ze sobą, Javert!

Pstryk i koniec z „Nędznikami”. Teraz rozgłośnia jazzowa z Tulsy. Że też udało mi się ją złapać na tym odludziu! Super.

Jazz dla uszu, a dla oczu informacja na tablicy, że właśnie mijam miasto Locust Grove. Zwolniłam, zdążyłam raz zamrunąć i miasto zostało w tyle. No, może z tym jednym mrugnięciem przesadziłam, bo aż tak mikroskopijne nie było.

W każdym razie zostało w tyle, ale ja dalej jechałam powoli, żeby rozkoszować się urodą i zapachami Zielonej Krainy.

Oklahoma na początku lata czaruje kolorami. Podczas studiów na Uniwersytecie Illinois zawsze mnie wkurzało, gdy komuś Oklahoma jawiła się jako gigantyczna niecka wypełniona rdzawym piachem albo coś biało-czarnego, tragicznego, w stylu „Gron gniewu”. A kiedy zaczynałam gorąco zapewniać, że Oklahoma nazywana jest Krainą Zieleni, ten ktoś z reguły obruszał się lub spoglądał na mnie tak, jakbym naźarła się na przykład solanki kolczastej. Takiej biednej roślinki, którą po urodzeniu nasionek wiatr wyrывa z korzeniami i niesie, dokąd chce (rozsiewając przy okazji nasionka).

Minęłam Leach (następna miejscina o niefortunnej nazwie) .

Droga biegła teraz w górę, przez wzgórze. Kiedy mały mustang wwiózł mnie na szczyt, nagle moja Oklahoma, tam w dole, wydała mi się trochę inna. Piękna jak zawsze, ale i trochę dzika, nie do końca ujarzmiona. A ja lubię takie klimaty. Lubię wyobrażać sobie, jak się tu działo przed wielu, wielu laty, kiedy zamiast dróg były tylko dróżki, a cywilizacja nie nabrała jeszcze takiej pewności siebie. W tamtych czasach życie musiało być bardzo ekscytujące, oczywiście nie aż tak ekscytujące, jak stawanie twarzą w twarz z dyrektorem szkoły, któremu właśnie oburzony rodzic przekazał, że nazwałam Ginewrę suką. Na pewno jednak ekscytujące na swój prymitywny, szorstki sposób, coś w stylu „nie kąpiemy się – nie myjemy zębów – żeby zjeść, trzeba zabić – a wody samemu nanosić”. Uff... Bo jednak jak się nad tym głębiej zastanowić... Ale pomarzyć zawsze można o czasach kowbojów, rycerzy czy smoków. Wcale nie ukrywam, że moją ukochaną epoką

literacką jest romantyzm. Moja prawdziwa obsesja. Chociaż jestem w pełni świadoma, że ludziska w tamtych czasach obywali się bez penicyliny i pasków wybielających zęby firmy Crest. Moi uczniowie te braki skwitowaliby lakonicznym: No i co z tego?

– A to, że skręcaj, kobieto! Nie widzisz?! Napisano wołami! O rany, co za idiotka! I ty się dziwisz, że twoja randka w ciemno, co zapukała do twych drzwi, miała granatowe spodnie w kancik i baaardzo wysokie już czoło!

Wszystko jasne. AUKCJA PRZEDMIOTÓW

UNIKALNYCH i strzałeczka wskazująca na boczną drogę z lewej strony.

Ta droga była o wiele mniej uczęszczana. Taka żalosna dwupasmówka z dziurami, pobocze wysypane żwirem. Ale jednocześnie tak ładnie wiła się do przodu, że natychmiast w głowie zadźwięczała mi miła pioseneczka z filmu „Jedziemy do babci”. To znaczy tylko jej początek. Jak szło dalej, za Boga nie mogłam sobie przypomnieć, choć starałam się usilnie przez dobrych kilka kilometrów.

Znów napis wołami AUKCJA PRZEDMIOTÓW

UNIKALNYCH i strzałeczka wskazująca boczną drogę. Było tu o wiele więcej żwiru, natomiast oba pasma zdecydowanie węższe, co miało też i swoje dobre strony. To, że aukcję zorganizowano na takim odludziu, może zniechęci do przyjazdu handlarzy antykami. Oby. Bo moim zdaniem przy nich inni uczestnicy nie mają szans.

Stacja jazzowa zamilkła, jednocześnie w moim wewnętrznym radiu piosenka o wyjeździe do babci zastąpiona została piosenką z „Wieśniaków z Beverly”. (Tu, jak się okazało, nie miałam żadnego problemu z przypomnieniem sobie słów tej piosenki, co było dla mnie jednak trochę zastanawiające).

A skoro już mowa o ludziach z gór, lasów, łąk i pól, czyli ogólnie rzecz biorąc tych, co mieszkają z dala od miasta, to ja osobiście nie bardzo się orientuję, jak wyglądają ich domy.

Domów w plenerze zdarzyło mi się oglądać naprawdę niewiele, dlatego teraz miałam cichą nadzieję, że budynek, do którego jadę, okaże się prawdziwą ranczerską siedzibą, od pokoleń

należącą do ludzi podobnych do tych z „Bonanzy”. Ci ludzie jednak powymierali bezapelacyjnie i bezpotomnie, dlatego olbrzymie połacie ziemi podzielono na małe działki, nabywane przez przedstawicieli wyższej klasy średniej, którzy tu się osiedlają i stąd dojeżdżają... dokąd tam sobie chcą.

Wspomnianą klasę społeczną traktuję jako gwarancję zatrudnienia. Statystycznie na jedną rodzinę z tej klasy społecznej przypada dwa i pół dziecka plus półtora dziecka z poprzedniego małżeństwa. Wszystkie te dzieci muszą w szkole średniej zaliczyć angielski. Boże, pobłogosław Amerykę!

Jeszcze jedno wdzięczne zakole tej niby-drogi, potem pagórek i wreszcie moim oczom ukazał się cel podróży. Dom, który wedle moich wyobrażeń faktycznie musiał być starym domem na ranczu. Poza tym...

– Przecież to wypisz, wymaluj dom z „Zagłady domu Usherów”! O kurde! (Niestety, lato nie jest najlepszą porą na pracę nad sobą w zakresie zwalczania złych nawyków).

Zwolniłam. Tak, to tutaj. Świadczy o tym kolejna tablica AUKCJA PRZEDMIOTÓW UNIKALNYCH na słupku wbitym obok wysypanej żwirem wąskiej drogi prowadzącej do posiadłości. Kilka samochodów (głównie ciężarówki, jesteśmy przecież w Oklahomie) zaparkowało w miejscu, które kiedyś na pewno było bardzo starannie utrzymanym... zaraz, jak to nazwać? Podwórzem? Nie, to brzmi zbyt prymitywnie w odniesieniu do czegoś, co jest tak rozległe. Czyli po prostu czyjaś ziemia. Tak, właśnie tak. Ziemia zielona, bo porośnięta trawą. A wzdłuż drogi dojazdowej rosły naprawdę duże drzewa, podobnie jak w „Przeminęło z wiatrem”, tylko nie tak omszałe.

Nagle dotarło do mnie, że kiedy tak się gapię na prawo i na lewo, jakiś starszawy już gość w czarnych spodniach i białej koszuli z wysokim kołnierzykiem gapi się na mnie. Gapi się i wyraźnie wkurzony macha do mnie latarką z pomarańczowym światelkiem. Informacja była jasna: Przestań wybałuszać oczy, kobieto, tylko podjeżdżaj tutaj!

Więc podjechałam, a on dał mi znak, żebym opuściła szybę w samochodzie.

– Dzień dobry, panienko!

Gdy to mówił, pochylił się, dzięki czemu jego twarz znalazła się na poziomie okna samochodu z opuszczoną szybą.

I przez to wraz z jego słowami do przyjemnego klimatyzowanego wnętrza wtargnął obrzydliwy smrodliwy oddech, co zdecydowanie zmniejszyło moją radość z faktu, że nazwał mnie „panienką”. Zabrzmiąło to przecież zdecydowanie młodziej, niż gdyby zwrócił się do mnie per pani.

Był znacznie wyższy, niż wydawało mi się w pierwszej chwili. Miał twarz o zgrubiałych rysach, jak ktoś, kto dużo pracuje na świeżym powietrzu. Ta twarz jednak nie była wcale ogorzala, tylko ziemista...

Wielki Boże! Przecież on wygląda jak Tatusiek z „Dzieci kukurydzy”!

– Dzień dobry! Jaki dzisiaj piękny, ciepły dzień! – powiedziałam, starając się być miła i uprzejma.

– Tak, panienko... – O nie, znów ten smrodek! – Proszę wjechać na błonia, od frontu. Aukcja rozpoczyna się punktualnie o drugiej.

– Tak, dziękuję.

Uśmiechnęłam się naprawdę z wielkim trudem, zamknęłam szybę i posłusznie skierowałam samochód do wskazanego przez gościa miejsca. Gościa śmierdzącego. Co za obrzydliwy zapach!

Trupi... Chwileczkę, przecież on jest właśnie trupioblady!

Najprawdopodobniej bardzo chory, stąd cuchnący oddech i koszula z długimi rękawami, chociaż mamy czerwiec. A ja robię sobie żarty z chorego człowieka, nazywając go w duchu Tatuśkiem z „Dzieci kukurydzy”. Czyli jestem wredna... Tak...

Zaraz, zaraz, jak on nazwał tę trawkę od frontu? Błoniami! No cóż, codziennie zdobywaj nową wiedzę!

Mimo woli skrzywiłam się, bo właśnie takie frazesy są zabójcze dla edukacji ludzkości.

Zanim wysiadłam z samochodu, odczekałam kilka minut.

(Niezbędnych minut. Pewien facet powiedział mi kiedyś, że ilość tych właśnie minut jest wprost proporcjonalna do atrakcyjności kobiety wysiadającej z samochodu. Dlatego staram się robić to jak najdłuuuużej!). Minuty te wykorzystałam na pociągnięcie ust szminką i bardziej wnikliwe spojrzenie na dom. Nie, skreśl to. Na prawdziwy dwór.

Pierwsze wrażenie nie myliło. Olbrzymi, rozłożysty dom w stylu wiktoriańskim istotnie kojarzył się z Poem i Hawthornem. Lubię niezwykle domostwa, to jednak nie wydało mi się specjalnie pociągające. O nie! Nieco zsunęłam okulary przeciwsłoneczne, żeby przyjrzeć się lepiej. Dziwny jakiś ten dom... Dlaczego? Po chwili zaskoczyłam. Dziwny, bo nie stanowi zwartej całości, tylko jest zlepkiem różnych elementów. Budynek główny, od frontu idealny kwadrat, upiękuszony został dwoma całkiem odmiennymi gankami.

Pierwszy z nich był prostokątny, z okazałymi, pretensjonalnymi stopniami, prowadzącymi szerokim łukiem do frontowych drzwi. Drugi natomiast, kilka metrów niżej od pierwszego, przypominał okrągłą, przyklejoną do budynku altankę, przy której ustawiono kratownicę oplecioną powykręcanyymi ze starości krzewami róż. Na jednej z bocznych ścian budynku wyrosło, jak jakaś narośl, coś w rodzaju baszty, a zza drugiego końca budowli wylaniało się skrzydło ze spadzistym dachem.

Całość pomalowano na szaro, wybrano okropny odcień. Ta brzydka już sama w sobie szarość była dodatkowo popękana ze starości i pomarszczona, w rezultacie wszystko to razem przypominało cerę palacza po wielu latach współżycia z nałogiem.

– Czyli faktycznie w czymś takim mogą być tylko przedmioty unikalne – mruknęłam, zamierzając oderwać oczy od ponurego domostwa Usherów. I dokładnie w tym momencie poczułam na plecach lodowaty dreszcz. Czy dlatego, że słońce na moment zastąpiła ogromna chmura? Nie wiem, ale poczułam się bardzo nijako, mało tego, moja belferska pamięć podsunęła mi nagle cytat z „Medei”:

Już późno? Światło dnia zdaje się gasnąć...

Cytat z greckiej tragedii przesyconej zemstą, zdradą i śmiercią. I to właśnie, nie wiadomo dlaczego, bardzo mi do tego miejsca pasowało.

ROZDZIAŁ DRUGI

– Ożeż ty! Weź się w garść, Parker!

Zabawne, że w końcu musiałam na siebie nawrzeszczyć.

Tak, nawrzeszczyć, bo inaczej nie dałabym rady otrząsnąć się z tego dziwnego przygnębienia i powrócić do poprzedniego stanu ducha. Determinacji łowcy, który udaje się na polowanie.

W moim przypadku chodziło o polowanie na starocie.

Upał Oklahomy czekał tylko, by pochwycić mnie w gorące, wilgotne objęcia. Wsiadając z samochodu, od razu poczułam ich moc, a zamykając auto pilotem, zauważyłam ustawiony na trawie obok dziwaczного domu ogromny stół. Ciągnęła się przy nim długa kolejka, czyli bez wątpienia tam właśnie zgłaszają się osoby, które chcą wziąć udział w licytacji. Ruszyłam więc w tamtą stronę, rzucając jednocześnie tęskne spojrzenia na stosy kartonów piętrzących się z boku domu i znikających gdzieś na jego tyłach. Nie mogłam się doczekać, kiedy zacznę w nich grzebać. Niestety najpierw, wiadomo, trzeba się zarejestrować.

Ustawiłam się grzecznie w kolejce i po chwili, tak po sąsiedzku, zagadnęłam do stojącej przede mną istoty płci żeńskiej o wyglądzie bardzo szacownej matrony:

– Oj, chyba powinnam zrobić coś z tymi włosami. Może zwiążę w kitkę.

– Może i tak – mruknęła matrona i wachlując się ulotką AUKCJI UNIKATÓW, przemknęła bardzo krytycznym wzrokiem po mnie całej, to znaczy potarganych, przepoconych włosach, białym jedwabnym topie, który wysunął się ze spódniczki biodrówki marki GAP w kolorze khaki i bardzo krótkiej, a na koniec po długich nogach (bardzo gołych). Po dokonaniu oględzin matrona wydała z

siebie jeden krótki dźwięk. Coś w rodzaju:

– Uch...

Tak zapewne postępuje kura po złożeniu jajka, czyli matrona zdecydowanie nie miała ochoty na konwersację ze mną.

Nie szkodzi. Wcale niezrażona do kontaktów międzyludzkich podjęłam kolejną próbę, tym razem biorąc za cel bardzo wysokie czoło stojące za mną:

– Wydaje się, że mają tu rzeczywiście sporo interesujących drobiazgów.

– Istotnie – powiedział pan Łysiejący, mrugając powiekami, by powstrzymać pot zalewający mu czoło. – Kiedy dowiedziałem się, że wystawione będzie również szkło z czasów Wielkiego Kryzysu, bez wahania ruszyłem w drogę. Uważam, że szkło amerykańskie jest fascynujące. Nie sądzi pani?

Jednocześnie jego małe oczka nie odrywały się od rozcięcia w moim topie. Było jasne, że facecika fascynuje nie tylko szkło.

– Jasne... – mruknęłam. – Szkło to w ogóle odłot.

Posunęłam się krok do przodu, ponieważ teraz powinna rejestrować się już matrona. Do matrony jednak jakby to nie docierało, ponieważ ona z kolei zafascynowana była moimi włosami. Nie odrywała od nich oczu.

Ja do przodu, pan Łysiejący również, i to bardzo skwapliwie, nie krok, a dwa, przekraczając w ten sposób granicę mojej Przestrzeni Jak Najbardziej Prywatnej.

– A tak nie chwaląc się... Udało mi się splotzić książeczkę o korzeniach sztuki z okresu Wielkiego Kryzysu, wraz ze wskazówkami, jak odróżniać oryginały od falsyfikatów.

Wkrótce zostanie wydana.

– No proszę... – mruknęłam znów, a ponieważ trwał

w mojej Przestrzeni Prywatnej, starałam się posunąć dalej do przodu, choć kawałeczek, napierając na matronę. A ta nic.

Wrosła w ziemię, mimo że do swego łona, absolutnie kryzysowego, przyciskała już tabliczkę z numerem.

– Jeśli znajdzie pani dla siebie coś ciekawego i weźmie udział w licytacji, służę swoim doświadczeniem. Będzie mi bardzo miło, wręcz nalegam. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym patrzeć spokojnie, jak śliczna – „śliczna” wymówione z naciskiem! – młoda dama wykorzystywana jest przez...

Tu głos Łysiejącego załamał się, a on sam złożoną we czworo chustką zaczął nerwowo osuszać kropelki potu nad górną wargą. Koszula pod pachami też była przepocona.

Łysiejący tak na oko był już ledwie żywy. Ale cóż, sam chciał, skoro w taki upał wbił się w elegancką szarą koszulę oksfordzką, i to zapiętą na wszystkie guziki!

– Dziękuję panu – powiedziałam. – Kto wie, czy nie skorzystam z pańskiej propozycji...

Chwała Bogu, wreszcie moja kolej!

– Nazwisko, proszę.

Dosłownie czułam, jak Łysiejący w tym momencie nadstawia uszu.

– Shannon Parker.

– Dla pani numer 074, pani Parker. Do tej rubryczki obok cyfr proszę wpisać swój adres. I proszę nie wypuszczać tabliczki z rąk, numer na tabliczce jest dla licytatora podstawową informacją o pani. Po dokonaniu wszystkich zakupów proszę udać się do kasy, podać swój numer i kasjerka przedstawi pani rachunek.

Typowe instrukcje dla uczestnika licytacji.

– Dziękuję – bąknęłam, chwyciłam tabliczkę i zanim Łysiejący zdążył na dobre się do mnie przykleić, udało mi się zniknąć w tłumie.

Kompletnie nie rozumiem, dlaczego zawsze rwą mnie faceci niskiego wzrostu. Daleko mi do Amazonki, ale w końcu mam te swoje metr sześćdziesiąt osiem, i to bez obcasów. A na ogół jestem na wysokich obcasach, uwielbiam je. Poza tym, niezależnie od tego, że karlicą nie jestem, nie jestem też kobietą drobną. Zdecydowanie nie. Z tym że nie zrozumcie mnie źle.

Absolutnie nie jestem puszysta. Co to, to nie! Trenuję jak wariatka, zawsze jednak mi się wydaje, że parę kilo mogłabym zrzucić. Reasumując, nie jestem wieszakiem, takim anorektycznym chudzielcem, który dziś wisi na topie. Jestem piersiasta, biodrzasta, nogi też nie patyki, dlatego w towarzystwie konusów czuję się po prostu dziwnie. Zawsze nachodzi mnie wtedy głupia myśl, że gdyby doszło między nami do bójki, położyłabym go na obie łopatki. I od razu faceta mi się odechciewa. Mój ideał to gość o wymiarach Johna Wayne'a, takiego to natychmiast wezmę, jak lizaczka, do ust! W chwili obecnej, niestety, na pobożnych życzeniach się kończy.

Posucha, kompletna posucha. Ta strona mojego życia jest absolutnie martwa, jak niestety Duke. (Dla niedoinformowanych: pseudonim Johna Wayne'a).

Licytacja odbywała się za domem, gdzie kiedyś bez wątpienia był wspaniale zaprojektowany ogród, po którym pozostała, jako resztki dawnej świetności, rozpadająca się fontanna zwieńczona posągami nagiej nimfy. Wokół tej fontanny, królującej na środku byłego ogrodu, porozmieszczano przedmioty wystawione na licytację. Tworzyły niezbyt idealne półkole. A kawałek dalej, na wysokości jednego z końców owego półkola, wystawiono kilka przedmiotów należących do wyposażenia farmy. Między tym sprzętem nawtykano po kilka figur Billy'ego Joego Boba i Bubby Bo Boba, każdy z nich obowiązkowo w napadzie żarłoczności. Spojrzałam na nich z rozczuleniem, już słysząc niesione przez wiatr pioseneczki Oklahomy z tymi słodkimi „y'all” i „yup”. A jeden z Bobów miał nawet słomkę wetkniętą w szparę między przednimi zębami. Naprawdę! Wcale tego nie zmyślałam!

A wracając do wyeksponowanych w półkolu przedmiotów, to trzeba przyznać, że ktoś ustawiał je naprawdę z głową.

W jednym miejscu skupił meble (komplety do sypialni, pokoju jadalnego, zdobione krzesła itd.), w innym z kolei na kilku stołach poustawiał lampy, uchwyty ozdobne, świeczniki i kryształ. (Zauważyłam, że pan Łysiejący idzie jak w dym właśnie do tego stołu). Pudła z bibelotami usytuowane były w odpowiedniej odległości, dzięki czemu grzebiący w nich ludzie nie przeszkadzali sobie nawzajem. Dzieła sztuki wyeksponowano na rozkładanych stołach i naturalnie na sztalugach.

Jeśli o mnie chodzi, to jak w dym podążyłam właśnie w tym kierunku, czyli do dzieł sztuki, chociaż po drodze, nie ukrywam, spojrzałam tęsknie na meble. Ale już to jedno spojrzenie wystarczyło, by utwierdzić się w przekonaniu, że zarobki nauczyciela nie przewidują zakupów w tamtych właśnie rejonach.

Również już po pierwszym rzucie oka na dzieła sztuki można się było zorientować, co było pasją poprzedniego właściciela wystawionych przedmiotów. Na wszystkich sztalugach ta sama tematyka, czyli mitologia. Wszędzie, i na akwarelach, i na obrazach olejnych, i na obrazach namalowanych farbami akrylowymi. Tylko mitologia, od narodzin Wenus począwszy, na pożegnaniu Wotana z Brunhildą skończywszy.

– O matko! Można umrzeć ze śmiechu!

Ten okrzyk jakoś tak sam wydobył się z mojego gardła, tak samo nie mogłam się powstrzymać, żeby nie szturchnąć stojącej obok mnie Królowej Wyprzedazy Garażowej. Tak, właśnie z tym kojarzyła mi się kobieta, którą trąciłam łokciem i pokazałam, co mnie tak rozbawiło. Cudownie barwne malowidło przedstawiające wielkiego smoka zionącego ogniem na jasnowłosą waleczną kobietę na wspinającym się białym koniu. Dzielna niewiasta w jednym ręku trzymała uniesiony miecz, w drugim tarczę, którą zasłaniała się przed ogniem.

Twórca swego dzieła nie podpisał, niemniej na samym dole wyjaśnił, o co w tym obrazie chodzi:

Gaś pożar w lesie.

No to już rozumiecie, dlaczego zarykiwałam się ze śmiechu.

– Muszę... to mieć – wykrztusiłam między jednym napadem śmiechu a drugim.

– Taki... dziwny – stwierdziła Królowa. Mówiła tak jakoś przez nos, w ogóle tak, że natychmiast ochota do śmiechu mi przeszła.

– Dla mnie nie tylko dziwny – odparłam. – Po prostu nienormalny.

Królowa spojrzała na mnie jakby z lekkim niepokojem, po czym bez słowa odwróciła się i odeszła do sprzętów gospodarstwa domowego. Ja natomiast westchnęłam tylko i otworzyłam swój notesik, by sporządzić krótką notatkę:

Nr 12 – Obraz. Smok.

Spojrzałam też na kunsztowną ramę, zastanawiając się w duchu, czy stać mnie będzie na to arcydzieło. Może i tak, jeśli ogół uzna, że jest aż nadmiarowo dziwaczne i tylko ja jedna będę chętna do licytacji.

Obejrzałam inne obrazy, wiele z nich uznałam za naprawdę interesujące, decyzję jednak już podjęłam. Moje skromne zasoby finansowe przeznaczam na smoka i może jeszcze jakiś równie dziwny drobiazg, wazę albo małą rzeźbę. Dlatego też podeszłam do stołów, na których powystawiano tego rodzaju drobiazgi. Większe stały dumnie, a te naprawdę niewielkie gnieździły się gromadnie w pudłach. Wszystkie greckie albo rzymskie, czyli bardzo, bardzo gołe.

Czyli może być zabawnie.

Na jednym ze stołów stały trzy figurki. Trzech facetów o wzroście około sześćdziesięciu centymetrów. Podeszłam do nich i na każdego z nich spojrzałam z należnym mu szacunkiem.

Oczywiście! Bo weźmy pierwszego z nich. Przedmiot nr 17.

Sam Zeus Gromowładny, z piorunem w ręku. W stanie gotowości. Tak napisano i to była prawda. Zeus był nagi, a jego hm... gotowość... widoczna jak na dłoni.

Uszczypnęłam go dyskretnie w tę właśnie gotowość.

– Wybacz, kochanie, ale nie mogę zabrać cię do domu. Za dużo w tobie perwersji.

Nr 18, figurka przedstawiająca helleńskiego władcę, prawdopodobnie Demetriososa I, władcę Syrii. Pięknie zbudowany, muskularny mężczyzna.

Tego facecika pogłaskałam czule po policzku.

– Och, mój słodki, gdybyś ty był Galateą, a ja oczarowanym tobą rzeźbiarzem...

Zachichotałam, po czym czujnie spojrzałam dookoła, czy przypadkiem nie wzbudzam sensacji. Nie, a więc poużywajmy sobie dalej.

Nr 19, figurka przedstawiająca wojownika etruskiego. Za chudy jak na mój gust. W tej szczapie wyróżniały się dwa elementy. Sterczały. Jego broń i... i też broń, tylko trochę innego rodzaju.

– No to cześć, chłopaki! Przyznam, że rozstaję się z wami bardzo niechętnie!

Znów zachichotałam, zabrzmiało to przecież nawet sympatycznie, i podeszłam do następnego stołu, na którym stało kilka waz sporych rozmiarów, naprawdę bardzo pięknych.

Szybko przemknęłam spojrzeniem po cudnych naczyniach...

I nagle cały świat zastygł. Cisza idealna, wiatr ucichł, nie słychać żadnego dźwięku. Upał przestał

nękać. A ja przestałam oddychać. Nie czułam nic, nic nie słyszałam. Mój wzrok skupił

się całkowicie na jednym przedmiocie. Skupił się tak bardzo, że mózg rejestrował istnienie tylko tego jednego przedmiotu...

– O, przepraszam. Naprawdę nie chciałem pani potrącić...

Powietrze wróciło do moich płuc, świat ożył, kiedy skruszony dżentelmen chwycił mnie pod ramię, pomagając mi odzyskać równowagę.

– Ależ nic się nie stało – wymamrotałam, starając się do niego uśmiechnąć.

– Jak to nic? Omal pani nie przewróciłem. Jak zwykle idę i nie patrzę. Jeszcze raz bardzo przepraszam.

– Nie przewrócił pan. Wszystko w porządku.

Jego spojrzenie świadczyło, że co do tego ma pewne wątpliwości, ale już nie dyskutował, tylko skłonił się i odszedł.

Drżącymi palcami odruchowo przeczesalam włosy. Co to w ogóle było? Patrzyłam sobie na te wazy...

Wazy. Szybko odwróciłam się ponownie do stołu z ceramiką. Moje spojrzenie natychmiast odszukało wazę stojącą na samym końcu. Nogi same mnie do niej poniosły, mózg nie musiał wydawać im żadnej komendy. Rozdygotana ręka też sama, z własnej woli się uniosła, palce dotknęły kartonika z informacją. Przeczytałam. Przedmiot nr 25, replika wazy celtyckiej. Oryginał stał przy grobach na cmentarzu w Szkocji. Malowidło na wazie przedstawia zanoszenie próśb do Wielkiej Kapłanki Epony, celtyckiej Bogini Konia.

Kiedy ponownie spojrzałam na wazę, nagle pod powiekami zapiekło. Okropnie, po prostu ogień. Przez moment widziałam bardzo niewyraźnie. Musiałam kilkakrotnie zamrużyć, żeby wszystko wróciło do normy. I dalej wpatrywałam się w wazę, starając się nie myśleć o skutkach ubocznych tego wpatrywania.

Waza była wysoka może i na metr, kształt miała podobny do podstawy lampy. Z boku rzeźbiony uchwyt, brzeg u góry też bardzo ładnie wykończony. Po tych detalach mój wzrok jednak tylko przemknął, tak samo nie zastanawiałam się nad jej rozmiarami. Najistotniejsza dla mnie była dekoracja na brzuścu wazy. Na czarnym tle, dzięki czemu kolory były bardzo wyraziste, głównie złocisty i krem, artysta namalował kobietę pólleżącą na czymś w rodzaju szezlongu, odwróconą plecami.

Widać więc było tylko zarys sylwetki od tyłu i jedną rękę wyciągniętą władczo w stronę klęczącego przed nią petenta.

Także włosy. Kaskadę włosów...

– Przecież to moje włosy!

Wykrzyczałam to na głos, oczywiście. Zdałam sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy moje słowa dotarły do moich uszu.

Ale miałam prawo być zaskoczona, skoro kobieta namalowana na wazie miała włosy takie jak ja, może tylko odrobinę dłuższe, ale kolor był identyczny. Rudy, inaczej czerwień podbarwiona złotem. I rodzaj włosów ten sam. Też gęste, wijące się, z gatunku nieujarzmionych.

Moja ręka bezwiednie się uniosła jak w transie, palce musnęły gładką powierzchnię naczynia.

– Och, nie!

Natychmiast cofnęłam rękę. Waza była gorąca, nawet bardzo gorąca. Po prostu parzyła.

Nagle usłyszałam głos pana Łysiejącego, oczywiście dobiegający z dołu:

– Nie wiedziałem, że interesuje się pani ceramiką. Ja, nie chwając się, posiadam pewną wiedzę na temat ceramiki wczesnoamerykańskiej.

I oblizał wargi.

– A mnie, szczerze mówiąc, ceramika wczesnoamerykańska wcale nie interesuje – oświadczyłam chłodno. Ponowne wtargnięcie Łysiejącego do mojej Przestrzeni jak Najbardziej Prywatnej było niczym kubek lodowatej wody na wszystkie te niezwykle odczucia, których właśnie doznawałam.

– Na południowy zachód mi nie po drodze. Jestem raczej fanką rzymsko-grecką, proszę pana.

– Rozumiem... A teraz podziwia pani naprawdę ładny przedmiot.

Ani się obejrzałam, a Łysiejący już wyciągał spocone łapy i z szybkością karalucha, czyli błyskawicznie, chwycił wazę i odwrócił ją do góry dnem. Nie zauważyłam jednak u niego żadnej podejrzanego reakcji. Nic, po prostu oglądał sobie wazę.

– Nie widzi pan nic nadzwyczajnego? – spytałam po chwili ostrożnie.

– Nie. Po prostu dobrze wykonana replika, nic poza tym.

Nie wnosi nic nowego ani o Eponie, ani o sobie samej, czyli wazie czy tam urnie. – Odstawił wazę na miejsce i wilgotną chusteczką zaczął osuszać tym razem dolną wargę. – A na czym zdaniem pani miałyby polegać jej nadzwyczajność?

– No... chociażby na tym, że kiedy jej dotknęłam, wydała mi się dziwnie nagrzana.

Patrzyłam mu prosto w oczy, zastanawiając się w duchu, czy moje chwilowe załamanie nerwowe jest oczywiste, czy też jakimś cudem udaje mi się je ukryć.

– A nie sądzi pani... – Łysiejący nachylił się, wdzierając się w ten sposób jeszcze głębiej w moją Przestrzeń Prywatną. Jego spiczasty nos praktycznie siedział już w rozcięciu w mojego topu. – ...że było to ciepło wydzielane przez panią, przez pani wspaniałe ciało?

Prawie się ślinił. O matko...

– Chyba ma pan rację – zamruczałam. Łysiejący wyraźnie wstrzymał oddech i znów oblizwał wargi. A ja dokończyłam szeptem: – Być może mam stan podgorączkowy. Z powodu tej przewlekłej infekcji, nie mogę się jej pozbyć. Drożdżaki. W tym upale na pewno jest to bardzo zaraźliwe...

Pełny sukces. Łysiejący błyskawicznie wycofał się z mojej Przestrzeni Prywatnej. Kiedy ja, uśmiechając się zalotnie, przysunęłam się do niego bliżej, szybko cofnął się o krok. Ja znów do niego, on znowu w tył.

– Chyba wrócę już do mojego szkła z okresu Wielkiego Kryzysu – oznajmił. – Chcę tam być, kiedy zaczną licytację.

A pani życzę powodzenia!

Odwrócił się na pięcie i po prostu zwiął.

Faceci potrafią być potwornie upierdliwi. Najłatwiej pozbyć się ich, stosując tę właśnie metodę. Wyciągasz z rękawa kartę Choroby Kobiece i już widzisz plecy faceta. Czasami myślę sobie, że ta metoda to taki jeszcze jeden mały prezencik dla nas, kobiet, od Pana Boga. Żeby było nam w życiu łatwiej.

Skoro i tak łatwo już nie jest, bo w końcu to my, baby, rodzimy dzieci, prawda?

Ale co jest, do cholery, z tą wazą?!

Bo tego wszystkiego było już trochę za wiele. Kłopoty ze wzrokiem. Kłopoty z oddychaniem. Prawie mnie oparzyła.

A namalowana na wazie kobieta ma moje włosy. Wystarczy, prawda? Podwyższoną temperaturę naczyń można by od biedy wytłumaczyć uderzeniem ciepła, charakterystycznym dla menopauzy. W końcu mogła mnie już dopaść, właśnie teraz (o dwadzieścia lat za wcześnie, no, może o piętnaście).

A najlepiej sprawdzić wszystko u źródła, czyli u rzeczony wazy. Tajemniczej, budzącej grozę wazy/urny/pieprzonego garnka.

Stała sobie grzeczniutko w miejscu, gdzie odstawił ją Łysiejący, pozostawiając na lśniącej powierzchni odciski spoconych paluszków. Zanim nachyliłam się nad nią, odetchnęłam głęboko. Bardzo głęboko. Potem, jak powiedziałam, nachyliłam się, nawet zmrużyłam oczy, żeby temu intrygującemu w końcu naczyniu przyjrzeć się naprawdę dokładnie. Naturalnie niczego nie dotykając.

Kapłanka, jak już przedtem zauważyłam, istotnie miała moje włosy, trochę tylko dłuższe. Prawe ramię zakryte było pięknie udrapowaną, cienką jak gaza tkaniną w kolorze kremowym. A ten ruch ręki! Ile w nim wdzięku! Dłoń uniesiona nieco wyżej, wyciągnięta w przód i leciutko przechylona na bok.

Chyba dawała znak klęczącemu petentowi, że łaskawie przyjmie jego dary. Nad łokciem błyszcząca złota bransoleta, podobne bransolety zdobyły również przeguby rąk. Nie miała pierścionków, ale na dłoni, od spodu, miała chyba jakiś tatuaż...

– O Boże!

Odruchowo zasłoniłam ręką usta, żeby stłumić okrzyk.

Znów miałam problemy z oddychaniem, dodatkowo czułam okropny ucisk w dołku. Nie bez powodu, ponieważ dłoń tej kobiety wcale nie była ozdobiona tatuażem czy jakimś klejnotem. Tylko

blizną, blizną po oparzeniu trzeciego stopnia.

Bardzo dobrze mi znaną, przecież moja prawa dłoń „ozdobiona”

była w identyczny sposób.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Szanowni państwo, rozpoczynamy licytację. Podejdźmy, proszę, do przedmiotu numer jeden, tam, na lewo od fontanny.

Zacniemy od zlicytowania mebli do sypialni i salonu...

Po chwili usłyszałam, jak licytator podaje cenę wyjściową dla przedmiotu nr 1, czyli repliki kompletu dębowych mebli do sypialni w stylu wiktoriańskim, w sumie sześć sztuk. Słuchałam go jednak jednym uchem, bo byłam całkowicie skoncentrowana na wazie. Trwałam przy niej, jak robiło to wiele osób.

Warowało przy wybranym przedmiocie, czekając, aż zacznie się jego licytacja.

Ślady po palcach Upierdliwego Łysola klęły w oczy, sięgnęłam więc do przepastnej torby, pogrzebałam chwilę i znalazłam kilka wygniecionych starych chusteczek odświeżających. Dobre i to. Powolutku, bardzo ostrożnie starłam z czarnej powierzchni brzydkie smugi.

I po raz kolejny spojrzałam na rękę kapłanki, a potem na swoją, upiękzoną identyczną blizną. Pamiątka po tamtym dniu, kiedy to wieku lat czterech, pragnąc pomóc babci, wymyśliłam sobie, że jeśli będę potrząsać rączką garnka, woda na makaron zagotuje się szybciej. Oczywiście wrzątek wylał się na mnie.

Minęło trzydzieści jeden lat, a gruba, wystająca blizna w kształcie gwiazdy nadal była powodem do komentarzy zarówno ze strony znajomych, jak i obcych ludzi.

Nie, niemożliwe, żeby kobieta namalowana na replice starej celtyckiej wazy miała identyczną bliznę!

A jednak miała ją. Miała identyczną bliznę w identycznym miejscu. I był to fakt niezbity. Blizna, także włosy, identyczne jak moje.

Czułam, że jestem na granicy załamania nerwowego.

– Muszę się napić.

Odszukałam wzrokiem licytatora. Był dopiero przy przedmiocie nr 7 (szafy w stylu Ludwika XIV). Licytacja przebiegała szybko i nerwowo, pomyślałam jednak, że zanim licytator podejdzie do dzieł sztuki, zdążę odszukać barek i wzmocnić się. Ruszyłam więc na poszukiwanie wspomnianego barku, a po drodze zauważyłam pewne bardzo osobliwe zjawisko. Im bardziej oddalałam się od stołu, na którym stała waza, tym bardziej czułam się normalnie. Żadnego nerwowego napięcia, żadnych uderzeń gorąca, żadnych problemów z oddychaniem. Poczułam się, jak powiedziałam, po prostu normalnie. A prowizoryczny barek, jak się okazało, usytuowany był niedaleko sprzętu rolniczego. Mieli zimne napoje, kawę i koszmarne wyglądające hot dogi. Wzięłam więc tylko napój i ruszyłam w drogę powrotną do stołu z ceramiką.

Mam bujną wyobraźnię, i owszem. Kocham fantastykę, kocham fikcję każdego rodzaju. Czytam namiętnie. W końcu jestem głupią nauczycielką angielskiego! Czytam dla przyjemności. Tak, właśnie dla przyjemności, a wiem, że dla niektórych ludzi to stwierdzenie jest co najmniej szokujące.

Uwielbiam przebywać w świecie fantazji, nigdy jednak nie zapominam, że fikcja to nie rzeczywistość. Między innymi dlatego jest dla mnie tak pociągająca.

A więc, jak powiedziałam, mimo fascynacji fikcją twardo stąпам po ziemi, dlatego to, co działo się ze mną dzisiaj, było nadzwyczaj niepokojące. Te dziwne odczucia. I dlaczego ta kobieta na wazie wygląda tak jak ja?!

Uszczypnęłam się. Zabolalo. Czyli to wcale nie był jeden z tych moich nieprawdopodobnie

dziwacznych snów, które jednocześnie były nieprawdopodobnie realistyczne.

Kiedy podchodziłam do stołu z ceramiką, znów poczułam podejrzany ucisk w dołku. Czyli niedobrze. Chyba powinnam wydać kasę na tego głupiego smoka, wrócić do domu i wypić butelkę merlota. Dla celów leczniczych, rzecz jasna.

A ta kobieta na wazie...

– Cholera! Ona dalej wygląda tak jak ja!

– Tak. I to jest zastanawiające.

Koło stołu z ceramiką stał wychudzony facet, ten sam, który przedtem warował przy podjeździe. Gapił się na wazę, a jego kościsty palec przesuwiał się po malowidle na brzuchu. Na moment zatrzymał się na włosach kapłanki, potem musnął je ręką...

– Czyli pan też to zauważył – powiedziałam, mrużąc oczy.

Chudzielec natychmiast cofnął rękę.

– Tak, panienko. Kiedy tylko panią zobaczyłem, od razu zwróciłem uwagę na pani włosy. Piękny kolor, rzadkość w naszych czasach. Dziś kobiety najczęściej strzygą się na krótko i farbują na nienaturalne kolory, czerwony, żółty, czarny.

A pani jest wyjątkiem.

Mówił to miło i uprzejmie, ale ja wcale tak się nie poczułam, ponieważ facet jednocześnie swoim przenikliwym spojrzeniem przewiercał mnie na wylot. A poza tym, choć stał

po drugiej stronie stołu, czułam ten jego smrodliwy oddech.

– Nie ukrywam, że to podobieństwo jest dla mnie bardzo zaskakujące – powiedziałam. – Szczerze mówiąc... szokujące.

– No cóż...

Spojrzał znów na wazę tak jakoś prawie miłośnie, pogłaskał ją – naprawdę pogłaskał! – i ponownie skierował na mnie przenikliwe spojrzenie.

– Prawdopodobnie los sam chce, żeby pani kupiła tę wazę.

Czym po prostu mnie rozbawił.

– W takim razie mam nadzieję, że szanowny los zadba, by był to zakup na nauczycielską kieszeń!

– Zadba – oświadczył chudzielec o smrodliwym oddechu, jeszcze raz pogłaskał wazę i odszedł.

Dziwny gościu. I chyba jednak bardziej niż Tatuśka z „Dzieci Kukurydzy” przypomina kamerdynera Lurcha z „Rodziny Adamsów”.

Kiedy rozpoczęła się licytacja dzieł sztuki, nie wytrzymałam i przyłączyłam się jednak do tłumku otaczającego licytatora, który od przedmiotu do przedmiotu przemieszczał się na specjalnej małej platformie na kółkach. Zaczęto od figurek.

Okazało się, że „chłopakami” zainteresowało się sporo osób, o co oczywiście nie mogłam do nich mieć pretensji. Na pierwszy ogień poszedł Zeus. Cena wyjściowa – pięćdziesiąt dolarów. Od razu zrobiło się z tego pięćdziesiąt jeden dolarów, a skończyło na stu siedemdziesięciu pięciu, zaoferowanych przez damę o wyjątkowo obfitych kształtach. Nieźle. Następnym w kolejności był Syryjczyk, który wzbudził większe zainteresowanie (prawdopodobnie z powodu imponujących

mięśni). Tu wyjściowe pięćdziesiąt dolarów od razu podbito o trzy dolary, a końcowy rezultat licytacji był dla mnie bardzo niepokojący. Syryjczyk poszedł za czterysta pięćdziesiąt dolarów. Czyli niedobrze, bardzo niedobrze. Na dzisiejszy wypad przeznaczyłam dwieście dolarów. W ostateczności mogłabym wyskrobać jeszcze pięćdziesiąt, ale na tym absolutnie koniec, bo tych pięćdziesiąt było bardzo poważnym przekroczeniem moich ograniczonych możliwości.

Wychudzony wojownik poszedł za czterysta dolarów.

Coraz bardziej spięta przemieściłam się wraz z tłumkiem do stołu z ceramiką, a licytator zaczął wychwalać pod niebiosa wspaniałe repliki ceramiki rzymskiej i celtyckiej. A nie mógłby się przymknąć?! Wściekła przepchnęłam się przez tłumek, żeby stanąć bliżej stołu, próbując nie zwracać uwagi na okropne odczucia, które znów mnie dopadły. Przecież ponownie znalazłam się blisko wazy.

W licytowaniu ceramiki tak na serio brały udział trzy osoby. Wszystkie trzy na moje oko były handlarzami antyków.

W rękach notebooki, na nosach okulary i przede wszystkim to baczne spojrzenie profesjonalisty. Amator tak nie patrzył.

Amator to po prostu ktoś, kto zakochuje się w jakiejś staroci i chce koniecznie zabrać ją do domu. Handlarz natomiast nie może się doczekać, kiedy wystawi swój zakup w sklepie, doliczając sto pięćdziesiąt procent marży.

Przedmiot nr 20 – cena wyjściowa siedemdziesiąt pięć dolarów – powędrował do kędzierzawej blondynki (stanowczo powinna coś zrobić z odrostami) za trzysta dolarów.

Przedmiot nr 21 powędrował do handlarza, który wyglądał

na Anglika. Rozumiecie, o co mi chodzi. Świetnie ułożony, sztywny, niby elegancki, ale przydałaby mu się kąpiel i koniecznie wizyta u ortodonta. Zapłacił pięćset dolarów (aha, jeszcze jedno, najistotniejsze: mówił jak Anglik) za pięknie rzymskie naczynie pochodzące z drugiego, może trzeciego albo czwartego wieku p.n.e. Licytator poinformował, że jest to przykład ceramiki mozelskiej, wyjaśniając jednocześnie (nam, kompletnym ignorantom), że oznacza to również najwyższą jakość i niezwykłość. Facet z Anglii wydawał się bardzo zadowolony z zakupu.

Przedmioty 22, 23 i 24 przeszły w ręce trzeciego handlarza, a raczej handlarki, bo nie uwierzycie, ale to była właśnie ta Matrona z okresu Wielkiego Kryzysu, którą zgorszyłam krótką spódniczką i gołymi nogami. No i dobrze. Pani Matrona kupiła trzy naczynia, za które zapłaciła trzysta, czterysta dwadzieścia pięć i dwieście siedemdziesiąt pięć dolarów.

– A teraz ostatnia z naszych pięknych ceramik, replika nr 25. Waza celtycka. Oryginał stał przy grobach na starożytnym cmentarzu w Szkocji. Malowidło na wazie przedstawia zanoszenie próśb do Wielkiej Kapłanki Epony, celtyckiej Bogini Konia. Epona, co jest bardzo interesujące, była jedyną celtycką boginią zaadoptowaną przez rzymskich najeźdźców. Stała się ich prywatną boginią, opiekunką legendarnych legionów...

Licytator mówił to wszystko takim tonem, jakby własnymi rękoma wyprodukował piękną wazę, a Eponę nie tylko znał

osobiście, ale i był z nią zaprzyjaźniony.

Ten licytator zdecydowanie grał mi na nerwach.

– Proszę zwrócić uwagę na wspaniałą grę kolorów na malowidle! Zaczynamy licytację. Na początek siedemdziesiąt pięć dolarów!

– Siedemdziesiąt pięć!

Podniosłam rękę, przechwytyjąc spojrzenie licytatora. To bardzo ważne, w ten sposób bowiem przekazuje mu się, że jest się na serio zainteresowanym kupnem. A ja, wiadomo, bardzo usilnie starałam się dać mu to do zrozumienia.

– Mam siedemdziesiąt pięć po raz pierwszy! Kto da więcej? Czekam na sto!

Matrona podniosła tłustą rączkę.

– *Sto!*

Teraz ja, starając się nie wrzeszczeć:

– *Sto dziesięć!*

– *Sto dziesięć – powtórzył licytator protekcyjnym tonem Jego Królewskiej Mości. – Kto da więcej? Sto dwadzieścia pięć?*

– *Sto pięćdziesiąt, proszę.*

Brytyjczyk, oczywiście.

– *Pan proponuje sto pięćdziesiąt dolarów – powiedział*

słodziutko licytator. Ale z niego łasiczka! – Sto pięćdziesiąt. Kto da dwieście?

– *Dwieście – powiedziałam przez zaciśnięte zęby.*

– *O, pani daje dwieście dolarów! – Znów jestem w łaskach.*

– *A kto da dwieście pięć?*

Cisza. Wstrzymałam oddech.

– *Dwieście dolarów po raz pierwszy...*

Tu przerwa. Miałam ochotę go udusić. Człowieku, mówże już! Po raz drugi, trzeci i sprzedane. Mów!

Krzyczałam całą sobą. A on dalej swoje:

– Kto da dwieście dwadzieścia pięć?

– Dwieście pięćdziesiąt.

Znów Matrona. Zanim zdążyłam podnieść rękę, by jednak przekroczyć swój skromny budżet, w górze pojawiły się dwa białe wysmukłe palce Brytyjczyka, który podbił do dwustu siedemdziesięciu pięciu.

Serce waliło mi jak młot, kiedy słuchałam, jak Brytyjczyk i Matrona toczą ze sobą pojedynek. Doszło do trzystu pięćdziesięciu dolarów. Stanowczo więcej, niż pozwalał mój budżet, stanowczo.

A więc klęska. Tłumek zaczął przemieszczać się do następnego zestawu licytowanych przedmiotów, a ja, zdruzgotana, zaczęłam mimo woli odsuwać się od feralnego stołu, aż raptem zorientowałam się, że siedzę na brzegu rozwalającej się fontanny. Siedzę i patrzę, jak pomocnicy licytatora zaczynają pakować wazę do pudła. Brytyjczyk i kędzierzawa blondynka, bez wątpienia właściciele galerii, stoją sobie nieopodal, śmieją się i gadają jak kumple z jednej branży.

Waza nie pojedzie do domu ze mną. Miałam wrażenie, że tym faktem jest tak samo przybita jak ja. Ale cóż, stało się.

Pojedzie razem z Brytyjczykiem... Westchnęłam z największej głębi mojej bardzo smutnej duszy. Może poprosić Brytyjczyka o wizytówkę? Pogadać, czy nie sprzedałby na raty? A może trafią mi się jakieś lekcje w szkole letniej, zawsze coś tam do kieszeni wpadnie...

Widziałam, jak Brytyjczyk podniósł moją – nie, swoją! – wazę i z uśmiechem właściciela ogląda ją sobie, czekając, aż pomocnicy licytatora wyścielą pudło odpowiednią ilością bibuły, by waza się nie stłukła.

A po chwili zobaczyłam, jak uśmiech znika z brytyjskiej twarzy i pojawia się na niej gniew.

Oczywiście, że natychmiast zerwałam się na równe nogi i znalazłam się tuż przy Brytyjczyku, który trzymał wazę wysoko nad głową, patrzył do środka i pytał podniesionym głosem:

– A co to niby ma być?! Co to znaczy?!

– Jakiś problem? – spytał zaniepokojony pomocnik licytatora.

– Oczywiście! Jest pęknięta! – oświadczył Brytyjczyk, stawiając wazę z powrotem na stole, i wcale nie zrobił tego ostrożnie. Waza przechyliła się, obróciła wokół swojej osi, może by i spadła, gdyby pomocnik licytatora jej nie przytrzymał.

– Pan pozwoli, że spojrzę.

Podniósł wazę, popatrzył pod światło, jak przed chwilą zrobił to Brytyjczyk, i wyraźnie mina mu zrzędła.

– Ma pan rację. Bardzo pana przepraszam. Do pana rachunku natychmiast zostanie wniesiona poprawka.

Jeszcze nie skończył, a drugi ze służących już startował do namiotu, w którym mieściła się kasa.

Wtedy ja wkroczyłam do akcji.

– Przepraszam... – Staralam się, żeby zabrzmiało to nonszalancko. – A co teraz będzie z tą wazą?

Cała trójka jak na komendę spojrzała na mnie.

– Będzie ponownie zlicytowana – powiedział pomocnik i wręczył wazę drugiemu pomocnikowi, który pośpieszył z nią do miejsca, gdzie odbywała się licytacja. Ja, oczywiście, za nim, jak ćma ciągnąca do światła. Albo jak komar z Oklahomy, który pruje do lampy owadobójczej o zasięgu dwóch akrów.

– Przepraszam państwa, ale pojawiły się pewne komplikacje – powiedział prowadzący aukcję, wcale nie kryjąc niezadowolenia. – Zanim będziemy kontynuować licytację przedmiotu nr 31, musimy ponownie zlicytować przedmiot nr 25. Replikę ceramiki, która, jak się okazało, ma cieniutkie pęknięcie u podstawy.

Udało mi się przepchnąć przez tłumek w chwili, gdy licytator podnosił wazę wysoko, by każdy mógł obejrzeć defekt.

Ja również, przymrużywszy oczy, spojrzałam w głąb naczynia.

Nagle ciemne wnętrze zaczęło falować. Tak, falować jak powierzchnia czarnego jeziora. A dodatkowo zakręciło mi się w głowie. Co jest?!

Gdy zamrugalam raz i drugi, falowanie znikło.

– Zaczynamy licytację – oznajmił licytator. – Na początek pozwolę sobie zaproponować dwadzieścia pięć dolarów.

Cisza.

Cisza tak cudowna, że chciało mi się krzyczeć z radości, od czego, na szczęście, udało mi się powstrzymać. A licytator przemknął spojrzeniem po milczącym tłumie i szybko opuścił cenę.

– Piętnaście dolarów? Kto da piętnaście?

Dalej cisza. Dziesięć minut temu podbito cenę do trzystu pięćdziesięciu dolarów. Teraz, kiedy okazało się, że waza nie jest w stanie idealnym, nikt nie chciał dać za nią nawet piętnastu dolarów.

I wtedy los, jakże kapryśny, ale i jakże sprawiedliwy, zaszeptał mi do ucha:

– Trzy pięćdziesiąt...

Powtórzyłam na głos. Jeszcze moment i usłyszałam upragnione:

– ...Trzy dolary pięćdziesiąt po raz trzeci! Sprzedane!

Proszę panią o podanie numeru mojemu pomocnikowi. Swoją wazę – licytator skrzywił się lekko – może pani od razu zabrać ze sobą.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Shannon Parker, mam numer 074. Chciałabym uregulować rachunek.

Kasjerka nie sprawiała wrażenia profesjonalistki. Ruszała się jak mucha w smole, ale usilnie starałam się zachować spokój. Nie podskakiwać, nie wiercić się, nie skubać niczego nerwowo. Choć chcę już moją wazę, chcę moją wazę, chcę, chcę!

Krótko mówiąc, robiła się ze mnie jakaś psycholka.

– W sumie wyniesie to .. trzy dolary siedemdziesiąt osiem centów. Razem z podatkiem.

Ta kobieta nawet mrugała bardzo powoli. Przypominała mi cielaka.

– Proszę – powiedziałam, wręczając pięć dolarów. – Reszty nie trzeba.

Uśmiechnęła się do mnie, jakbym była Świętym Mikołajem.

– Dziękuję pani. Zaraz otrzyma pani zakupiony przedmiot... – a potem przez ramię, o wiele głośniej: – Zack!

Przynieś no numer 74!

Zack wyszedł zza węgła, trzymając przed sobą duże pudło.

W takie pudła, jak zauważyłam, pakowano właśnie ceramikę.

Wieko było podniesione, Zack trzymał pudło trochę pod kątem, bym mogła zobaczyć, że w środku istotnie jest zakupiony przeze mnie przedmiot. Ale ja wcale nie musiałam zaglądać. Waza na pewno tam była, bo już czułam charakterystyczny ucisk w dołku.

Czułam też, że jeszcze moment i stchórzę, dlatego należało działać błyskawicznie.

– Dziękuję, już ją zabieram.

Chwyciłam pudło, zamknęłam wieko i poszłam do samochodu.

– Spadamy stąd – poinformowałam siebie i wazę. Przecież mówienie do siebie pomaga na nerwy, prawda?

Do pewnego stopnia, bo zanim otworzyły się drzwi samochodu, musiałam nacisnąć na pilota dwukrotnie. Ale otworzyłam i ostrożnie postawiłam pudło na fotelu z przodu, obok kierowcy. Po chwili zastanowienia doszłam do wniosku, że warto by zapiąć je pasami. Wszystko przecież może się zdarzyć. Pudło się przewróci, waza wysunie się z niego, a ja, prowadząc jednocześnie samochód, będę usiłowała ją przytrzymać. Masakra.

Zapięłam pasy na pudle i usadowiłam się za kierownicą.

W chwili gdy silnik obudził się do życia, klimatyzacja zaczęła te swoje czary i z sekundy na sekundę robiło się przyjemniej.

A więc w drogę. Starając się nie zerkać, na nietypowego pasażera, ruszyłam i...

– O nie! Znowu on?!

Tatusiek z „Dzieci kukurydzy” alias Lurch z powrotem zajął swoje stanowisko przy podjeździe i machał do mnie pomarańczową różdżką. Co miałam robić? Musiałam się zatrzymać, ale silnika nie wyłączyłam, a szybę opuściłam tylko do połowy.

– Widzę, że los wykazał się wobec pani wielką lojalnością – stwierdził gościu. Jego rozlatane spojrzenie co i rusz przemykało w bok, na zamknięte szczelnie pudło. A ten jego oddech...

– Owszem, udało mi się – powiedziałam oschłym tonem. – Na dnie jest rysa, dlatego zrobiłam niezły interes.

Puściłam trochę sprzęgło, mustang ruszył powolutku, a facet nic, tylko przesuwając się powolutku razem z nami, nadal świdrując mnie tymi swoimi małymi oczkami.

– Tak, tak, panienko. Pani nie zdaje sobie sprawy, jaki nadzwyczajny interes zrobiła, kupując za bezcen... O! – Gościu spojrział w niebo. – Pogoda się zmienia! Powinna pani jechać bardzo... – króciutka przerwa – ...ostrożnie – (chwila, moment, a co ty sugerujesz, panie Lurch?) – ...boję się nawet pomyśleć, że mogłaby pani mieć – znów przerwa – wypadek.

– Bez obaw. Jestem bardzo dobrym kierowcą. Żegnam pana!

Zamknęłam szybę i docisnęłam sprzęgło. Spojrzałam w lusterko wsteczne i zadrżałam. O matko! Ten świr normalnie za mną idzie!

Na szczęście wjeżdżałam już na wysypaną żwirem drogę.

Mogłam dodać gazu i poczuć przez moment młodzieńczą radość, kiedy żwir zaczął wypryskiwać spod opon. Potem znów spojrzałam do lusterka. Tatusiek stał na środku drogi, oczy wyraźnie wlepił w mój samochód. Tak, normalnie świr.

Przypomniałam sobie, że gościu wspominał o pogodzie.

Spojrzałam w niebo.

– No nie! Jeszcze to!

Błękit nieba znikł, przesłoniły go ciężkie ołowiane chmury.

Horyzont od strony południowo-zachodniej był siny, jakby ktoś go poobijał. A ja właśnie jadę w tamtym kierunku, do Tulsy.

Czyli najprawdopodobniej również prosto w objęcia wzorcowej wedle standardów Oklahomy letniej burzy.

– W takim razie, drodzy przyjaciele i amatorzy sportów, trzeba sprawdzić, co mówią prognozy

pogody.

Włączyłam radio i zaczęłam przelatywać przez rozgłośnie.

Miały wiele do przekazania. Muzyka country, dyskusja farmerów o tym, że kleszcze w tym roku jak na czerwiec są wyjątkowo wredne (ja do dyskusji się nie włączam), potem kaznodzieja wykrzykujący coś o cudzołóstwie (słuchałam za krótko, żeby zorientować się, czy był za, czy przeciw). Niestety, w żadnej rozgłośni nie mówiono na temat pogody. Nie złapałam też ani jazzu, ani mięciuskiego, ulotnego soft rocka.

– W takim razie nie ma co kombinować, tylko, jak Meat Loaf w tej swojej piosence, sprężamy się i za chwilę będziemy w domu. Co ty na to?

Normalnie gadam do tego cholernego pudła! Czyli jest super. Jadę przez zadupie prosto ku (kolejne spojrzenie w górę nie napawało optymizmem) ścianie z chmur i mówię do pudła, w którym znajduje się naczynie, za sprawą którego czuję się tak, jakbym połknęła kilka pigułek na odchudzanie i popiła ogromniastą, czekoladową mrożoną frappa cappa mocha latte...

– Ale wiesz co? Po drodze zatrzymamy się na chwilę.

Strasznie chce mi się pić, marzę o czymś z czekoladą. Poza tym warto się jednak dowiedzieć, jak to ma być z tą pogodą...

Szkoda jednak, że nie mam komórki. Przez chwilę żałowałam, że cierpię na komórkofobię. Wszyscy znajomi mają komórki, prześcigają się w zdobywaniu coraz lepszych modeli o większej ilości funkcji. Wyścig często żaloszny. Coś w stylu: mam tyle, a sam jestem taki maluczki. Moja najlepsza przyjaciółka (ta profesorka z college'u, straszna snobka) ma dwie komórki. Jedną zainstalowaną w samochodzie, może sobie gadać, nie odrywając rąk od kierownicy. Drugą, malutką, ma w torebce.

Staram się być tolerancyjna. Skoro chcą, niech mają, ale kiedy z powodu raka mózgu zaczną się jedno po drugim przenosić się do krainy Wielkich Łowów, będę miała pełne prawo powiedzieć: A nie mówiłam? Z tym że teraz to muszę im bez przerwy tłumaczyć, że nie, nie jestem neandertalczykiem, wyobcowanym wykopaliskiem we współczesnym świecie. Ja po prostu nie muszę mieć telefonu w samochodzie, na biurku, w torebce, w torbie sportowej, itd., itp. Obiecuję im też, że owszem, odwiedzę, gdy będą gasnąć z powodu guzów wielkości piłki do koszykówki,

które załęgły się w ich mózгах z powodu szkodliwego promieniowania komórek, których godzinami nie wypuszczają z rąk, gędząc o tym, z kim jedli lunch albo obgadując swoich pasierbów i pasierbice w celu wytypowania pasierba/pasierbicy najbardziej pokręconego/pokręconej.

Mnie guz mózgu nie wykończy, na coś jednak trzeba będzie zejść. I tu nie ukrywam, że perspektywą konfrontacji z tornadem, ewentualną konsekwencją tych szarych chmur, byłam zaniepokojona. Po prostu miałam pietra. Jechałam szybko, zerkając co chwilę w niebo, by utwierdzić się w przekonaniu, że sytuacja pogarsza się z minuty na minutę.

Burze i wichury w Oklahomie to nie byle co. Mają swoją wielce wyrazistą osobowość. Zdumiewające, jak niebo w lecie potrafi błyskawicznie ulec diametralnej zmianie. Pamiętam, jak kiedyś leżałam sobie na słoneczku koło basenu mojego aktualnego faceta. Twarz, zgodnie z zasadami opalania się, zwrócona ku słońcu, oczy zamknięte. A dusza w krainie kompletnego relaksu i marzeń (z przeniesieniem się tam nie było żadnego problemu.

Facet musiał wyjść na chwilę, ale na odchodnym powiedział, że mam cycki super). W pewnej chwili poczułam na nagrzanym słońcem twarzy zimny powiew wiatru. Otworzyłam szybko oczy i zobaczyłam, że na niebie pojawiły się duże szare chmury.

Szybko więc zebrałam swoje rzeczy, napisałam na karteczce do faceta kilka ciepłych słów i pognałam do samochodu. Do domu miałam zaledwie kwadrans jazdy, ale nie dojechałam. Szare chmury zmieniły kolor na czarno-zielone. Zerwała się straszna wichura, drzewa gięło do ziemi. Strugi ulewnego deszczu uniemożliwiały jazdę. Na szczęście byłam w pobliżu małego szpitala w Broken Arrow. Wbiegłam na ostry dyżur, stamtąd na dół, do suteryny. Pora była najwyższa, bo zaraz potem, dosłownie po chwili, przez centrum miasta przeszło zabójcze tornado.

Tak, jestem zdenerwowana, i to bardziej niż trochę.

A cholerne naczynie wcale dobrze na mnie nie działa.

Biało-zielona tablica przy drodze przekazywała informację, że do Leach jeszcze szesnaście kilometrów. Był to ostatni drogowskaz, jaki udało mi się zobaczyć, ponieważ w tym momencie niebo rzygnęło takimi strugami, że już nic nie było widać, tylko tę cholerną wodę walącą w dach mojego mustanga i ściekającą po szybach.

Naprawdę kocham swoje autko, niestety nie nadaje się do jazdy w takich warunkach. Podczas deszczu uwielbia ślizgać się, podskakiwać, bawić się w hydroplan. Włączyłam wycieraczki na maksa i jechałam powolusieńku, starając się robić to po prostej. W radiu cisza. Przez ścianę

deszczu czasami udało mi się dostrzec drzewa na poboczu, wyginane przez wichurę w najbardziej nieprawdopodobny sposób. Włączyłam światła, ale nic to nie dało. Widoczność prawie zerowa, a wiatr po prostu bił mojego mustanga. Walił go z każdej strony.

Kierownicę musiałam trzymać obiema spoconymi rękami.

Co jest?!

A to, że w samochodzie jest ciepło. Dziwne, mam przecież klimatyzację, a zrobiło mi się po prostu gorąco.

Po chwili doszłam, skąd się to bierze. Źródło ciepła jest z boku, na sąsiednim fotelu. Tam, gdzie stoi to cholerne pudło.

Spojrzałam na nie i... przytknęło mnie. Bo to pudło jaśniało. Tak, przysięgam. Jakby w środku była lampa i ktoś właśnie ją zapalił.

A ja przecież prowadzę samochód. Szybko znów spojrzałam przed siebie na...

– O Boże!

Drogi nie było. Samochód szorował oponami po żwirze.

Przekręciłam kierownicę w lewo, z tych nerwów o wiele za szybko. Samochód obrócił się wokół swojej osi, za bardzo w lewo, starałam się więc wykręcić go choć trochę w prawo.

Bezskutecznie. Mój mały mustang w ogóle nie chciał mnie słuchać, a ja przez tę wichurę i ulewę byłam już kompletnie zdezorientowana. W rezultacie walczyłam już tylko o jedno.

Żeby nie wypuścić kierownicy z rąk.

Mustang robił, co chciał. W pewnym momencie znów obrócił się wokół własnej osi, z piskiem opon przeczucił się na drugą stronę drogi i nagle... nagle cały świat wywrócił się do góry nogami.

W tym samym momencie poczułam tępy ból gdzieś z boku głowy. Zamknęłam oczy, po sekundzie jednak dotarło do mnie, że czuć dym. Otworzyłam więc oczy...

I szok. W pierwszej chwili miałam wrażenie, jakbym nagle znalazła się na pełnym słońcu. Ale to było tylko złudzenie. To nie był blask słońca, lecz wazy, która wydostała się z pudła i jak wielka ognista kula powoli toczyła się ku mnie.

Byłam pewna, że znajduję się gdzieś na obrzeżach piekła, więc co się dziwić, że mnie sparaliżowało. Byłam w stanie tylko wpatrywać się w kulę utoczoną z żywych płomieni. W kulę, w której nagle zobaczyłam siebie. Swoje odbicie w falującej, trawionej przez ogień wodzie. Byłam kompletnie naga, szłam do przodu z rozpostartymi rękoma i odrzuconą w tył głową. Jak jakaś pogańska tancerka wtopiona w ognistą kulę.

Czułam, że mnie, tę prawdziwą, też pochłania ogień i dym.

Umieram. W takiej chwili podobno człowiekowi staje przed oczami całe życie. Ze mną było inaczej. Żadnego filmu o przeszłości, żadnego też żalu, że zostawiam rodzinę i tylu innych ludzi bliskich memu sercu. Nie. Ostatnia myśl była inna.

Do cholery, naprawdę trzeba przestać kląć! Bo co będzie, jeśli Bóg okaże się zatwardziałym baptystą?!

KSIEGA DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Odzyskiwanie przytomności wcale nie było proste, przeciwnie, bardzo przypominało sny, które

nękałą mnie podczas wyjątkowo dokuczliwej menstruacji. W tych snach miewam nawet skurcze. Teraz też je odczuwałam, z tą jednak różnicą, że skurcze przeszły w regularne bóle porodowe.

O dziwo, nawet przyjemne, a potem bez problemu urodziłam markową Twinkie, ukochane amerykańskie ciasteczko batonik.

Wiem, wiem, kłania się stary, poczciwy Freud. Był to sen z gatunku erotycznych, tym bardziej że potem zrobiło mi się bardzo przyjemnie.

Niestety sen minął i głowa znów rozboleła. Okropnie, gorzej niż przy zatokach czy na kacu typu: Nie mogę uwierzyć, że byłam w stanie wlać w siebie tyle tequili. Całe zresztą moje ciało... Nie, stop. Reszty ciała wcale nie czuję. Poza tym nie mogę otworzyć oczu. No tak, ale czemu się dziwić, skoro przecież umarłam...

Znów ciemność, łagodna i kojąca jak najlepsza przyjaciółka.

Kiedy ocknęłam się powtórnie, głowa nadal bolała koszmarnie, z przykrością też stwierdziłam, że oprócz głowy posiadam resztę ciała. Owszem, mam i każdy jego kawałek bolał jak podczas najcięższej grypy. O Boże, czyżbym została skierowana do piekła? (Bez wątpienia tak, jeśli ktoś zaraz podsunie mi do rozwiązania jakieś zadanie z matematyki).

Bolało więc mnie wszystko, poza tym niczego nie słyszałam oprócz takich dziwnych dzwoneczków umiejscowionych w środku, w moich uszach. Oczu nie mogłam otworzyć, ale jak już wspominałam, nie było to dla mnie niespodzianką. Zwłoki na ogół nie posiadają sprawnych powiek.

Mały problem natomiast był z sercem, które mimo mego zgonu było nadzwyczaj aktywne. Tłukło się w mojej piersi jak szalone. Czy zwłoki wpadają w panikę? Z powyższego faktu wynika, że tak.

Znów ciemność, ale nie ta poprzednia, nieskończenie łagodna. Ta, oprócz łagodności, miała w sobie pokusę.

Przyzywała mnie, skwapliwie więc zrobiłam coś w rodzaju półobrotu, by jak najszybciej wsunąć się w jej objęcia...

– Proszę o spokój, milady. Wszystko będzie dobrze.

Głos był miły i na pewno mi znany, ten ktoś jednak mówił

dziwnie, bardzo śpiewnie. Mówił, a ja cierpiałam. Bolało wszystko, jakby ktoś sprął mnie bez litości. Głowę rozsadzało.

Na obolałej głowie coś leżało, coś chłodnego i wilgotnego.

Kompres? Tak, gruby kompres. Dotknęłam go, a ktoś delikatnie odsunął moją rękę.

– Wszystko dobrze, milady. Jestem tutaj.

Znow przez moją głowę przemknęła myśl, że tego kogoś znam.

– Co...

O matko! Przecież w gardle normalnie mam ogień! Tak zapiekło, że pamięć natychmiast wróciła, a wraz z nią paniczny strach, który kazał otworzyć oczy. Nie było z tym problemu.

Powieki posłusznie się uniosły, gorzej było już z samym patrzeniem. Wszystko było niewyraźne, zamazane, właściwie to same plamy różnej wielkości, jaśniejsze lub ciemniejsze.

Największa plama, tuż obok, poruszyła się, dlatego skupiłam się na niej. Powoli zaczynałam widzieć wyraźniej. Ta plama to...

Suzanna! Bogu niech będą dzięki! Suzanna jest tutaj, czyli absolutnie nie mogę być martwa. Bo to na pewno Suzanna, chociaż nie widzę jeszcze idealnie, poza tym ziemia pode mną jakoś dziwnie się kołysze. Suzanna trzyma mnie za rękę.

Dziwne tylko, że kiedy zauważyła, że mam oczy otwarte, chciała moją rękę puścić. Ale wtedy ja chwyciłam ją za nadgarstek, a Suzanna chyba zbladła. Potem zobaczyłam cztery Suzanny, potem dwie, potem znowu cztery.

– *Milady musi spokojnie leżeć. Dzisiejszego wieczoru milady wiele przeszła, jej dusza i ciało muszą odpocząć. Proszę się o nic nie martwić, milady jest bezpieczna i wszystko jest w porządku.*

Chciałam jej powiedzieć: Dziewczyno, co ty wygadujesz?!

Ale z mojego gardła wydobył się tylko jakiś taki szelest. Tak chyba brzmi szept węża, chociaż nie. Bardziej przypomina syczenie obrzydliwego oposa, którego nagle przyłapały światła samochodu. (O nie, taki opos wcale nie ma zamiaru udawać martwego. Syczy i straszy Bogu ducha winną kobietę, którą siła wyższa zmusiła do zatrzymania samochodu na ciemnej wiejskiej drodze w celu ukrycia się na moment za najbliższym krzakiem).

W każdym razie dźwięki, które wydałam z siebie, były to na pewno dźwięki nieartykułowane. Ja ich nie rozumiałam, a co dopiero Suzanna! Która jednak zabrała swoją rękę, a ktoś inny, na kim nie byłam w stanie skupić wzroku, podał mi...

puchar.

Tak, puchar. Wielki kielich ze złota.

W szpitalu?!

– *Proszę wypić, milady. To dobrze zrobi na gardło, poza tym milady się uspokoi.*

Miła, miękka dłoń ostrożnie uniosła moją głowę. Druga ręka podsunęła mi puchar do ust i trzymała go tam, kiedy piłam, starając się nie zadławić słodkim, gęstym płynem.

Podczas zmiany pozycji głowy powrócił ból w skroniach, po chwili wszystko dookoła znów spowiała czerń. Zanim jednak to nastąpiło, starałam się za wszelką cenę, by do mojego przymglonego umysłu docierało jak najwięcej z tego, co działo się na bieżąco. A więc moja przyjaciółka zmieniła mi kompres na głowie. Położyła na niej nowy kawałek chłodnego płótna, które podała jej wyjątkowo młoda pielęgniarzka ubrana w dziwny mundurek, taki powiewający, bardziej pasujący do hasania po łąkach i lasach niż do pracy na ostrym dyżurze czy OIOM-ie...

W tym momencie przed oczyma znów zrobiło mi się ciemno, jednocześnie w ustach poczułam smak lekarstwa, coś podobnego do syropu. A zaraz potem ciemność ustąpiła, nie było to jednak takie stopniowe, łagodne powracanie do rzeczywistości. Absolutnie nie, ja po prostu miałam zamiar...

– Milady pozwoli, że jej pomogę...

Suzanna, odgarnąwszy włosy z mojej twarzy, chwyciła mnie mocno za ramiona. A ja, przychyłona nad brzegiem łóżka, puściłam regularnego pawia. Wszystko poleciało na podłogę.

(Suzanna jest prawdziwą przyjaciółką. Naprawdę głupio mi, że nazwałam ją snobką, i to kilkakrotnie). Kiedy skończyłam haftować, pomogła mi z powrotem ułożyć głowę na poduszce i otarła twarz.

Nienawidzę, kiedy robi mi się niedobrze. Od zawsze, bo zawsze wtedy dostaję drgawek i czuję się kompletnie wytrącona z równowagi. Na szczęście nie zdarza mi się to zbyt często, ale kiedy już się stanie, jestem taka bezradna. Cała roztrzęsiona, słaba i półprzytomna. Teraz też. Chociaż tym razem mogą nie być to konsekwencje puszczenia pawia, lecz faktu, że nie żyję.

Jednak.

– Wo... wody...

Z trudem udało mi się wycisnąć z gardła ten prawie niezrozumiały pisk. Przyjaciółka natychmiast skinęła na warującą nieopodal pielęgniarzkę i błyskawicznie pojawił się nowy puchar, który Suzanna przytknęła do moich ust.

– Ueee...

Wyplułam prawie wszystko. Bo to nie była woda, tylko słabe wino. Kocham wino, uwielbiam. Ale nie zaraz po rzyganiu!

– Suz! Wo... dy – wyjąkałam, starając się jednocześnie, by przynajmniej moje spojrzenie było zdecydowane, takie typu: Kochana, miłgim, jeśli ci życie miłe!

Zbladła, wyraźnie zbladła i błyskawicznie podała pielęgniarce puchar. (Ciekawe, do którego to szpitala mnie zawieźli?).

– Natychmiast przynieś lady Rhiannon wody!

Pielęgniarka o wyglądzie nimfy wybiegła.

– Proszę wybaczyć, milady – powiedziała Suzanna, umykając spłoszonym spojrzeniem. – Proszę winić mnie, a nie tę dziewczynę.

Jednocześnie złożyła ręce jak do modlitwy, oparła je na biuście i opuściła głowę.

Do jasnej... Co tu właściwie jest grane?!

Chwyciłam ją za rękę i pociągnęłam, zmuszając, żeby jednak spojrziała na mnie. Jednocześnie zauważyłam coś bardzo zastanawiającego. Jej włosy miały taki sam kolor co zawsze.

Bardzo ładny blond, z naturalnymi refleksami. Ale te włosy zaplątały mi się teraz w palce. Włosy długie aż do pasa...

– No nie... Jakim cu...

Tylko to udało mi się z siebie wydobyć, ponieważ przytkoło mnie za bardzo. Odkąd sięgałam pamięcią, Suzanna zawsze gustowała w krótkich, seksownych fryzurkach, a ja zawsze lubiłam się z niej ponabijać, mówiąc, że to na nic, bo wcale nie wygląda na grzeczną dziewczynkę. Odpowiedź

Suzanny była zawsze taka sama:

– I o to właśnie chodzi!

A zadowolona przy tym jak kotka, co opila się śmietanki.

Teraz jej krótkie włosy zrobiły się nagle długie aż do pasa.

Czy to możliwe? Owszem, jeśli ja żyję, ale przez długi czas byłam w śpiączce. Odleciałam na wiele lat, a Suzanna tak się tym przejęła, że sama miała odlot, coś w kierunku lady Godivy, i dlatego zapuściła włosy. Nikt jej przed tym nie powstrzymał, przede wszystkim zabrakło najdroższej przyjaciółki, nie tylko najdroższe, ale i bardzo inteligentnej, która wie najlepiej, w czym Suzannie jest najlepiej.

W rezultacie miała teraz włosy do tyłka.

Ale zaraz... Przecież ona wcale nie wygląda starzej. No nie!

A to suka! Jak jej się to udało?

Nadal nie patrzyła mi w oczy, a ja gapiłam się na nią.

Obejrzałam ją dokładnie, dochodząc do wniosku, że tak, to na pewno Suzanna. Niewysoka, drobna, z ładną okrągłą buzią, zawsze miłą i łagodną. Długie włosy miała zaczesane za uszy, dokładniej uszka o idealnym kształcie. Z krótkimi włosami też tak zawsze robiła. Pokryty piegami nieduży nos też był nosem Suzanny, tak samo jak wysoko osadzone kości policzkowe.

Byłam pewna, że gdyby się teraz uśmiechnęła (co raczej nie wydawało mi się prawdopodobne), w jej policzkach pojawiłyby się znajome dołeczki.

– Suz...

Znów pociągnęłam ją za rękę, i to naprawdę mocno, a ona w końcu podniosła na mnie oczy.

Złocistobrzowe, te same, w które spoglądałam od lat.

– Co... co...

Za wszelką cenę starałam się wydusić z siebie jedno krótkie pytanko: Co jest grane? Wydusić, dodając do tego odpowiednie spojrzenie. Choć niewiele udało mi się wybelkotać, zauważyłam jednak, że Suzanna jakby zaczynała mięknąć. Chciała mi coś przekazać. Niestety, w tym momencie do pokoju wbiegła pielęgniarka (ta nimfetka) z nowym pucharem.

– Proszę, milady.

Chwała Bogu, prawdziwa woda. Nawet zimna. Piłam i piłam, choć obolałe gardło bardzo protestowało.

– Dzięk... dziękuję.

Suzanna nachyliła się, jakby chciała mnie lepiej słyszeć.

Udawała. Czulałam, że i tak widzi, słyszy i wyczuwa, co się ze mną dzieje. Bo jest speszona, zdenerwowana. O, teraz nawet się zaczerwieniła. I szybko chwyciła za ściereczkę, by wytrzeć moja twarz.

Ja natomiast czułam się wykończona. Ciekawe, czym?

W końcu zrobiłam naprawdę niewiele. Zwymiotowałam, potem starałam się nawiązać rozmowę, na koniec wypiłam kilka łyków wody. A jestem ledwie żywa.

Suzanna odgarnęła mi włosy z czoła i coś zaczęła mamrotać. Nie, nucić.

– Niech milady odpocznie, zaśnie – powiedziała po chwili.

– *Wszystko jest dobrze, naprawdę.*

Może i tak. Ale zaraz... włosy to nie wszystko. Co ta Suzanna ma na sobie?! W co ona się...

W tym momencie jednak mój mózg się wyłączył, nadeszła najczarniejsza ciemność, a moja nowa przyjaciółka ponownie wprowadzała mnie ze sobą.

ROZDZIAŁ DRUGI

– *Proszę wybaczyć, ale milady powinna się już obudzić.*

Tylko nie to! Moja podświadomość była temu absolutnie przeciwna. Dajcie mi spać, nie chcę do was wracać, bo wszystko, co się u was dzieje, to autentyczny koszmar. Mam nadzieję, że kiedy bardzo mocno zacisnę powieki, uda mi się wyczarować pod nimi cudowną postać zakochanego we mnie do szaleństwa Hugh Jackmana i razem z nim odpłynę z powrotem do mojej prywatnej Krainy Snów...

Niestety, popełniłam błąd. Przełknęłam i natychmiast podrażnione gardło dało znać o sobie, i to wyjątkowo boleśnie.

Było po prostu... zabójcze. No tak, skoro ja nie żyję...

Natychmiast otworzyłam oczy.

Długowłosa Suzanna stała między dwoma nimfietkami-pielęgniarkami. Jedna z nich w bardzo gołych rękach trzymała coś pieniacego się, cieniutkiego jak tiul, druga natomiast grzebień, szczotki i coś złotego... Chwileczkę, czy to przypadkiem nie... korona?! Trudno uwierzyć, ale tak właśnie jest. Korona. Niewielka, ale na pewno korona. Hm... To piekło może i nie jest takie złe,

skoro mają tu biżuterię...

– Milady, przed chwilą przybył posłaniec od ojca milady z wieścią, że dano już na zapowiedzi. Narzeczony milady niebawem tu się pojawi...

Przepraszam... mój... niby kto?!

– Jeszcze dziś. Musimy przygotować milady do ceremonii zaślubin.

Jedyne, co byłam w stanie zrobić, to zamrugać oczami wlepionymi w Suzannę. Co ona wygaduje? Mój narzeczony?

Przecież teraz nawet się z nikim nie umawiam! Po raz ostatni umówiłam się z gościem z randki w ciemno. Beznadziejnym gościem, w połowie randki kazałam mu spadać. (Zapamiętaj raz na zawsze! – To do mnie. – Nigdy więcej randek w ciemno!).

– Nadal nie możesz mówić, pani? – spytała jakoś tak ostrożnie Suzanna.

Pani! Ale wymyśliła! O co im, u licha, chodzi z tą „panią”, albo z tą „milady”?

Otworzyłam usta, niestety ponownie wydawałam z siebie tylko ten kompletnie niezrozumiały, trochę zgrzytliwy szept wkurzonego oposa. Po prostu masakryczny. Nimfetki spanikowały, choć trzeba przyznać, że w sposób bardzo efektowny, na co Suzanna z kolei zareagowała bardzo energicznie. Szybko odebrała im cały sprzęt, to znaczy zwiewną szatę z gazy, grzebienie, szczotki i koronę, po czym rozkazała:

– Odejdźcie! – (O matko! Ale ostro! Bardzo ostro i to spotęgowało ten jej dziwny zaśpiew). – Sama zadbam o naszą panią!

Nimfetki-pielęgniarki z widoczną ulgą umknęły do drzwi.

Miejmy nadzieję, że zwykle zachowują się inaczej. W końcu to pielęgniarki, prawda?

– Milady, proszę wesprzeć się na mnie – powiedziała Suzanna, podając mi ramię. – Zaprowadzę milady do kąpieli.

Wstanie z łóżka i udanie się do innego pomieszczenia w celu wykąpania się (co bardzo pożądane) nie byłoby takim znowu wyczynem, gdyby nie pewien drobiazg. Czy ten pokój musi się tak kołysać?!

– Oj...

Kuśtykałam jak jedna z tych starych wiedźm z pierwszego aktu „Makbeta”. Błada i rozczochrana, na pewno też niewiele różniłam się od nich wyglądem.

– Bardzo dobrze, milady. Jeszcze tylko kilka kroków.

Szłyśmy bardzo słabo oświetlonym korytarzem. Kiedy spojrzałam w górę, zorientowałam się, skąd ten półmrok. A stąd, że ten korytarz (kiedy to odkryłam, nie było siły, musiałam się zatrzymać) oświetlony był... pochodniami. Tak! Pochodniami wsuniętymi do uchwyty z kutego żelaza przytwierdzonych do ściany.

Chwileczkę. W końcu mam dyplom college'u i nie tak łatwo zrobić ze mnie idiotkę. Płonące pochodnie w szpitalu to chyba nie jest standard! A poza tym, do cholery, na pewno nie jestem z nikim zaręczona!

– Może milady chce odpocząć?

I co się dzieje z Suzanną? Czyżby w tym czasie, gdy chwilowo byłam wyłączona z normalnego

życia, przestano produkować prozak, w konsekwencji czego moja przyjaciółka wpadła w jakąś przedziwną średniowieczną odmianę hysterii?

Prowadziła mnie pod rękę, byliśmy więc blizutko siebie, dlatego bez problemu mogłam złapać ją za drugą rękę i zmusić, by zwróciła się do mnie twarzą. Po tej krótkiej akcji dałam sobie chwilkę na kilkakrotne przełknięcie w celu usunięcia z gardła wspomnianego oposa. A potem, patrząc na Suzannie prosto w oczy, udało mi się względnie wyraźnie wyartykułować zasadnicze pytanie:

– Co się dzieje?

Oczywiście, że próbowała spojrzeć w bok, ale nie dopuściłam do tego, energicznie potrząsając jej ręką. Musiała zareagować.

– Milady... – szepnęła, rozglądając się trwożliwie na boki, wyraźnie sprawdzając, czy nikt nas nie podsłuchuje. – Proszę mi powiedzieć, jak milady się nazywa?

W porządku, mogę wziąć udział w tej grze, ale jeśli za następnym załomem korytarza ukaże się Sean Connery, będę miała całkowitą pewność, że moją matką jest Matka Wszystkich Szalonych Snów.

– Shannon – wychrypiałam.

Suzanna nawet nie mrugnęła okiem, tylko zadała kolejne pytanie:

– A jak ja się nazywam?

Ożeż ty! Pijana? Całkiem możliwe. Suzanna od zawsze miała bardzo słabą głowę. Łyczek tequila i już przenosiła się do wesolutkiego świata ubzdryngolonej blondynki.

Odetchnęłam głęboko, ale nie, alkoholu nie wyczułam.

– Nazywasz się Suzanna.

Nachyliła się ku mnie jeszcze bardziej i powoli pokręciła głową. I było to bardzo przeczące kręcenie, a mnie się wydawało, że patrzenie mi prosto w oczy nie sprawia jej już takich trudności. Dzięki temu mogłam też zobaczyć, co kryje się w jej oczach. Na pewno jest spłoszona, zauważyłam jednak tam i współczucie.

– Nie, milady – powiedziała tak po swojemu, śpiewnie i bardzo łagodnie, jakby chciała mnie ukołysać. – Nie nazywam się Suzanna. Na imię mam Alanna, a milady nie jest Shannon, tylko Rhiannon, córka MacCallana. Jest moją panią. Wielką Kapłanką Bogini Epony. Milady jest zaręczona, dziś odbędą się zaślubiny. Milady na rok zostanie żoną Wielkiego Szamana ClanFintana.

– Bredzisz.

– Milady, może lepiej nie stójmy tutaj. Wiem, że milady ma kłopot z chodzeniem, ale proszę, chodźmy do pokoju kąpielowego. Obsłużę milady, postaram się też wszystko wyjaśnić.

Była wyraźnie zaniepokojona, więc już bez słowa protestu i przy jej pomocy ponownie zaczęłam przemieszczać swoje odrętwiałe ciało do przodu, dokładniej do uchylonych drzwi po prawej stronie korytarza.

Pokój, do którego weszliśmy, natychmiast skojarzył mi się z pewnym programem w telewizji publicznej. Najpierw pokazują jakiś bardzo stary obiekt, aktualnie zwykle kompletną ruinę. Kupę kamieni i kilka rozpadających się kolumn. Potem do akcji wkracza komputer. Robi swoje czary-mary i po chwili widzimy na ekranie ów obiekt w czasach największej świetności. Ten pokój wyglądał właśnie tak, jakby wyczarował

go komputer z tego programu, odtwarzając wnętrze z innej epoki. Wystarczyło spojrzeć na

posadzkę i sufit z pięknego, gładkiego marmuru. Żółtosty, choć może to nie był jego naturalny kolor, tylko żółcił się w blasku płonących pochodni.

W równie gładkich ścianach wykuto niewielkie nisze w różnych miejscach, na różnych wysokościach. Po prostu były porzucane. W tych niszach stały świeczniki o nieco dziwnym kształcie... tak... ale ze złota (ja osobiście potrafię docenić wewnątrz ozdobione drobiazgami ze szlachetnych kruszców). W świecznikach, oczywiście, stały zapalone świece.

Wszystko to razem wyglądało przepięknie. Ściany skrzyły się, mieniły barwami i blaskiem godnym samych diamentów wzbogaconym o siłę ognia.

Na jednej ze ścian wisiało gigantyczne lustro, przed którym stała toaletka o bardzo wymyślnym kształcie. Lustro zasnuwane było mgiełką z powodu pary unoszącej się nad basenikiem znajdującym się dokładnie na środku pokoju. Bulgocząca, krystalicznie czysta woda, która wypełniała basenik, wyraźnie wydobywała się gdzieś spod posadzki, a jej nadmiar w postaci strumyczka znikał w podobnym baseniku w sąsiednim pokoju.

Było ciepłutko i wilgotno, już samo wdychanie tej pary odprężyło. A ten zapach...

– To źródło mineralne!

Okazało się, że miało zbawienny wpływ i na kondycję mojego głosu. Suzanna/Alanna nie musiała nadstawiać uszu, by mnie zrozumieć.

– Tak, milady, to źródło mineralne. – Wyraźnie się ucieszyła, że moje zmysły funkcjonują już lepiej i są w stanie rozpoznawać zapachy. No i że wydobywam już z siebie dźwięki zdecydowanie artykułowane (choć nie do końca. Mówiłam tak półwyraźnie, jakbym żuła gumę).

– Pomogę milady się rozebrać – oznajmiła, po czym w błyskawicznym tempie pozbawiła mnie odzienia i nakierowała na marmurowe schody, którymi schodziło się do parującej wody. Basenik wcale nie był płytki, ale z jednej jego strony, gdzie brzeg był niższy, wykuto w skale wygodne półki, na których można się było rozsiąść. Spoczęłam więc ostrożnie na jednej z nich i po wydaniu z siebie głębokiego westchnienia osoby naprawdę brudnej, gapiałam się spod półprzymkniętych powiek na krzątającą się Suzannę/Alannę.

Suzanna/Alanna pozbiierała z toaletki gąbki, malutkie garnuszki i butelki, po czym wszystko to ustawiła na brzegu baseniku. Następnie w jej ręku pojawił się złocisty puchar, który napełniła ciemnoczerwonym płynem ze szklanego dzbanka i przyklęła obok mojej półki w baseniku.

Z wdzięcznością odebrałam od niej puchar, a kiedy poczułam w ustach smak wspaniałego caberneta, westchnęłam z rozkoszy. W tym czasie Suzanna – bardzo pewnie, jakby było to coś najzwyklejszego pod słońcem – podniosła moją wolną rękę i zaczęła przejeżdżać po niej namydloną gąbką.

Normalnie zaczęła mnie myć!

Zaskowyczałam – tylko tak można ten dźwięk określić – i mocno szarpnęłam ręką.

– Ależ milady! Trzeba przygotować się na spotkanie z narzeczonym!

– Ale ja... (przełknij, odetchnij)... potrafię... (przełknij)...

umyć się ... (odetchnij)... sama! – Bardzo energicznie odstawiłam puchar na półkę i szepnęłam, starając się wyprodukować szept jak najbardziej dobitny: – Tylko nie wyobrażaj sobie, że uda ci się wmówić we mnie te wszystkie bzdury, co mi naszeptowałaś w korytarzu! Suzanno Michelle, chcę w końcu wiedzieć, co się dzieje!

Przyjaciółki, gdy zwracając się do siebie, używają wszystkich imion, robią to zwykle tylko w sytuacjach kryzysowych lub w rozmowach na temat dewiacji seksualnych.

Nie było więc siły, żeby do Suzanny nie dotarło, że mówię absolutnie serio.

Tymczasem jej reakcja była co najmniej zaskakująca.

– Proszę o wybaczenie, milady. Nie chciałam milady urazić ani okłamywać.

Złożyła ręce, oparła o biust, pochyliła głowę. Jakby czekała, że ją ukarze.

Cyrk, po prostu cyrk. Nie miałam bladego pojęcia, o co chodzi, czułam tylko, że stanowczo coś jest nie tak. Czułam też, że jakkolwiek by było, wspaniały cabernet na pewno okaże się pomocny. I owszem. Kolejny łyk podziałał kojąco na moje gardło, prawie tak kojąco jak ciepła woda na moje ciało. Jeszcze jeden łyk – i głęboki wdech. Suzanna nadal trwała w tej pełnej pokory pozie, trzeba więc spróbować zaszeptać ponownie. Może uda mi się moim oposowym głosem operować wystarczająco długo, by wyjaśnić całą tę aferę, albo też i cabernet pomoże mi dojść do stanu, w którym człowiek absolutnie już się niczym nie przejmuje.

– Suz... – Gdy powolutku, ostrożnie podniosła głowę, mówiłam dalej: – Nie jestem wariatką, dobrze wiesz... – Dostrzegłam u Suz najpierw lekki szok, potem kamienną twarz.

– Ale jestem kompletnie zdezorientowana... – Znow odetchnęłam głęboko i odchrząknęłam. – Zaczniemy jeszcze raz.

Powiedz mi, gdzie się teraz znajdujemy.

Nie było to trudne pytanie, prawda?

A jednak odpowiedź, która padła, była zadziwiająca:

– Jesteśmy w pokoju kąpielowym milady, w Wielkiej Świątyni Epony.

Potrząsnęłam głową. Oczywiście w duchu, bo na takie prawdziwe potrząsanie byłam zbyt oboląa. No więc w duchu potrząsnęłam z powątpiewaniem. Szpital nazwany imieniem pogańskiej bogini? Tu, w tak zwanym Pasie Biblii, gdzie dominującą religią jest konserwatywny protestantyzm? Nie, to się w głowie nie mieści.

Może rozwinąć pytanie?

– *W jakim stanie, Suz?*

O, już lepiej. Chodzi o mój głos, oczywiście. Jeszcze jeden, dwa puchary tego znakomitego wina i razem z moim oposowym głosem będziemy gotowi stawić czoło całemu światu.

– *Milady odniosła obrażenia, ale nadzwyczaj szybko dochodzi do siebie. – Suzanna spojrzała na mnie tak... po swojemu. To jej spojrzenie nazywam spojrzeniem małego, łagodnego króliczka.*

– *Nie chodzi mi o stan mojego zdrowia, Suz. Chcę wiedzieć, w którym jestem stanie. – Nadal posyłała mi to swoje spojrzenie króliczka. Westchnęłam. – W którym z pięćdziesięciu stanów USA, Suz?*

Chciało mi się krzyżeć wniebogłosey. (Co było, niestety, niewykonalne).

– *Milady chodzi o to, gdzie jesteśmy teraz w porównaniu z resztą świata?*

– *Tak, droga przyjaciółko!*

Wreszcie zaskoczyła. Kochana Suz! Zasłużyła sobie na swoje ulubione czekoladowe ciasteczka z dołączoną nową receptą na prozak.

– *Do Świątyni Epony należy cała ziemia wokół świątyni, jak okiem sięgnąć. Milady, jako Wielka Kapłanka Epony, jest panią tych ziem.*

No cóż... W jakimś sensie ta informacja tchnęła we mnie pewną dawkę optymizmu. Bo mimo że nie jest najlepiej, skoro przeżywam jakiś koszmarny epizod z gatunku psychotycznych, a moja najlepsza przyjaciółka ma koszmarny odłot –przynajmniej jestem panią tych ziem! A więc dziękuję,

dziękuję bardzo! Tak mówił król (chodzi oczywiście o Elvisa, a nie o któregoś z tych średniowiecznych oszustów).

– Suzanno, nie mam zamiaru jeszcze bardziej wytrącać cię z równowagi, i proszę, tylko nie becz (Suzanna zawsze miała oczy na mokrym miejscu), ale kompletnie nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Kolejna informacja, którą przekazała mi Suz, choć zrobiła to bardzo, ale to bardzo ostrożnie, okazała się prawdziwą bombą:

– Może... może dlatego milady nie potrafi zrozumieć, że...

nie przebywa już w swoim świecie...

Interesujące, prawda?

– Suzanno, proszę, zacznijmy od początku. Powiedziałaś, że jestem panią tych ziem. Poza tym podobno narzeczony jest już w drodze. Mój narzeczony. Czy mogłabyś mi to jakoś wszystko przybliżyć? Aha, i nalej mi jeszcze trochę wina. Coś mi się wydaje, że będzie mi teraz niezbędne.

Na moment odwróciła się ode mnie, i chyba zrobiła to z ulgą. Nie szkodzi, najważniejsze, żeby w końcu zebrała te swoje neurotyczne myśli, dzięki czemu uda się to wszystko rozszyfrować. Bo kto wie, czy cała ta mistyfikacja nie jest wyjątkowo wyrafinowaną zemstą za to, że w zeszłym miesiącu zapomniałam o urodzinach Suz. (Wiem przecież, że z tego powodu nadal wścieka się na mnie!).

– To wszystko jest bardzo skomplikowane, milady.

– W takim razie spróbuj to jakoś uprościć, a ja postaram się wszystko zrozumieć.

A potem postaram się, byś jak najszybciej znalazła się pod opieką specjalistów!

– *Moja prawdziwa pani, lady Rhiannon, zamieniła się z milady na miejsca. Rozumie milady? Milady przybyła tutaj, a lady Rhiannon przeniosła się do świata milady. Bardzo tego chciała. Opowiadała mi, że w świecie milady robi się prawdziwe czary z maszynami, a dzięki pieniądzom, które dają maszyny, zdobywa się władzę. Podczas jednego ze swoich Magicznych Snów wysłała do tamtego świata swoją duszę i znalazła milady, która jest jej lustrzanym odbiciem. Dlatego mogła wymienić się z milady. Była pewna, że jednocześnie pozostawi tu wystarczająco dużo swojej świadomości, by pomóc milady w nowym dla niej świecie i pokierować nią. Ale... – Suz spojrzała na mnie jakoś tak bardziej wnikliwie – ...ale nie sądzę, żeby była tu z panią. Milady jest teraz nią, jest lady Rhiannon, jednocześnie jednak zachowuje się inaczej niż ona, choć to niczego nie zmienia. Ona jest teraz milady, a milady musi być nią.*

– *To niemożliwe. Nie wierzę.*

– *Lady Rhiannon powiedziała mi, że gdyby milady nie mogła w to uwierzyć, mam zadać jedno pytanie.*

– *Hm... – Bawiąc się w Spocka ze „Star Treka”, uniosłam pytająco brew.*

– *W swoim świecie milady na pewno słyszała różne opowieści o bogach i boginiach, poznała mity, słyszała o czarach?*

– *Oczywiście, że słyszałam. Bardzo wiele też czytałam na ten temat. Jestem nauczycielką, moją wiedzę przekazuję uczniom.*

– *Lady Rhiannon kazała mi powiedzieć milady, że nasz świat jest tym światem, z którego pochodzą tego rodzaju opowieści. Są jak cienie, jak dym, przenikają przez Podział*

i docierają do waszego świata. Szukają tam też swoich lustrzanych odbić. Tak właśnie zrobiła lady Rhiannon. Jak dym przeniknęła przez Podział, dostała się do świata milady i tam znalazła swoje lustrzane odbicie, czyli milady.

– To wszystko brzmi jak science fiction, Suz. Chyba nie sądzisz, że ci uwierzę.

– Ale to prawda, milady! Lady Rhiannon mówiła, że przedostanie się przez Podział dzięki ścianie ognia.

– Ognia? – Wreszcie zaskoczyłam. – No tak! Ta pieprzona waza!

– Przepraszam, milady, nie rozumiem.

– Ale ja zaczynam coś kumać. Powiedz, jak jej się udało przejść przez ścianę ognia? Jakim cudem się nie spaliła? I jak przy okazji mnie udało się przeżyć?

Zauważyłam, że Suzanna zbladła. Twarz miała białą jak papier, jakby faktycznie cała krew odpłynęła jej z twarzy.

– Może jeszcze wina, milady?

– Tak, proszę. I proszę, odpowiedz na moje pytanie.

Nie zdążyła, bo ktoś zapukał do drzwi. Suzanna była na tyle dobrze wychowana, że usilnie starała się sprawiać wrażenie, jakby było jej bardzo nieprzyjemnie, że z powodu tego pukania zmuszona jest swoją odpowiedź odłożyć na później.

Uczyniła ręką bliżej nieokreślony gest, po czym przez chwilę po prostu gapiała się na mnie. Tylko gapiała, ja nie reagowałam. Doląła więc mi wina i zawołała:

– Wejść!

Do pokoju kąpielowego weszła jakaś nowa nimfa cała w lansadach.

Suzanna nadal wpatrywała się we mnie, a do mnie w końcu dotarło. O rany, przecież to ja jestem tu panią i powinnam dyrygować tymi nimfami!

Skoro tak, to spróbujmy się sprawdzić w tej nowej roli.

– O co chodzi?

Ponieważ nadal dysponowałam tylko głosem szepczącego oposa, postawiłam na ton typu: Proszę nie przeszkadzać mi w prowadzeniu lekcji! Moi uczniowie znają go bardzo dobrze i uwielbiają.

Mała nimfa zwróciła się twarzą do mnie i odezwała się też tak uroczo śpiewnie jak Suz:

– Pani, właśnie przybył twój narzeczony.

Spojrzałam szybko na Suzannę, niestety w tym momencie była kompletnie bezużyteczna. Oczy miała zamknięte, wargi poruszały się jak podczas bezgłośnej modlitwy. Ożeż ty!

– Wspaniale. Powiedz mu... (Co? O matko, co?)... powiedz mu... (tu wydałam z siebie bliżej nieokreślony dźwięk, po usłyszeniu którego nimfa sprawiała wrażenie zaskoczonej.

Prawdopodobnie tutejsze panie czy tam milady nie wydają z siebie takich dźwięków)... powiedz mu, że powitam go, kiedy skończę się stroić.

W końcu jestem kobietą, a kobieta musi się wyszykować, prawda? Bez względu na to, w jakim świecie przebywa. Tutejsi faceci bez wątpienia też byli przyzwyczajeni, że na kobietę się czeka.

– Tak, milady – powiedziała nimfa i oddaliła się tak jak weszła, czyli w lansadach.

A więc udało się. Czułam się prawie jak Penelopa.

– No i jak to wypadło, droga przyjaciółko? Czy dobrze zagrałam panią tych ziem?

– Tak, milady! Ale proszę być ostrożną. Nie zawsze jest to takie proste!

– Nie panikuj, Suz. Przecież wiadomo, że to tylko sen czy coś w tym rodzaju!

– Milady... – Nagle Suzanna przypadła do mnie i chwyciwszy mnie za rękę, lekko je ścisnęła. – Milady, jeśli kocha pani swoją przyjaciółkę Suzannę, proszę mnie wysłuchać i to, co powiem, wziąć pod rozwagę. Przecież milady zdaje sobie sprawę, jak ważne jest właściwe postępowanie milady. Od tego może zależeć, nie ukrywam, życie milady, a nawet więcej...

– Dobrze, dobrze, Suz. Cała zamieniam się w słuch.

– Po pierwsze, proszę nie nazywać mnie Suz. Jestem Alanna. Poza tym milady musi spotkać się z ClanFintanem.

Czas narzeczeństwa dobiegł końca, pora zawrzeć małżeństwo.

Na rok.

Patrzyła na mnie z taką desperacją, że nie byłam w stanie zaprotestować. Ona naprawdę w to wszystko wierzyła. Wcale nie udawała, nie stroiła sobie żartów. I wyglądała na przerażoną.

– Przecież wiesz, że zawsze ci pomogę, droga przyja...

– Alanno! Milady, błagam!

– W porządku. Alanno, a więc wyjaśnij mi jeszcze raz. Jak zrozumiałam, to małżeństwo ma być tymczasowe?

– Tak, milady. Tylko na rok.

– A dlaczego Rhiannon nie miała ochoty być z tym facetem do końca życia?

– Tak po prostu zostało ustalone – bąknęła Alanna, nagle bardzo zajęta. Sięgnęła po jedną z małych buteleczek, które ustawiła na kamiennej półce, i zaczęła powoli wylewać do baseniku coś, co pachniało jak kapryfolium. Czyli wiadomo, ukrywała coś przede mną.

– Alanno, i ty spodziewasz się, że wyjdę na rok za faceta, którego nigdy nie widziałam?

– Lady Rhiannon poznała go, milady. I proszę o nic się nie martwić. Powiem, że podczas ostatniego Obrzędu Księżycowego milady miała wypadek i straciła głos. Będę mówiła w imieniu milady.

W tym czasie pomogła mi wyjść z ciepłego baseniku.

Zajęta swoimi obowiązkami, odzyskała pewność siebie, kiedy więc zaczęła wycierać mnie ogromnym ręcznikiem, pomyślałam sobie, że nie będę protestować. Tak dla dobra sprawy.

– Rozumiem. Ale jak to będzie z no... że tak powiem... ze stroną intymną tego związku? Ja osobiście faceta nie znam i nie zamierzam z nim niczego konsumować!

A jeśli jeszcze się okaże, że facet jest lustrzanym odbiciem mojego byłego męża... O nie! Wtedy absolutnie i całkowicie wychodzę z tej gry! Nieodwołalnie!

– *Milady, proszę po prostu nie zapominać, że milady jest teraz lady Rhiannon, Wielką Kapłanką i Wybranką Epony.*

A lady Rhiannon można było dotknąć tylko wtedy, kiedy na to zezwoliła.

– *Dotyczyłoby to również jej męża?*

– *Oczywiście!*

Alanna powiedziała to bardzo pewnym głosem. Czyli dobrze, będę miała pełne prawo zachować się wrednie.

Super. Nawet uśmiechnęłam się do siebie, a zaraz potem zauważyłam, że w rękach Alanny pojawiła się ta mgielka z cieniutkiego tiulu czy gazy, którą przyniosła przedtem jedna z nimf. Prześliczna mgielka. W moim kolorze – czerwień zmieszana z połyskującym, rozedrganym złotem.

– *Milady, proszę unieść ręce w bok.*

Zrobiłam, co kazała, potem patrzyłam jak urzeczona, kiedy Alanna zaczęła owijać mnie cieniusieńkim, przezroczystym materiałem. Robiła to bardzo szybko i wyjątkowo zręcznie. Po skończeniu owijania sięgnęła do toaletki po dwa krążki utkane ze złocistych nitek, coś w rodzaju broszek. Jedną z nich wpięła mi w tali, drugą spięła tkaninę na ramieniu. W sumie więc można by to wszystko porównać do wkładania kiltu, z tym że kilty, jak sądzę, nie bywają półprzezroczyste, chyba że zostały zakupione u MacFrederic'sa z MacHollywood. (Szkockie dodatki, wiadomo, żarcik. Chodzi o Frederic'sa z Hollywood).

Alanna cofnęła się o krok i spojrzawszy krytycznym okiem na swoje dzieło, wniosła jeszcze gdzieś poprawki. Była zadowolona. Ja natomiast – nie.

– *Matko święta, przecież to jest prześwitujące!*

Nie można zaprzeczyć, chociaż oddając sprawiedliwość, nie było to prześwitywanie kojarzące się z panienką wyczekującą na klientów na rogu Jedenastej i Peorii. Było to prześwitywanie uwodzicielskie, zmysłowe, coś w stylu Kleopatry w wydaniu Liz Taylor.

– *Och, proszę wybaczyć, milady. Zapomniałam o tym*

Alanna wzięła z toaletki mały trójkącik z tego samego materiału co sukienka (myślałam, głupia, że to chusteczka do nosa!). Podeszła do mnie, a ja posłusznie wsunęłam jedną nogę, potem drugą w to coś, co w rzeczywistości było maciupeńkimi stringami. Kiedy powędrowały w górę, odetchnęłam.

Przynajmniej jakąś część ciała mam osłoniętą. No, jako tako...

Ożeż ty!

– *Proszę usiąść, milady. Teraz uczeszę milady.*

Usiadłam. Alanna, spojrzawszy posepnie na moje mokre loki, przystąpiła do rozczesywania ich grzebieniem o szerokich zębach.

– *Milady ma takie same włosy jak ona, ale krótsze. Zanim urosną, będę je upinać.*

Miałam wrażenie, że Alanna mówi nie do mnie, tylko do moich włosów. Nie szkodzi. Kiedy tak majstrowała przy mojej głowie, odprężałam się cudownie, poza tym byłam pewna, że fryzura, którą wyczaruje, bardzo mi się spodoba.

Nie wiem, jak wy, ale ja uwielbiam, kiedy ktoś mnie czesze. Moje odczucia wtedy są prawie z gatunku erotycznych, lokuję je na drugim miejscu zaraz po doznaniach podczas masażu stóp. A Alanna czesała fantastycznie. W rezultacie odpłynęłam totalnie. Ocknęłam się dopiero wtedy, gdy sięgnęła po jakąś błyskotkę. Niezbity dowód, że w moim przypadku w razie apatii czy jakiegoś

stuporu najskuteczniejszym lekiem jest biżuteria. Podobnie działają na mnie różne dodatki, te wszystkie torebki, apaszki, itd. Natychmiast się ożywiam.

Alanna włożyła mi na głowę cieniutką opaskę ze złota i zaczęła spod niej wyciągać pojedyncze pasma, układając je wokół twarzy. Naprawdę bardzo ładnie. Kilkakrotnie odwracałam głowę w lewo i w prawo, za każdym razem przekonując się, że tak jest istotnie. Podczas tych manipulacji blask świec ujawnił na gładkiej powierzchni opaski skrzący się drogi kamień o kształcie diamentu, misternie osadzony w złocie.

Nachyliłam się bardziej do lustra.

– Czy to granat?

– Tak. Ulubiony kamień milady.

– Mój?!

Moje brwi przesunęły się wyżej na znak, że tym stwierdzeniem jestem jednak rozbawiona.

I sukces, bo Alanna wreszcie się uśmiechnęła do mnie, i to niemal tak samo jak moja Suzanna.

– A więc... to ulubiony kamień lady Rhiannon.

– Kocham diamenty, ale granaty też są niczego sobie.

Miło było odwzajemnić uśmiech. W tym momencie poczułam się prawie jak w normalnym świecie.

– *Milady, proszę ani na moment nie zapominać, że pani jest teraz lady Rhiannon.*

Koniec uśmiechów. Powróciła sroga Alanna.

– *W porządku. Nie ma problemu – zapewniłam gorąco i Alanna, wyraźnie z tego zadowolona, zabrała się z powrotem do wyciągania spod opaski wijących się pasemek, które miały okalać twarz. Cała reszta rudego gąszczu poszła w tył.*

– *Teraz zajmę się twarzą milady.*

Na twarz poszły kremy, potem puder, wszystko ze słoiczków, którymi zastawiona była toaletka.

– *Alanno – odezwałam się po chwili – rób, jak uważasz.*

Mam tylko jedną prośbę. Na usta dużo szminki, wiesz, złocistobrzazowej.

– *Dokładnie to samo powiedziałyby lady Rhiannon.*

– *Trochę dziwne.*

– *Może i nie. Lady Rhiannon mówiła, że ona i milady macie jedną duszę.*

Czyli pora ustalić coś raz na zawsze.

– *Ona kłamała, Alanno.*

– *Przepraszam, co?*

Była wstrząśnięta. Tak. Jakby poraził ją prąd.

– *Ona skłamała, Alanno – oświadczyłam, patrząc jej prosto w oczy. – Z tą duszą to bzdura. Mam swoją, prywatną.*

Nazywam się Shannon Parker, jestem nauczycielką angielskiego w szkole średniej w stanie Oklahoma, w Broken Arrow, dzielnicy miasta Tulsa. Nauczycielką wpłataną w coś bardziej szalonego niż Świat Nastolatków, w którym dzieją się rzeczy przedziwne. Ale skoro już tu jestem, postaram się jakoś wywiązać z moich... nowych obowiązków, z tym że nie mam zamiaru zapominać, kim jestem naprawdę. Zapominać o tym, że nie jestem Rhiannon. Rozumiesz?

– *Tak, milady. Przepraszam, ale dla mnie to wszystko razem wcale nie jest takie proste.*

– *Nie szkodzi. Wyluzuj.*

Uśmiechnęła się.

– *Milady mówi trochę dziwnie.*

– *Ty też. Chodzi o wymowę. Dla mnie to coś pośredniego między wymową szkocką a wymową Deanny Troi ze „Star Treka”... – Ponieważ sprawiała wrażenie kompletnie zdezorientowanej, więc już tylko mruknęłam: – Och, nieważne, Alanno...*

Uśmiechnęła się i wróciła do transformacji mojej twarzy, czyli makijażu, a ja zerkalam sobie w prawo i w lewo, nie mogąc się napatrzeć na tę jakże oryginalną łazienkę. Było mi bardzo przyjemnie. Czulałam się zrelaksowana i rozgrzana, ale absolutnie nie czulałam senności (czyli jeśli faktycznie byłam w śpiączce, mam dowód, że tego rodzaju stan, kiedy człowiek de facto jest jedną nogą na tamtym świecie, wcale nie wyniszcza organizmu. Przeciwnie, działa jak osiem godzin zdrowego snu).

Moje spojrzenie biegło też co chwilę ku tej niezliczonej ilości świec w niszach wykutych w gładkiej, kremowej ścianie.

– Te świeczniki są naprawdę niezwykle. Podobne są...

o nie! Alanno! Czy to naprawdę czaszki?

– Oczywiście, milady. – Była wyraźnie zaskoczona moją gwałtowną reakcją. – Czaszki to symbol oddania milady swojej Bogini, Eponie. – Spojrzała na mnie jak rasowy belfer. – Nawet w świecie milady na pewno macie świadomość, że wszystko, co mistyczne, co potężne, rodzi się z Ognia w Głowie, Siedzibie Wiedzy i Mądrości!

– Aha... – Powiedziała, co wiedziała.

Milczałam, a po chwili usłyszałam charakterystyczne, bardzo znaczące chrząknięcie drogiej Suzanny. Plus komentarz:

– Podobno nade wszystko cenicie sobie siłę umysłu.

– Owszem. Ale... ale te czaszki są połączane!

– Naturalnie, milady. Wielka Kapłanka i Wybranka Epony ma tylko to, co najlepsze.

Znów ten karcący ton, jakbym wolała obskurny hotelik zamiast hotelu z sieci Hyatt!

A ja pomyślałam, że w końcu natrafiłam na coś złotego, co absolutnie nie przypadło mi do gustu. Zabawne.

– *Alanno, może opowiesz mi o moim narzeczonym. Jak on się nazywa?*

– *ClanFintan, milady. Jest Wielkim Szamanem, potężnym i czcigodnym.*

A więc to takie buty... Hm... Chyba dobrze, że nie jestem Hamletem, bo coś tu za bardzo trąci Danią...

– *Czy... ja jestem w nim zakochana?*

– *Nie, milady! – Alanna chyba znów się trochę zdenerwowała. – Pani ojciec podjął decyzję, że milady wyjdzie za ClanFintana.*

– *A ja myślałam, że to ja jestem tu panią!*

– *Milady jest tu panią, czasami jednak dobro ogółu przeważa nad pragnieniami jednej osoby.*

Kim ona jest? Spockiem?

– *W porządku. Zaskoczyłam. Czy on jest odrażający?*

– *Nie, milady.*

Chyba mówiła prawdę... albo w razie potrzeby jest niezłą aktorką.

– *W takim razie co z nim jest nie tak?*

Opryszczka? Łysina? Mały penis? Albo jeszcze gorzej – skąpiradło?

– Ja o niczym nie wiem, milady.

– Nie wiesz... – A raczej nie chciała powiedzieć. Czyli trzeba samemu dojść.

– Skończyłam, milady – oznajmiła po chwili.

Gdy wstałam, Alanna wpięła mi jeszcze do przekłutych uszu dwa malutkie wodospady z paciorków z granatów, a nad łokieć wsunęła złocistą bransoletę wysadzaną granatami.

– Piękna... jak zawsze – powiedziała.

A ja odniosłam wrażenie, że była zadowolona przede wszystkim z siebie. I słusznie, bo była to uzasadniona satysfakcja z dobrze wykonanej roboty. Bo jak na kobietę, która jeszcze kilka godzin temu była pewna, że trafiła do piekła, wyglądałam naprawdę nieźle. Choć odziana raczej skąpo i przeźroczyście.

– Pora rozpocząć przedstawienie, Alanno.

– Co mam przedstawić, milady?

– Nic, nic, to tylko takie powiedzonko. Po prostu zaczynamy to, co mamy dalej robić. Tym bardziej że do mnie zaczyna docierać, że od dawna nie miałam nic w ustach.

– Proszę za mną, milady.

Ruszyliśmy do drzwi. Alanna pierwsza, ja za nią. Przed przekroczeniem progu zatrzymała się na moment i zaszeptała konspiracyjnie:

– Zwykle idę za milady, ale dziś pójdę pierwsza. Proszę pamiętać, że lady Rhiannon nigdy się nie śpieszy, chyba że na czymś bardzo jej zależy. Idzie powoli, dostojnym krokiem, żeby było widać, kto tu rządzi. A milady rządzi teraz tu wszystkim, co milady zobaczy.

– Mówisz serio? – zażartowałam.

– Oczywiście!

Szkoda, bo jednak wolałam usłyszeć coś innego. A tu proszę, rządę wszystkim, co widzę. Wobec powyższego gapiałam się na wszystko, co mijalam, idąc na spotkanie nieznanego faceta, który, jak się okazuje, jest moim narzeczonym. Szliśmy szerokim korytarzem podobnym do tego, którym dotarliśmy do pokoju kąpielowego. Może nawet był to ten sam korytarz, tylko wtedy poszliśmy w drugą stronę. Chyba tak.

Alanna kroczyła sztywno, wyprostowana jakby połknęła kij, ja też więc starałam się maksymalnie podać biust do przodu, i w taki to sposób dotarliśmy do wielkich podwójnych drzwi rzeźbionych w zawile celtyckie zwoje, w które na moment wlepiłam oczy. Czy te oczy mnie nie mylą? Przecież wśród tych esów-floresów normalnie widać czaszki!

Czaszek nie kontemplowałam zbyt długo, ponieważ drzwi ozdobione były jeszcze w inny, bardzo sympatyczny sposób, a mianowicie dwoma facetami odzianymi wyjątkowo skąpo, którzy na mój widok zareagowali bardzo efektownie, a mianowicie bardzo groźnie wyglądające miecze na moment przyłożyli do wspaniale umięśnionych klatek. (Niech Bóg im błogosławi!). Po czym jeden z nich rzucił się do otwierania drzwi (jakże tego brakuje we współczesnej Ameryce, gdzie facetowi w ogóle nie przyjdzie do głowy, żeby otworzyć drzwi i puścić kobietę przodem!). Niestety, nie mogłam poświęcić im więcej uwagi, na co absolutnie zasługiwali, ponieważ Alanna wyraźnie dawała do zrozumienia, że wchodzimy już do środka.

Czyli do wielkiej sali, gdzie sufit był prawie na wysokości nieba. Wszędzie kolumny, oczywiście rzeźbione (akurat ja wszędzie widziałam te głupie czaszki, całe multum), poza tym piękne freski, na których przedstawione były między innymi hasające nimfy i jeszcze ktoś... ożeż ty! To przecież ja! Siedzę na przepięknym białym koniu, jakbym była kierowniczką tego rozhasania. Podobnie jak nimfy, jestem prawie goła. (Czy w tym kraju nigdy nie robi się chłodno?).

Na środku sali, na podwyższeniu, stał regularny pozłacany tron. Na schodkach wiodących do niego przysiadło kilka nimfetek w zwiewnych szatkach. Na mój widok natychmiast zerwały się na równe nogi i pochylily ładniutkie główki.

Chyba powinnam być nominowana do nagrody Dostojnego Wstępowania na Tron, przyznawanej przez coś w rodzaju Akademii Grekoceltyckiej. Moim zdaniem wypadło nieźle, najcudowniejszy jednak był moment, kiedy wreszcie na owym tronie zasiadłam.

Potem zapadła cisza. W chwili, gdy zaczynała być już trochę przytłaczająca, Alanna, która ustawiła się po mojej prawej stronie, wydała polecenie:

– Proszę powiadomić Szamana ClanFintana, że lady Rhiannon go oczekuje.

Jedna z nimfetek pomknęła do drzwi, gotyckich i równie olbrzymich jak te, przez które weszłyśmy. Ciekawe, pomyślałam, czy pilnujący ich strażnicy są również wprost proporcjonalni do rozmiarów tych drzwi.

Na moment przechwyciłam spojrzenie Alanny.

Uśmiechnęła się do mnie, uśmiechem typu: Głowa do góry! Ja szybciusieńko przymknęłam jedno oko i w tym momencie drzwi otworzyły się ponownie. Do sali przyfrunęła owa nimfetka w przeźroczystej mgiełce służącej jako ubranie.

– Wielki Szaman nadchodzi.

Kiedy wracała na schody wiodące na podwyższenie, zauważyłam, że jest zarumieniona, w ogóle cała taka przejęta.

Może ten szaman wcale nie jest odrażający? A to dziewczę jest prawie gołe, nic więc dziwnego, że mocno reaguje na mężczyznę.

Wszyscy patrzyli wyczekująco na gotyckie drzwi. Po chwili moje uszy wylapały wyraźne, bardzo charakterystyczne dźwięki, które narastały. Moment... To chyba... Tak, oczywiście.

To stukot końskich kopyt. Konie! Czyżby mój narzeczony zamierzał wjechać konno do sali tronowej?! Rozumiem, że Epona jest czymś w rodzaju bogini-konia, niemniej trzeba będzie z narzeczonym zamienić kilka słów na temat etykiety dworskiej. I to jak najszybciej, bo to, co zamierza teraz zrobić, jest, cytując moją babcię, nadzwyczaj niestosowne.

Kopyta słychać było coraz wyraźniej. I na pewno nie był to jeden koń, tylko kilka!

Najprawdopodobniej mój narzeczony jest lustrzanym odbiciem jakiegoś przygłupa z Oklahomy. Zaraz nazwie mnie swoją lalunią i klepnie po tyłku.

Widziałam, jak strażnicy (tak, znowu wielkość adekwatna do drzwi) salutują mieczami. Konie dobiegły do drzwi, pojawiły się w sa...

Przytkalo mnie, przytkalo totalnie, jak lubią pokazywać to w filmach. Płuca wysiadły, absolutnie nie byłam w stanie nabrać powietrza. Z wielkim trudem udało mi się stłumić charakterystyczne chrząknięcie, całkiem zresztą adekwatne do sytuacji, kiedy to dosłownie przelykałam swoje serce.

Pojawiali się parami. Po dwóch, ramię w ramię. Policzyłam ich szybko. Zdumiewające, że totalnie przytkana byłam jednocześnie w stanie liczyć. Ale policzyłam. Pięć razy dwa równa się dziesięć. Czyli dziesięciu...

— ...centaurów.

Z mojego gardła, nadwerężonego nadmiarem szeptania, zamiast wyraźnej artykulacji tego słowa wydobył się ni to pisk, ni to skrzek. Cichutki, ale mina Alanny świadczyła, że dosłyszała. Dlatego

błyskawicznie zamknęłam buzię tak bardzo rozdziwioną, jak rękaw lotniskowy.

Nie, Toto, my na pewno nie jesteśmy już w Kansas!

(Dla niedoinformowanych: powyższy cytat zapożyczyłam z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”).

Dwóch centaurów podążających na czele tego małego pochodu zbliżało się do podwyższenia, pozostali, czyli ośmiu, rozwinęli się w tyralierę. Kiedy prowadzący dotarli już prawie do schodów, jeden z nich zatrzymał się. Drugi natomiast podszedł do samego podwyższenia i skłonił się, wykonując wyjątkowo piękny ruch ręką.

– Witaj, lady Rhiannon.

Głos był również zaskakująco piękny, niski, głęboki, jakiś taki czekoladowy. Mówił śpiewnie jak Alanna.

No cóż, przynajmniej jeden problem został rozwiązany pozytywnie. To nie jest mój były mąż.

Zanim podjęłam próbę udzielenia jakiejś odpowiedzi, inicjatywę przejęła Alanna.

Najpierw dygnęła, potem przemówiła:

– Lordzie ClanFintanie, moja pani, lady Rhiannon, bardzo żałuje, ale ma chwilowe kłopoty z głosem...

Zauważyłam, że ClanFintan w tym momencie leciusieńko przymrużył oczy.

– ...dlatego poleciała mi powitać ciebie, panie, w jej imieniu i przekazać, że jest gotowa do zawarcia małżeństwa.

– Jakże... – lord uczynił efektowną pauzę – jakże to niefortunne, że właśnie teraz milady straciła głos!

Szczypta ironii? Według mnie tak, czyli chyba nie tylko ja byłam niezadowolona z tej umowy małżeńskiej.

– Tak, milordzie. Lady Rhiannon bardzo nad tym ubolewa – odparła rezolutnie Alanna.

– A jak to się stało?

Na Alannę nawet nie spojrział, tylko cały czas wpatrywał się we mnie, jakby słowa, które padały, wychodziły z moich ust.

Pomyślałam, że najlepiej będzie patrzeć mu prosto w oczy, bo jeśli pozwolę swemu spojrzeniu wędrować dookoła, na pewno znów rozdziawię buzię.

– Podczas Obrzędu Księżycowego lady Rhiannon poczuła się bardzo źle, ale wielkie oddanie Bogini nie pozwoliło jej się wycofać. Wytrwała do końca obrzędu, potem przez kilka dni nie opuszczała łóża. Dziś wstała po raz pierwszy. Milady odzyskuje siły, ma jednak jeszcze kłopot z mówieniem. Proszę się nie martwić, milordzie, to tylko przejściowa niedyspozycja. Lady Rhiannon niebawem całkowicie powróci do zdrowia.

– Rozumiem sytuację, w jakiej znalazła się milady – powiedział ClanFintan, choć na moje ucho był przede wszystkim wkurzony. – Pozostaje mi tylko nadzieja, że nadwątlone siły milady nie będą przeszkodą w załatwieniu naszej sprawy.

Załatwienie naszej sprawy! Dziwne! W końcu chodzi o małżeństwo, co z tego, że tymczasowe! I co to w ogóle za ton!

Normalnie bawi się w pana Eda (wiecie, tego konia, co mówi)!

Nie miałam pojęcia, co zrobiłaby teraz lady Rhiannon, wiedziałam jednak doskonale, co zrobi Shannon Parker. Kiedy Alanna przed udzieleniem odpowiedzi w moim imieniu robiła wdech, położyłam rękę na jej ramieniu, dając do zrozumienia, że ma milczeć. Jednocześnie wbiłam wzrok w tego pana Zrzedliwego, powoli uniosłam głowę (tak dumnie i wrednie) i pokręciłam nią przecząco. Raz, ale bardzo wyraziście.

– Znakomicie – skomentował ClanFintan. – Bardzo mnie to cieszy. Pani, twój ojciec przesyła ci swoje błogosławieństwo.

Bardzo boleje nad tym, że nie może dziś być tu obecny.

Jeszcze by tego brakowało...

– Czy milady zejdzie do mnie, czy mam iść do niej, to znaczy wejść na ten... – znów taka króciutka, złośliwa pauza – piedestał?

Oczywiście, że już otwierałam usta, żeby coś mu tam wyrębać, ale Alanna szybko chwyciła mnie za rękę i pomogła wstać z tronu.

– Lady Rhiannon postąpi zgodnie z obyczajem – oznajmiła i powoli zeszliśmy po schodkach.

Kiedy stanęliśmy już na posadzce, ClanFintan cofnął się, robiąc nam miejsce, nadal stał jednak bardzo blisko. Był taki wysoki, miałam wrażenie, że wypełnia sobą całą przestrzeń nade mną. Poczulałam też jego zapach. Owszem, leciusieńko zalatywał

koniem, ale to wcale nie było dla mnie odrażające. W sumie zapach ClanFintana określiłabym jako zapach świeżej trawy plus zapach ciepłego mężczyzny.

Sięgnął ręką w dół i złapał mnie za prawą dłoń. Byłam tak zaskoczona, że aż podskoczyłam. Mój pisk Alanna zagłuszyła króciutkim oświadczeniem:

– Milady gotowa jest do ceremonii.

Oczywiście! Nie może się doczekać! A niech was...

Dłoń ClanFintana była silna, twarda i ciepła, prawie gorąca i opalona na brąz, tak jak cała ludzka część jego ciała.

Nagle usłyszałam jego głos. Poderwałam głowę i tak jakoś się złożyło, że spojrzałam mu prosto w oczy. A ClanFintan mówił już słowa małżeńskiej przysięgi:

– Ja, ClanFintan, dziś, tego dnia, biorę ciebie, Rhiannon MacCallan, za żonę na rok. Będę chronić cię przed ogniem, nawet gdyby samo słońce miało spaść na ziemię. Będę chronić przed wodą, nawet gdyby wszystkie morza miały wystąpić z brzegów. Będę chronić przed ziemią, nawet gdyby wstrząsnęło nią całą. Twoje imię szanować będę jak własne.

W jego głosie nie wyczułam już cienia ironii. Był niski i głęboki, hipnotyzował, miałam wrażenie, jakby ClanFintan tym głosem malował w powietrzu fantastyczne obrazy naszego związku.

Zaraz potem rozległ się melodyjny, łagodny głos Alanny, przemawiającej w moim imieniu:

– Ja, Rhiannon MacCallan, Wielka Kapłanka Partholonu i Wybranka Epony, dziś, tego dnia biorę ciebie, ClanFintanie, za męża na rok. Nic nas nie rozdzieli, żaden ogień, żaden płomień, ani jezioro, ani morza, ani góry potężne. Twoje imię szanować będę jak własne.

– Czy przystajesz na to, lady Rhiannon?

Palce ClanFintana, obejmujące moją dłoń, zacisnęły się mocniej, prawie boleśnie.

– Milordzie, milady nie może powiedzieć na głos przysięgi – odezwała się mocno strapiona Alanna.

– Nie chodzi o całą przysięgę, ale chociaż jedno słowo może powiedzieć! Czy przystaje na to, czy nie! – Teraz to już uścisk jego palców można było określić jako morderczy. – Czy zgadzasz się tak czynić, jak jest powiedziane w przysiędze, lady Rhiannon?

– Taaak.

Specjalnie wcale się nie wysilałam, tylko pozwoliłam memu gardłu na całkowitą samowolkę, w rezultacie zabrzmiało właśnie tak, jak chciałam, dłużej i przeciągle.

ClanFintan ani drgnął, tylko przestał miażdżyć moje palce, choć mojej ręki nie puścił.

– A więc zawarliśmy umowę – powiedział. – Przez rok należymy do siebie.

Spojrzał mi w oczy, jednocześnie odwracając moją dłoń.

Podniósł ją do ust i chwycił wargami mięsisty kawałek ciała tuż pod kciukiem. Uczynił to najpierw wargami, a potem zębami.

Ugryzł mnie. Szczerze mówiąc, było to bardziej zaskakujące niż niemile.

No proszę. Wysłałam za mąż. Za pieprzonego konia.

Który gryzie.

W porządku, jestem z Oklahomy. Kocham duże konie, jestem fanką Johna Wayne'a. Lubię dużych facetów, ale ten konkretnie jest jednak trochę dziwaczny. No, nawet bardziej niż trochę.

I kurde! On gryzie!

ROZDZIAŁ TRZECI

– Milordzie, jeśli pan pozwoli, poprowadzę pana i wojowników do wielkiej sali, gdzie odbędzie się uczta z okazji zaślubin milorda z lady Rhiannon.

Uśmiechając się wdzięcznie, Alanna lekkim krokiem ruszyła do drzwi.

ClanFintan skłonił lekko głowę i podał mi ramię. Bardzo ostrożnie położyłam dłoń na jego rękę, tak bliżej łokcia, i ruszyliśmy. Słyszałam, jak jego ludzie (konie?!) podążają za nami.

– Domyślam się, pani, że dla ciebie nasze zaślubiny nie są powodem do radości, ale jestem zadowolony, że w końcu udało ci się zrezygnować z własnych pragnień i zdecydowałaś się spełnić swój obowiązek.

Mówił bardzo cicho, oczywisty dowód, że te słowa były przeznaczone tylko dla moich uszu. Ostrożnie podniosłam głowę, jednak ClanFintan nie patrzył na mnie. Co więcej, jego twarz była jak wykuta z kamienia.

O matko jedyna! W co też ja się wpakowałam!

– Ponieważ przysięgliśmy, że przez cały rok będziemy szanować siebie nawzajem – mówił dalej ClanFintan – wybaczam ci, pani, twój brak szacunku do mojej osoby w okresie narzeczeństwa, kiedy to unikałaś spotkań, zwracałaś moje podarki i zmusiałaś mnie do przybycia tutaj w celu sfinalizowania naszej umowy małżeńskiej. – W jego niskim głosie słychać było napięcie.

Koń nie koń, tyranizować mnie nie będzie!

– A ja wybaczam ci, milordzie, brak szacunku, jaki mi teraz okazujesz, krytykując mnie w świątyni mojej Bogini w dniu naszych zaślubin!

Ha! – dodałam na koniec, już w duchu.

Żeby usłyszeć mój chrapliwy szept, musiał pochylić głowę.

Na jego nieprzeniknionej dotychczas twarzy pojawiło się zdumienie.

ClanFintan zatrzymał się.

– Tak. Zachowałem się po grubiańsku. Proszę o wybaczenie, lady Rhiannon.

Jego ciemne spojrzenie bez trudu wytrzymało mój wzrok.

Natomiast ja, zanim moje nadwyrężone gardło wypiszczało odpowiedź, musiałam odchrząknąć.

– Wybaczam ci.

Nadal wyglądał na wkurzonego, ale chyba bardziej na siebie niż na mnie. Moja krótka odpowiedź chyba go zadowoliła, bo uznał temat za wyczerpany i ponownie ruszył

w ślad za Alanną. Ze mną na holu.

Alanna zbliżała się już do następnych gotyckich drzwi.

(Oczywiście strzegło ich dwóch powalających strażników. Dla drogiej Rhiannon mięśnie wyraźnie były priorytetem). Owe drzwi prowadziły do wielkiej sali, którą można by nazwać salą bankietową. No, niesamowitą salą bankietową.

W porządku, to ma być sen, ale nawet dla mnie, wyjątkowo oblatanej w snach, ten konkretnie był po prostu superoblędny.

W ogromnym pomieszczeniu porozstawiano chyba ze trzydzieści leżanek z oparciami, coś w stylu staroświeckich szezlongów. Przy każdym szezlongu, tuż przy oparciu, stał

niewysoki gruby marmurowy słupek, na którym z kolei stał

złoty puchar. A od jednego do drugiego szezlonga przefruwały śliczne, zwiewne jak nimfy młodziutkie kobiety i napełniały puchary czerwonym winem, które, sądząc już po samym wyglądzie, musiało być wspaniałe. Mnie oczywiście ślinka od razu napłynęła do ust.

Proszę, bardzo proszę, niech ten oblędny sen będzie też fajnym snem!

Alanna wskazała dwa szezlongi ustawione głowami do siebie. Ich użytkownicy mieli do wspólnej dyspozycji tylko jeden gruby słupek. Poza tym wspomniane szezlongi stały dokładnie na środku pokoju, w pewnej odległości od pozostałych, które ustawiono w idealnym półkolu.

– Zasiądziemy do uczy, milady?

Po tym pytaniu ClanFintana poczułam się głodna jak wilk.

Skinęłam więc głową i podeszłam do niby wygodnego szezlonga, który jednak jawił mi się jako narzędzie tortur zalatujące starożytnym Rzymem.

Ci Rzymianie z tym swoim: „Kto rządzi Rzymem, rządzi całym światem”.

Kładli się, obżerali, potem rzygali z przejedzenia. Nawet do głowy im nie przyszło, że można jeść kulturalnie, przy stole!

Chociaż z drugiej strony... w pozycji horyzontalnej będę się wydawała szczuplejsza.

W chwili, gdy mój tyłek zetknął się z szezlongiem, wyczułam wokół małe poruszenie. Na pewno z mojego powodu, jakbym na przykład wyszła ze sraczyka z kawałkiem papieru toaletowego przyklejonym do obcasa.

Panie Boże, spraw, by Alanna wiedziała, o co chodzi.

Wstałam z cholernego szezlonga, starając się zrobić to jak najzręczniejsze, i pociągnęłam Alannę za rękaw. Kiedy nachyliła się nade mną, wyszeptałam jak najciszej:

– Powiedz, czy czegoś nie zrobiłam, co należało zrobić?

Uśmiechnęła się, jakby wszystko było OK, choć wiadomo, że prawda wyglądała inaczej. Alanna nie przejęła się tym specjalnie, tylko uśmiechnęła się uroczo, dygnęła i odwróciła się ode mnie, by zwrócić się do ogółu:

– Lady Rhiannon prosi, byście wybaczyli jej, że z powodu nadwerężonego głosu nie może pobłogosławić darów Bogini podczas uroczystej uczy z racji jej zaślubin. Jest bardzo tym zmartwiona.

Po czym cała w uśmiechach pomogła mi ponownie spocząć (dobry wyraz?) na szezlongu.

– *A czy lady Rhiannon nie mogłaby powiedzieć błogosławieństwa szeptem, a ty powtórzysz na głos? – spytał*

Alannę mój świeżo upieczony małżonek. – Jak to robiłaś dotychczas?

W jego głosie słyhać było wyraźną prowokację. Niestety, pan Ed stawał się coraz bardziej twardym orzechem do zgryzienia (o tym, że gryzie, nawet nie wspominając). Zapewne uznał, że ma do czynienia z jakąś przyglupią, zapyziałą kapłanką.

No to się rozczaruje... Moje usta mimo woli rozciągnęły się w uśmiechu, a ręka ponownie zapobiegła interwencji Alanny.

Kiedy nachyliła się, szepnęłam:

– Powtarzaj za mną.

– Milady!

Spanikowała, ale nic dziwnego. Wprawdzie wyznałam jej już, że ma do czynienia z nauczycielką szkoły średniej, nie mogła jednak wiedzieć, jakie atrakcje wiążą się z uprawianiem tego zawodu. Nauczyciel w szkole średniej zмага się co dnia (a raczej co godzinę) z najprzeróżniejszymi i najdziwniejszymi zjawiskami, starając się wśród tego chaosu bohatercko zdeptać ignorancję i wykuwać przyszły los następnych pokoleń. Krótko mówiąc, obecna sytuacja to naprawdę dla mnie rybka.

Wymyślanie czegoś na oczekaniu jest dla belfra normą, a dla mnie dodatkowo nawet zabawne.

– Zaufaj mi – szepnęłam i puściłam do niej oko.

Alanna powoli skinęła głową, widać jednak było, że nadal jest pełna wątpliwości.

Ale pani każe, służka musi. Odwróciła się więc do ClanFintana i dla odmiany teraz dygnęła przed nim.

– Wdzięczna jestem milordowi, że przypomniał mi o moich obowiązkach. Proszę wybaczyć moją opieszałość. Będę powtarzać błogosławieństwo mojej pani z okazji jej zamążpójścia.

Czyli pora zacząć przedstawienie. Znowu.

Wiedziałam, że to, co pozostało w mojej głowie po zajęciach z literatury europejskiej, na pewno kiedyś się przyda.

Nie myliłam się, bo dzięki temu miałam teraz na podorędziu coś, czym mogłam zabłysnąć. Stare irlandzkie błogosławieństwo, tak piękne, że wyuczyłam się go kiedyś na pamięć.

Nachyliłam się ku Alannie, demonstrując przy okazji głębię mego dekoltu, i wyszeptałam oposem:

– Życzę wam...

– Życzę wam... – zawtórował mi słodki, dźwięczny głos Alanny.

– Żebyście zawsze mieli ściany chroniące was przed wiatrem – szeptałam dalej, uśmiechając się do słuchaczy, zachwycona ich pełnym szacunku skupieniem.

– Żebyście zawsze mieli ściany chroniące was przed wiatrem...

– I dach, co osłoni przed deszczem...

– I dach, co osłoni przed deszczem...

– I herbatę przy kominku... – Tu chwila paniki. Czy oni piją herbatę?!

– I herbatę przy kominku...

Bingo! Piją, bo wszyscy wokół się rozpogodzili.

– Życzę wam dużo śmiechu dodającego otuchy...

– Życzę wam dużo śmiechu dodającego otuchy...

I teraz coup de grace, czyli cios łaski, litościwe dobitcie kogoś, kto i tak już ledwie zipie. Odwróciłam się do mojego tymczasowego męża i spoglądając mu prosto w oczy, wyszeptałam ostatni wers. A potem miałam swoją małą chwilę radości, kiedy w jego oczach dostrzegłam autentyczne zaskoczenie.

– Życzę wam, byście zawsze mieli koło siebie tych, których kochacie, byście zawsze dostawali to, czego pragną wasze serca.

Słodki głos Alanny powtórzył po mnie ostatni wers, zaraz potem rozległy się entuzjastyczne okrzyki centaurów. Wargi ClanFintana też się poruszyły. Wprawdzie bezgłośnie, byłam jednak pewna na sto procent, że bezbłędnie odczytałam z jego warg to jedno krótkie słowo:

– Mat.

Mój ulubiony profesor z college'u często powtarzał nam, żebyśmy nie lekceważyli literatury powstałej w Anglii i najbliższych okolicach.

– Oni tam mają w głowie niby mnóstwo sieczki – mówił –ale jak już coś z tej głowy wyleci, to po prostu człowieka powala.

Alanna rozpromieniła się, co było najlepszym dowodem, że odniosłam kolejne zwycięstwo. I w ogóle zrobiło się jakoś tak przyjemnie, a to z powodu cudownych zapachów rozsiewanych przez półmiski wnoszone przez personel, który określiłabym...

Tak. Personel o zdecydowanie masywniejszej budowie. (W

sumie logiczne. Trudno wymagać, żeby szczuplutka nimfa w przezroczystej gazie dźwigała półmisek z pieczystym!).

Od tych zapachów aż zakręciło mi się w głowie. Bo i faktycznie, kiedy to ja po raz ostatni miałam coś w ustach?

Nieoceniona Alanna natychmiast pośpieszyła z pomocą.

– Milady, proszę, niech milady się oprze, usiądzie sobie wygodnie.

Stado kumpli mego tymczasowego małżonka zaczęło rozsiadać się na szeszlonych, a personel kuchenny po rozstawieniu półmisek roznosił teraz bardzo ładne talerze.

Natomiast obiekt moich uczuć (z urzędu, oczywiście) skłonił mi się elegancko i... odszedł na bok, żeby pogadać z jednym z centaurów. Skorzystałam więc z okazji i popijając czerwone wino (tym razem chyba nie merlot, raczej coś podobnego do caberneta) przyjrzałam się memu małżonkowi dokładniej.

Jest taka zabawa, w której uczestnik ma opisać coś lub kogoś tylko jednym słowem. Gdyby chodziło o ClanFintana, użyłabym na pewno wyrazu „siła”. Był olbrzymi i nadzwyczaj umięśniony, z tym że nie miało to nic wspólnego z tak zwanym mięśniakiem. Dla mnie te mięśnie były zdecydowanym plusem, choć, zaznaczam, nie mam żadnej obsesji na punkcie facetów w typie Schwarzeneggera, co więcej, szczerze staram się nie gardzić chudzielcami. (Podkreślam – naprawdę się staram!).

ClanFintan był bardzo zajęty rozmową, tak przynajmniej się wydawało, dlatego pozwoliłam sobie bez żadnego skrępowania dokładne przestudiować jego powierzchowność.

Innymi słowy, gapiałam się na niego, zwracając przy tym uwagę, żeby nie robić tego z otwartą buzią, a usta otwierać tylko na tyle, na ile trzeba, by wlać do gardła czerwony trunek.

Włosy miał gęste, czarne, też tego rodzaju, co niełatwo opanować. Długie, odrzucone w tył dzięki opasce na głowie (prawie tej samej szerokości co moja, tyle że ze skóry, a nie ze złota). Rysy twarzy miał surowe, bardzo męskie. Wysoko osadzone kości policzkowe, prosty, zgrabny nos, a w brodzie podłużny dołek. (Od razu przypomniał mi się Cary Grant. Panie Boże, proszę dla niego o nieustające błogosławieństwo). Kark mocny, ale, powtarzam, nie był to byczy kark faceta faszerującego się sterydami. Ten kark przechodził w szerokie ramiona i absolutnie cudowną (tak, przyznaję bez bicia) klatę, obsypaną czarnymi, kręconymi włoskami. Skóra gładka, lśniąca, brązowa. W sumie więc patrzyłam na ciało o budowie idealnej, jak rzeźba.

Ubrany był w ciemną skórzaną kamizelkę, rozpiętą, dzięki czemu mogłam sobie popatrzeć na wspaniałe płaty mięśni piersiowych wielkich. (A tak! Podczas studiów jako dodatkowy przedmiot wybrałam sobie między innymi anatomię i fizjologię.

Szło mi całkiem niezle!). Mogłam też oprzeć oko na moim ulubionym miejscu, czyli mięśniach brzucha, zwanych przeze mnie żartobliwie sześciopakiem, oraz na ładnej, szczupłutkiej talii.

Reasumując, ludzka część ciała ClanFintana, kończąca się tam, gdzie u człowieka zwykle zaczynają się biodra, wyglądała jak ciało cholernie przystojnego faceta w najlepszym okresie jego życia, czyli w wieku lat osiemnastu. Dobrze, dobrze, wiadomo, że się zgrywam. Prawdopodobnie był tuż po trzydziestce, a w każdym razie ta jego część, która należała do rodzaju ludzkiego.

Jeśli chodzi o pozostałą część jego ciała, tę końską, to była gniada, czyli brunatna, w tym odcieniu brązu, jaki mają dojrzałe żołędzie albo skóra, w którą oprawiano stare księgi. Im bardziej w dół, tym brąz był ciemniejszy, od kolan do kopyt była to już czerń świetnie współgrająca z kolorem włosów na głowie.

Kiedy zajęty rozmową ClanFintan poruszył się, zmieniając trochę pozycję, sierść w blasku świec i pochodni zalśniła jak lustro. Mój małżonek może i był w jakimś stopniu malkontentem, na pewno jednak dbał o siebie. Poza tym, jak powiedziałam, był wielki. W kłębie na moje oko mógł mieć z metr siedemdziesiąt, a może i więcej. Nie wyglądał jednak na folbluta, raczej na konia z domieszką szlachetnej krwi, porządnie umięśnionego, wytrzymałego, który potrafi też rozwinąć dużą szybkość.

Kiedy tak mu się przyglądałam, nagle uświadomiłam sobie, że widok tej mieszanki człowieka z

koniem nie wzbudza we mnie lęku czy odrazy. Wcale nie musiałam zużyć iluś tam bitów mojego mózgu, by przekonać siebie do zaakceptowania tego stanu rzeczy. W końcu, jak każda dziewczyna z Oklahomy, mam bzika na punkcie koni. Miałam własnego wierzchowca, dopóki nie wyjechałam na studia. Mój tata często żartował, że umiałam jeździć konno, jeszcze zanim zaczęłam chodzić. (Tu mała refleksja: ciekawe, czy w przypadku tego rodzaju małżeństwa wymagane są odpowiednie umiejętności jeździeckie? Na zdrowy rozum na pewno mogą okazać się przydatne...). A tak w ogóle, to szczerze mówiąc, gdyby ów gościu nie był panem Posepnym, to przy założeniu, że po całkowitym zerwaniu kontaktu ze światem rzeczywistym przebywam teraz w świecie czystej abstrakcji, uznałabym go za gościa wyjątkowo atrakcyjnego.

Rozmowa chyba dobiegła końca. Kumpel ClanFintana zasalutował – czyli ClanFintan musi być jego szefem – i ruszył

do drzwi, po drodze zatrzymując się na moment, by złożyć mi ukłon, natomiast mój małżonek zajął miejsce na szeszlunku sąsiadującym z moim. Trzeba przyznać, że jak na tak wielkiego człowieka/konia/trudno orzec, wykazał się wielką zręcznością.

– Proszę wybaczyć, że przez moment nie poświęcałem ci uwagi – odezwał się raczej chłodno i urzędowo – ale porucznik relacjonował mi pewne niecierpiące zwłoki sprawy.

– Nic się nie stało – powiedziałam, a raczej szepnęłam w miarę swobodnie. – Proszę napić się ze mną. Wino jest znakomite.

Po czym, starając się zignorować to cholerne pieczenie w gardle, posłałam mu promienny uśmiech, taki w stylu: Ja naprawdę jestem bardzo miłą dziewczynką.

Chciałam bardzo, żeby wlał w siebie trochę wina. Miałam nadzieję, że wtedy wyluzuje i będzie zachowywał się po ludzku (albo po... a tam, wszystko jedno!).

Z odległych drzwi wysypały się służące, zgięte po ciężarem załadowanych półmisków (dlatego też skojarzyły mi się z truchtającymi krabami). Rozsiewane przez półmiski upojne zapachy sprawiły, że mój biedny, pusty brzuch nie wytrzymał

i zaczął burczeć, dając znać o swoich pilnych potrzebach.

I dawał znać bezwstydnie głośno. ClanFintan wyraźnie miał

ochotę się roześmiać, widziałam to w jego oczach, ale powstrzymał się. Ja z kolei powstrzymałam się od przeprosin w stylu: Pardon, ale konam z głodu. Byłoby to bez sensu, bo siła głosu brzucha była tak wielka, że skutecznie zagłuszyłaby mój szepcik.

Kilka służących (przepraszam, że porównałam je do krabów) obsłużyło najpierw mnie, potem ClanFintana. Podano rybę w sosie śmietanowym, drób (mięsko bardzo delikatne, chyba kurczak) posypany hojnie chyba pieprzem cytrynowym.

Do tego kasza podprawiona czosnkiem. Rozszyfrowałam też fasolkę z cebulką z dodatkiem grzybków w całości.

Lubię sobie podjeść, co wcale jednak nie znaczy, że rzucam się na jedzenie i błyskawicznie pochłaniam wszystko, do ostatniego okruszka. O nie, jem jak dama. Teraz też, oczywiście.

Jadłam powolutku, próbując wszystkiego. Jednocześnie skinęłam na służącą, żeby dołąła mi wina. Byłam świadoma, że wlewam w siebie spore jego ilości, czułam się jednak rozgrzeszona. Wino było dla mnie jak lek. Przecież podobno całkiem niedawno wyzionęłam ducha!

Konsumując, doszłam do pewnego wniosku. To nie może być piekło, niemożliwe przecież, żeby karmili tam tak dobrze.

A tu po prostu wszystko rozplywa się w ustach. Między jednym kęsem a drugim udawało mi się czasami zerknąć na mego sąsiada. Jadł z wielkim apetytem. Wszystko, nie tylko fasolkę i cebulkę, czyli centaury są wszystkożerne. (Pamiętaj! On jest mięsożerny! Poza tym gryzie!).

W pewnym momencie zauważyłam ironiczny uśmieszek przemykający po jego twarzy. Czyli zauważył, że mu się przyglądam.

I nawet zaczął konwersować.

– Apetyt to oznaka powrotu do zdrowia – rzucił zjadliwie.

Na co ja:

– Naprawdę? Bardzo się cieszę, panie doktorze.

Moja wyszeptana odpowiedź zaskoczyła go, bo spojrzał na mnie tak, jakby mi nagle mleko poszło nosem. Albo, czym bardzo się zaniepokoiłam, bo wcale nie było to niemożliwe, coś utkwilo mi między zębami i wyglądałam po prostu głupio.

– Jestem Wielkim Szamanem – oznajmił. – Zajmuję się duszą, nie ciałem.

Odpowiedziałam po sekundzie, bo najpierw musiałam przełknąć kawałeczek pysznego kurczaczka.

– Tylko żartowałam.

– Och... tak?

I parsknął. Przysięgam, jak koń. Po czym z powrotem zabrał się do jedzenia. A jego reakcja, czyli owo parskanie, podsunęła mi małe pytanko: Czyżby droga Rhiannon była całkowicie pozbawiona poczucia humoru?

– Milady, milordzie! – rozległ się nagle dźwięczny głos Alanny. – Wasz związek uszczęśliwił nas wszystkich.

Szczęśliwe są także Muzy, a na znak tego wystąpi teraz wcielenie jednej z nich. Terpsychora, wcielenie Muzy Tańca.

Gdy klasnęła dwa razy, wszystkie centaury postawiły uszy (taka maleńka przenośnia, oczywiście), a w najbardziej odległym krańcu sali rozległy się dźwięki harfy i fletu.

Wcześniej nie zauważyłam siedzących tam trzech kobiet z instrumentami, z których teraz zaczęły

wyczarowywać przesłodkie, zachwycające dźwięki. Jednocześnie ze znajdujących się w pobliżu gotyckich drzwi wybiegła tancerka.

Pochyliła głowę, uniosła ręce i nieskończenie wdzięcznie przyfrunęła na środek sali, czyli tuż przed mój szeslong. No cóż, wiadomo, kiedy jest się Wielką Kapłanką, dają ci najlepsze miejsce.

Muzyka na moment ucichła, tancerka, nadal z pochyloną głową, złożyła przede mną głęboki, wdzięczny ukłon. Znów rozbrzmiała muzyka i tancerka zaczęła powoli, zgodnie z rytmem, unosić głowę...

I wtedy zachłysnęłam się winem. Tak, omal się nie udusiłam, bo trochę wina poleciało mi nawet przez nos. Chwała Bogu, że wszyscy wpatrzeni byli w tancerkę.

Otarłam dyskretnie twarz, starając się jak najszybciej dojść do siebie po niemalym w końcu szoku. Przecież ta tancerka to Michelle, moja kumpela, też nauczycielka! Pracujemy w tej samej szkole od dziesięciu lat. Michelle jest ciekawym człowiekiem, jej życie składa się z samych niemal paradoksów, z czego zawsze lubiliśmy się razem pośmiać. Michelle miała trzy życiowe pasje. Numer jeden to taniec, numer dwa to nauki ścisłe i przyrodnicze (ona gady naprawdę darzy wielką sympatią, co dla mnie zawsze było powodem do zmartwienia.

Przynajmniej dwa, trzy razy do roku któryś z jej ulubieńców ucieka z klatki i przepada bez wieści. A tak się składa, że moja pracownia sąsiaduje z jej pracownią...). Dwie pierwsze pasje udało się Michelle jakoś zsynchronizować. Studiowała chemię na Northeastern Oklahoma University, jednocześnie miała stypendium na naukę tańca. W rezultacie Michelle jest nie tylko nauczycielką chemii, ale i choreografem musicali, w których występują uczniowie naszej szkoły.

A teraz tańczy tutaj, i to tańczy pięknie. Z przyjemnością patrzyłam na jej płynne, pełne wdzięku ruchy, wykonywane w takt zmysłowej muzyki. A zarazem z wdzięcznością uśmiechnęłam się do maleńkiej służącej, która gdy tylko zauważyła, że mój puchar jest pusty, natychmiast przybiegła go napęłnić.

Nie było żadnych wątpliwości. To Michelle lub też, zgodnie z tym, co klarowała mi Alanna, lustrzane odbicie Michelle. Podobnie jak w przypadku Suzanny/Alanny nie wyszło tylko z fryzurą. Michelle ma wspaniałe gęste ciemne włosy, zawsze ostrzyżone na krótko, natomiast Terpsychora miała włosy długie do pasa, zakrywające jej drobne ciało na pewno w większym stopniu niż przezroczyste szatki. Mało że przezroczyste, one powiewały przy każdym ruchu, wystawiając na pokaz fragmenty gibkiego ciała. Szczuplutkiego, choć Michelle zwykle jada tyle co wróbelek. A

wiemy przecież, ile ta ptaszyna musi zjeść w ciągu jednego dnia. Dziesięć razy tyle, ile waży. Michelle jest jedyną znaną mi osobą, która może obżerać się bezkarnie. W szkole na lunch zawsze bierze pełny zestaw, pakuje w siebie niewyobrażalne ilości tłuszczów i węglowodanów... i nic! Zawsze szczupła i zdrowa. Suka!

Muzyka stawała się coraz szybsza, Michelle/Terpsychora, wijąc się zmysłowo między szeszlami, też przyśpieszyła.

Domyślcie się sami, że wszystkie bez wyjątku centaury przerwały przeżuwanie i gapły się zachwyconym wzrokiem na tancerkę. A Michelle była tancerką znakomitą. Jej taniec to zmysłowość i morze wdzięku w jednej smakowitej pigułce. Coś jak „Jezioro łabędzie” wystawione przez Boba Fosse’a. Jej szczuplutkie, ale bardzo seksowne bioderka poruszały się rytmicznie przez cały czas. Człowiek odnosił wrażenie, że te bioderka wyzwalają całą erotyczną energię zgromadzoną w tej sali, tym bardziej że Michelle podczas tańca po kolei zaglądała w oczy każdej obecnej tu istocie rodzaju męskiego. Wyobraźcie sobie przy tym, że wykonywała w czasie tego zaglądania bardzo śmiałe gesty!

Co natychmiast przywodziło na myśl jej trzecią, życiową pasję. Faceci. Uwielbia ich, i to wszystkich. Wysokich i niskich, owłosionych i tych bez jednego włoska na ciele, muskularnych i szczapy, i tak dalej, i tak dalej. Kocha każdego, o ile dysponuje czymś bardzo istotnym w odpowiednich rozmiarach (nie, nie, wcale nie chodzi o portfel!). Jest po prostu fanką dużych, twardych penisów. Dziwką? Absolutnie nie! Mężczyźni to jej hobby. I temu hobby poświęca wiele czasu i energii.

Taniec Michelle osiągnął punkt kulminacyjny, teraz z powrotem zbliżała się ku środkowi sali. Jak wspomniałam, była wyjątkowo seksowną kobietą. Kiedy zerknęłam na pana Eda, zorientowałam się, że w tej kwestii zgada się ze mną całkowicie. Cała jego uwaga skupiona była na Michelle. A ona, patrząc mu prosto w oczy, zbliżała się w tańcu do niego. Jej uwodzicielskie rozhuśtane biodra, przesłonięte tylko mgiełką cieniutkiego materiału, były coraz bliżej...

Ponieważ z moim tymczasowym małżonkiem nie łączyło mnie żadne gorące uczucie, byłam w stanie z chłodnym dystansem obserwować, jak Michelle rzuca swój czar na jego hormony. Przyszło mi też do głowy pewne skojarzenie. Otóż nie miałam wątpliwości, że w taki to oto sposób Salome skłoniła Heroda do pozbawienia głowy Jana Chrzciciela.

Kiedy muzyka cichła, tancerka osunęła się na podłogę, na moment zmieniając się w uroczy,

zaspokojony już kłębek smukłych rąk, nóg i zwiewnych szatek. A kiedy zerwała się burza oklasków, wyprostowała się jednym płynnym ruchem, po czym zaczęła przykucać w pełnych wdzięku ukłonach. Ja uśmiechałam się gorliwie, pewna, że w którymś momencie spojrzy i na mnie, a bardzo chciałam przekazać jej, że jestem jej tańcem, tak jak zresztą wszyscy, zachwycona.

Owszem, spojrzała na mnie... i całkiem mnie zmroziło. Bo w jej spojrzeniu, niby już takim poprawnym i uprzejmym, dostrzegłam jednak wrogość.

– Wybranko Epony, z okazji zaślubin przyjmij moje błogosławieństwo. Mam nadzieję, że małżeństwo da ci wiele radości i szczęścia.

Głos również należał do Michelle, nie było w nim jednak ani jednej cieplejszej nutki. Powiedziała to bardzo twardo, a potem – uwaga! – spojrzała z lubieżną czułością na faceta, u boku którego miałam zaznać wspomnianego szczęścia, odwróciła się i wyfrunęła z sali.

Dobrze, możecie nazwać mnie wrednym babsztylem, a nawet mi przywalić, ale wcale nie mam zamiaru ukrywać, że odczułam to jako zniewagę. Poza tym czułam coraz większą potrzebę dowiedzenia się, jaka naprawdę była ta Rhiannon. Czy przypadkiem nie była jednak miłą dziewczynką.

Spojrzałam na ClanFintana, który oczy miał wlepione w oddalającą się drobną postać tancerki.

– Pięknie tańczy, prawda?

Drgnął i natychmiast spojrzał na mnie, i to chyba ze skruchą.

– Tak, milady. Dzięki niej rzeczywiście czuje się obecność samej Terpsychory.

Głos miał leciutko zadyszany, oczy błyszczące. Facet normalnie się podniecił. Dziwne, że ja – w

końcu, jak wspomniałam, absolutnie niezwiązana z nim uczuciowo – jakoś wcale nie miałam ochoty odwrócić głowy. Przeciwnie, chciałam dalej patrzeć na ClanFintana. Coś mnie do niego ciągnęło, i to z taką siłą, że nachyliłam się ku niemu, wkraczając do jego Przestrzeni Prywatnej. Wlazłam tam cała, dla przyzwoitości tłumacząc sobie w duchu, że pochylić się muszę, by dobrze słyszał mój szept.

– Jej taniec też był swego rodzaju błogosławieństwem dla nas, nowożeńców.

Ależ on był ciepły! Przecież go nie dotykałam, broń Boże!

Ale był tak ciepły, że zrobiło mi się gorąco. Ten fakt, nie wiadomo dlaczego, rozśmieszył mnie, w rezultacie kiedy ClanFintan również nachylił się ku mnie, zachichotałam jak idiotka. (Uwaga! Dla wina żółte światło!).

– Jej taniec to coś więcej niż błogosławieństwo – powiedział, po czym zamilkł.

Ja naturalnie uniosłam pytająco brwi, zachęcając go do kontynuowania wypowiedzi.

Więc dodał, ścisząc swój aksamitny głos prawie do poziomu mojego szeptu:

– To jest swego rodzaju... bodziec. Ale ty przecież wiesz o tym, skoro sama jesteś wcieleniem Bogini.

A to mnie zażył.

Moje spojrzenie bezwiednie oderwało się od blasku jego oczu i przemknęło po ciele ClanFintana, on zaś omiółł mnie wzrokiem w taki sam sposób. Przemknął... nie, przemaszerował po moim ciele.

Czyżbym zaczynała zapominać, że on jest... no cóż...

koniem?

Mimo woli zeszywniałam i wyprostowałam się, definitywnie wycofując z jego Przestrzeni Prywatnej. Zrobiłam to jednak zbyt gwałtownie, bo w rezultacie zakręciło mi się w głowie. Obraz świata zdecydowanie stracił ostrość, w głowie załupalo. Światelko alarmowe dla wina natychmiast zmieniło kolor. Z żółtego na bardzo czerwony.

– Och...

Chciałam odstawić puchar na słupek stolik, nie udało mi się jednak zrobić tego zręcznie. Puchar przewrócił się z głośnym brzękiem, resztką wina rozlała się w czerwoną plamę.

Oczywiście czułam, że wszyscy gapią się na mnie.

– Milady, jak milady się czuje?

Niech Bóg błogosławi Alannę i jej troskliwość.

– Chyba trochę przesadziłam z tym winem...

Bardzo chciałam, żeby Alanna przestała pączkować. Proszę o jedną, jedna mi wystarczy! Gdy zamrugałam, Alanna na szczęście znów zaczęła mi się jawić jako jedna osoba.

Potarłam czoło i zadecydowałam, że jednak zaryzykuję.

Spojrzę na ClanFintana.

Jego oczy już nie błyszczały. Patrzył na mnie chłodno i bardzo wnikliwie.

– Chyba przeceniłaś swoje siły, milady. Dla kogoś, kto od jakiegoś czasu niedomaga, dzisiejszy dzień na pewno był bardzo męczący. Może już pora, żeby milady udała się na spoczynek.

Niby powodowany troską, ale i tak zabrzmiało to jak prowokacja, tym bardziej że złośliwy uśmiezek nie umknął mej uwadze.

– Ech...

To ja. Wydałam z siebie coś pośredniego między okrzykiem a piskiem. No bo jak to niby ma być z tym spoczynkiem? Mam iść do łóżka razem z nim? Do wspólnego łóża, używając zwrotu z Biblii?! Matko jedyna, że ja też wcześniej o tym nie pomyślałam! Przecież małżeństwo, nawet takie na rok, ma swoje konsekwencje. Co prawda Alanna wspominała, że w tym stadle ja rządzę. Niby tak, ale nie wiadomo, jak to dalej się rozwinie, skoro mój narzeczony, teraz już mąż, jest koniem, o czym nikt mnie nie uprzedził! Byłam zaniepokojona perspektywą seksu z nieznanym mi facetem.

Ale facetem, nie półzwierzęciem!

Czułam, jak żołądek mi się wywraca. Och nie! Jeszcze skończy się na tym, że wszystkie te pyszności zwymiotuję na szeslong!

– Eeech...

Idiotka! Może i byłam trochę usprawiedliwiona, w końcu ten ślub i w ogóle wszystko dzieje się błyskawicznie, niemniej mogłam sobie jeszcze przemyśleć to i owo. Dziwne, że sprawy seksu do tej chwili jakby zeszły w mej głowie na dalszy plan.

Kiedy wychodziłam za mojego durnego byłego (lubię sobie o nim pomyśleć, że to był jedynie taki mąż na zakąskę), w głowie miałam tylko łóżko. A nie byłam przecież niewinną dziewczeczką, która nie ma pojęcia, na czym polega noc poślubna!

– Eeech...

W sumie jednak, powtarzam, jestem usprawiedliwiona.

Omam nie umarłam, przeszłam do innego świata... Po czymś takim człowiek nie jest stanie myśleć jasno, o ilości wlanego w siebie wina nie wspominają, nawet jeśli ten płyn traktujesz jak lek.

W takim razie może teraz to sobie wszystko przemyślę.

Skonsumowanie małżeństwa.

Z koniem.

Który nie tylko gada, ale i gryzie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– *Chyba... chyba mi niedobrze...*

– *Milady, czy życzy sobie pani, żebym odprowadziła ją do pokoju?*

Przynajmniej zatroskanie Alanny było rzeczywiste, tak samo jej miękkie i chłodne dłonie delikatnie odgarniające mi z czoła włosy. Niewątpliwie prze pocone.

– Tak, bardzo proszę.

Wstałam, tyle że znów zbyt szybko i wszystko przewróciło mi się w żołądku. Poczułam się okropnie niedobrze.. Och nie, tylko nie to!

Z całej siły zacisnęłam powieki. Byłam zrozpaczona, bo mój tyłek bardzo pragnął klapnąć na marmurową posadzkę. Nie zdążył jednak tego zrobić, bo nagle, ku swemu wielkiemu zdumieniu, poczułam, że przemieszczam się dokładnie w odwrotnym kierunku, a mianowicie do góry. Ktoś bardzo zdecydowanie wziął mnie na ręce i uniósł tam, gdzie było gorąco.

– Pozwól, lady Rhiannon.

No nie! Koń wziął mnie na ręce!

Ostrożnie otworzyłam jedno oko i tuż przed tym okiem zobaczyłam twarz ClanFintana. Z bardzo bliska, z tym że on wcale na mnie nie patrzył. Skinął na Alannę, która, wyraźnie bardzo zadowolona, ustawiła się na czele i poprowadziła nas tą samą drogą, którą przedtem przyprowadziła tu mnie. Kiedy tak patrzyłam na nią z góry, miałam okazję przekonać się, że ClanFintan istotnie jest bardzo duży, bo byłam bardzo wysoko nad ziemią i...

Może lepiej, żebym jednak zamknęła oczy?

– Prześpisz się i na pewno poczujesz się lepiej.

To ClanFintan. Kiedy mówił, wyczuwałam w jego klatce wibracje. Oczy miałam zamknięte, więc nic dziwnego, że mój małżonek skojarzył mi się właśnie z tym. Z ogromnym, ciepłym wibratorem.

Nic dziwnego również, że po raz kolejny musiałam powalczyć z głupim chichotem.

– *Przepraszam. Nie zauważyłam, że wypłam aż tyle wina.*

ClanFintan tylko chrząknął, co jeszcze bardziej spotęgowało efekt wibratora, po czym skomentował

lakonicznie:

– *A wypłam.*

– *A ty, kiedy mówisz, wibrujesz!*

– *Co?!*

– *Nieważne. Lubię wibratory.*

*O matko! Belkoczę, jakbym była wstawiona! Ale co tam, w końcu faktycznie wypłam o wiele za dużo. Głowę miałam okropnie ciężką, same włosy ważyły chyba z tonę. Nie byłam już w stanie dłużej utrzymać jej w pionie, dlatego z głębokim westchnieniem pozwoliłam, by opadła na silne ramię *ClanFintana/pana Eda*.*

– *Ładnie pachniesz.*

Tak, zdawałam sobie sprawę, że nie kontroluję już tego, co mówię. Tak, zdawałam sobie sprawę, że po tym winie jutro rano będzie mi rozsadzać głowę. Tak. Ale co ja mogę na to poradzić?

Tak więc zachichotałam.

– *Stanowczo za dużo wypitaś!*

– *Ja?! Ależ skąd!*

Znów parsknął jak koń, znów w jego klatce zadudniło.

I znów rozległ się mój głupi chichot. Kiedy skończyłam, dotarło do mnie, że ClanFintan parsknął tylko raz, a w jego szerokiej piersi dalej dudni.

Otworzyłam oczy. ClanFintan śmiał się! Ze mnie, ale nie szkodzi. Najważniejsze, że śmiał się i jego twarz, owszem, przystojna, choć bardzo przy tym surowa, zmieniła się w twarz przystojną i sympatyczną.

Tym razem po chichocie pojawiła się czkawka, a już z niej ClanFintan po prostu zarykiwał się ze śmiechu.

Alanna zatrzymała się przed drzwiami, które wiodły, jak sobie mgliście przypominałam, do jednego z pokoi Rhiannon.

Też była rozbawiona i z trudem powstrzymywała śmiech, kiedy jednak zauważyła, że ja, w trakcie chichotu na przemian z pijacką czkawką, popatruję na nią, bardzo się speszyła. Spiekła raka i szybko otworzyła przed nami drzwi. No cóż, teraz to już byłam pewna na sto procent, że droga Rhiannon absolutnie nie miała poczucia humoru.

Kiedy wciąż uśmiechnięty – jak miło! – ClanFintan usadził

mnie na ogromnym łożu, poczułam się w obowiązku okazać mu wdzięczność za przetransportowanie do tego miejsca.

– *Bardzo... (czknięcie) dziękuję... (czknięcie) za...*

(czknięcie) małą przejażdżkę.

Przejażdżka! Ale mi się udało! Tym razem, chowając twarz w miękkie poduszki, aż cała się trzęsłam z nasiąkniętego winem śmiechu.

– Ostatnim razem, kiedy cię widziałem, byłaś całkiem inna.

Wystarczyło, by śmiech przeszedł jak ręką odjął i cała zeszywniałam. ClanFintan nadal się uśmiechał, jednak jego głos wcale nie był pogodny. Mój mąż wyraźnie nad czymś się zastanawiał, co dotarło nawet do mnie, przesiąkniętej mocnym, czerwonym winem.

A Alanna okropnie zbladła, jej policzki w mgnieniu oka straciły cały róż.

Ponieważ sytuacja stała się patowa, więc podjęłam desperacką próbę natychmiastowego wytrzeźwienia. Rezultat osiągnęłam taki sobie, ale przynajmniej czkawka mi przeszła.

– Ja? Inna? Ależ skąd! Jestem taka jak zawsze!

– Nic nie jest w tobie takie jak zawsze, lady Rhiannon.

Jego uśmiech należał definitywnie do przeszłości. Na moment zrobiło mi się przykro z powodu tej straty, lecz szybko przypominałam sobie o największych negatywach całej tej sytuacji. A mianowicie że ClanFintan jest koniem, a ta noc ma być naszą nocą poślubną. Dodatkowo pobladła niewątpliwie ze strachu twarz Alanny pozwalała domniemywać, że tych negatywów jest o wiele więcej. Tylko że ja niestety nie miałam bladego pojęcia, co tu jeszcze w trawie piszczy.

Zamknęłam oczy i dość nerwowo wyszeptałam króciutki komentarz:

– A co tam...

Odetchnęłam głęboko i chrapliwie, lecz w tym momencie do konwersacji szczęśliwie włączyła się Alanna:

– Milordzie, czy pan pozwoli, że pokażę mu jego pokój?

Odpowiedź nie padła, dlatego okropnie mi się chciało otworzyć oczy, zrezygnowałam jednak, ponieważ czułam na sobie wzrok ClanFintana. Znów odetchnęłam głęboko, a potem chrapnęłam sobie, no cóż, absolutnie nie jak dama.

– Milordzie! Bardzo proszę! – odezwała się szybko Alanna o ton głośniejsze. – Pokój milorda sąsiaduje z tym pokojem.

– Dobrze. Udam się na spoczynek – oświadczył bardzo oficjalnym tonem ClanFintan.

Wychodził bardzo szybko i bardzo głośno, niemal całkowicie zagłuszając śpiewny głos Alanny, która tłumaczyła nerwowo:

– Milordzie, milady ostatnio bardzo wiele przeszła...

Mówiła tak łagodnie, tak słodko jak moja kochana Suzanna. Co się dziwić, że okropnie zatęskniłam za moim światem, naprawdę okropnie...

Słowa Alanny ClanFintan skwitował krótkim:

– Jak my wszyscy.

Po czym usłyszałam odgłos nad wyraz energicznie zamykanych drzwi.

I zaraz rozległ się komunikat Alanny:

– Poszedł już, milady.

Znikł tak samo jak moje rozchichotane rozbawienie. Nic tak nie przywraca do pionu jak maleńka intryga w alternatywnym świecie lustrzanych odbić.

Alanna podeszła do szafki nocnej ustawionej w nogach łóżka. Stała na niej miednica napęczniona wodą. Alanna zanurzyła w wodzie płócienną ściereczkę i zaczęła ją wyżymać.

– Posłuchaj... on domyśla się, że nie jestem Rhiannon – wychrypiałam.

Jej ręce, które ocierały moje spocone czoło, zadrżały, niemniej jednak zaprzeczyła:

– Nie, milady. Po prostu milord był pewien, że pani jest inna. Tylko to.

– A jaka niby miałabym być? Alanno, opowiedz mi o Rhiannon.

Jej ręce dla odmiany znieruchomiały.

– Rhiannon jest Wielką Kapłanką, Wcieleniem samej Bogini Epony. Była moją panią...

– To wiem. Opowiedz mi, jakim jest człowiekiem.

– Jest bardzo potężna...

Westchnęłam.

– *Alanno! Nie chodzi mi o urzędy, lecz osobowość, charakter, rozumiesz? Sama mówiłaś mi, że różnię się od niej.*

Bardzo chcę wiedzieć, na czym ta różnica polega... – Gdy odpowiedziała mi cisza, dodałam: – Alanno, przecież chyba poznałaś mnie już na tyle, by nie bać się powiedzieć prawdy!

– *Ale... ale to wcale nie jest takie łatwe, milady.*

– *Dobrze, w takim razie pomogę ci. Na początek powiedz mi, dlaczego ClanFintan jej nie lubi.*

– *Ona wcale nie chciała wyjść za niego. Unikala go, a kiedy już musiała się z nim spotkać, traktowała go bardzo chłodno.*

– *To dlaczego nie zerwała tych zaręczyn?*

– *Lady Rhiannon, by nadal być Wielką Kapłanką, musiała wyjść za ClanFintana. Wcielenie Bogini Epony zawsze bierze sobie za męża Wielkiego Szamana Centaurów, choćby na rok, z tym że najczęściej jest to szczęśliwe małżeństwo na całe życie.*

Mówiąc to, umykała spojrzeniem w bok. Było jasne, że czuje się bardzo niezręcznie.

Niby dlaczego?

– *Alanno, wiadomo, że jestem całkiem zielona, jeśli chodzi o tę waszą rzeczywistość, ale akurat w tym przypadku doskonale rozumiem Rhiannon. Jak można mieć do niej pretensje, że nie chciała spać z koniem? No pomyśl! Przecież to totalna masakra.*

Też jestem tym przerażona! Ja... – Chciała coś wtrącić, jednak podnosząc ostrzegawczo rękę, nie dałam jej dojść do głosu.

Zdążyłam już całkowicie wytrzeźwieć, w związku z czym byłam bardzo elokwentna. Jak zawsze. – Nie ukrywam, Alanno, że wolałabym, byś mnie uprzedziła, że mój narzeczonny jest centaurem. Owszem, wygląda niczego sobie, a kiedy wyluzuje, jest nawet przyjemny, tyle że... Nie, to się w głowie nie mieści!

On został moim mężem? Niby jak ja mam to z nim zrobić?

Wystarczy spojrzeć od strony technicznej! O nie! Po prostu włos jeży się na głowie...

W tym momencie Alanna wreszcie dorwała się do głosu:

– Ależ milady! Przecież on jest Wielkim Szamanem!

Powiedziała to takim tonem, jakby wyjaśniało to wszystko.

Mnie osobiście niczego nie wyjaśniało.

– I co z tego?! Poza tym jest pieprzonym koniem!

– Pieprzonym? Dlaczego?

– Och, nieważne, to tylko takie określenie z gatunku bardziej wyważonych. Staram się odzwyczaić od przeklinania, rozumiesz? Nie używać wyrazów naprawdę brzydkich... – Usłyszałam westchnienie. Och, to ja westchnęłam. – Czy chodzi ci o to, że tego małżeństwa nie trzeba konsumować?

– Oczywiście, że nie.

Wyglądała na zszokowaną.

– Alanno, proszę, odpowiedz pełnym zdaniem, żeby nie było żadnych niejasności. Zaprzeczyłaś, bo nie trzeba konsumować?

– Nie. Zaprzeczyłam, bo nie chodzi o to, że nie trzeba konsumować. Konsumować trzeba.

Czułam, że głowa znów zaczyna mi pękać.

– W takim razie wyjaśnij mi, proszę, jak?! Bo o ile wzrok mnie nie mylił, on od pasa w dół jest koniem, prawda?!

O Boże, w gardle znowu mnie paliło.

– Oczywiście, że jest, milady. W obecnej postaci.

Teraz była czerwona jak piwonia.

– W obecnej postaci? Co ty wygadujesz? Nie rozumiem.

Czy to znaczy, że ma jeszcze jakieś inne postaci?

– Tak, milady. Jest Wielkim Szamanem, a to znaczy, że może się zmieniać, między innymi również w człowieka.

– Niemożliwe!

Bo i fakt. W coś takiego naprawdę trudno uwierzyć.

– *Nie dla ClanFintana, milady.*

Powiedziała to tak, jakby mówiła o czymś równie oczywistym jak to, że woda zawsze spłynie po zboczu, a jeśli nażłopiesz się wina, będziesz śmiać się głupio i mieć czkawkę.

– *Czyli jeśli już dojdzie co do czego... nie będę spała z koniem?*

– *Oczywiście, że nie, milady.*

– *Boże, co za ulga!*

– *Tak, milady. A teraz proszę pozwolić, bym przygotowała panią do wypoczynku.*

I znów, jak to ona, zaczęła skakać koło mnie. Zdjęła mi z głowy złotą opaskę i resztę biżuterii, starła z twarzy makijaż...

– *Alanno, nie opowiedziałaś mi jeszcze o Rhiannon. –Znów rozległo się westchnienie, z tym że teraz przyszła kolej na Alannę. – Czy Rhiannon wiedziała, że ClanFintan może zmienić się w... kompletnego człowieka?*

– *Naturalnie, milady.*

– *Alanno, proszę, przestań się już tak kręcić i usiądź koło mnie. Pogadamy.*

Z wyraźnym ociąganiem przysiadła na brzegu łóżka.

Wyglądała na bardzo speszoną.

– Rzecz w tym... – zaczęła – że lady Rhiannon wcale nie czuła do ClanFintana odrazy, tylko do samego pomysłu związania się na stałe z mężczyzną.

– Dlaczego?

No nie! Czyżby droga Rhiannon kochała, jak to się mówi, inaczej? Znakiem czego ja teraz powinnam być lesbijką? O nie, idę się powiesić... Nie, nie, tu nie chodzi absolutnie o jakąś fobię, mam do tych spraw zdrowy stosunek, ale udawanie lesbijki dodatkowo skomplikowałoby obecną sytuację, w końcu już i tak niełatwą, prawda?

– Lady Rhiannon dała mu wyraźnie do zrozumienia, że poczuje się bardzo nieszczęśliwa, jeśli będzie musiała ograniczyć się zaledwie do jednego mężczyzny, nawet gdyby chodziło tylko o małżeństwa na jeden rok.

– Nic dziwnego, że on mnie nie lubi.

Oczywiście! Teraz wreszcie to wszystko razem nabierało sensu.

– Tak, milady.

– A ty nie aprobujesz jej postępowania, prawda?

– Milady, nie moją rzeczą jest oceniać postępowanie lady Rhiannon.

– A dlaczego nie? W końcu jesteś dla niej czymś w rodzaju asystentki, prawda?

– *Przepraszam, kim?*

– *Asystentki. No... takiej jakby osobistej sekretarki, odpowiedzialnej za realizację programu dnia i tak dalej. Jej pracownicą, rozumiesz.*

– *Jestem jej służącą, milady.*

– *Służącą?! Czyli nie doceniała cię. Albo też i zaniedbała sprawę twojego awansu. Podejrzewam też, że nie płaciła ci dobrze. Powiedz, Alanno, dlaczego nie rzuciłaś tej roboty? Nie poszukałaś sobie innej?*

– *Milady nie rozumie. Ja jestem jej własnością.*

Wielki Boże! A już myślałam, że jak na jeden dzień tych niespodzianek naprawdę wystarczy!

– *Własnością? Jak mam to rozumieć? Jesteś jej niewolnicą?!*

– *Tak. Teraz jestem niewolnicą milady.*

– *Co to, to nie! Nie mam zamiaru posiadać niewolników!*

Daj mi szybko kawałek papieru i coś do pisania. Napiszę, co potrzeba...

I znów niespodzianka, bo Alanna, zamiast skakać z radości, zbladła.

– *Nie, nie.. milady, proszę... – Była przerażona. – Przez całe swoje życie jestem niewolnicą lady Rhiannon. MacCallan kupił mnie dla niej, kiedy byłam małą dziewczynką. W naszym świecie tak to już jest...*

– Teraz to też mój świat.

– Tak, milady.

– No tak...

Nagle skrzydła mi opadły. Poczułam się okropnie zmęczona i zniechęcona, poczułam, że to wszystko razem zaczyna mnie przerastać. Co ja właściwie tu robię? Tu, w tej zwariowanej rzeczywistości? Czy możliwe, żeby to działało się naprawdę?

– *Milady, proszę, niech się pani już położy. Milady wyśpi się, wypocznie i jutro rano wszystko stanie się o wiele łatwiejsze i bardziej zrozumiałe.*

– *A tam... Dalej wszystko będzie pokręcone... – mruknęłam sennym głosem. Wino i stres działają lepiej niż wspaniałe skądinąd tylenol PM. Ledwie przyłożyłam głowę do poduszki, powieki zrobiły się ciężkie jak ołów. Wcale nie miałam ochoty z nimi walczyć. Z ulgą przeniosłam się do świata ciemności, przecież tylko tam miałam szansę naprawdę odetchnąć.*

Obok Szkocji widzianej oczami Diany Gabaldon oraz planety Pern wymyślonej przez Anne McCaffrey trzecim krajem, który uwielbiam odwiedzać, jest Kraina Snów. Moje sny zawsze są kolorowe (trójwymiarowe, oczywiście) i cudowne. Kraina Moich Snów zaludniona jest fruującymi herosami, którzy zakochują się w heroinie (czyli we mnie, jeśli trzeba to wyjaśnić), ratują świat (w którym niebo ma kolor bzu) i silnymi (a jednocześnie delikatnymi) rękoma potrafią kawałek węgla oszlifować na najpiękniejszy diament. Jeden z moich ulubionych absztyfikantów zwykle błaga mnie na kolanach, bym łaskawie zezwoliła mu spłacić monstrualny debet na mojej karcie kredytowej sieci sklepów Ann Taylor. Chce w ten sposób pokazać mi, ile jest wart. W przelotnych wizjach podrywana jestem przez Pierce'a Brosnana (który potrafi fruwać), a w tym czasie przebywam tuż pod niebem koloru bzu, wylegując się na chmurkach z cukrowej waty (takiej, która się nie lepi). Gilgoczę w brzuszki tłusciutkie biało-czarne kotki, popijam pięćdziesięcioletnią whisky najlepszego gatunku i wydmuchuję puszki z wielkiego dmuchawca. Te puszki zamieniają się w płatki śniegu...

Teraz rozumiecie, dlaczego po tych kilku okropnie stresujących dniach z wielkim utęsknieniem czekałam na moment, gdy odpłynę sobie do mojej Krainy Snów, do świata fantazji. Leżałam na boku i oddychając miarowo, po prostu ochoczo, wręcz na siłę wsuwałam się w objęcia Morfeusza.

Zorientowaliście się już też, że w mojej Krainie Snów wszystko jest możliwe, dlatego wcale nie byłam zaniepokojona, gdy zaczęłam śnić, że frunę. Dokładniej moja dusza, która wymknęła się z pogrążonego we śnie ciała.

A łóżko faktycznie było ogromne. Nawet z lotu ptaka.

Fruwanie, czy też unoszenie się w powietrzu, jest nieodłącznym elementem moich wizyt w Krainie Snów.

Przyznam się wam, że w moich snach zwykle zaczyna się to od takiego jakby startu. Wyciągam ręce przed siebie, zaczynam biec i w pewnym momencie odrywam się od ziemi.

Wyfrunęłam przez sufit. Unosiłam się coraz wyżej i wyżej, oddalając się od Świątyni Epony. W pewnym momencie zakręciło mi się w głowie. Było to bardzo nieprzyjemne uczucie.

Dziwne, nigdy przedtem we śnie coś takiego mi się nie przydarzyło. Fruwanie zawsze sprawiało mi wielką przyjemność, dlatego ta nagła dolegliwość bardzo mnie zaskoczyła. Na szczęście trwała tylko moment i błyskawicznie o niej zapomniałam. Było przecież cudownie. Całkowicie zrelaksowana unosiłam się w rześkim nocnym powietrzu, oddychałam głęboko i rozkoszowałam urodą puszystych chmur przesuwających się wysoko, przed księżycem bliskim pełni.

Zauważyłam, że nie są to chmury z cukrowej waty, jakie zwykle widuję w swoich snach. Poza tym po raz pierwszy we śnie wyczuwałam zapachy, ale ten fakt nie wzbudził we mnie niepokoju. W końcu moje sny są zawsze bardzo barwne i realistyczne, a przeniesienie się do innego świata mogło w jakiś sposób na nie wpłynąć. Jednym słowem, powyższe zmiany uznałam za niewielkie i nieszkodliwe odchylenia od normy.

W dole widziałam Świątynię Epony w całej okazałości.

Była to imponująca budowla otoczona równie pięknymi budynkami. Jeden z nich, bardzo okazały, musiał być stajnią.

Tak, na pewno, przecież obok jest padok. Stajnia zajmowała poczesne miejsce. Przylegała do

świętyni, dzieląc z nią jedną ze ścian. Ale to łatwo można wytłumaczyć. W końcu ta świątynia była miejscem kultu bogini konia.

Stajnia zdecydowanie przyciągała mój wzrok, ale co się dziwić, skoro naprawdę lubię konie. Nieraz marzyłam o tym, żeby w swoim śnie przejechać się – czy też pofrunąć – na Pegazie. A teraz, popatrując na padok, zauważyłam, że mimo późnej pory ktoś tam jest. Wpatrywałam się więc, wpatrywałam, a w pewnym momencie zauważyłam, że moje eteryczne ciało zaczyna schodzić niżej, kierując się właśnie tam, ku padokowi.

Jeszcze chwila i zawisłam nad otaczającym go kamiennym murkiem.

Łagodny powiew wiatru odgonił puszyste chmury od księżyca. Srebrzysta poświata rozświetliła padok, na którym pasła się przepiękna, srebrzysto-biała klacz o idealnej budowie.

Stworzenie tak bardzo urzekło mnie swoją urodą, że mimo woli, uśmiechając się rozanielona, wyszeptalam do niej kilka czułych słów, na co klacz przestała się paść i uniosła szlachetny łeb.

– Jesteś śliczna, prześliczna, precudowna – szeptałam prawie nieprzytomna z zachwytu, kiedy smukła szyja wygięła się w łuk. Klacz wyraźnie spojrzała na mnie, nie okazując choćby cienia lęku przed latającym obiektem. Przeciwnie, miałam wrażenie, jakby mnie znała, a teraz rozpoznała (no cóż, w końcu to był sen). Zaczęła płasać, jak to koń, przysiadając trochę na zadzie, cały czas zwracając przy tym łeb ku mnie.

Wyciągnęłam do niej rękę, do stworzenia naprawdę przepięknego. W typie podobna była do lipicanów ze słynnej Cesarskiej Szkoły Konnej Jazdy z Wiednia. Parę lat temu byłam na ich pokazie, kiedy podczas tournée po Stanach wpadli i do Tulsy. Z tym że austriackie lipicany były to ogiery o dużej masie, natomiast ta klacz była średniej wielkości, w kłębie mogła mieć góra metr pięćdziesiąt. Sierść srebrzysta, błyszcząca, ciemna tylko wokół ogromnych wyrazistych oczu.

Czarne aksamitne chrapy, budowa, jak już wspomniałam, idealna. Nigdy przedtem nie widziałam tak pięknego konia.

Teraz zobaczyłam, we śnie, kiedy wyobraźnia podsuwa czasami człowiekowi prawdziwe cuda...

Klacz, wyraźnie uznając, że ceremonia powitalna dobiegła końca, powróciła do pełnego spokoju i zadowolenia skubania trawy. Spojrzałam na nią jeszcze raz i uleciałam dalej, w noc, zastanawiając się, czy nie warto by tu wrócić przed zakończeniem snu i zafundować sobie na

srebrzystej klaczy małą przejażdżkę po niebie.

Z którego pierzaste obłoki znikły całkowicie, więc kiedy obracałam się w powietrzu, wszystko dookoła widziałam bardzo wyraźnie, na odległość wielu, wielu kilometrów. Przede wszystkim, wiadomo, wspaniałą świątynię w środku pierścienia wielkiego muru z marmuru, a dookoła przepiękną przyrodę.

Tutejsza okolica przypominała mi Umbrię, piękny region we Włoszech (dokąd kilka lat temu zabrałam moich uczniów na wycieczkę „edukacyjną”. Pilnowali mnie jak oka w głowie). Na zboczach łagodnych wzgórz były chyba winnice. Tak, były tam istotnie albo też powstały w mojej wyobraźni nasączonej winem. Och, gdyby tak jeszcze pojawił się tu fruważący kelner o wyglądzie Pierce'a Brosnana zaserwował mi ukochanego merlota...

Odczekałam moment, jednak Pierce nie pojawił się, czyli znak, że z winem lepiej dać sobie spokój. Na jakiś czas, oczywiście.

Zbadanie mojej najnowszej Krainy Snów było fascynujące.

Unosiłam się w powietrzu, kręcąc głową na wszystkie strony, by dojrzeć jak najwięcej. W oddali, na północ od świątyni (prawdopodobnie. Proszę, ze stron świata mnie nie przepytujcie.

To moja prawdziwa pięta achillesowa) widać było góry. Wielkie góry, i naprawdę daleko stąd. Kiedy zaczęłam przesuwając się w ich stronę w powiewach łagodnego wiatru (który moim zdaniem wiał od zachodu) wyczułam... Chwileczkę. Wdech, bardzo głęboki. Tak, to sól. Czyli wiatr od morza?

Ledwie zdążyłam o tym pomyśleć, gdy raptem moje eteryczne ciało skierowało się właśnie ku zachodowi.

Poleciałam tam pod wiatr, uśmiechając się z zadowoleniem.

Możliwości snu są nieograniczone. Jeszcze chwila i będę nad morzem!

Ziemia przesuwiała się pode mną, a wraz z nią migoczące światełka wiosek rozproszonych wśród winnic. Rzeka o skrzęcej się wodzie płynęła od wioski do wioski, koło każdej z nich na rzece przycumowanych było kilka małych, płaskich łodzi.

A zapach morza był coraz bardziej intensywny, niebawem zresztą zobaczyłam już wielką wodę. Brzeg był imponujący, skalisty i jednocześnie zielony, przypominał irlandzkie klify Moheru (do Irlandii też kiedyś zawiozłam w lecie moich uczniów. Tę wycieczkę nazwaliśmy Edukacyjny Objazd Pubów).

Brzeg morza ciągnął się w lewo i w prawo aż po horyzont, z tym że z prawej strony horyzont przesłaniały czarne sylwety gór. Moim skromnym zdaniem był to zachodni kraniec gór, które zauważyłam na samym początku powietrznej wyprawy.

Moje eteryczne ciało skierowało się teraz właśnie tam, w stronę gór. Po pewnym czasie zorientowałam się, że lecąc, zbliżam się do jakiejś budowli, która stała na jednym z najgroźniej wyglądających klifów, prawie tuż nad wodą. Coś podobnego do zamku w Edynburgu... (A tak! Zdarzyło mi się kiedyś zabrać uczniów również do Szkocji. I nieważne, co teraz wygadują. Wcale nie sprawiałam im takiego kłopotu, przysięgam!).

Tak, to był też zamek, przekonałam się o tym ostatecznie, kiedy zawisłam nad bramą zwróconą ku stałemu lądowi. Piękny, stary zamek, w przeciwieństwie do wielu starych zamków, które oglądałam podczas moich wypraw do Europy, był

w zadziwiająco dobrym stanie. Miał cztery potężne wieże, a nad każdą z nich łopotiała chorągiew z wizerunkiem wspinającej się srebrzystej klaczy, łudząco podobnej do mojej znajomej z padoku przy Świątyni Epony.

Tylna ściana prawie sięgała krawędzi groźnie wyglądającego klifu. Mieszkańcy zamku muszą mieć z okien wspaniałą widok. Od frontu była równina porośnięta drzewami, tworząca łagodne zbocze, a w dole zobaczyłam kotlinę zajętą przez bardzo przyjemnie wyglądającą wioskę. Droga z zamku do wioski była porządnie rozjeżdżona, co dowodziło ożywionych kontaktów. Zamek, jak to zamek, otoczony był

wysokim murem z olbrzymią bramą. Zwykle zamek obronny, zamknięty na cztery spusty i pilnowany przez straż, wygląda groźnie i odpychająco, ten jednak był jasno oświetlony i bramę miał szeroko otwartą, czyli goście byli tu mile widziani.

A wokół rosły piękne drzewa, których teoretycznie nie powinno tu być, ponieważ stanowią wspaniałą osłonę dla nadciągającego wroga.

Ten zamek, zamek z mojego snu, zdecydowanie nie był

nastawiony na wojnę. Choć na pewno był też pilnie strzeżony przez... no, wiadomo, przez kogo! Pierce'a Brosnana! Było bardziej niż prawdopodobne, że czeka tam środkiem z wielką niecierpliwością, kiedy skończę powietrzną przejażdżkę i wreszcie będzie mógł wysmarować mnie całą różowym balsamem z mlekiem kokosowym. Jadalnym! Bo potem będzie go ze mnie zlizywać... mniem... mniem...

Dlatego dziwne, że nadal unosiłam się nad zamkiem, zamiast wylądować i porozkoszować się najbardziej intymną częścią mego snu. Kiedy będzie tak słodko...

Uśmiecham się, wyczekująco.

I nic.

Nadal unoszę się w powietrzu.

Dobrze już, dobrze! Dość tego latania!

Dalej nic. Co tu, do cholery, się dzieje? Przecież Kraina Snów jest moim własnym produktem! Dlatego jest mi posłuszna. Potrafię kontrolować swoje sny. Byłam pewna, że potrafi to każdy. Dopiero kiedy przeszłam do trzeciej klasy, uświadomiłam sobie, że należę do zdecydowanej mniejszości.

Pewnego poranka, chyba w poniedziałek, jedna z moich koleżanek pojawiła się w szkole okropnie blada z niewyspania.

Spytałam ją na przerwie, co się stało, a ona zakomunikowała, że tej nocy miała koszmarne sny, prawdziwy horror. Spytałam ją więc, dlaczego nie zmieniła swego snu. Wtedy spojrzała na mnie jak na wariatkę i powiedziała, że przecież człowiek nie ma żadnego wpływu na to, co dzieje się w snach.

Ja mam. Kiedy dany sen staje się dla mnie kłopotliwy albo coś mnie w nim wystraszyło, mówię mu, że ma się zmienić.

A on bez szemrania wykonuje mój rozkaz. W ciągu trzydziestu pięciu lat mojego życia nigdy się nie zdarzyło, żeby nie posłuchał. Moje koleżanki uważają, że to super, a faceci nie wierzą. W każdym razie mam swoje sny pod kontrolą, tak przynajmniej było do dziś. Bo teraz wcale nie lądowałam, tylko wciąż unosiłam się nad zamkiem, czym byłam kompletnie zdezorientowana, a nawet zaniepokojona. Ten sen co prawda trudno było sklasyfikować jako „zły”, ale w rezultacie zrobił się z niego sen niepokojący i najlepiej by było, gdyby już się skończył.

Jeszcze jedna chwila oczekiwania i nagle, dosłownie w mgnieniu oka, wszystko uległo zmianie. Przede wszystkim poczułam strach. Taki okropny, gigantyczny strach, chyba jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam. Strach, który odczuwałam, gdy miotało moim samochodem, czy też moja fobia na punkcie węży były niczym w porównaniu z tym panicznym, takim jakimś pierwotnym strachem, jaki czuje się w obecności największego zła, takiego żywego zła, co inspiruje pedofilów, gwałcicieli czy terrorystów.

Starłam się jednak nie spanikować, tylko oddychałam bardzo głęboko i powtarzałam jak mantrę, że to tylko sen. Tylko sen... tylko sen... tylko sen... Ale strach i świadomość bliskości największego zła wcale nie zniknęły. Zaczęłam więc bardzo dokładnie penetrować wzrokiem wszystko, co przede mną, starając się dojrzeć choćby najmniejszą oznakę, że mój lęk jest uzasadniony. Ale zamek, już wyraźnie senny, wyglądał

absolutnie nieszkodliwie. Niedaleko otwartej bramy, w takiej jakby budce na murze, dostrzegłam dwóch mężczyzn w mundurach. Na pewno straż zamkowa albo po prostu stróże nocni, pomyślałam. Siedzieli przy stole i grali w kości. Nic złego się nie działo oprócz tego, że pracownicy zaniedbywali swoje obowiązki. Wiele okien było jeszcze rozświetlonych, co jakiś czas mignęła w nich sylwetka przechodzącego człowieka, czasami ktoś wyjrzał na zewnątrz. Nikt jednak nie wyglądał na skrytobójcę, na pewno nikt tam nikogo nie mordował, nie gwałcił czy rabował.

Na zamkowym murze, od strony morza, zauważyłam jeszcze jednego człowieka, mężczyznę na balkoniku, który na pewno był ich punktem obserwacyjnym. Ten mężczyzna, w każdym razie w chwili obecnej, też nie zabijał niewinnych dzieciątek ani nie gwałcił ich babć. Po prostu stał i patrzył...

Ale ja czułam to zło. Czułam prawie namacalnie, czułam jego zapach podobny do zapachu martwego zwierzęcia leżącego na drodze, którego samochód zabił jakiś czas temu. Oczywiście to żaden zapach, tylko okropny smród. Jeśli zdarzy ci się najechać na tego nieszczęśnika, ten smród czuć będziesz na swoich oponach i w swoim gardle jeszcze przez wiele kilometrów.

Nagle moje niewidzialne ciało bardzo łagodnie wykręciło się w powietrzu. Teraz patrzyłam na las, dokładniej na ten jego fragment, który ciągnął się daleko na północ od zamku, chyba aż do czarnych gór widocznych na odległym horyzoncie.

Tak, to tam. Nie ulegało żadnej wątpliwości. Stamtąd, z tego lasu nadciągało zło o niespotykanej sile, tak wielkiej, że moje oczy absolutnie nie chciały patrzeć w tamtą stronę. Udało mi się jednak zmusić je do posłuszeństwa i moje spojrzenie zaczęło powoli przesuwac się po czarnych koronach drzew.

Między jednym czarnym drzewem a drugim też było czarno. Ta ciemność jednak nie była, tak jak drzewa, nieruchoma, tylko falowała. Unosiła się nieznacznie i osiadała jak plama atramentu wsiąkającego w bibułę...

Między tymi drzewami było coś – ktoś? – w ogromnych ilościach, co poruszało się zgodnym rytmem, zjednoczone wspólnym – i najpewniej złowrogim – celem. Ci, co na przedzie, szli szybko, bezgłośnie.

Nagle dotarło do mnie. Aż krzyknęłam, kiedy ten wspólny cel stał się dla mnie jak najbardziej oczywisty.

Napad na pogrążony we śnie zamek!

ROZDZIAŁ PIĄTY

A ja nic nie mogłam zrobić. Naturalnie, że od razu zaczęłam wołać do wartowników grających w kości, ale mój krzyk, w końcu krzyk ducha, razem z wiatrem uleciał w drugą stronę. I dalej, całkowicie bezradna, unosiłam się w powietrzu nad zamkową bramą. Z czego, przyznaję bez bicia, przez jedną krótką egoistyczną chwilę byłam nawet zadowolona, bo kiedy pomyślałam, że mogłabym być teraz w zamku, do którego skradała się złowroga falująca ciemność... Och, nie. To było zbyt przerażające.

Niestety, za nic nie mogłam się obudzić. Koszmarny sen trwał, ciemność wśród drzew od strony północnej poruszała się już z prędkością zatrważającą. Była coraz bliżej, coraz silniej odczuwałam emanujące z niej zło, a w zamku nadal cisza i spokój. Ktoś śpi, ktoś wyjrzał przez okno, ktoś gra w kości. Jak to możliwe, że nikt, absolutnie nikt, nie wyczuwa zagrożenia?!

To wszystko razem było już zbyt straszne, zbyt realistyczne, zbyt odczuwalne. Niemożliwe, żeby był to sen.

W każdym razie dla mnie stało się rzeczywistością, prawdziwym horrorem, tragedią rozgrywającą się na moich oczach. Tu i teraz.

Jakby w odpowiedzi na te myśli moje niewidzialne ciało przysunęło się bliżej, do granicy falującej ciemność.

Oczywiście, że umierałam ze strachu, jednocześnie jednak byłam pełna desperacji. Tak, absolutnie chciałam wiedzieć, co tam się tak naprawdę dzieje.

Kiedy początek ciemności wyłonił się spośród drzew, przesunęłam się w powietrzu jeszcze bliżej. W pierwszej chwili pomyślałam, że to wysocy mężczyźni w czarnych powiewających pelerynach. Biegną, rozpędzają się, robią podskok, podobnie jak skoczek odbijający się od deski i szybując tuż nad ziemią, pokonują sporą odległość. Opadają na ziemię, ale nie jest to lądowanie, bo w chwili gdy ich nogi dotkną ziemi, biegną już dalej, już biorą nowy rozpęd. Dzięki niezwykłemu sposobowi poruszania się byli tak szybcy, że zwyczajny człowiek nie miał co się z nimi równać.

Także z wyglądu bardziej niż zwyczajnych ludzi przypominali jakieś duchy czy zombi. Kiedy zbliżyli się jeszcze bardziej, zaczęłam wpatrywać się w ich długie, obszerne peleryny, podczas szybowania wydymające się razem z wiatrem. Bo coś z tymi pelerynami było nie tak. Patrzyłam, patrzyłam, aż po chwili doszłam, o co chodzi. To nie wiatr wydyma peleryny. One nie poddają się biernie podmuchom, tylko same kontrolują swoje ruchy. Czy to możliwe? Jeszcze bardziej wytężyłam wzrok, a z lasu wylaniało się ich coraz więcej, i coraz więcej czarnych peleryn ukazywało się moim oczom. Nagle zorientowałam się, że to nie są peleryny. To były... skrzydła. Ogromne skrzydła, rozłożone, łapiące wiatr, by wspomóc podskoki i umożliwić szybowanie.

Zadrżałam z obrzydzenia. A ich były już setki. Wyglądali jak olbrzymie człekokształtne drapieżne nietoperze albo jak gigantyczne człekokształtne karaluchy. W którymś momencie zaczęłam

ciemność dzielić, rozróżniać poszczególne stwory, dostrzegać ich twarze. Jak dotąd z powodu tych wielkich, rozpostartych skrzydeł wydawali mi się jedną ciemną ruchomą masą, lecz teraz dostrzegłam, że ich ciała są białe, tak białe, że prawie przezroczyste. Byli nadzy, tylko wokół bioder mieli przepaski. Włosy uderzająco jasne i w różnych odcieniach jak len, jak słoma albo po prostu białe. Bardzo chudzi, prawie jak szkielety. Ręce i nogi nieproporcjonalnie długie, jakby byli potomstwem człowieka i pająka.

Ale na pewno były to istoty rodzaju ludzkiego. Mieli ludzkie twarze, twarze okrutnych, pełnych determinacji mężczyzn. Takie twarze zapewne miał przed oczami Bobby Burns, kiedy pisał jeden ze swoich wierszy:

*Ileż to ułomności największych
Wplecionych jest w naszą naturę,
Jakżeż łatwo sami sobie
Przynosimy wstyd i hańbę.*

*Wszak ten sam człowiek,
Co w miłość zdobną twarz ku Niebu wznosi,
Swym okrucieństwem
niezliczone rzesze bliźnich
Pogrąża w morzu łez.*

Patrzyłam jak zahipnotyzowana, a oni wylewali się z lasu i wylewali, coś w rodzaju błyskawicznie rozprzestrzeniającej się epidemii terrorystów, i podążali do otwartej na oścież bramy zamkowej. Jeden po drugim, cicho jak śmierć, przechodził przez bramę i znikał w głębi zamku. Grający w kości strażnicy niczego nie zauważyli. Nie otworzyły się żadne drzwi, żadne okno.

Cisza. Tylko cisza.

Znikli mi z oczu. Nie widziałam, co dzieje się w komnatach i salach zamku, doskonale jednak wyczuwałam przerażenie, ból, cierpienie rozprzestrzeniające się jak bezgłośny rak opanowujący ciało chorego.

Gorączkowo starałam się znaleźć jakiś sposób, żeby ostrzec lub w inny sposób pomóc tym nieszczęsnym ludziom. Ale jak?

Jak? Zrozpaczona i dezorientowana zaczęłam miotać się w powietrzu na wszystkie strony aż do chwili, gdy moje niewidzialne ciało zaczęło przesuwać się w stronę samotnego mężczyzny, który stał na balkoniku na zamkowych murach.

Postać dziwnie znajoma.

O Boże! Przecież to...

– Tata!

Ustyszał. Zaczął rozglądać się, zimne światło księżyca padło na jego twarz. Tak, to był mój ojciec. Czy jego lustrzane odbicie? Ach! Mam gdzieś to całe gadanie o odbiciach i świecie alternatywnym! Ten człowiek to po prostu on, mój tato.

Jego ciało futbolisty, mimo że przekroczył pięćdziesiątkę, nadal było bardzo krzepkie. Jeden z moich kuzynów mówił mi kiedyś, że od dziecka uważał mego ojca za najsilniejszego człowieka, jakiego zna. Do dziś zresztą kuzyn nie zmienił

zdania. Może i ma rację, chociaż mój tato wcale nie jest olbrzymem. Przecież metr siedemdziesiąt cztery to dla mężczyzny wcale nie jest imponujący wzrost. Tata urodził się na wsi i chodził do wiejskiej szkoły średniej. Podobno był za niski, by grać w drużynie futbolowej tak prestiżowej uczelni jak Uniwersytet Illinois. A oni po prostu nie mieli pojęcia, ile w nim serca do walki. Zawzięty był jak mały wredny buldog, zbyt zawzięty, by wysiadywać na ławce dla rezerwowych. Po karierze w międzyuczelnianej drużynie futbolowej tata postanowił swoje siły i energię spożytkować na trenowanie młodej kadry, czyli drużyny największej szkoły średniej w Oklahomie. Przez siedem lat z rzędu jego zespół brał udział

w rozgrywkach mistrzowskich. I przez siedem lat z rzędu wygrywał mistrzostwa.

Zawsze byłam ukochaną córeczką tatusia. Rosłam, wierząc w jego siłę. W dzieciństwie wiedziałam, że nie ma smoka, którego by w mojej obronie nie pokonał, ani potwora, którego by nie przepędził.

Wszystko to widziałam teraz w człowieku, który stał tam w dole, pode mną.

– Tato!

Słyszac mój bezcielesny głos, poderwał głowę i zmarszczył

brwi wyraźnie zdezorientowany.

– Rhiannon! Jesteś tam, córeczko?

Usłyszał mnie naprawdę? A może słyszy tylko sercem?

Nieważne. Ważne, że mnie słyszy.

Zebrałam się w sobie, skupiłam jak do modlitwy i zawołałam jeszcze raz:

– Tato! Niebezpieczeństwo!

Mój krzyk przeszedł w szloch.

– Tak, tak, dziewczyno! – zawołał tata. – Od zmierzchu czuję, że coś wisi w powietrzu!

Jego czoło wygładziło się, na twarzy pojawiła się determinacja. Zeskoczył na drewnianą galeryjkę dla zamkowej straży i zaczął biec. Moje niewidzialne ciało przesuwało się w powietrzu tuż za nim. A tata wbiegł do baszty, grmiąc jak mój tata, z tym że teraz z wymową prawie szkocką:

– Do broni! Budzić wszystkich w zamku! Robi się groźnie!

Epona mnie ostrzegła! Ruszajcie się, chłopcy, bo coś mi się zdaje, że czasu mamy niewiele!

Widziałam przez okno przerażenie na twarzach strażników, kiedy zrywali się na równe nogi, by biec za człowiekiem, który wyglądał kropka w kropkę jak mój tata w akcji. Nocna cisza poszła w zapomnienie, zewsząd słyhać było gorączkowe nawoływania oraz brzęk broni.

I krzyki, rozpaczliwe krzyki dobiegające gdzieś z głębi zamku.

Widziałam, jak z różnych stron nadbiegają mężczyźni, niektórzy jeszcze w niezapiętych do końca kiltach, ale wszyscy pod bronią, i z moim ojcem na czele biegną do zamku.

A z zamku wylegają uskrzydłone stwory z białą skórą zbryzganą krwią tych, których zdążyli już dopaść.

Nie mieli żadnej broni. Kiedy straż, uzbrojona w miecze i tarcze, rzuciła się na nich, walczyli zębami i szponami. Mieli ogromną przewagę liczebną, a ich okrucieństwo nie znało granic. Widziałam, jak przyklękali przy żywych jeszcze ofiarach, pili krew i pożerali wnętrzności konającego. Reszta parła do przodu, dokonując rzezi.

Odgłosu rozszarpywanego ciała nie można z niczym porównać.

Jest... straszny. Czuję, jak moja dusza zaczyna drżeć.

Straciłam tatę z oczu. Starłam się skłonić niewidzialne ciało, by podleciało bliżej do walczących, ale nie słuchało.

Zresztą nie było już takiej potrzeby, bo nagle zobaczyłam tatę otoczonego przez te przerażające uskrzydłone stwory. Krew tryskała z otwartych ran na ramionach i piersi, ale ręce taty nadal dzierżyły wielki miecz i wymachiwały nim na wszystkie strony. U stóp taty leżało dwóch napastników bez głów, którzy padli już ofiarą jego siły. A dookoła uskrzydleni napastnicy, w bezpiecznej odległości, tam, gdzie nie mógł sięgnąć ich jego miecz.

– Chodźcie tu, tchórze przeklęte!

W głosie taty było jawne wyzwanie. Jak dotąd tylko raz słyszałam, by mówił takim tonem. Było to podczas treningu, a tata wysłał na ławkę rezerwowych jednego z zawodników, wspomagającego. Był naprawdę świetny, ale tata dowiedział się, że przyłapano go na kradzieży w sklepie. Bezcelny gnojek zaczął wykrzykiwać, że to, co robi poza boiskiem, to jego prywatna sprawa, że powinien grać, bo jest najlepszy! Wtedy tata wziął gnojka (i jego ego) na środek boiska. Cała drużyna

patrzyła, była świadkami tego zdarzenia.

A tata powiedział:

– Dobrze. Zagrasz jutro, jeśli położysz mnie na obie łopatki.

Chłopak był wyższy od mojego taty co najmniej o głowę, ważył o dobrych dwadzieścia kilo więcej i był młodszy o trzydzieści lat. Ale nie dał rady go powalić i w tamtym sezonie nie zagrał już w żadnym meczu.

Teraz w głosie tego mężczyzny, mojego taty ze snu, było to samo wyzwanie, taka sama zdecydowana postawa, tyle samo siły. I znów racja była po jego stronie, ale tym razem, o czym wiedziałam aż za dobrze, nie miało to żadnego znaczenia. Nie miało, bo co najmniej dwudziestu warczących stworów otoczyło go zwartym pierścieniem. Ich skrzydła były rozłożone i napięte, a zakrwawione wargi żądne nowej krwi.

Nigdy nie zapomnę, jaki tata był nieugięty, jaki nieulekły.

Jego miecz przeciął powietrze jeszcze trzykrotnie i trzech napastników, jeden po drugim, osunęło się na ziemię. Ale dłużej nie udało się ich powstrzymać. Wyciągnęli po mojego tatę szpony, dopadły go kły. Walczył pięściami ociekającymi jego własną krwią. Ale nawet kiedy padał na kolana, nie wydał

z siebie żadnego krzyku.

I nie ustępował.

A ja umierałam razem z nim. Moją duszę dręczył ten sam ból, który rozszarpywał jego ciało.

W noc uleciał mój przeraźliwy krzyk...

I obudziłam się.

Cała roztrzęsiona, z twarzą zalaną łzami.

– Nie! Tato! Nie!

I jedne, i drugie drzwi natychmiast się otwały, do pokoju niemal jednocześnie wbiegli zaaferowani Alanna i ClanFintan.

– Milady! Och, milady, co się stało?!

Kiedy podbiegła do mnie, było mi wszystko jedno, czy jest Suzanną, czy nie, tylko pełna rozpacz objęłam ją za szyję, wepchnęłam głowę w jej pierś i rozryczałam się na dobre.

– To... to było straszne, Alanno. Oni zabili mojego ojca, a ja nie mogłam nic zrobić... tylko patrzeć.

Szeptala kojące słowa i głaskała mnie po plecach, natomiast ClanFintan odezwał się głosem stanowczym. Głosem wojownika:

– Co się dzieje? Jesteśmy w niebezpieczeństwie? Mam wezwać straż?

– Nie, nie trzeba – wykrztusiłam. – Przecież widziałam to we śnie.

Poczułam, że Alanna na moment znieruchomiała, a zaraz potem odsunęła się trochę ode mnie i spojrzała mi prosto w oczy.

– Milady musi opowiedzieć dokładnie, co widziała.

W jej głosie, niby bardzo spokojnym, słychać było lęk.

– To tylko sen, Alanno – powtórzyłam z uporem, jednocześnie popatrując ponad jej ramieniem na ClanFintana, który wyraźnie był czymś bardzo poruszony.

– Co ci przekazała Epona, Rhiannon? – spytał stanowczym głosem, wzywającym do udzielenia natychmiastowej odpowiedzi.

Ale ja, kompletnie rozbita, zacisnęłam mocno powieki i milczałam.

– To nie był sen, milady...

Szept Alanny przeznaczony był tylko dla moich uszu.

Doleciał tam i moje już tak bardzo udręczone ciało znów zaczęło drżeć.

O Boże, co to właściwie było?

Nadal dygocząc jak w febrze, zmusiłam się jednak do otworzenia oczu.

– ClanFintanie, proszę. Potrzebuję trochę czasu, żeby dojść do siebie. Potem powiem ci wszystko, co widziałam w tym śnie.

Patrzył na mnie wyraźnie ze współczuciem. Czyli ma dobre serce, co zresztą nie powinno dziwić, skoro jest duchowym przywódcą swego klanu.

– Naturalnie, milady. Kiedy będziesz gotowa do rozmowy, proszę przysłać po mnie służącą.

Na co ja, nie dbając o konsekwencje, oświadczyłam:

– Alanna nie jest moją służącą. Jest moją najlepszą przyjaciółką.

Słyszałam, jak nerwowo, nierówno odetchnęła kilka razy.

– Przepraszam, lady Rhiannon – powiedział z uśmiechem ClanFintan. – W takim razie proszę przysłać po mnie swoją przyjaciółkę.

W jego uśmiechu, tak samo jak w głosie, nie było cienia ironii. Uśmiechnął się po prostu bardzo miło, co niespodziewanie wlało w moją duszę spokój.

Na chwilę, bo kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, znów zaczęłam się trząść jak galareta.

– Milady... – odezwała się nieśmiało Alanna. – Ja nie mogę być przyjaciółką milady...

– Możesz, Alanno. Dla Rhiannon byłaś niewolnicą, jej służącą, ale ja nie jestem Rhiannon. – Otarłam oczy i uśmiechnęłam się z wdzięcznością, kiedy Alanna podała mi płócienną chusteczkę, żebym mogła wydmuchać nos. – Nie jesteś Suzanną, wiem, ale ja i tak widzę ją w tobie. Nic na to nie poradzę. A Suzanna jest moją najlepszą przyjaciółką. Mam nadzieję, że ty, Alanno, z czasem też poczujesz się moją przyjaciółką. Naprawdę bardzo potrzebuję kogoś bliskiego, bardzo potrzebuję...

I znów zaczęłam ryczeć.

– Och, milady... – W jej oczach też pojawiły się łzy.

Ostrożnie odgarnęła mi włosy z czoła i uściskała mnie, jakoś tak bardzo ostrożnie, a jednocześnie bardzo serdecznie. – Milady na pewno nie jest Rhiannon, na pewno! I wreszcie milady zaczęła odzyskiwać głos!

– Zgadza się.

Uśmiechnęłam się, choć z wielkim trudem, jakby moja twarz zapomniała, co ma zrobić, żeby pojawił się na niej uśmiech.

– Może milady napije się czegoś? – spytała Alanna.

– Owszem. Herbaty. Z winem postanowiłam zrobić sobie małą przerwę.

Alanna klasnęła dwa razy i w progu na moment pojawiła się zaspana nimfa, której polecono przynieść mi herbaty. (Ożeż ty! Czyżby jeszcze jedna moja niewolnica?). Byłam całkowicie rozklejona, dlatego bez problemu mogłam wpaść w rozpacz z byle powodu. W rezultacie znów zalałam się łzami, postanowiłam jednak z tym zawańczyć.

Zebrałam się jakoś w sobie i otarłam oczy.

– Alanno, dla mnie to wszystko jest po prostu niepojęte.

Twierdzisz, że to, co widziałam, działo się naprawdę. Jakim cudem?

– *Milady miała Sen Magiczny. To jeden z darów Bogini dla Wielkiej Kapłanki i Wybranki Epony, która już od dziecka widzi w snach, jak jej dusza ulatuje z ciała i obserwuje różne ważne wydarzenia. Czasami nawet porozumiewa się z innymi ludźmi. Czy w starym świecie milady czegoś*

takiego doświadczała?

– Nie, na pewno nie. Zawsze jednak mogłam pokierować swoim snem, co w moim świecie jest czymś niezwykłym.

Odwiedzałam wyimaginowane miejsca i tam... działo się zawsze bardzo wiele. I było zawsze bardzo przyjemnie.

Niestety po tym, co wydarzyło się tej nocy, moja ukochana Kraina Snów nigdy już nie będzie krainą szczęśliwości.

Znów zaczęłam się trząść.

– To dowód, że milady posiadała już ten dar, przebywając w innym świecie, gdzie nie ma Epony.

Gdzie nie ma Epony. Tę informację Alanna przekazała grobowym głosem, co dla mnie nie było jednak uzasadnione, jako że miałam już okazję przekonać się, co się dzieje w świecie, w którym jest Epona.

Pod powiekami znów zapiekło.

– Ale po co to wszystko, Alanno? Po co? Przecież ja nie jestem Rhiannon. Dlaczego musiałam na to patrzeć? Dlaczego?

To było straszne.

– Może Epona potrzebowała milady jako świadka.

– Czy wasza Bogini jest aż tak okrutna?

– Nie, milady. Chodzi o to, że wielkie zło można pokonać tylko wielkim dobrem. Dlatego chciała, żeby milady była tam też obecna.

W tym momencie w progu ukazała się ponownie zaspana nimfa. Niosła tacę ze wspaniałą srebrną zastawą do herbaty.

Uśmiechnęłam się do nimfy miło, ona zaś, co prawda bardzo nieśmiało, ale odwzajemniła uśmiech. Miała zamiar zniknąć, ja jednak zauważyłam, że przyniosła tylko jedną filiżankę.

– Przepraszam, poczekaj. – Powiedziałam to grzecznie, a dziewczę dosłownie zmroziło! – Przynieś, proszę, jeszcze jedną filiżankę dla Alanny.

– Ta... tak, milady.

– Dziękuję.

Sprawiała wrażenie kompletnie skołowanej, ale oczywiście pognała wykonać mój rozkaz. Alanna natomiast popatrzyła na mnie znacząco, wyraźnie przekazując: *I co ty znowu wyrabiasz!*

– Alanno, proszę. Za dużo mam stresów, żeby jeszcze bawić się w dozorcę niewolników. Trudno, będziesz musiała się przyzwyczaić, że moją niewolnicą nie jesteś. Zawsze będę cię traktować jak moją przyjaciółkę.

Herbata emanowała cudownym ciepłkiem, dlatego trzęsłam się już zdecydowanie mniej. Po chwili wróciła mała nimfa pokojówka z filiżanką dla Alanny. Dziewczyna nadal sprawiała wrażenie skołowanej, kiedy jednak znów uśmiechnęłam się do niej miło, ona, wycofując się w lansadach do drzwi, uśmiechnęła się dosłownie od ucha do ucha.

Wyraźnie speszona Alanna nalatała sobie herbaty.

– Alanno, a więc twierdzisz, że to, co widziałam dzisiejszej nocy, wcale nie było snem czy jakąś wizją. Wydarzyło się naprawdę, kiedy moja dusza czy jak tam unosiła się nad tym wszystkim w powietrzu?

– Tak, milady.

– A więc... – Teraz bezwzględnie musiałam odetchnąć kilka razy głęboko. – Czy on... nie żyje?

– Bardzo mi przykro, milady.

Filizanka z cieniutkiej porcelany zabrzęczała niebezpiecznie, kiedy drżącą ręką odstawiałam ją na równie kruchy spodeczek.

A zaraz potem moje serce na moment przestało bić.

– O Boże... moja matka! Alanno, co z moją matką? Czy ona też... Nie widziałam jej tam, ale...

Alanna odstawiała filiżankę i delikatnie wzięła mnie za rękę.

– Matka milady zmarła niebawem po pani narodzinach.

– To dobrze...

Oczy Alanny rozszerzyły się ze zdumienia.

– *Milady?*

– *Och, Alanno, przecież wcale się nie cieszę, że nie żyje!*

To jasne! Poczułam tylko ulgę, że nie zginęła z rąk tych okropnych stworów! Na szczęście w moim dawnym świecie oboje rodzice żyją. Rozwiedli się, kiedy byłam jeszcze dzieckiem... – Zauważyłam, że tą informacją Alanna jest poruszona, dlatego szybko dodałam: – I dobrze zrobili, Alanno.

Oboje znaleźli sobie inne drugie połówki i są bardzo szczęśliwi.

– *Skoro milady tak mówi...*

– *Alanno, czy u was nie ma rozwodów?*

Och, proszę, błagam, niech będą!

– *Są, ale rozwód uważany jest za coś haniebnego.*

– *Trudno, niech tak będzie. Ale co tam rozwody... Jestem taka szczęśliwa, że moja matka z tego świata nie musiała przechodzić tego, co widziałam tej nocy!*

Jakoś łatwiej znieść świadomość, że matka zmarła trzydzieści pięć lat temu, a nie że została bestialsko zamordowana minionej nocy.

Jak tata.

O Boże...

Znów zaczęłam drzeć.

– Czy Rhiannon była zżyta ze swoim ojcem?

– Tak, milady. Myślę, że był jedynym człowiekiem na świecie, którego naprawdę kochała. MacCallan nie ożenił się powtórnie. Sam wychowywał córkę, nie wysłał jej nigdzie na nauki, jak to robi wielu Przywódców Klanu. Była oczkiem w jego głowie i jego dumą. A ona w stosunku do niego zachowywała się całkiem inaczej niż wobec innych ludzi.

Zawsze starała się pokazać z jak najlepszej strony.

– W takim razie mam jednak z Rhiannon coś wspólnego.

Miłość do ojca.

– Tak, pani. Ale milady... – Jej palce ścisnęły lekko moją rękę, łagodne brązowe oczy wyraźnie szukały mego spojrzenia.

– Milady powinna opowiedzieć ClanFintanowi o wszystkim, co wydarzyło się tej nocy. Proszę mu zaufać. Naprawdę warto mieć za sprzymierzeńca kogoś tak mądrego i potężnego. Rhiannon go lekceważyła. Kochała tylko swego ojca, nikt inny poza nim dla niej się nie liczył. Może tylko jeszcze ktoś, kto mógł sprawić jej przyjemność, albo ktoś, kim mogła manipulować czy wykorzystać do swoich celów. Pani wygląda jak ona, ma w sobie tyle samo witalności i namiętności, ale milady wyrosła w całkiem innym świecie i obrała drogę życia inną niż ta, którą wybrałaby tutaj. Dlatego jest całkiem innym człowiekiem niż Rhiannon. Poza tym milady ma bardzo dobre serce i na pewno jest o wiele mądrzejsza od Rhiannon. Dlatego proszę, niech milady zaufa ClanFintanowi. Ojciec milady z całego serca życzył sobie waszego małżeństwa. ClanFintan, obdarzony wielką mądrością i siłą, na pewno będzie wiedział, jak naprawić to okropne zło, które wydarzyło się dzisiejszej nocy.

– Dobrze, Alanno. Wezwij go.

Uścisnęłam jej rękę. Alanna uśmiechnęła się, leciutko dotknęła palcem mojego policzka, a potem klasnęła i nimfie, która pojawiła się w mgnieniu oka, poleciała prosić ClanFintana.

A ja w tym momencie uświadomiłam sobie, że na pewno wyglądam okropnie. Przede wszystkim, wiadomo, chodziło o włosy. Zaczęłam gorączkowo przeczesywać je palcami, na szczęście nieoceniona Alanna pośpieszyła z odsieczą. Chwyliła szczotkę leżącą na stoliczku przy łóżku i błyskawicznie z rudej szopy wyczarowała piękny rudy francuski warkocz.

– Dzięki, droga przyjaciółko.

Jej ciepłutki uśmiech mówił sam za siebie.

ClanFintan wszedł do pokoju, cicho zamknął za sobą drzwi i bez wahania podszedł do mnie.

– Chciałbym przekazać wyrazy najgłębszego współczucia.

Cały Partholon wie, jak bardzo kochałaś swego ojca. –Delikatnie, ale znacząco uścisnął moją dłoń. – MacCallan był

wielkim i powszechnie szanowanym przywódcą klanu, był też moim przyjacielem.

– Dzię... dziękuję – wyjąkałam.

Gdy puścił moją rękę, kiedy zabrał ciepło swoich palców, nagle zrobiło mi się okropnie zimno, okropnie źle i samotnie.

– Rhiannon, czy czujesz się na siłach opowiedzieć mi ze szczegółami, czego byłaś świadkiem?

– Tak – oświadczyłam bez żadnego ociągania i od razu zaczęłam referować: – Początek wszystkiego zdarzył się tutaj.

Leżałam na tym łóżu i zaczęłam śnić, aż w pewnym momencie, w tym śnie, uniosłam się wysoko i wyleciałam przez sufit.

Najpierw odwiedziłam klacz pasącą się na padoku. Przepiękną...

– Alanna i ClanFintan wymienili znaczące uśmiechy, czyli ta urokliwa klacz musiała istnieć naprawdę. – Przywitałam się z nią i pofrunęłam w górę, zachwycając się blaskiem księżyca i urodą nocy...

– Wezwał cię księżyc – powiedział ClanFintan, co zabrzmiało jakoś tak tęsknie i sympatycznie, a w jego oczach było tak wiele ciepła i życzliwości.

No i był tak przystojny! Łatwo mogłabym na chwilę się zapomnieć, ulec jego urokowi, ale ze względu na powagę sytuacji udało mi się stłumić niepożądane reakcje i kontynuować:

– Frunęłam, to znaczy, wiadomo, przesuwałam się w powietrzu, jakby coś mnie niosło, i dotarłam na brzeg morza.

Tam zobaczyłam zamek na klifie... – ClanFintan kiwnął głową na znak, że doskonale wie, co to za zamek. – Od samego początku czułam, że nie jest dobrze. Nie, nie tylko, że niedobrze. Gorzej. Wyczuwałam jakieś monstrualne zło zaczajone gdzieś w pobliżu. Zaczęłam więc się rozglądać, starając się znaleźć tego przyczynę. Spojrzałam na las, na północ od zamku... Oni wyszli z tego właśnie lasu... – Zamilkłam. Znow zaczęłam się trząść. Dygotałam, mimo że czułam na ramieniu kojącą dłoń Alanny. – To był prawdziwy koszmar. Najpierw zauważyłam, że ten las jakby ożył, że spowijające go ciemności poruszają się, falują dziwnie, przesuwiają się. Potem dotarło do mnie, że dzieje się tak, bo przez las idzie właśnie to zło, które wyczuwałam. Zło w ogromnej masie. Aż wreszcie ich zobaczyłam. Wyglądają jak ludzie, jak ludzie ze skrzydłami...

– Fomorianie! Czyli wyszli z ukrycia!

ClanFintan aż syknął. Czułam też, że palce Alanny zaciskają się na moim ramieniu. Gdy spojrzałam na nią, skinęła głową, dając mi do zrozumienia, że absolutnie zgadza się z tym, co powiedział ClanFintan.

– Nietrudno było się domyślić, jakie są ich zamiary. Mój ojciec stał na murach. Zaczęłam wołać do niego, żeby go ostrzec. Usłyszał mnie, ale zbyt późno, bo stwory weszły już do zamku. Zabili wszystkich strażników, zabili wszystkich ludzi, którzy byli w zamku. Oni... – Och nie, to było ponad moje siły!

Ukryłam twarz w dłoniach i dokończyłam szeptem: – Oni...

zabili mojego ojca.

ClanFintan milczał. Wiadomo, chciał, bym się trochę uspokoiła.

– Proszę wybaczyć – odezwał się po chwili – ale mam jeszcze kilka bardzo ważnych pytań. Ilu ich, twoim zdaniem, mogło tam być?

– Mnóstwo. Są jak stado nienasyconych robali. Pożerają każdego, kogo spotkają na swej drodze.

– A czy mogłabyś opisać dokładniej, jak wyglądają?

– Oczywiście.

Przedtem jednak wypiłam łyk gorącej herbaty. Dla wzmocnienia, przecież zaraz będę mieć przed oczyma przerażający obraz skrzydlatych demonów mordujących mężnych obrońców zamku.

– Są bardzo wysocy, wydali mi się o wiele wyżsi od mężczyzn z tamtego zamku. Mają ciemne skrzydła, ogromne, ale nie fruują. Dzięki tym skrzydłom mogą szybować tuż nad ziemią, dlatego też poruszają się z ogromną prędkością.

Człowiek na pewno nie jest w stanie ich prześcignąć. Ręce i nogi mają okropnie długie i cienkie, skórę białą jak mleko.

Włosy długie, też bardzo jasne... A najstraszniejsze jest to, że i tak mimo wszystko są to istoty rodzaju ludzkiego. Gdyby pozbawić ich skrzydeł i ubrać normalnie, wyglądałoby jak ludzie.

– Są uzbrojeni?

– Nie, nie mają żadnej broni, tylko zęby i szpony... Oni... –Urwałam na moment i przełknęłam. Przekazanie ostatniej informacji kosztowało mnie jednak trochę wysiłku. Ale, jak powiedziałam, przełknęłam, po czym dokończyłam drewnianym głosem: – Zatrzymują się przy jeszcze żywych ofiarach i zjadają ich wnętrzności.

– Czyli jednak... – Bardzo poruszony ClanFintan zaczął

przemierzać pokój, przeczesując palcami gęste długie włosy. –A ja do tej chwili uważałem, że opowieści o okrutnych Fomorianach to bajki, którymi straszy się niegrzeczne dzieci.

– Bajki?!

Może i niedobrze, że okazałam zdziwienie.

Prawdopodobnie chodziło o coś, co powinnam wiedzieć, bo wiedziała o tym Rhiannon. Ale rozmawialiśmy o sprawach zbyt poważnych i zbyt poruszających, żebym jeszcze dodatkowo zwracała uwagę, kiedy powinnam trzymać buzię na kłódkę (jakbym to ja potrafiła kiedykolwiek być cichutką myszką!)

Na szczęście skupiony na temacie ClanFintan nie zauważył

mojej wpadki, tylko po prostu temat rozwinął:

– Wiemy przecież, czym w Partholonie straszy się niesforne dzieci, które lubią za bardzo oddalać się od domu.

Matki zawsze im mówią, że porwie je skrzydlaty demon i pożre.

– No jasne... – przytaknęłam skwapliwie i dodałam dyplomatycznie: – Ale skąd oni się tu wzięli? Jakoś nie mogę sobie przypomnieć...

– Do Partholonu przyszli spoza Gór Trier. Dokładnie nie wiemy, skąd pochodzą, wiemy natomiast, o czym śpiewają nasi bardowie. O tym, że wiele pokoleń wstecz Partholon powstał

przeciwko Fomorianom, którzy wyrządzali wiele zła. Fomorian było wtedy niewielu, zostali pokonani i wygnani za góry.

Dlatego, jak mówi legenda, koło przełęczy wybudowano Warownię. Ale... – ClanFintan spojrział na mnie bardzo przenikliwie – po co ja ci to opowiadam? Jako Wybranka Epony powinnaś to wszystko wiedzieć...

– Niby dlaczego? Epona jest uosobieniem dobroci, nie upaja się złem, a na głupie bajeczki nie ma po prostu czasu...

O matko, znów palnęłam! Miałam jednak dziwne przeczucie, że w tym przypadku racja jest po mojej stronie.

Chociaż z tymi przeczuciami też różnie bywa... Dobra, nieważne. Wracamy do meritum.

Ale jak mam wrócić? Czuję się kompletnie zagubiona.

Fomorianie... Partholon.. Góry Trier... Dla mnie przecież to czarna magia.

Spojrzałam błagalnie na Alannę, która zareagowała natychmiast.

– Epona w swej nieskończonej dobroci sprawuje nad nami pieczę – powiedziała spokojnym, równym głosem, biorąc mnie za rękę. – Prawdopodobnie dlatego wysłała milady do Zamku MacCallana, żeby milady, będąc świadkiem strasznych wydarzeń, uświadomiła sobie, jak wielkie niebezpieczeństwo może zagrażać całemu Partholonowi. Może też i dlatego połączyła przedtem węzłem małżeńskim milady z Wielkim Szamanem ClanFintanem, by Jej Wybranka w obliczu zła nie była zdana tylko na własne siły. Wielki Szaman zna legendy, zna przeszłość i jest wielkim wojownikiem. Jest lepiej przygotowany do walki ze złem.

Nieoceniona Alanna nie tylko oświeciła mnie, także uratowała mój tyłek. Nie po raz pierwszy zresztą.

– Tak, tak... – mruknął ClanFintan, który już dalej w nic nie wnikał, wyraźnie pochłonięty swoim myślami. A poza tym, koń nie koń, był też facetem. A faceci raczej nie są wielozadaniowi...

A mnie nagle olśniło. To znaczy wreszcie dotarło, co sugeruje Alanna i o czym zapewne teraz myśli intensywnie ClanFintan.

– Tak, to jasne! – zawołałam, siadając prosto jak świeca. –Epona mnie ostrzegła! Te monstra na pewno nie zadowolą się napadem na zamek mojego ojca! Ruszaj dalej, na Partholon!

Miejmy nadzieję, że do drogiej Rhiannon, operującej też w innym, nieznanym jej świecie, również dociera to, co istotne...

– Oczywiście, lady Rhiannon – przytaknął ClanFintan tonem, który można by określić wyłącznie jako urzędowy. – To znak. Bogini ostrzega nas przed grożącym nam niebezpieczeństwem. Trzeba szykować się do obrony.

Jeśli zezwolisz, milady, wezwę tu wojowników Fintan.

Pomogą straży pałacowej w ewakuacji ludności z terenów między świątynią a zamkiem MacCallan. Wszyscy ci ludzie powinni znaleźć się tu, w świątyni, która potrafi się bronić. Czy są tu jakieś zapasy na wypadek wojny?

Błagalne spojrzenia okazały się niepotrzebne, bo nieoceniona Alanna skwapliwie pokiwała głową.

Należałoby ją ozłocić.

– To dobrze. A więc.. – ClanFintan podjął przechadzkę po pokoju, z tym że teraz rozmyślał na głos: – A więc tak... Zamek MacCallana oddalony jest stąd o dwa dni drogi. Miejmy nadzieję, że Fomorianie, żeby nacieszyć się zwycięstwem, zrobią przerwę w pochodzie. Zaatakują po jakimś czasie, dzięki czemu zdążymy wezwać posiłki ze Stada, wszystkich wieśniaków sprowadzić do świątyni i rozesać wieść po całym Partholonie...

– Chwileczkę!

– Proszę wybaczyć, lady Rhiannon. Nie zamierzam przejmować twoich obowiązków, jednak jako twój mąż chciałbym ci pomóc w przygotowaniach do obrony...

Tak. Był facetem, a więc wiadomo, umykało mu coś, co było bardzo istotne.

– Rozumiem. Bardzo dobrze. Ale co będzie z moim tatą?

– On przecież nie żyje, lady Rhiannon. Bardzo mi przykro.

Jego głos znów złagodniał. Owszem, współczuł mi szczerze, ale i tak jeszcze nie zaskoczył.

– Pamiętam dobrze, co widziałam. – Z tych nerwów głos zaczął odmawiać mi posłuszeństwa, wypiłam więc szybko łyk herbaty. – Ale nie widziałam przecież... – no cóż, musiałam to z siebie wydusić – kiedy... umierał. – Zauważyłam, że ClanFintan i Alanna spojrzeli po sobie bardzo niewesoło. – A jeśli on jeszcze żyje? Jeśli cierpi... – Kolejny łyk herbaty. Nie, nie, absolutnie, nie będę znowu płakać. Nie teraz.

– Rhiannon...

I nie będę. Bo piękny, głęboki głos ClanFintana nie po raz pierwszy wpłynął na mnie niesamowicie uspokajająco.

– Rhiannon, niemożliwe, żeby przeżył. Musisz zdać sobie z tego sprawę.

– Ja... ja rozumiem. Wiem, że najprawdopodobniej nie żyje. Ale nie możemy przecież tak go tam zostawić, ani jego, ani innych, którzy też stracili życie. – Spojrzałam mu prosto w oczy, gotowa nawet błagać. – Nie widziałeś, jak walczyli! Jacy byli mężni!

– Nie widziałem, ale ludzie z Zamku MacCallana znani byli ze swojej odwagi.

Oczywiście, że i tak jeszcze do niego nie docierało, o co mi właściwie chodzi. Jak powiedziałam, typowy facet. Zawsze kawę na ławę, inaczej nie zaskoczy.

– Ale ja muszę go pochować!

Przecież to oczywiste! Mam pozwolić, że mego tatę i jego ludzi rozdziobały kruki i wrony? Nigdy!

– Milady... – Alanna lekko ścisnęła moje ramię. – Milady nie może jechać do Zamku MacCallana.

– Dlaczego? ClanFintan powiedział, że to tylko dwa dni drogi!

I znów Alanna i mój małżonek wymienili znaczące spojrzenia.

– Bo tobie, lady Rhiannon, nie wolno narażać się na tak wielkie niebezpieczeństwo – oznajmił ClanFintan stanowczo.

Do tego stopnia stanowczo, że kiedy chciałam zaprotestować, podniósł rękę, nakazując mi milczenie. – Twój lud potrzebuje ciebie, twój duchowego przywództwa. Jesteś Wybranką Epony, nie wolno więc dopuścić, by stała ci się jakaś krzywda.

Zwłaszcza teraz, kiedy zło wkrada się do naszego kraju. Teraz ludzie tym bardziej będą szukać oparcia w Eponie, oczekując, że nimi pokieruje.

– Milady... – rozległ się drżący od obaw głos Alanny – proszę być spokojną, wszyscy wojownicy będą chronić milady, i wojownicy centaury, i wojownicy ludzie. Milady dla wszystkich jest Wcieleniem Bogini, także dla wojowników.

Śmierć MacCallana to dla nich wielki cios, a jeśli stanie się coś złego Wybrance Epony, wpłynie

to bardzo źle na bojowego ducha naszych wojowników.

A więc cudownie. Odpowiadam za bojowego ducha żołnierzy, a jednocześnie wcale nie zmieniam się w Marilyn Monroe. Jakoś nie uważałam tego za sprawiedliwe.

– Gdybyś została ranna albo gdyby cię uprowadzono...

Pomyśl, wtedy by się stało z twoim ludem...

ClanFintan wziął mnie za rękę.

Jego palce były takie ciepłe, uścisk tych palców taki stanowczy. O matko, on naprawdę jest facetokoniem super.

Gdyby grał w futbol, na boisku byłby gwiazdą.

Tacie na pewno bardzo by się spodobał. Na pewno... Kiedy o tym pomyślałam, prawie się uśmiechnęłam.

– Tak, tak, milady nie wolno nigdzie jechać! – włączyła się znów żarliwie Alanna. – Przecież Fomorianie mogą być nadal w Zamku MacCallana! Ojciec milady na pewno by sobie nie życzył, żeby jego ukochana córka narażała się na takie niebezpieczeństwo!

– Ale zrozumcie mnie! Ja nie mogę go tak tam zostawić!

Czułam, że znów ogarnia mnie czarna rozpacz. Łzy napłynęły do oczu, głos ClanFintana docierał do mnie jak przez mgłę.

– Lady Rhiannon, spytaj samą siebie, czego chciałby teraz twój ojciec.

Zamknęłam oczy, pomyślałam chwilę. Ale nad czym tu się zastanawiać? Oczywiście, że tata absolutnie by nie chciał, żeby ktoś mnie skrzywdził.

No tak... gdyby to faktycznie było takie proste...

Rozum podpowiadał, że człowiek, który żegnał się z życiem na moich oczach, tak naprawdę wcale nie był moim tatą, Richardem Parkerem, nauczycielem biologii w szkole średniej w Broken Arrow w Oklahomie, a także trenerem futbolu, instruktorem konnej jazdy i domorosłym artystą.

(Uwielbia szkicować węglem zwierzęta. Zwierzęta... Hm, trochę to teraz zakrawa na ironię). Tata ponadto wspaniale gotuje i równie wspaniale radzi sobie z hydrauliką. Taki jest ten mój tata.

Człowiek, którego ze wszystkich ludzi na świecie lubię najbardziej. No tak, w moim świecie, poprzednim, bo teraz byłam w innym.

Wszystko, co wyżej, klarował mi rozum, serce jednak odrzucało. O wszystkim, co wyżej, teraz zapomnij. Liczy się tylko to, że tamten umierający człowiek wyglądał jak twój tata, mówił jak on, a poza tym, co bardzo ważne, Rhiannon go kochała. Może i faktycznie była wredna, puszczała się na prawo i na lewo i w ogóle nie była dobrym człowiekiem. Ale była, tak jak ja, córeczką tatusia.

Tatusia... Od chwili przybycia do tej zwariowanej rzeczywistości jakoś nie miałam czasu pomyśleć o tych, których musiałam zostawić. W końcu byłam trochę zajęta, prawda? Ale teraz wszyscy, których kocham, stanęli mi przed oczami.

Wrzódki. Poza tym jednego byłam całkowicie pewna.

Niezależnie od tego, jak szalony wydaje się Rhiannon jej nowy świat, ona nigdy, przenigdy nie opuści mojego taty. Tak jak ja nie opuszczę jej ojca. Jak każda kochająca córka czułam się za ojca odpowiedzialna. Tak czułam i wcale nie miałam zamiaru z tym walczyć.

Niestety szansa, że Alanna i ClanFintan to rozumieją, była znikoma. Prawdę mówiąc, raczej żadna.

Otworzyłam oczy. Już suche, żadnej zasłony z łez.

I uśmiechnęłam się bardzo miło, starając się sprawiać wrażenie osoby łagodnej, bardzo ugodowej.

– To, co mówicie, ma sens – oznajmiłam.

Wyraźnie się odprężyli.

A ja zaczęłam teraz udawać, że ze mną jednak kiepsko.

– Ojej, coś ze mną nie bardzo... Taka jestem zmęczona.

Czy to już ranek?

Natychmiast się zaniepokoiли. Trochę mi było głupio, że ich oszukuję, ale trudno, w tej sytuacji było to konieczne.

– Milady, jeszcze jest noc! – zawołała Alanna.

ClanFintan natomiast lekko uścisnął moją rękę.

– Odpoczywaj, Rhiannon. A ja każę wojownikom zaczynać ewakuację wieśniaków.

Dotknął mego policzka. Taka króciutka pieszczota. On naprawdę był ładniutki na ten swój koński sposób.

– Jestem wykończona!

Teraz odgrywałam Lanę Turner. Opadłam na poduszki, jedną dłoń efektownie przyłożyłam do czoła. Za drugą rękę nadal trzymał mnie ClanFintan. (Wiecie, jakie to było przyjemne?!).

– Tak, tak, milady musi się porządnie wyspać –zawtórowała Alanna, poprawiając poduszki.

– A ja idę do wojowników – oświadczył ClanFintan i odwrócił moją dłoń. Natychmiast otworzyłam oczy, zaniepokojona nie na żarty. Znowu ugryzie? Nie, tym razem o gryzieniu nie było mowy. ClanFintan, spoglądając mi głęboko w oczy, gorącymi wargami ucałował moją dłoń. Naprawdę!

I to też było bardzo, bardzo przyjemne. Mówię wam, mój tata na pewno by go bardzo polubił. Spośród moich facetów tata zawsze aprobował tych, którzy autentycznie działali na mnie.

Bardzo szybko wyszedł z pokoju. Słyszałam, jak już w korytarzu pokrzykiwał do centaurów, żeby budzili resztę i wszyscy mają stawić się u niego jak najszybciej. Potem drzwi zamknęły się. Nie widziałam go, nie słyszałam, został mi po nim tylko ciepłutki ślad na dłoni. Ślad jego ust.

Alanna nadal krzątała się przy mnie, wzbijała poduszki, coś tam wyglądała, a przede wszystkim wyglądała na bardzo zmartwioną. Jak kokoszka o swoje kurczątko.

– Jak milady się czuje?

– Dziękuję, Alanno, da się wytrzymać – odparłam, z rozkoszą moszcząc się w wyjątkowo wygodnym łóżku. –Myślę, że ty też powinnaś wypocząć. Tyle się dziś zdarzyło! Idź

już. Kładź się spać, dam sobie sama radę.

– Ale przedtem może przyniosę jeszcze milady grzanego wina? Albo wyszczotkuję włosy!

No proszę. Ona już wie, co lubię najbardziej!

– Dzięki, kochana. Teraz najbardziej chcę, żebyś i ty wyspała się porządnie.

– W takim razie zostawiam milady.

Alanna odgarnęła mi włosy z czoła. (Jak miło! Ten jej gest mogłam już zacząć określać jako dobrze mi znany). Jeszcze zanim zamknęłam oczy, poczułam jej usta na moim czole.

– Dobranoc, Shannon.

– Dobranoc... Aha, Alanno, jeszcze coś. Czy Rhiannon nie mówiła, w jaki sposób ma zamiar tutaj wrócić? A ja wrócić do siebie?

Oczy miałam zamknięte, ale słyszałam, że kroki Alanny, która podążała do drzwi, ucichły. Czyli przystanęła. Na pewno też odwróciła się i patrzy na mnie.

– Mówiła mi, milady. Nie ma powrotu. Człowiek może przejść żywy przez Podział tylko raz. Bardzo przykro mi, Shannon. Wiem, że dla ciebie to wszystko jest bardzo trudne.

– Nie martw się, Alanno. W końcu to nie twoja wina.

Zastanawiałam się, czy słyszy, jak głośno zabiło moje serce. Bo i jak to tak? Nigdy już nie wrócę do swojego domu, do swojego świata?

Mocno zacisnęłam powieki. I nagle przypomniałam sobie metodę Scarlett O'Hary: Nie, dziś nie będę o tym myśleć.

Zrobię to jutro.

Metoda genialna.

Kroki Alanny oddalały się. Kiedy usłyszałam cichy odgłos zamykanych drzwi, odczekałam jeszcze minutę i otworzyłam oczy. Usiadłam, dopiłam herbatę (kofeina dobrze wpływa na stan naszego ducha). A teraz w drogę. Muszę tam jechać, do nich, do ludzi, których muszę... no cóż... pochować.

A to całe gadanie, że nie wolno dopuścić, by coś mi się stało i w ogóle że mam być grzeczna, może i dobre jest dla panny Rhiannon. Ja jestem panną – powiedzmy – innego rodzaju.

A mój tata nie może być tam sam, opuszczony przez wszystkich.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jakże brakowało mi mojego mustanga! Okropnie!

Mobilność to podstawa emancypacji współczesnej kobiety.

Wolna jak ptak, w każdej chwili może wskoczyć do swojego samochodziku i pojechać w dowolnym kierunku/do dowolnego stanu/do dowolnej pracy. Niestety, w chwili obecnej wcale nie byłam wolna jak ptak, skoro nie miałam przy sobie swoich czterech kółek. Jakże więc mam dotrzeć do zamku, który znajduje się gdzieś tam, na północny zachód stąd?! Dotrzeć tam w środku nocy, w sytuacji gdy na ten zwariowany świat napadły stwory wyglądające jak wampiry? Dotrzeć tam bez samochodu?

Tym bardziej że z moich dotychczasowych obserwacji tutejszej rzeczywistości wynika, że czegoś

takiego jak samochód nie posiada tu nikt.

Wspierając się swoją pieśnią przewodnią, czyli „Jestem kobietą”, starałam się nie załamywać. W końcu przecież coś wymyślę, prawda? A póki co to nie panikuj, dziewczyno, tylko zajmij się czymś. Zrób pierwszy krok w pożądanym kierunku, na przykład zajrzyj do szafy. Nie masz chyba zamiaru ruszać w drogę odziana w skrawek cieniutkiego jedwabiu chociażby dlatego, że kto wie, może i tutaj noce bywają chłodne.

Jaka szkoda, że nie mam tu mojego mustanga, jaka szkoda... Ale zaraz! Chwileczkę! Skoro nie ma tu koni mechanicznych, może skorzystać z konia prawdziwego? Alanna powiedziała, że wszystko, co widziałam we śnie, to prawda, więc tamta przepiękna srebrzysta klacz to żywa klacz, z krwi i kości. A skoro jestem panią tej świątyni (o okolicznych ziemiach nie wspominając), ta klacz, logicznie rzecz ujmując, należy do mnie i na pewno nie będzie miała nic przeciwko małej przejażdżce o północy. Z tym że to, co w chwili obecnej mam na sobie, absolutnie się nie nadaje do jazdy wierzchem.

Rozejrzałam się po wielkim pokoju i zauważyłam kilka ogromnych, pięknie rzeźbionych szaf. Natychmiast dopadłam do nich. Wystarczyło otworzyć drzwi, by przekonać się, że szafy giganty załadowane są ubraniami w gigantycznych ilościach.

Tony ubrań! Przyznam się wam, że penetrując te szafy, poczułam się jak Barbie. Nie żartuję. Więcej niż tylko Barbie, ale jak Barbie Na Balu Maturalnym, Barbie W Lecie, Barbie Na Koktajlu, Barbie Na Randce Z Lekarzem/Prawnikiem/Prezesem Rady Nadzorczej, itd., itp. Rhiannon była właścicielką naprawdę ogromnej ilości ciuchów, pod tym względem nie miałam co się z nią równać.

Starając się nie zapominać o swoich obecnych priorytetach – nie dać się zahipnotyzować, było przecież jasne, że z Rhiannon, oprócz miłości do ojca, łączy mnie również gorąca miłość do ciuchów – wręcz pożądkliwie przekopywałam się przez metry bieżące ubrań. W końcu dotarłam do szafy z odzieżą sportową, w której między innymi było całe bogactwo spodni, coś w rodzaju legginsów z mięciutkiej skórki plus mnóstwo topów. Wszystkie spodnie o identycznym kroju i w tym samym kolorze. Przygaszony jasnożółty, wpadający w krem, poza tym ozdobione wytłoczonym w skórze zawitym wzorkiem. Wiele par spodni miało z boku wzorek, który rozpoznałam od razu.

Były to celtycki zwoje, niestety w tym sympatycznym wzorku widziałam przede wszystkim czaszki.

Spodni były wąskie, na lewym boku rozcięte i przeplecione troczkami (czyli w tym świecie chyba

nie znają czegoś takiego jak zamek błyskawiczny). Wybrałam jedną parę, na której moim zdaniem czaszek było mało, i zaczęłam je wkładać. Kiedy tylko moje nogi dotknęły nogawek, aż krzyknęłam cicho. Skóra, z których te spodnie uszyto, była nieprawdopodobnie miękka.

Po prostu mięciutka, aksamitna jak pupcia niemowlęcia.

Pasowały na mnie. Więcej, po prostu wtopiły się swoją miękkością w mój tyłek i nogi. Trzeba przyznać, że Rhiannon pozwalała się rozpieszczać. Na pewno przeżyła szok, kiedy w nowym świecie zapoznała się z cenami ubrań, no i zobaczyła zawartość mojej szafy. Tak, szafy, jednej jedynej.

Rozwinęłam się z jedwabnego topu i wzięłam top o fasonie normalnym, uszyty też z kawałków supermięciutkiej skóry. Był

sznurowany z tyłu, jak spodnie. Chyba nie muszę wam mówić, że przeplecenie i zawiązanie tych troczków na plecach okazało się dla mnie prawdziwą drogą przez mękę. Zrozumiałam, że przy tego rodzaju ubraniach pomoc Alanny jest niezbędna, nie miałam jednak najmniejszego zamiaru jej budzić, ponieważ udzielenie odpowiedzi na mnóstwo pytań stałoby się konieczne.

Walczyłam więc z troczkami sama, przez cały czas nucąc zawzięcie „Jestem kobietą...”. W końcu udało mi się dokonać tego wyczynu i z przyjemnością stwierdziłam, że ubranko, które mam na sobie, nie dość że jest bardzo ładne, to nadaje się znakomicie do konnej jazdy. Było po prostu zespolone z ciałem, idealnie podpierając i obciskając to, co trzeba. Na pewno znalazłoby uznanie w oczach fachowców ze sklepów Victoria's Secret. (Dla mnie osobiście ten aspekt był bardzo istotny. Bo nie ma co się oszukiwać, mam trzydzieści pięć lat, moje baloniki w miseczkach C nie są więc już pierwszej młodości, a siła przyciągania to wynalazek diabelski. Rozumiecie, o co chodzi?).

Dlatego byłam zachwycona tym czymś w rodzaju celtyckiego ekwiwalentu sportowego stanika, w którym mogłabym śmiało wspinać się na drzewa czy dokonywać rzezi wśród smoków.

(Naturalnie miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie).

Penetrując dno szafy, znalazłam kilka par fantastycznych butów idealnie w tym samym kolorze co spodnie. Jasnożółte, z mięciutkiej skórki i niesamowicie wygodne. Coś w rodzaju mokasynów na grubszej podeszwie. Kiedy wyjmowałam z szafy parę tych cudownych butów, zauważyłam, że na ich spodach coś jest. I owo coś wzbudziło mój zachwyty. Na obu podeszwach wyżłobiona była duża, pięcioramienna gwiazda.

Dokądkolwiek pójdę, zostawię za sobą ślady w kształcie gwiazd. Cudnie. Czegoś takiego nie

wymyślono nawet dla Barbie.

Byłam już więc ubrana. Jeden problem z głowy, teraz rozwiążmy następny, czyli ustalamy marszrutę.

Pamiętałam doskonale, co widziałam podczas Magicznego Snu. Świątynię z lotu ptaka frontem zwróconą ku zachodowi (chyba że mój dość słabo rozwinięty zmysł orientacji nie po raz pierwszy mnie zawiódł). Łańcuch górski był na północy, ciągnął

się na zachód, aż do brzegu morza. I to tam gdzieś stoi zamek mojego taty.

Zapamiętałam też, że świątynię opływa szeroka rzeka. Ta rzeka skręca na zachód, właśnie w stronę morza. Logicznie więc należałoby podążać wzdłuż rzeki, dotrzeć do morza, skręcić w prawo i brzegiem morza iść na północ, w stronę gór, do ich zachodniego krańca. W ten sposób powinnam bez pudła trafić na zamek MacCallana.

Przynajmniej teoretycznie.

Teraz punkt drugi, czyli muszę odnaleźć srebrzystą klacz.

Wiedziałam już, że stajnie przylegają do świątyni od strony północnej. Matko święta, ale jak ja odnajdę ten północny mur, do którego przyklejona jest stajnia? Przecież nie mogę tak sobie łączyć po świątyni jakby nigdy nic, aż wreszcie natrafię na mieszkanko białego konika.

W moim niby-śnie wyostałam się z pokoju przez sufit. No tak... Halo, może ktoś mi powie, w którym miejscu świątyni znajduje się mój pokój?!

Czyli jest super.

Byłam już naprawdę bliska dna rozpacz, gdy nagle coś mi przyszło do głowy. Przypomniałam sobie pięknie zdobione drzwi, które zdarzyło mi się oglądać tej nocy, poza tym przypomniała mi

się jedna z moich ulubionych życiowych dewiz: *W sytuacji niepewnej szukaj faceta, który ci pomoże.*

Zwyczajnie, po prostu.

Przyglądałam włosy, które i tak dzięki zabiegom nieocenionej Alanny były wszystkie, o dziwo, na swoim miejscu, przełknęłam resztki herbaty i ruszyłam do drzwi. Do tych konkretnie, odnośnie których miałam pewność, że nie prowadzą ani do pokoju Alanny, ani do pokoju ClanFintana, tylko na korytarz.

Podeszłam do drzwi i otworzyłam je bardzo energicznie, zaskakując warujących za nimi „chłopaków”.

Ale ciacha...

Płaskie brzuszki, szerokie klaty, odziani bardzo skąpo.

Zerknęłam w dół. (Trudno, skoro mam być Rhiannon dziwką, nie należy się wylamywać...). I na tym dole także mieli się czym pochwalić.

Na mój widok wyprężyli się, ja też się wyprostowałam, próbując w tym momencie wyglądać jak najbardziej dostojnie.

I zajrzałam w oczy temu wyższemu.

– Chcę pojeździć na moim koniu. – Gdy żołnierz zamrugął i nerwowo, i ze zdumienia, dodałam autorytatywnie: – Teraz! – Znów tylko zamrugął. Dlaczego tej idiotce, czyli mnie, zawsze się wydaje, że wyższy to mądrzejszy? (Zapamiętaj: wyższy facet wcale nie jest mądrzejszy, tylko bardziej atrakcyjny). – Przekażcie polecenie... służbie w stajni. Niech osiodłają mi konia.

Miejmy nadzieję, że droga Rhiannon jeździła w czymś w rodzaju siodła.

Bardzo starałam się wyglądać i zachowywać jak wredna suka, ale przy tych ciachach efekt moich starań był chyba mizerny.

– Pani, czy mam obudzić twoją eskortę? – spytał pan Umięśniony, wciąż wyglądający na osobę zagubioną.

– Nie! – Wydarłam się, tak, wydarłam. Na szczęście uświadomiłam to sobie i dokończyłam już tonem raczej normalnym. – Chcę pojechać sama. Nie budźcie strażników, tylko stajennych, żeby osiodłali mi konia.

– Jak milady rozkaże.

Umięśniony zrobił w tył zwrot i ruszył tam, gdzie logicznie musiała być stajnia. Ja za nim, depcząc mu po piętach.

W pewnej chwili obejrzał się jakby zaskoczony,

że go tak pilnuję. Nie szkodzi, byłam dziwnie pewna, że moje zachowanie to pikuś w porównaniu z tym, jak zachowywała się Rhiannon. Najprawdopodobniej pomiatała wszystkimi.

Ładniutki strażnik poprowadził mnie korytarzem, którym na moje wyczucie szło się dokładnie w przeciwnym kierunku niż do sali tronowej – czyli tam, gdzie wyszłam za ClanFintana – a także sali, gdzie potem była uczta.

Nasza wędrówka nie trwała długo, celem były pięknie rzeźbione dwuskrzydłowe drzwi. Pan Umięśniony zamienił

kilka słów ze strażnikami strzegącymi tych drzwi. Otworzyli je szybko. Weszłam, a oni polecieeli budzić chłopaków stajennych.

A mnie, dziewczynie z Oklahomy, kiedy tylko wszłam do stajni, serce zabiło zdecydowanie

szybciej. To była stajnia dla królowej. Na lewo i na prawo boksy, bardzo duże, wyłożone tym samym marmurem w kolorze mleka co cała świątynia i otaczające ją mury. Tych boksów po każdej stronie było chyba ze dwadzieścia, w każdym boksie piękny koń. Kiedy szłam tak sobie środkiem stajni, nie mogłam się powstrzymać, żeby do każdego z nich nie zajrzeć, każdemu nie powiedzieć kilku czułych słów.

Bez dwóch zdań te konie pasowały do luksusowej stajni, bo też tak wyglądały – po królewsku. Same klacze, bardzo różne.

W jednym z boksów stała niewielka gniada klacz podobna do konia rasy arabskiej, w drugim długonoga kasztanka w typie folbluta. Miałam wrażenie, że te wszystkie klacze mnie rozpoznają, bo każda z nich po kolei zwracała ku mnie aksamitne chrapy, wyraźnie czekając na pieszczotę.

A ja nie szczędziłam czułości.

– Cześć, malutka!

– Witaj, słiczności ty moje!

– Spójrzcie no, jaka piękna dama!

Klacz rżały cichutko, każda z nich chciała zwrócić na siebie moją uwagę. Jednym słowem, była to taka rutynowa pogawędka z końmi dziewczyny, która wychowała się wśród koni. Naszła mnie też pewna refleksja. Niezależnie od tego, jaka naprawdę była Rhiannon, swoje konie kochała i była to miłość odwzajemniona. Czyli na liście podobieństw między Shannon a Rhiannon należy dopisać jeszcze jedną pozycję. (Mam nadzieję, że w ostatecznym rozrachunku ta lista nie będzie imponująca).

Na końcu stajni, po prawej stronie, był jeszcze jeden gigantyczny boks z wyjściem na padok. Od razu poznałam, że to właśnie miejsce moja dusza odwiedziła minionej nocy. W tym gigantycznym boksie (może zabrzmiało to dziwnie, ale w jakiś sposób przypominał mi olbrzymią sypialnię Rhiannon) trzy ładniutkie ale zaspane i rozczochrane nimfy obrządzały srebrzystą klacz. Na mój widok zrobiły malutką przerwę, żeby dygnąć przede mną, po czym powróciły do swego zajęcia. Ja z

kolei na widok tak pięknego konia aż westchnęłam z zachwytem. Bo ta klacz była wspaniała, chyba jeszcze piękniejsza niż w moim śnie. I co równie wspaniale, poznała mnie. Byłam w siódmym niebie, kiedy zwróciła ku mnie szlachetny łeb i zarżała. Przepięknie, tak co sił w płucach.

– Witaj, witaj, moje cudo!

Weszłam szybko do boksu i wyjęłam z rąk jednej z nimf zgrzebło i szczotkę. Od najmłodszych lat uwielbiam obrządzać konie. Wielu właścicieli stadnin uważa, że obrządzanie koni czy sprzątanie boksu to coś poniżającego, a ja, już gdy byłam tycia, kochałam zapach stajni, krzątanie się przy nich, uczucie zadowolenia, że i koń czysty, i w stajni czysto. Tego rodzaju pracę wykonuje się po prostu z miłości. Dzięki niej oczyszczasz również swoją duszę i umysł, podobnie jak wylegując się na słońcu czy podczas pielienia róż.

Srebrzysta klacz, kiedy jeszcze szczotkowałam i tak lśniąca już szyję, trąciła mnie nosem w ramię, a potem leciutko uszczypnęła.

– Ależ tak, oczywiście – zagruchałam – Jesteś słodka, jesteś piękną, wytworną damą.

Cmokałam do niej i nieustannie prawilałam komplementy, upajając się jej zapachem i ciepłym oddechem. Taki cudowny powrót dla lat młodości.

Kiedy jedna z nimf podeszła z ogłowiem – bez wędzidla, oczywiście, tak wspaniałej klaczy wędzidło jest niepotrzebne – klacz posłusznie podała łeb. Ja stanęłam sobie z boku i patrzyłam, jak nimfy kładą na grzbiet konia coś w rodzaju czapraka z futerka z barana wzbogaconego o strzemiona i popręgi.

Jedna z nimf dociągnęła popręgi i całe stadko nimf ustawiło się z boku, popatrując na mnie.

Czyli super. Teraz będę udawać panią Sportsmenkę. A to należało już zdecydowanie do przeszłości...

Ale zaraz, chwileczkę. Miałam przecież też udawać panią Wredną (kilka osób na pewno by powiedziało, że w moim przypadku nie chodzi o udawanie...).

– Niech no która pomoże mi przy wsiadaniu!

O matko! Ale to zabrzmiało! Naprawdę wrednie. Dlatego błyskawicznie się uśmiechnęłam. I tak cała w uśmiechach podeszłam do klaczy (nie za szybko, rozkoszując się tą króciutką chwilką w stylu Johna Wayne'a). Złapałam kosmyk srebrzystej grzywy, oparłam rękę i uniosłam jedną nogę, z nadzieją że któraś z nimf podsunie pod nią usługne ręce, pomagając mi wsiąść na konia. Na szczęście nie była to nadzieja płonna. Nimfa pomogła i w taki oto sposób wgramoliłam się na pokład.

Wsunęłam stopy w strzemiona, wzięłam wodze do ręki, wyprostowałam się. Byłam gotowa.

Niestety, nie miałam pojęcia, jak się stąd wyjeżdża.

Więc wrzasnęłam:

– Otwierać bramę!

Udawanie wrednej, jak widać, nie sprawiało mi zbyt wielkich trudności.

Jedna z nimf podskoczyła do drzwi z boku boksu, druga pobiegła dalej i otworzyła kolejne drzwi w zewnętrznej ścianie świątyni. Cmoknęłam dwa razy, z nadzieją że jest to zrozumiałe dla koni z każdego świata. I tak też było. Klacz ruszyła do przodu. Wyjechałam z boksu, potem na dwór. Tam na moment zatrzymałam się i spojrzałam przez ramię na służące.

– Dziękuję. Wracajcie do łóżek i wyśpijcie się porządnie.

Po powrocie sama zadbam o konia.

Gdy lekko ścisnęłam klacz tydkami, z miejsca ruszyła galopem. Kiedy oddaliłam się już spory kawałek od świątyni, ściągnęłam wodze. Koń zatrzymał się, a ja zaczęłam rozglądać się dookoła. Księżyc świecił jasno, widoczność była niezła.

Patrzyłam więc dookoła, starając się ustalić dokładnie, gdzie jestem i w jakim kierunku powinnam jechać. Po pierwsze zauważyłam, że świątynię ze względów strategicznych wzniesiono na szczycie wzgórza. Wokół budowli było zielono, rozkwitała bujna roślinność, ale nie uświadczysz ani jednego drzewa. Sama świątynia była okazałą rotundą z marmurowymi kolumnami i szmerzącą fontanną od frontu. Wodę do fontanny na moje oko dostarczało kilka źródeł mineralnych, które tryskały w tym miejscu, a sama fontanna miała kształt gigantycznego konia, oczywiście marmurowego, wynurzającego się z morskich fal. W sumie coś bardzo podobnego do fontanny di Trevi w Rzymie.

Staralam się spojrzeć na budowlę okiem żołnierza. Teraz pojęłam, co miał na myśli ClanFintan, mówiąc, że świątynia potrafi się obronić. Przede wszystkim świadczyły o tym grube mury obronne zwieńczone blankami, które przypominały gigantyczne, bardzo szeroko rozstawione zęby. Zauważyłam też machikuty, wysunięte przed lico muru ganki. Dobre stanowisko na przykład dla łucznika (albo świetne miejsce do opalania, w zależności sytuacji: wojna czy pokój).

Mury obronne były nie tylko bardzo solidne, ale i bardzo piękne. Wyglądały tak, jakby wykuto je z jednej ogromnej bryły marmuru o pięknym, kremowym kolorze, który wysrebrzony księżycem jaśniał wprost niezziemskim światłem. Uzmysłowiłam sobie też, że gdyby te mury znikły, świątynia bardzo by przypominała Panteon w Rzymie, choć z jedną różnicą. Tu w kopule nie było okrągłego otworu.

Spojrzałam na rzekę opływającą świątynię. Była w bezpiecznej odległości, w razie wystąpienia z brzegów świątyni nie groziło zalanie. Jednocześnie rzeka płynęła wystarczająco blisko, by korzystać z niej jako z drogi wodnej.

Zauważyłam kilka przycumowanych barek.

W sumie bardzo piękne, spokojne miejsce. Na pewno miło tu mieszkać. Gdyby nie te straszne krwiożercze potwory...

Koniec zachwyków. Trzeba ruszać w drogę, a nie zabawiać się w japońską turystkę w Watykanie i z otwartą buzią gapić się na piękną budowlę, tym bardziej że nie miałam ze sobą aparatu fotograficznego. No bo gdzie niby miałabym tutaj oddać film do wywołania?!

Skierowałam klacz ku rzece. Księżyc świecił jasno, co miało swoje plusy i minusy. Widziałam wszystko świetnie, jednocześnie jednak ja też byłam doskonale widoczna, więc w każdej chwili ktoś mógł mnie zauważyć. Nie daj Boże! Znow będę musiała udawać cesarzową, z czym wcale nie czułam się najlepiej, także tłumaczyć się i w końcu ugiąć. Wiedziałam już przecież, że choć Rhiannon posiadała ogromną władzę, kiedy chodziło o jej bezpieczeństwo, miała bardzo niewiele do gadania.

Jednym słowem, trzeba było jak najszybciej zniknąć z otwartej przestrzeni. Gdy trochę mocniej ścisnęłam tydkami klacz, ruszyła z miejsca szybkim galopem, który już po krótkim czasie doniósł mnie do rzeki. Tam skręciłam na zachód i pojechałam dalej, zgodnie z planem, brzegiem jak nurt prowadzi. Sama rzeka bardzo mi się spodobała, bo to była prawdziwa rzeka. Nie miałam pojęcia, czy jest głęboka, ale była szeroka, a nurt wartki, no i pachniała bardzo ładnie. Żadnymi rybami czy mułem, jak Missisipi. Po prostu pachniała sobą, rzeką, w której woda była czyściutka, przejrzysta jak w rzece Kolorado. Po obu stronach wzdłuż brzegów rosły drzewa. Moja nieoceniona klacz sama znalazła wąską dróżkę biegnącą wzdłuż rzeki, prawdopodobnie wydeptaną przez zwierzęta leśne. Co prawda nie było żadnych gęstych zarośli, które utrudniałyby klaczy bieg, ale dróżką na pewno poruszało jej się szybciej i łatwiej. A wiadomo, że z regularnej drogi, którą wcześniej widziałam z okien świątyni, nie powinnam skorzystać, mimo że wiodła w pożądanym kierunku. Ale wyglądała na uczęszczaną.

Nie była to czteropasmowa autostrada, na pewno jednak już od świtu do nocy kręcili się po niej ludzie i centaury. Nocą też tam ktoś mógł się pojawić i trudno, żeby nie zauważył Wybranki Epony na kłusującej srebrzystej klaczy.

Kłusowała, nie galopowała. Oszczędzałam ją, choć widać było, że jest w znakomitej formie. Ale miałyśmy przed sobą co najmniej dwa dni podróży, a żaden koń nie będzie galopował aż tak długo!

Pogłaskałam ją po lśniącej szyi.

– A jak droga Rhiannon zwracała się do ciebie, maleńka? – Klacz zastrzygła uszami. Słuchała mnie, oczywiście. – Przecież nie będę mówiła do ciebie po prostu „klacz”. To niegrzecznie.

Tak samo, jakby ktoś wołał za mną: Hej, kobieto! Albo, biorąc pod uwagę, jak ostatnio się zachowuję: Hej, ty Wredna! – Klacz rzuciła łbem, jakby zgadzała się ze mną całkowicie. No cóż, w końcu wszystko jest możliwe. Być może w tym świecie konie rozumieją ludzką mowę. – Wiem, że nazywają cię Eponą, ale to tak sztywno, oficjalnie... – Musnęłam palcami srebrzystą grzywę. – Co powiesz na Epi? Może nie tak dostojnie, ale po co nam ta dostojność? W moim świecie politycy starają się być dostojni, tylko nie za bardzo im to wychodzi.

Nie sądzę, żeby klacz akurat teraz była szczególnie zainteresowana obszernym wykładem na temat upadku kultury politycznej we współczesnej Ameryce, ale mamy przed sobą całe dwa dni, będzie więc okazja powrócić do tematu. O ile naprawdę będzie mi się chciało go poruszyć!

Klacz zarżała, mało tego, podskoczyła. Uznałam, że to wyraz pełnej aprobaty.

– Czyli umowa stoi – powiedziałam. – Jesteś Epi.

Przeczesałam palcami miękką grzywę, no i jechałyśmy dalej. Od początku było wiadomo, że Epi nie jest koniem wymagającym od jeźdźcy stałej uwagi. Była bardzo mądra i dzielna, parla do przodu bez próśb czy ponaglania. Uznałam więc, że mogę spokojnie rozejrzeć się po okolicy, tym bardziej że to, co udawało mi się dostrzec między drzewami, było dla oka bardzo przyjemne. Na przykład ładne i zadbane chaty kryte strzechą. Chociaż kiedy pomyślałam o wszystkich tych robalach zamieszkujących słomiane dachy, moje spojrzenie na wspomniane strzechy stało się zdecydowanie mniej romantyczne.

Między chatami ciągnęły się winnice, całe hektary winnic i pól uprawnych, na których chyba rosły żyto i fasola, nie byłam jednak tego pewna tak na sto procent, ponieważ światło księżyca było zbyt słabe. Co jakiś czas pojawiały się zaspane zwierzaki, najczęściej krowy i owce, sporadycznie w towarzystwie konia.

Byłam pod wrażeniem, że Epi widok pobratymca pomija milczeniem. Zwykle klacze pobratymca witają głośnym rżeniem. Co jakiś czas w świetle księżyca widać było drogę wijącą się między gospodarstwami wiejskimi. Te drogi chyba prowadziły głównie na północny zachód, ale tu też nie miałam pewności, ponieważ były daleko ode mnie, do tego zasłonięte drzewami.

W każdym razie była to przyjemna noc. Oczywiście, nie każdy na moim miejscu byłby tak

zadowolony. Mnóstwo ludzi nocą, na całkiem nieznanym terenie, miałyby po prostu pietra.

Ale ja nie. Nigdy nie bałam się ciemności i nigdy nie bałam się być sama. Teraz, wiadomo, jechałam na miejsce tragedii. Nie miałam pojęcia, co mnie tam czeka, kiedy dojadę (o ile w ogóle). Nad tym się jednak nie zastanawiałam, ponownie stosując się do filozofii Scarlett O'Hary (pomyślę o tym jutro).

Dzięki takiemu nastawieniu mogłam spokojnie nacieszyć się przejazdką w piękną noc.

Było coraz jaśniej. Jednocześnie zauważyłam, że dookoła jest coraz więcej drzew, a dróżka w pewnym momencie po prostu znikła. Epi wyraźnie się tym nie przejęła, dlatego niczego jej nie narzucałam. Sama obrała kierunek. I proszę, okazało się, że kochana Epi, jak Bóg przykazał, podąży dalej wzdłuż rzeki.

Niestety, miałam też powód do zmartwienia. Kiedy opuszczałam świątynię, zgrywając się na wredną cesarzową, nie pomyślałam o takich drobiazgach jak śniadanie, obiad i kolacja czy papier toaletowy. Nie miałam pojęcia, która może być godzina, ale kiedy słońce ukazało się nad koronami drzew, mój tyłek i mój żołądek zgodnie oświadczyły, że jadę już dobrą chwilkę.

W slangu używanym w Oklahomie „chwilka” oznacza przedział czasowy od godzin pięciu do pięciu dni. Mój umysł

podpowiadał, że na grzbiecie Epi spędziłam pięć godzin, natomiast tyłek i żołądek optowały za pięcioma dniami.

Spójrzmy prawdzie w oczy. Tyłek i żołądek na pewno są większe niż mózg. Tak więc to one zwyciężyły.

No cóż, przynajmniej wiedziałam, gdzie jest woda.

W każdej chwili mogłam zeskoczyć na ziemię, poprowadzić Epi do skrzącej się rzeki i napić się zimnej, orzeźwiającego wody (kłania się John Wayne).

A tak w ogóle to już dawno powinnam zsiąść z Epi, żeby klacz mogła trochę odsapnąć.

Zsiąść. Łatwo powiedzieć... Jechaliście już kiedyś wierzchem „chwilkę”? Oczywiście nie chodzi mi tu o kręcenie się w kółko po padoku przy akompaniamencie radosnych, zachęcających okrzyków instruktora. Nie chodzi mi też o przypadek typu, kiedy płacisz pięćdziesiąt dolarów za godzinę jazdy w terenie na grzbiecie nieszczęsnej szkapy, której stan jest bliski śmierci klinicznej. W rezultacie po półgodzinie wracasz już do stajni. Nie. Chodzi mi o spędzenie na koniu (szczęśliwie na moje wycucie nadal w znakomitej formie) kilku bitych godzin. Klus, galop, stęp, z powrotem klus. Na trzydziestopięcioletnim tyłku. Bez śniadania.

Na filmach, oczywiście, nie mają z tym problemu. Chociaż jestem pewna, że taki John Wayne naprawdę spędzał wiele godzin w siodle. Tyle że musiał mieć tyłek ze stali. Boże, pobłogosław mu.

Kiedy ostrożnie zsunęłam się z Epi, w pierwszej chwili miałam wrażenie, że niby stoję, ale moje stopy – nie, całe nogi –dokądś sobie poszły. Nie ma ich, kończyłam się na tyłku, teraz zdecydowanie szerszym, bo spłaszczonym. Miło, prawda?

Stałam więc i czekałam, kiedy w moich dolnych kończynach krew znów zacznie krążyć. I byłam zadowolona, że w tak nieciekawym stanie ogląda mnie tylko Epi.

W końcu (kiedy minęła „chwilka”) mogłam wreszcie, klnąc bez przerwy, pokuśtykać ku wodzie.

– Przynajmniej nie jest mętna – mruknęłam zjadliwie jak stara jędza na widok cudownie przejrzystej wody. Klepnęłam Epi, żeby napiła się pierwsza, a sama zaczęłam się prostować i prężyć, wsłuchując się w potrzaskiwanie i pojękiwanie mojego zmaltretowanego kręgosłupa. Epi piła. Kilkakrotnie przelknęła głośno, przekazując mi w języku koni, że woda niezła.

Odeszłam więc kawaleczek dalej, przyklęłam nad wodą (w kolanach zatrzeszczało) i nachyliłam się, żeby umyć ręce.

– O rany! Ale zimna!

Spodziewałam się, że woda w rzece będzie miała przyjemną temperaturę pokojową, w końcu tu, w tym świecie, mieli klimat zdecydowanie ciepły. A woda w rzece była lodowata, prawdopodobnie dlatego, że płynęła z gór. (A co! Ma się w końcu dyplom wyższej uczelni! Wcale nie tak łatwo mnie zagiąć!).

Nabrałam wody w dłonie i przytknęłam do ust.

Wspaniała, jak woda ze studni u mojej babci. A nic tak nie ugasi pragnienia, jak zimna woda prosto ze studni.

W dzieciństwie lubiłam sobie wyobrazać, że studnia mojej babci to Fontanna Młodości. Pompowałam jak szalona, potem migiem do kurka i łapałam w ręce cudowny, przejrzysty płyn. Co prawda moje skrzypiące kolana były niezbitym dowodem na to, że teoria Fontanny Młodości okazała się błędna, ale sama woda była, jak się rzekło, cudowna. Gasiła pragnienie, orzeźwiała niczym wiosenny deszczyk. Poczulałam się też jakby mniej głodna.

– Nie będę teraz wsiadać na ciebie, Epi. Przejdę się trochę, a ty odsapniesz.

Pogłaskałam ją po kosmyku grzywy opadającym na czoło, następnie po samym czole, Epi zaś czule wbiła łeb w moją pierś, potem aksamitnym pyskiem trąciła mnie w brodę. No i powiedzcie sami, czy konie nie są cudowne? Wszystko w nich jest właśnie takie. Cudowne. I wygląd, i zapach, i charakter. Pies nie ma co się z nimi równać. Kot chyba też, choć dla mnie koty są o wiele fajniejsze od psów. Chodząca duma. Perły w świecie zwierząt, i to właśnie mi się w nich podoba.

Konie kocham od zawsze. To są naprawdę szlachetne zwierzęta. Pamiętacie tę scenę z filmu „Prawdziwa odwaga”, kiedy Little Blacky pozwala, by Rooster Cogburn (w tej roli John Wayne) zajeździł go na śmierć, dzięki czemu Mattie zostaje uratowana? O nie, zaraz się rozryczę...

Jakie inne zwierzę (płacz) byłoby w stanie (płacz) tak się poświęcić? (Otarcie łez).

Nic dziwnego, że dla mnie ClanFintan jest ładniutki.

Potrzebuję i czworonożnego ulubieńca, i mężczyzny. A tu proszę, mogę, jak to się mówi dowcipnie, upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Niestety, ClanFintan, kiedy wrócę do świątyni, będzie porządnie wkurzony.

Poza tym on uważa, że jestem wredna.

Jeszcze raz poklepałam Epi, zarzuciłam wodze na ramię i krokiem raczej niechętnym odeszliśmy od wody. Ruszyliśmy przed siebie. Epi szła posłusznie za mną, co pewien czas nachylając łeb, żeby szczypnąć sobie smakowitej trawki. A ja po jakimś czasie zaczęłam pogwizdywać sobie „Hej ha, hej ho”

z „Królowny Śnieżki”, na co Epi spojrzała na mnie bardzo wymownie i dmuchnęła mi prosto w nos, wyrażając tym swoje ubolewanie z powodu mojego kompletnego braku umiejętności pogwizdywania. Nie przejęłam się tym, tylko roześmiałam się –teraz ja jej prosto w nos – i dalej sobie pogwizdywałam. A co tam!

Jednym słowem, było nam ze sobą cudownie.

Drzew zdecydowanie było coraz więcej, a domów, które czasami udało mi się dostrzec za ich koronami, coraz mniej.

Przez cały czas starałam się usilnie odtworzyć sobie w głowie obraz tych okolic widziany we śnie. Niestety, mój duch leciał

tak szybko, że zapamiętałam niewiele. Ziemi uprawne i rzeka, najprawdopodobniej płynąca gdzieś z północnego zachodu, potem opływająca świątynię. Ale żadnych szczegółów.

W rezultacie czułam się jak panna Marion, biedne dziewczę zagubione w lasach Sherwood. Jednak inaczej niż ona, byłam pewna, że Robin Hood wcale nie pośpieszy mi na ratunek. Poza tym, jeśli już mamy być szczerzy, dziewczęciem to ja nie jestem.

Nienawidzę narzekania, ale byłam od tego o krok. Bo naprawdę byłam głodna. Dlatego śmichy-chichy i pogwizdywania nie trwały długo, natomiast zaczęło się poszukiwanie Byle Czego Byleby Było Jadalne.

– A więc jesteśmy na łonie tej głupiej przyrody...

Uszy Epi natychmiast znalazły się w pionie. Oczywiście podsłuchiwała, co ja tam mamroczę.

– Gdzieś tu powinny być poziomki albo czarne jagody, albo morwa... Kurde! Przecież nawet w Krainie Oz mieli jabłonki!

Klaczka spokojnie szczypała sobie trawkę.

– Czy to dobre, Epi?

Nawet jeśli dobre, lepiej zrezygnować z końskiego menu.

Na pewno by mnie potem pognało, a ja przecież nie mam przy sobie ani kawałeczka papieru toaletowego.

Nienawidzę życia na kempingu, biwaków i tak dalej. Moi rodzice zwykle zabierali mnie na kemping. Było to przed rozwodem. Wspólne wypady miały scementować rodzinę.

Niestety, w przypadku naszej rodziny nie dało to żadnego efektu, a ja z czasem nabrałam do tego prawdziwego obrzydzenia. Co wcale nie znaczy, że nie lubię jechać w plener.

Przyroda jest przecież taka piękna i inspirująca. Lubię sobie powędrować, poleżeć z książką na słońcu, kiedy facet łowi ryby.

Krótko mówiąc, lubię łono natury, ale w dzień. W nocy natomiast preferuję wygodne łóżko, bieżącą wodę i czterogwiazdkową restaurację. Taka już po prostu jestem.

– Co ja tu właściwie robię?!

Epi pieszczotliwie złapała wargami za koniec mojego francuskiego warkocza już w zaniku, za co leciusieńko pacnęłam ją po pyszczku.

– Epi, przestań. Chyba nie wyobrażasz sobie, że wyrzeźbię sobie na poczekaniu grzebień z kawałka

drewna i uczeszę się na nowo.

Poza tym rozbolały mnie nogi, ściślej stopy. Rhiannon miała fantastyczne buty, ale pewnie wkładała też skarpety. A ja niestety zapomniałam przed wyjazdem przeszukać szuflady ze skarpetkami, tak samo jak, niestety, zapomniałam pobuszować w kuchni.

– Epi, mam na nodze bąbel wielkości Rhode Island –wyznałam, opierając głowę o srebrzystą, ciepłą szyję klaczy.

– Nie gniewaj się, ale chyba będę musiała znowu na ciebie wsiąść. Mam nadzieję, że wytrzymasz.

Trąciła mnie nosem, co oczywiście uznałam za wyrażenie zgody, i szybciutko ją uścisnęłam.

– Jesteś kochana, ale przedtem skoczymy jeszcze na drinka.

Ja stawiam. A może ty chcesz mnie zaprosić?

Epi zarżała.

– Dzięki, Epi. Lubię mrożoną margaritę, dużo soli.

Spojrzała na mnie, i to spojrzenie nietrudno było rozszyfrować. Przekazywało mi wyraźnie, że jestem o wiele zabawniejsza niż Rhiannon.

Wróciliśmy nad rzekę. W tym miejscu brzeg był stromy i zasłany kamieniami, więc schodziło się trudno, nagrodą jednak była woda. Nadal czyścuisieńka i zimna, co bardzo istotne, ponieważ robiło się coraz cieplej. Pod drzewami co prawda dawało się wytrzymać, ale łyk zimnej wody zawsze każdemu dobrze zrobi. Dzień zapowiadał się upalny. Miałam nadzieję, że nie będzie to jednak upał w stylu Oklahomy, kiedy wilgotność powietrza osiąga niewiarygodną liczbę procentów, a temperatura skacze powyżej trzydziestu stopni. Niewiele brakuje, żeby stanik Wonder Woman ci się stopił...

Epi trąciła mnie nosem.

– Gotowa do drogi?

Jej spojrzenie mówiło, że owszem, gotowa, podprowadziłam ją więc do dużego kamienia, który miał być pomocny podczas wsiadania.

Klacz łypnęła na kamień, potem na mnie.

– Epi, zrozum. Na pewno już się zorientowałaś, że nie jestem Rhiannon, a problem polega na tym, że w obecnej kondycji bez środków pomocniczych raczej nie dam rady wskoczyć na twój grzbiet.

Epi dalej wpatrywała się we mnie nieruchomym wzrokiem, poczułam więc potrzebę udzielenia dodatkowych wyjaśnień.

– Nie chciałabym być wulgarna, ale powiem. Dla niej to nie problem, bo jest przyzwyczajona do podrzucania siebie w górę i w dół. Rozumiesz, o co mi chodzi...

Epi wygięła szyję w pięknych łuk i – przysięgam – mrugnęła do mnie pięknym czarnym okiem.

– Ja natomiast, Epi, generalnie nie mam nic przeciwko różnemu... podrzucaniu, zdecydowanie jednak stawiam nie na ilość, lecz na jakość.

Klacz rzuciła łbem i – znów przysięgam – wydała z siebie pisk... pisk bardzo ludzki. Jakby się zaśmiała. Ja zresztą, gramoląc się na jej grzbiet, też się zaśmiewałam.

– *A więc wszystko jasne, Epi, tak?*

Odwróciła łeb i trąciła nosem moją nogę, która zwisała swobodnie. Przypominała mi w ten sposób, że należy wsunąć stopy w strzemiona.

– *Już, już, Epi.*

Uśmiechnęłam się do niej ciepłutko, wsunęłam nogi w strzemiona i cmoknęłam jakby ten niezwykle koń potrzebował takiej głupiej zachęty!

Poklepałam ją po szyi. Jak to dobrze, że na świecie istnieje coś takiego, co bezwarunkowo jest po prostu cudowne.

Epi zaczęła wspinać się po zboczu. Byłam zaskoczona, że ten brzeg jest rzeczywiście bardzo stromy. Jak nam w ogóle udało się tędy zejść do rzeki? Prawdopodobnie związane było to z tym, że inaczej wygląda świat, gdy stoisz na ziemi, a inaczej z grzbietu konia.

Nachyliłam się i ścisnęłam Epi lekko łydkami, nakierowując ją na widoczną w pobliżu miękką, zarośniętą trawą dróżkę...

Nagle kamienie zalegające zbocze poruszyły się pod kopytami. Epi zachwiała się, a mnie zarzuciło do przodu.

Gdybym nie złapała się jej szyi, spadłabym na ziemię. A Epi dalej pięła się w górę zbocza, szukając kopytami twardego podłoża, na którym mogłaby oprzeć nogę, co było bardzo trudne. Ziemia osuwała się jej spod nóg, kamienie turlały się po zboczu ku rzece. Byłam przerażona i wściekła, że nie mogę jej w niczym pomóc. Mogłam tylko trzymać się jej z całej siły i nie przechylać się w tył ani w bok, bo wtedy klacz straciłaby równowagę i byłoby naprawdę kiepsko.

Kiedy wreszcie Epi stanęła na twardym wysokim brzegu, odetchnęłam. Choć jednocześnie, wiadomo, po tych chwilach emocji byłam roztrzęsiona. Ale to nieistotne. Najważniejsze, co z Epi.

Szybko zsunęłam się na ziemię i zaczęłam sprawdzać nogi klaczki, przesuając po nich ręką. Epi dyszała, potrząsała łbem, stała jednak nieruchomo. Jeszcze jeden dowód jej niezwykłości. Inny koń na pewno by spanikował.

– Jesteś kochana, najukochańsza – przemawiałam czule, tak naprawdę starając się doprowadzić siebie do ładu. Epi zachowała przecież spokój, to ja trzęsłam się jak galareta. – Byłaś taka dzielna, nadzwyczajna. Jestem z ciebie bardzo dumna.

Skończyłam macanie jej pięknych, muskularnych nóg. Na moje wyczucie było w porządku, żadnego złamania ani otarcia.

Daj, Panie Boże, żeby tak było naprawdę. Wiedziałam przecież doskonale, jak kruche są kości tych pięknych zwierząt. I niestety – widziałam. Kiedy miałam dziesięć lat, rodzice zabrali mnie na wyścigi. Kiedy konie pokonywały zakręt, jeden z nich ustawił

nogę pod nieodpowiednim kątem. Do dziś mam w uszach ten złowieszczy trzask. Złamana kość przebiła skórę tuż pod kolanem, a wyścigowy rumak próbował dalej biec...

Tylko jeden niezręczny krok.

Epi wtuliła się czołem w moją pierś. Wygłaskałam jej piękny łeb, wygładziłam zmierzwioną grzywę.

– Wszystko dobrze, moja śliczna, wszystko w porządku.

Byłaś taka dzielna!

Szeptalam, pomrukiwałam, głaskałam, póki obie nie doszłyśmy jako tako do siebie. Oddechy się uspokoiły, serca zaczęły bić normalnym rytmem.

W końcu Epi uniosła łeb i trąciła nosem mój policzek, oczywiście mokry od łez. Otarłam twarz i cofnęłam się kawalek, by spojrzeć jeszcze raz na klaczkę.

– Moim zdaniem jest w porządku.

Spojrzałam jeszcze raz, potem obeszałam ją wkoło. Epi pochyliła łeb i dmuchnęła w bujną trawę.

– O, głodna panienska? Świetnie. Najlepszy dowód, że jesteś zdrowa.

Epi szczypnęła sobie trawy, przeżuła i spojrzała na mnie.

– W porządku, Epi – powiedziałam szybko. – Nigdy więcej nie będziemy robić takich karkołomnych podejść.

Rzuciła łbem.

– Epi, obiecuję! Choć teraz znów nie będzie łatwo. Muszę na ciebie wsiąść, i to bez niczyjej pomocy!

Wróciła od szczypania trawy, ale rękę dałabym sobie uciąć, że dźwięki, które przy tym wydawała, można było określić tylko w jeden sposób.

– Epi, proszę, tylko się nie śmieję ze mnie. Błagam, stój spokojnie.

Owszem, stała grzecznie, ale kiedy postępując, gramoliłam się na jej grzbiet, moim zdaniem zaśmiewała się dalej. Tylko cichutko.

Ruszyłyśmy. Co za ulga, bo na moje wyczucie Epi naprawdę podążyła jak zdrowy koń. Chwała

Bogu.

Gdy cmoknęłam, Epi przeszła w klusa, a ja zauważyłam, że moje rude kosmyki już na poważnie zaczynają się wymykać z francuskiego warkocza. Próbowałam je jakoś upchnąć, nucąc jednocześnie melodię z „Bonanzy”.

– Poddaję się – oznajmiłam po chwili, na co klaczka zastrzygła uszami. – Wiem, Epi, że wyglądam tragicznie, już o tym, że staromodnie, nawet nie wspominając, ale mam to w nosie.

Choć na pewno teraz wyglądałam jak szalona rudowłosa siostra Meduzy, bo tylko połowa moich włosów ujarzmiona była w warkoczu, druga zaś sterczała na wszystkie strony.

– Może zapoczątkuję nowy trend w uczesaniach...

Epi była na tyle uprzejma, że powstrzymała się od komentarza.

Pora na nową pieśń.

Kiedy byłam mniej więcej w połowie piosenki z filmu „Marzę o Jeannie”, Epi nagle zwolniła. Z klusa przeszła w stępa, lecz jakiegoś takiego dziwnego. Miałam wrażenie, jakby starała się stanąć na palcach, a raczej na czubkach swoich kopyt.

Ściągnęłam wodze i zsunęłam się na ziemię.

– Epi, coś niedobrze? – Gdy pogłaskałam ją po szyi, zaczęła niespokojnie rzucać łbem. – Musimy sprawdzić, co jest nie tak.

W takich sytuacjach wiadomo, najpierw ogląda się kopyta.

Chwyciłam za pierwszą z brzegu nogę, a kochana Epi zgięła ją posłusznie w tył. Kopyto w porządku, u nasady wymacałam tylko kilka kamyczków, który wbiły się w sierść. Wydlubałam je, oczyściłam z ziemi i ostrożnie przycisnęłam kciuki do podeszwy rogowej. Tak, tak to właśnie się nazywa. Pooglądajcie sobie kiedyś kopyto konia od spodu, to zobaczycie strzałkę, piętki, no i tę podeszwę.

Podeszwa w porządku. Sprawdziłam drugą nogę, trzecią.

Kiedy nacisnęłam na podeszwę kopyta w nodze czwartej, Epi drgnęła i wydała z siebie w swoim końskim języku okrzyk bólu.

Poklepałam ją po szyi, jak najostrożniej starłam z kopyta grudki ziem i źdźbła trawy, które się przykleiły, po czym ponownie w kilku innych miejscach nacisnęłam na podeszwę, tam, gdzie zdecydowanie była cieplejsza, niż powinna. A pojękiwania Epi stawały się coraz głośniejsze.

– Epi, kochanie, tylko nie pytaj mnie, co to może być. Nie jestem weterynarzem, więc tak dokładnie ci nie powiem. Choć na moje wyczucie poobijałaś sobie podeszwę.

Starłam się bardzo, żeby nie zabrzmiało to zbyt dramatycznie. Nie chciałam, by to nadzwyczaj inteligentne zwierzę zorientowało się, jak bardzo jestem zaniepokojona.

Spojrzałam na feralną nogę. Klaczka wyraźnie ją oszczędzała, starając się na niej nie opierać.

– Epi, może jestem w błędzie, ale moim zdaniem to kopyto cię boli. – Gdy trąciła mnie pyskiem, dodałam: – Czyli jest tak, jak myślałam. – Poglaskałam ją po policzku, a Epi oparła o mnie łeb. – Czyli nie ma mowy, żebym wsiadła na ciebie.

Wykluczone. A poza tym mam pewną propozycję. Powolutku pójdziemy w górę rzeki, poszukamy jakiejś łączki, ale tam, gdzie brzeg nie jest taki stromy. I odpoczniemy. Co ty na to?

Powolutku poszłam pierwsza, utykająca Epi za mną. Przez cały czas coś tam bredziłam, a biedna Epi słuchała, wetknąwszy mi łeb między łopatki. Byłam zadowolona, że nie widzi, jak gorączkowo szukam wzrokiem odpowiedniego miejsca.

Wiedziałam, że muszę koniecznie znów sprowadzić klacz nad wodę, ale nie po to, żeby się napiła.

Trzeba koniecznie zrobić coś z tym kopytem, dlatego gorączkowo szukałam w pamięci jakichś informacji na ten temat, które na pewno kiedyś, w czasach pierwszej młodości, wbito mi do głowy.

Miejmy nadzieję, że nadal sprawnej, mimo wlanych w siebie ostatnio monstrualnych ilości czerwonego wina.

Znalazłam. W takich przypadkach zaleca się maksymalne schłodzenie kopyta. Epi powinna postać w zimnej rzece przynajmniej dziesięć minut, co na pewno przyniesie jej to ulgę, a także zapobiegnie dalszej opuchliznie. Potem Epi sobie odpocznie, a ja zastanowię się, co dalej.

Przez chwilę żałowałam, że nie ma z nami ClanFintana.

Wcale nie byłoby źle, gdyby pojawił się z ekipą ratunkową. Ale nie pojawi się, to jasne. Przecież centaury zajęte są ewakuacją wieśniaków i zmaganiem się z sytuacją kryzysową spowodowaną przez skrzydlate potwory. Żona jednego z centaurów, która chwilowo zdezerterowała, nie jest żadnym priorytetem.

Trudno. Nie ma tragedii, bo akurat ja nie należałam do tego rodzaju kobiet, których marzeniem życia jest rycerz w błyszczącej zbroi. Takich kobiet, co to w sytuacji nieciekawej zamiast działać, modlą się, by ów rycerz przybył z odsieczą, oczywiście na białym koniu.

Poza tym – całe szczęście! – los nam sprzyjał. Uszłyśmy zaledwie kawałek i moim oczom ukazało się zakole rzeki.

Warunki były niemal idealne. Mało drzew, ziemia bardzo twarda, brzeg bardzo łagodnie nachylony ku wodzie, do tego porośnięty bujną, soczystą trawą.

Ostrożnie sprowadziłam do rzeki klaczkę i opierając się ręką o jej bok, szybko ściągnęłam buty i podwinęłam nogawki skórzanych spodni. Epi w tym czasie napiła się, po czym szturchnęła mnie mokrym pyskiem.

– Kochanie, nam obu przede wszystkim przydałby się pedikiur. Niestety, kiedy człowiek na gwałt potrzebuje manikiurzystki, to jej oczywiście nie ma! Ale trudno, zajmiemy się czymś innym.

Wejdziemy do wody i wymoczymy ci chorą nóżkę. Chodź, skarbie.

Wprowadziłam Epi do wody. Wcale się nie opierała, tylko ruszyła posłusznie za mną, kiedy ostrożnie omijając śliskie kamienie, podeszłam bliżej wartkiego nurtu.

O matko! Ta woda to lód!

– Epi, a słyszałaś może kiedyś tę bardzo smutną szkocką piosenkę o miłości pod tytułem „Loch Lommond”?

Epi nie odpowiedziała, tylko zaczęła podnosić prawą nogę, tę chorą. Natychmiast całym ciężarem ciała oparłam się o jej lewy bok, zmuszając, by z powrotem zanurzyła w wodzie prawą nogę. Co Epi wykonała, spoglądając jednak na mnie podejrzliwie. Żeby ją czymś zająć, pociągnęłam szkocki temat.

– To bardzo stara piosenka, Epi. Podobno jest dziełem jednego z żołnierzy księcia zwanego Ślicznym Księciem Karolkiem. Ów żołnierz podczas rewolty został wraz ze swoim kolegą pojmany. Kolegę puszczono wolno, ale naszego bohatera nie. Skazano go na śmierć. Ta piosenka była jego ostatnim listem miłosnym do ukochanej dziewczyny.

Epi spojrzała na mnie pustym wzrokiem.

– A więc nie znasz tej piosenki? – Jezu, jaka ta woda zimna! – W takim razie masz szczęście. Nie dlatego, że mogę ci ją zaśpiewać. Wiem przecież, że śpiewać nie potrafię. Ale znam cały tekst na pamięć i jeśli chcesz, mogę cię nauczyć.

Epi wyraźnie westchnęła, wydawało mi się też, że wywróciła oczami. Ale ja, zupełnie niezrażona, ochoczo przystąpiłam do recytacji pierwszego wersu, uświadamiając sobie jednocześnie, że nogi przestają mnie boleć. Po prostu traciłam w nich czucie.

Odchrząknęłam i starając się z mojej bardzo złej szkockiej wymowy zrobić jak najlepszą, rozpoczęłam występ:

*Na pięknym brzegu, na zboczu stromym, Gdzie słońce rozsiewa dobry swój blask, Tam ja i ma
luba, dziewczę ukochane, W objęciach szliśmy brzegiem Loch Lommond.*

*Kiedy tak brnęłam przez moją dość żalosalną interpretację jednej z ulubionych ballad, zauważyłam,
że uwaga klaczy jest jednak rozproszona.*

– Epi, jeszcze raz zaśpiewajmy razem refren!

Ty pójdiesz górą, a ja doliną, Przed tobą życie, a ja...

Tylko mą duszę do Szkocji poniosą Te duchy dobre, których czuję już zew.

I nigdy nie spotkam się z moją ukochaną Na pięknym brzegu jeziora Loch Lommond!

*Koniec. Wydałam z siebie bardzo głębokie westchnienie, potem udałam krótki szloch, na koniec
otarłam wymaginowane łzy.*

– Prawda, Epi, że bardzo piękna ballada?

Dmuchnęła na mnie, potem pochylila się i popiła wody.

I poruszyła się tak jakoś bardzo niespokojnie.

*– Widzę, Epi, że ta wzruszająca ballada nie zrobiła na tobie wielkiego wrażenia. W sumie się nie
dziwię, mamy tu bowiem do czynienia z przypadkiem wykonania pięknej pieśni o nieszczęśliwej
miłości przez absolutną dyletankę. Trudno.*

W takim razie może dam ci przedsmak czegoś, w czym chyba jestem niezła.

Klaczka rzuciła na mnie spojrzenie niemal trwożliwe.

– Epi, uwierz we mnie i posłuchaj, co teraz chcę ci zaserwować. Opisy konia. – O! Wyraźnie zastrzygła uszami! – Najpierw fragmencik z pewnego eseju, który przerabiam w dziesiątej klasie. Posłuchaj, co napisał autor. Kaczka jest długim niskim zwierzęciem pokrytym piórami. Koń jest długim wysokim zwierzęciem pokrytym płochliwością... – Klaczka wyraźnie się nadęła. – Hej, Epi! Uśmiech! Przecież to jest dowcipne!

Znów poruszyła się niespokojnie, a mnie bardzo zależało, żeby pozostała w tej lodowatej wodzie jeszcze parę minut.

Gorączkowo więc przeszukiwałam swoją prywatną bazę danych w głowie, starając się ignorować fakt, że nogi to już chyba sobie odmroziłam.

– Hej! Epi! Mam już następny kawałek! Na pewno ci się spodoba!

Niestety, znów musiałam oprzeć się z całej siły o lewy bok klaczki, żeby jej prawa noga pozostała pod wodą.

Tylne nogi Epi zaczęły poruszać się niespokojnie.

– Hej, przecież wiem, że to wcale nie jest zabawne.

Posłuchaj jeszcze tylko troszeczkę, a potem zabieram cię z tej lodówki.

Moja profesorka, która wykladała „Biblię jako dzieło literackie”, była osobą bardzo ekscentryczną. Przede wszystkim ubierała się okropnie, jak rasowa profesorka z college’u. Miała też różne pomysły. Podczas jednego z semestrów, na trzecim roku, kazała nam wykuć na pamięć całe fragmenty Starego Testamentu z bardzo starego przekładu, mówiące o zwierzętach.

Te fragmenty po kolei recytowaliśmy na zajęciach. Kiedy przyszła kolej na mnie, zaczęłam

nieśmiało, po chwili jednak dałam się ponieść emocjom. Teraz też. Piękne stare słowa musiały poczuć się szczęśliwe, że wreszcie mogą wyplątać się z jakiejś sieci w moim mózgu, i teraz radośnie ulatywały z moich ust:

Izali dasz koniowi moc...

Zaraz, zaraz, jak to szło dalej?! Chyba...

Sława nozdrzy, jego strach.

Kopie ziemię kopytem, wyskakuje śmieie: bieży przeciw zbrojnym.

Gardzi strachem, ani ustępuje mieczowi.

Nad nim chrzęścić będzie sajdak, błyskać się będzie drzewce i tarcza.

Pałając i rżając żre ziemię, ani uważa, że brzmi głos trąby.

Gdy usłyszysz trąbę, mówi: wah: zdaleka czuje wojnę, napominanie hetmanów i krzyk wojska.

No, przynajmniej udało mi się zwrócić jej uwagę.

– Księga Hioba, rozdział któryś tam, wers... też nie pamiętam.

Uszy Epi zwrócone były wyraźnie ku mnie. Raz rzuciła łbem i zarżała. Czyli całkowita aprobata,

innymi słowy, pełny sukces. Przez tych kilka minut stała w wodzie spokojnie.

Ukloniłam się na tyle, na ile pozwalały zdrętwiałe nogi.

– Och, dziękuję, dziękuję, naprawdę nie zasłużyłam na tyle uznania! Myślę, że ta porcja literatury wystarczy jak na jeden dzień. Spotykamy się jutro, o tej samej porze, usłyszą państwo kolejną zwariowaną interpretację jakiegoś szacownego kawałka... Epi, dość tego dobrego. Spadamy!

Stopy, kiedy są przemarznięte, stanowią osobliwy i bardzo kłopotliwy dodatek do naszego ciała. Brnąc przez wodę do brzegu, stawiałam nogi w sposób przedziwny, po prostu jak Quasimodo.

W tym miejscu na brzegu było stosunkowo niewiele kamieni, między które wpychał się zielony dywan leśnego poszycia. Trawa, paprocie i różne leśne roślinki. Było więc to bardzo przyjemne miejsce na popas, przede wszystkim dzięki bujnej, soczystej trawie. Bo kto jak kto, ale to przede wszystkim Epi potrzebowała relaksu.

Ściągnęłam z niej siodło, jednocześnie przyglądając jej się bacznie, choć starałam się nie robić tego nachalnie. Żeby nie urazić.

– Szkoda, że nie mam szczotki i zgrzebła – mruknęłam. –Warto by nad tobą trochę popracować...

Postanowiłam zaimprovizować. Ułamałam kawałek kory z leżącego w pobliżu pnia przewalonego drzewa i zaczęłam leciutko drapać boki Epi, która z zadowolenia aż westchnęła i przymknęła oczy.

– Miło, co? Też tak wzdycham, kiedy masują mi stopy...

Wiesz co, Epi? Jakiś czas poskub sobie trawkę, a potem obejrzymy twoje kopyto.

Byłam zaniepokojona nie na żarty, bo Epi nadal starała się tej nogi nie używać. Ale apetyt, na

szczęście, dopisywał.

Zaczęła skubać trawę, ja natomiast poczułam, że wzywa mnie tak zwana siła wyższa.

– Epi, kochanie, znikam, ale dosłownie na chwilkę. Zaraz wracam.

Wgramoliłam się na sam szczyt brzegu i zaczęłam gorączkowo szukać wzrokiem odpowiednio gęstych krzewów plus jakiejś rośliny z dużymi, miękkimi liśćmi. Mówiłam już wam, że nienawidzę takich prymitywnych warunków. Ale co robić? Zeszłam ze ścieżki i zagłębiłam się w gęste zarośla, po drodze, jak jakiś zwariowany naukowiec, testując palcami grubość i miękkość różnych liści. Zrobiłam, co trzeba, i szybko opuściłam prowizoryczną toaletę (pamiętaj o umyciu rąk!), po drodze nadal bezwiednie testując wzrokiem mijane krzewy.

I nagle... Bingo! Bingo! Bingo! Przecież to winogrona!

Najprawdziwsze winogrona, wielkie, ciemne, dojrzałe!

Dopałam do cudownych gron. Zerwałam kilka ciemnych, soczystych kulek i natychmiast wszystkie wpakowałam sobie do ust.

Mmm... niebo w gębie!

Ochoczo zabrałam się do dzieła, jakbym zamierzała

spustoszyć całą winnicę. No, trochę przesadziłam. Po prostu nazrywałam, ile się dało, i pognałam z powrotem.

– Epi, Epi! Popatrz, co znalazłam!

Jakoś nie wykazała entuzjazmu, z zadowoleniem jednak stwierdziłam, że zachowuje się spokojnie, czyli musi czuć się nieźle. Spojrzała na mnie tylko przelotnie i znów zabrała się do szczypania trawy. Położyłam więc winogrona koło siodła i wróciłam nad wodę po buty, no i umyć ręce. Po wykonaniu powyższych czynności mogłam wreszcie umieścić umęczony, splaszczony tyłek na

miękkiej trawie. Oparłam się wygodnie o siodło i zaczęłam się raczyć tym podobno naturalnym afrodyzjakiem. Wiem to od Michelle, która, jak powszechnie wiadomo, zna się na takich sprawach.

Winogrona były cudowne. Nie sądzę, żeby smakowały mi tylko z powodu potwornego głodu. W każdym razie wreszcie miałam pełny żołądek. Skutków ubocznych (afrodyzjak) nie odczuwałam, zauważyłam jednak, że moje powieki robią się potwornie ciężkie. Normalnie ołów.

Z wielkim trudem przemieściłam znów do góry swój ciężki, spracowany tyłek, i pokuśtykałam do klaczy. Też, jak się okazało, sennej.

– Obejrzymy, maleńka, twoje kopyto.

Nie wyglądało gorzej, poza tym chyba nie było już takie rozpalone, a to naprawdę dobry znak. Zadowolona poklepałam po szyi czworonożną przyjaciółkę i uściskałam, ale delikatnie, tak jak to robi umęczony, wyzbyty z sił człowiek.

– Epi, zacytuję teraz Johna Wayne'a w roli Roostera Cogburna. Jedno zdanie, krótkie, ale brzemiennie w skutkach.

A więc tutaj. Tutaj rozbijemy obóz. Wybacz, Epi, że nie odegram tej sceny dokładnie, bo zgodnie z tym, co pokazywali na ekranie, powinnam się teraz zsunąć z ciebie, to znaczy po prostu spaść... – Zero reakcji. Nawet nie mrugnęła okiem, czyli chyba zaczynała się do mojego słowotoku przyzwyczajając. – Krótko mówiąc, Epi, idziemy lulu. Obudź mnie, proszę, wcześniej, żeby nie spóźniła się do szkoły.

Pokuśtykałam z powrotem do siodła czy może czapraka i pozwoliłam swemu umęczonemu ciału ponownie zetknąć się z ziemią. Zasłana kamieniami ziemia plus siodło w niczym nie przypominają miękkiego materaca, teraz jednak byłam wdzięczna losowi za każdy rodzaj podłoża, na którym mogłam spocząć. Zwróćcie uwagę, że wyrazu „wdzięczna” nie okrasilałam znanym dodatkiem „bezgranicznie”, a to z powodu mojej awersji do nocowania w terenie. O czym wam już chyba niejednokrotnie wspominałam. Z tym że wdzięczna byłam, oczywiście. Ułożyłam się możliwie najwygodniej, zamknęłam oczy i nastawiłam swój wewnętrzny budzik.

Na którą? Wiadomo. Na „chwilkę”.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy obudziłam się po raz pierwszy, pomyślałam, że to chyba zachodzące słońce kazało mi otworzyć oczy. Dzień wyraźnie miał się ku końcowi. Upał zastąpił miły chłodek, a to dzięki wietrzykowi niosącemu ze sobą świeży mokry zapach rzeki. Przeciągnęłam się i ułożyłam trochę inaczej, usuwając przy okazji spod lewego pośladka wyjątkowo bezczelny kamień.

Poza tym, niestety, okropnie chciało mi się sikać, a jednocześnie wcale nie miałam ochoty wstawać. Cała byłam zesztywniała, obolała i półprzytomna, jak dwuletnie dziecko wyrwane ze snu.

Niedaleko od mojego prowizorycznego łoża spała Epi. Jak koń, czyli na stojąco. Zawsze zazdrościłam koniom tej umiejętności. Zazdrościłam tak bardzo, że kiedyś sama próbowałam pospać sobie w taki właśnie sposób. Działo się to podczas wyjątkowo długiego lotu nad oceanem, kiedy od siedzenia dostałam skurczów w łydkach. Wstałam z fotela, ustawiłam się w pobliżu wyjścia awaryjnego, niedaleko skrzydła, i oparta o ścianę samolotu próbowałam się zdrzemnąć.

Próba raczej nie powiodła się. Za każdym razem, kiedy już się odprężałam, głowa zaczynała mi się kiwać na wszystkie strony.

Poza tym przy spaniu na stojąco człowiek ma śmieszłą tendencję do głupiego mamrotania pod nosem.

Epi oczywiście w pozycji stojącej spało się znakomicie.

Prawa przednia noga nadal była trochę wygięta. Klacz nie opierała się na niej, jednocześnie jednak była spokojna, czyli chyba jej nie bolało. Dlatego postanowiłam nie męczyć już Epi tym ciągłym oglądaniem kopyta. Damy sobie z tym spokój, a kiedy klacz obudzi się, zaprowadzę ją znów do rzeki, żeby wymoczyła nogę. Zrobię to jednak później, teraz jestem zbyt zmęczona na serwowanie kolejnej dawki poezji i dołujących ballad.

Chciałam tylko wysikać się i spać. Znowu spać.

Ponowne przebudzenie było nagłe i bardzo nieprzyjemne.

Otworzyłam oczy i natychmiast zaczęłam się miotać, żeby wyłączyć ten cholerny budzik. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności, ale ja i tak byłam przekonana, że zasnęłam. Znacnie to uczucie, kiedy serce ci wali, bo jesteś pewna, że się spóźnisz. Po chwili jednak do mojego przymglonego umysłu dotarło, że z tym spóźnieniem się coś nie tak. Bo ja wcale nie jestem w moim starym dębowym łóżku i wcale nie leżę zwinięta w kłębek pod swoją kołderką.

Usiadłam i kilkakrotnie zamrugałam, żeby wzrok przyzwyczaił się do ciemności, jak już wspomniałam, nieprzeniknionych.

Kiedy usłyszałam szmer wody uderzającej o kamienie, całkowicie powróciłam do rzeczywistości.

Przede wszystkim gdzie jest...

– Epi?! Epi!

Kiedy trąciła mnie w policzek miękkim pyskiem, omal nie dostałam zawału, ale nie z przerażenia, tylko z tej przeogromnej ulgi. A ponieważ mój wzrok przyzwyczaił się już do ciemności, mogłam zobaczyć też majaczący w tych ciemnościach mój czworonożny skarb. Leżała sobie koło mnie, z lewej strony.

Czułam jej świeży, pachnący trawą oddech.

– Jak się czujesz, malutka? Już lepiej?

Wcale nie chciało mi się wstawać. Podsunęłam się tylko bliżej do Epi, pogłaskałam po szyi, przejechałam rękoma po grzbiecie. Nogi miała podkurczone, do tej prawej przedniej z urażonym kopytem nie udało mi się dotrzeć, ale ogólnie moim zdaniem Epi nie miała gorączki i nie zachowywała się tak, jakby coś ją bolało.

– Chyba zaraz pokaże się księżyc – powiedziałam, z rozkoszą opierając się o miękką, ciepłą klacz. Jak to dobrze, że mam ją przy sobie. Chłód nocy na pewno nie wpływa dobrze na moje obolałe, nadwerżone mięśnie. – O matko, jak by teraz się przydała długa, gorąca kąpiel!

I coś do żarcia. Brzuch sam o tym przypomniawszy, jak to on, bardzo głośno.

– Niestety teraz nic nie da się zrobić. Poczekamy do rana, co, Epi?

W odpowiedzi usłyszałam tylko ciche końskie pochrapywanie.

Moja biedna Epi... Ależ ze mnie idiotka! Co mi do głowy przyszło z tą samotną wyprawą! Tak narażać klacz! Mądrzyłam się, a przecież i tak do końca nie wiedziałam, co naprawdę jej jest. Jedno tylko było dla mnie oczywiste. Absolutnie nie wolno mi jej dosiąść. Na moje wyczucie (z tym że z poczuciem czasu i odległości u mnie kiepsko. Pod tym względem jestem po prostu niedorozwinięta) byłyśmy w drodze co najmniej dziesięć, a może nawet i dwanaście godzin. W najlepszym przypadku możemy być już gdzieś w połowie drogi do zamku. Ale dobrze nie jest. Owszem, pospałyśmy sobie na pewno ładnych kilka godzin, ale jesteśmy głodne, zmęczone i obolałe.

Zamknęłam oczy, starając się mimo wszystko zrelaksować, tak dla dobra sprawy. Zapomnieć o kopycie Epi, o pustym żołądku i grzać się przy ciepłym boku klaczy.

Jedynym rozsądnym rozwiązaniem był powrót do świątyni, i to bardzo powolny, żeby nie forsować klaczy. Może mieszkańcy którejs z tych chat widzianych po drodze będą skłonni podkarmić Eponę (klacz) i Jej Wybrankę. Było nie było, jestem teraz Wcieleniem Bogini, co może okazać się bardzo przydatne. Oby! Bo perspektywa leczenia tylko na winogronach wcale nie była kusząca. Jednostajne menu z pewnością wpłynęłoby na mój organizm destrukcyjnie, w konsekwencji czego zmieniałabym się w coś w rodzaju patetycznej nimfomanki z chroniczną biegunką, za to bez kawałeczka papieru toaletowego.

Ruszmy o świcie. Najpierw postaram się jeszcze raz wymoczyć kopyto Epi, potem wracamy do

Świątyni tą samą drogą, czyli po swoich śladach. A teraz najlepiej pójść za przykładem Epi i spać, tym bardziej że czekają nas niełatwe dni.

Wtuliłam się w klacz, chłonąc jej ciepło, i już po chwili poczułam, jak ogarnia mnie senność. Powieki miałam ciężkie, było mi ciepłutko, a Epi zaczyna mi się jawić jako wielki srebrzysty koński grzejnik...

Kiedy moje uszy wylapały ten cichy odgłos, w pierwszej chwili go zlekceważyłam. Ot, po prostu coś zaszeleściło.

W drugiej jednak chwili zaczęłam się zastanawiać. Cichy odgłos, tak, ale na pewno nie był to szelest liści poruszanych wiatrem czy też szmer wody opływającej kamienie. To coś innego.

Trzask gałązki. Kiedy sobie to uświadomiłam, zeszywniałam. Staralam się nawet nie oddychać. A kiedy z tych nerwów musiałam jednak przelknąć, bo inaczej chyba bym się zadławiła własną śliną, byłam pewna, że to przelknięcie plus walenie mego serca słychać po całym lesie. Taka wiadomość wysłana daleko w noc: Hej, hej! Jesteśmy tutaj!

Znów trzask gałązki. Tym razem wyczułam, że Epi poruszyła się.

Tak. Podniosła łeb i patrzyła w las.

O skrzydlatych stworach, wiadomo, nie sposób było zapomnieć. O ich przerażającym wyglądzie, o tym, jak podczas przemarszu Fomorian cały las wydawał się oddychać, pulsować zgodnie z rytmem niezwykle podskoków. O tym, do jakiego stopnia są okrutni.

Nie, to stanowczo nie jest mój świat. Działają tu siły dla mnie niepojęte, ale ja, postępując zgodnie z filozofią Scarlett O'Hary, i tak wyłączyłam szare komórki. Pomyślę jutro o tym, o czym powinnam pomyśleć wczoraj! O tym, że ludzie stwory w Zamku MacCallana dokonali strasznej rzezi. Silni, odważni, uzbrojeni mężczyźni nie dali rady ich powstrzymać, ale dla mnie to nieistotne! Ja i tak postanowiłam pojeździć sobie po okolicy.

Ja, czyli kompletna idiotka, z tym durnym nastawieniem kobiety nowoczesnej: Dasz sobie radę,

dziewczyno!

To, że chcę pochować tatę, a przede wszystkim sprawdzić, czy może jednak przeżył, jest czymś bardzo naturalnym. Akurat to nie podlega żadnej dyskusji. Ale to, że starając się być Dobrą Córeczką, zachciało mi się zabić siebie, a przy okazji cudownego konia, jest Największą Głupotą Pod Słońcem. Tata pierwszy by tak powiedział.

Znów szelest, znów trzask łamanej gałązki. Coś ciężkiego zbliżało się do nas. Oczyma wyobraźni widziałam już potwory z rozłożonymi skrzydłami w tych swoich dziwacznych, szybujących podskokach. Znów cichy trzask, znów cisza. No tak, teraz przerwa, nic nie słysząc, bo ten stwór właśnie szybuje nad ziemią! Boże wielki, jestem po prostu debilką. Nie tylko nie pochowam mojego taty. Finał wycieczki kretyнки będzie tragiczny, w porównaniu z nim to, co potrafią pokazać w CSI, to naprawdę pestka.

Epi zarżała i zerwała się na równe nogi, ja też natychmiast poderwałam się z ziemi. Stałam tuż obok klaczy, głaszcząc ją po szyi i szepcząc do ucha słowa otuchy, a jednocześnie gorączkowo zastanawiałam się nad Planem A. Niestety ani college, ani lata pracy w szkole nie przygotowały mnie do tak paraliżującego strachu. Bo to właśnie teraz odczuwałam, kiedy razem z Epi patrzyłyśmy, jak z lasu wylania się coś wielkiego o ostrych zarysach i na moment znika. Czyli zjeżdża po zboczu.

Czyli zbliża się do nas.

A ja... no cóż. Tak jak powiedziałam, stało się ze mną to, co zgodnie z moim założeniem nigdy nie miało nastąpić, nawet w sytuacji ekstremalnej. Sparaliżowało mnie jak sarnę, która stoi na środku drogi i czeka, aż zmiażdży ją potężny osiemnastokółowiec.

Natomiast Epi zaimponowała mi swoją odwagą.

Z podniesionym czołem czekała na wroga. Uszy ustawione do przodu. Nie okazywała żadnego lęku. Konie są po prostu niesamowicie odważne. To dla mnie zaszczyt, że mam ją u swego boku, kiedy nadejdzie koniec...

– Lady Rhiannon?

Niski głos, chyba... znajomy. Nic dziwnego, że na moment kompletnie mnie przytknęło. A więc jak to... Czyżby te ohydne stwory miały głosy podobne do ClanFintana?

Epi zarżała cicho. Wyraźnie... na powitanie! Wtedy odetknęło mnie.

– ClanFintan?!

– Jest tutaj! – zawołał ktoś o głosie ClanFintana i nagle na kamienistym brzegu zaroilo się od istot... czworonożnych.

Konie?! – Szybko rozpalcie ognisko! Dziś wyjątkowo ciemno!

Zaszeleściły zarośla, ktoś przesuwiał kamienie. Błysnęło, jakby rozpalano ogień krzesiwem. Nie widziałam jednak tego dokładnie, nie tylko dlatego, że była noc. Także dlatego, że widok przesłonił mi wielki koń, który nagle pojawił się przede mną.

Koń wyraźnie wkurzony.

– Rhiannon? Co z tobą?

– Ze mną wszystko w porządku, ale Epi ma problem z kopytem.

– Epi?

– Tak, Epi. To znaczy klacz Epony.

Chyba o to mu chodziło, prawda?

Parę metrów od rzeki rozbłysło ognisko. Teraz już widziałam i nie miałam żadnych wątpliwości, że przede mną stał

ClanFintan. Minę miał bardzo groźną, nawet wziął się pod boki.

To znaczy ręce miał oparte na tej ludzkiej talii.

– Która noga?

– Przednia, prawa. – Przeszłam pod szyję Epi, przykucnęłam i przejechałam ręką w dół jej nogi. – Nie jest ani spuchnięta, ani gorąca. Moim zdaniem odbiła sobie podszewę.

Zresztą zobacz sam.

Epi posłusznie podniosła nogę, a ja przytrzymałam ją.

ClanFintan nachylił się, jego silne palce zaczęły naciskać te same miejsca, które przedtem naciskały moje, o wiele mniejsze palce. Kiedy nacisnął na chore miejsce, Epi wydała z siebie cichy dźwięk i ClanFintan od razu cofnął rękę. Poglaskał klacz po szyi, coś do niej powiedział bardzo łagodnie i tak jakoś śpiewnie. Może po gaelicku, w każdym razie nie rozumiałam ani słowa.

Ostrożnie postawiłam nogę Epi z powrotem na ziemi.

– Poważne stłuczenie – stwierdził ClanFintan. Spojrzenie miał groźne, ton oskarżycielski.

No cóż... W jakimś sensie musiałam przyznać mu rację.

– Kiedy to się stało?

– *Kiedy wspinałyśmy się na wysoki brzeg, musiała nastąpić na ostry kamień.*

– *Mogła złamać nogę!*

– *Przecież wiem! Bardzo dobrze! Nie musisz się teraz nade mną pastwić...*

Byłam bliska łez. Epi, moja kochana Epi, trąciła mnie pyskiem. Wtuliłam twarz w jej szyję, a ClanFintan odezwał się już głosem o wiele łagodniejszym:

– *Dojdzie do siebie.*

– *Wiem!*

Ty powiedziałaś. Chwała Bogu!

– *Chodźcie do ogniska. Jest zimno.*

Wziął mnie pod łokieć i znów powiedział coś cicho do Epi.

W rezultacie poszłyśmy z nim obie, pokorne jak dwie małe dziewczynki, które porządnie narozrabiały. ClanFintan nakierował mnie na duży kamień, który wyglądał w miarę wygodnie (najważniejsze, że zdążył już się nagrzać przy ognisku,) i zaczął wydawać rozkazy swoim ludziom/koniom/wszystko jedno. Nagle nie wiadomo skąd pojawił się koc. Zarzucono mi go na ramiona, a kilku centaurów masowało Epi, która stała spokojniutko bardzo zadowolona.

Kawałek dalej kilku centaurów rozpalało drugie ognisko.

A kiedy zauważyłam, że z dużych sakw wyjmują – nie szaleją, moje serce – różne wiktuały, omal nie podskoczyłam z radości.

Po chwili spotkała mnie kolejna miła niespodzianka, mianowicie ClanFintan wręczył mi coś miękkiego, podobnego do worka. Przedtem wyjął z niego korek.

– Napij się, milady. To pomoże ci odzyskać siły.

W podtekście – także rozum. Zresztą o niego szło przede wszystkim. Co do tego byłam absolutnie zgodna z ClanFintanem, dlatego nie wszczynałam niepotrzebnej dyskusji.

Wino było mocne, czerwone i wyjątkowo dobre.

Spojrzałam na Epi i zauważyłam z wielkim zadowoleniem, że jeden z centaurów powiesił na jej szyi torbę z obrokiem.

Klaczka skwapliwie zanurzyła w końskich pysznościach pysk i zaczęła przeżuwać. A mnie, jak na razie, tylko ślinka napływała do ust, kiedy doleciał do mnie zapach czegoś smażonego. Och, cudowny zapach, nic więc dziwnego, że w brzuchu od razu mi zaburczało.

– Nie zabrałaś ze sobą nic do jedzenia? – spytał ClanFintan z wyraźnym niedowierzaniem.

– No... nie.

Bez słowa odwrócił się i odszedł. Nagle okazało się, że bardzo mu się śpieszy do tego drugiego ogniska.

Zostałam sama, no, z poczuciem, że jestem bardzo głupia, po prostu beznadziejna. Trudno. Przykucnęłam pod tym moim kocem, przyciskając do piersi bukłak. Starłam się nie dociekać, z którego to nieszczęśnika zdarli skórę, żeby zrobić ten bukłak.

ClanFintan wrócił po chwili. Przyniósł dwa złożone suchary, a w środek wetknięto cudownie

pachnący kawał mięsa.

Dodatkowo jeszcze plaster wonnego żółtego sera. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie jadłam czegoś tak dobrego.

– Proszę. Na pewno jesteś bardzo głodna.

– Dzięki!

Wyrwałam mu zarcie z rąk i natychmiast zaczęłam gryźć, chrupać i przeżuwać, popatrując jednocześnie, jak ClanFintan sadowi się po drugiej stronie ogniska. Tylko on, bo zauważyłam, że pozostałe centaury – cała dziesiątka – zgromadziły się wokół

drugiego ogniska i gadały tam sobie sympatycznie, bez wrzasku.

Ich przyciszone głosy stanowiły bardzo przyjemny akompaniament do szmeru płynącej rzeki.

– Dlaczego wyjechałaś ze świątyni? – spytał ClanFintan, zmuszając mnie, bym skupiła się ponownie na tym, co dzieje się tutaj, przy pierwszym ognisku.

Przełknęłam kawałek pysznego sera, popiłam winem.

– Chciałam sprawdzić, co z tatą.

– Dlaczego nie poprosiłaś, żebym ci towarzyszył?

– Nie poprosiłam, bo... bo...

– Rhiannon, wiem doskonale, że nie chciałaś się ze mną wiązać. Wiem, że choć zostałam twoim mężem, jestem ci całkowicie obojętny. Ale złożyłem przysięgę, że będę cię szanował i chronił, a

twoje dobro zawsze postawię na pierwszym miejscu. Mimo to... – spojrzał na rzekę – ...uciekłaś.

Sama wybrałaś się w drogę. Beze mnie. To dla mnie zniewaga.

Nie zasłużyłem sobie na takie traktowanie.

No tak. Ci wspaniali mężczyźni i ich monstrualne ego.

Ożeż ty!

– Wcale od ciebie nie uciekłam.

– A jak to nazwać?

Nadal nie patrzył na mnie.

– Po prostu do głowy mi nie przyszło, że pojechałbyś ze mną.

Teraz spojrzał na mnie. Widziałam, że moje słowa przyprawiły go o szok.

– Jesteś Wybranką Epony, moją towarzyszką życia.

Oczywiście, że pojechałbym z tobą.

– Tak? Przecież nie chciałeś, żebym jechała! Ani ty, ani Alanna!

Co szkodziło dodać o Alannie?

– Rhiannon, oczywiście że i ja, i Alanna nie chcieliśmy, byś wybierała się w tak niebezpieczną podróż, i to w sytuacji tak bardzo dla ciebie bolesnej, ale przecież jesteś Wielką Kapłanką Epony. Czy ktokolwiek ci już czegoś odmówił?

Był bardzo, bardzo zdziwiony. Czyli wychodziło na to, że popełniłam zwyczajne faux pas.

– Przepraszam... – bąknęłam, opuszczając głowę. Z tego zdenerwowania nawet zaczęłam skubać nitkę wystającą z koca.

– Wiesz sam, co przedtem przeszłam, bardzo też się niepokoję, co z moim ojcem. Dlatego nie pomyślałam... – Ostrożnie zerknęłam na wkurzonego małżonka. Chyba trochę złagodniał. – Przepraszam – powtórzyłam. – Oczywiście, że powinnam była przedtem powiedzieć ci o swoich zamiarach.

A ClanFintan aż zamrugał oczami. Teraz musiał być chyba przede wszystkim zaskoczony. Prawdopodobnie Rhiannon nieczęsto używała słowa „przepraszam”.

– Przyjmuję twoje przeprosiny, Rhiannon. Jestem szczęśliwy, że odnaleźliśmy cię całą i zdrową.

– Tylko mnie, niestety. Bo Epi... – Spojrzałam z niepokojem na klacz, która wciąż przeżuwała z wielkim zadowoleniem. – Naprawdę dojdzie do siebie?

– Tak. Potrzebuje odpoczynku, ale niebawem będzie mogła znów cię ponieść na swym grzbiecie, gdy wybierzesz się na nową ucieczkę.

– Ale ja... – ClanFintan uśmiechnął się. Aha, czyli żarcik.

Dobrze, niech będzie, tym razem mu daruję. Byłam na tyle łaskawa, że dodałam grzecznie: – Jeszcze raz bardzo przepraszam, że sprawiłam tyle kłopotu.

– Zapomnijmy już o tym, Rhiannon.

W blasku ognia jego oczy błyszczały. Roztańczone płomienie ułatwiały mi też wgląd w cudowną klatę, widoczną między połami rozpiętej kamizelki.

O nie! Zdaje się, że mam apetyt nie tylko na suchary, mięso i ser! Czyżby droga, rozpustna Rhiannon wysyłała tu jakieś fluidy? Tylko nie to...

Skoncentrowałam się na jedzeniu, starając się ignorować fakt, że ClanFintan wciąż mi się przygląda. Bo mały problem zaistniał. Oczywiście, że nie byłam kobietką, która tak dla sportu rzucałaby się na pierwszego faceta (czy tam konia), który jej się nawinie. Ale ClanFintan nie tylko mi się nawinął.

On wzbudza we mnie regularne ciągotki.

A może to te winogrona...

Jeśli temat staje się niewygodny, po prostu go zmień.

– ClanFintanie, czy wieśniacy przybywają już do świątyni?

Super. Mój małżonek skończył z wizualną pieszczotą i zmienił się w pana Urzędowego.

– Tak. Rozesłałem po okolicy twoich strażników i kilku moich centaurów. Przekazują wszystkim wieść o tym, co się stało, i pomagają w transporcie ludzi i dobytku do świątyni.

– Czy widziano już gdzieś tych stworów?

– Nie. Wysłaliśmy gołębie pocztowe do wszystkich przywódców klanów, ostrzegając ich przed wrogiem i prosząc, by każdą wiadomość o Fomorianach przekazywali nam natychmiast. Wszyscy przywódcy przesłali już odpowiedź. Nie przyszła tylko od... – tu chwila przerwy – MacCallana.

I z Warowni.

– Myślisz, że nadal są w Zamku MacCallana?

– Nie wiem, milady.

Wpatrując się w moją do połowy zjedzoną kanapkę, zastanowiłam się przez moment, zanim zadałam pytanie nad wyraz konkretne:

– ClanFintanie, czy nadal byłbyś skłonny zawieźć mnie do Zamku MacCallana, nawet jeśli istnieje możliwość, że te stwory dalej tam są?

– Naturalnie. Przez cały ten rok zawiozę cię, milady, wszędzie, dokąd tylko będziesz chciała. Wystarczy, że mnie poprosisz – odparł, patrząc mi prosto w oczy.

– Z obowiązku?

Spokojnie wytrzymywałam jego wzrok, uświadamiając sobie jednocześnie, że wcale nie chcę, żeby robił to tylko z obowiązku.

– Złożyłem ci przysięgę.

O nie! Ten jego cudny głos... po prostu hipnotyzujący!

– *W takim razie proszę, zawieź mnie tam, bym mogła...*

pochować mego ojca.

Koniec hipnozy. Teraz mój głos cichł, załamywał się, poruszyłam przecież sprawę, do której, mówiąc oględnie, miałam stosunek bardzo emocjonalny.

– *Tak, lady Rhiannon. Zawiozę cię tam i ochronię.*

– *Będziesz cały czas przy mnie?*

– *Oczywiście, i to tak blisko, jak tylko sobie życzysz.*

Ożeż ty! Ależ to było naładowane treścią! Nic dziwnego, że w myślach poszłam na całość i zaczęłam się zastanawiać, w jaki sposób prosi się ClanFintana, by zmienił postać. Och przecież wiadomo, w jakim celu. Czy jest jakaś specjalna formułka? Czy to sytuacja podobna do tej, kiedy przeprasza się na momencik partnera/partnerkę, żeby się zabezpieczyć?

Brzęk naczyń skutecznie oderwał mnie od spraw sypialni.

Tak, sypialni, a więc jednak do tego doszło... W rezultacie zrobiłam się czerwona jak burak. Na pewno, bo policzki paliły i poczułam się koszmarnie. Zauważyłam jednak, że ClanFintan, który oczywiście dostrzegł mój rumieniec, uśmiechnął się jakoś tak bardzo ciepło i mój nastrój błyskawicznie uległ diametralnej zmianie. Nagle poczułam głupią radość, że należę do kobiet, które się rumienią. Więcej – poczułam się jak głupawa nastolatka. (Dla ścisłości: wszystkie nastolatki bez wyjątku są trochę głupie).

– *Na pewno jesteś ledwie żywa, Rhiannon.*

Oczywiście! Skoro w głowie mi łóżko... Po twarzy ClanFintana znów przemknął uśmiech, zupełnie jakby czytał

w moich myślach. A ja, głowę sobie dam uciąć, na pewno znów się zarumieniłam.

– Odpocznij więc, milady, a ja pójdę powiedzieć moim centaurom, co zamierzamy zrobić.

Wstał i zaczął przemieszczać się do drugiego ogniska.

– A co zamierzamy? – zawołałam za nim.

Zatrzymał się. Ależ on pięknie wygląda w tym blasku ognia! Bardzo apetycznie...

– Będziemy ci towarzyszyć do Zamku MacCallana.

No tak, wiadomo.

– A co z Epi, przepraszam, z Eponą?

Klaczka, słysząc swoje imię, zastrzygła uszami, na co posłałam jej ręką całuska.

– Zostanie tutaj z dwoma centaurami, którzy będą jej doglądać.

– Świetnie. Tylko jest mały problem. Na czym ja pojedę?

Masz jakiegoś konia dla mnie?

Poprosiłeś któregoś ze swoich znajomych, żeby przyjechał

tu z tobą? Ha, ha!

– Nie.

Uśmiech ClanFintana zdecydowanie się poszerzył.

– Mam iść na piechotę?!

Przecież to będzie trwało wieczność!

– Nie.

Teraz to bardzo przypominał kota z Cheshire, tego dziwaka z „Alicji w Krainie Czarów”.

– A więc jak?!

Bo i jak on to sobie właściwie wyobraża?

– Wsiądziesz na mnie.

Powiedział, co wiedział. Złożył mi wytworny ukłon, tak bardzo wytworny, że będący samą ironią, i poszedł do drugiego ogniska.

A mnie przytknęło. Totalnie.

Mam na niego wsiąść?! No cóż, wiem już, że gryzie.

Miejmy nadzieję, że nie bryka, nie bije zadem, nie strzela z grzbietu.

Ciekawe, jak by Duke (przypominam: pseudonim Johna Wayne'a) poradził sobie z tym właśnie wierzchowcem?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wino, jedzenie i ciepło czynią cuda. Kiedy ClanFintan położył obok mnie miękkie czaprak, ten sam, który miałam na Epi, by mi posłużył za poduszkę, i kazał się przespać, byłam już w stanie tylko wymamrotać:

– Dzięki... – i natychmiast zapadłam w zdrowy i głęboki sen, bez żadnych dodatkowych atrakcji.

Kiedy po jakimś czasie znów otworzyłam oczy, na pewno –i niestety – zaczerwienione, byłam przekonana, że spałam tylko chwilkę. A otworzyłam je, bo poczułam zapach smażonego mięska. Cudowny... Przeciągnęłam się. I to był wielki błąd. Jak to możliwe, żeby człowieka bolały wszystkie bez wyjątku mięśnie? Bolały mnie nawet włosy!

– O nie...

Ustawianie w pionie mojego starego, umęczonego ciała odbywało się raczej głośno, przy czym popełniłam kolejny błąd, pozwalając sobie zerknąć w stronę drugiego ogniska. Wtedy zobaczyłam jedenaście par oczu wlepionych we mnie. Oczu centaurów. Nie, dwanaście, z tym że ta dwunasta należała do Epi, która patrzyła na mnie ze zwyczajnym końskim uwielbieniem. Natomiast pozostałych jedenaście patrzyło z wyraźnym rozbawieniem.

– Coś się stało? – spytałam w stronę tych jedenastu.

– Ależ nic, milady!

Przynajmniej mieli w sobie na tyle przyzwoitości, żeby próbować wyglądać na zmieszanych. No, leciutko zmieszanych.

– Ci cholerni faceci...

Mamrocząc pod nosem, poklepałam czule ukochaną Epi i pomaszero wałam nad rzekę. Moim największym marzeniem była szczoteczka do zębów. Ale cóż... Ostrożnie pochyliłam się nad wodą – co wcale nie było zabawne, o nie – ale po umyciu twarzy zimną wodą i wyplukaniu ust (szczoteczkę do zębów zastąpił palec) poczułam się zdecydowanie lepiej.

Niestety, nie wszystko było jeszcze idealne. Musiałam się przecież wysikać.

Zdecydowanym krokiem ruszyłam w dół rzeki. Niełatwo jest jednak maszerować w taki czy inny sposób, kiedy twoje uda krzyczą za potrzebą prawie tak samo rozpaczliwie jak Richard Simmons (ten z telewizji, od odchudzania) w sklepie ze słodyczami. (Dziewczyno, daj sobie w końcu spokój z tymi głupimi porównaniami!). W pewnym momencie coś mnie tknęło. Zatrzymałam się i powolutku odwróciłam. I znów zobaczyłam dwanaście par oczu wlepionych we mnie. Jeden z centaurów, zdecydowanie najbardziej z nich przystojny –przypadkiem mój mąż – wyraźnie był gotowy mi towarzyszyć.

O nie! Jakby brak papieru toaletowego to było jeszcze za mało!

Wykluczone. Pan Ed, choć ładniutki, nie ma prawa ruszać swego zarośniętego tyłka.

– Idę sobie do... no, wiesz...

Skinęłam głową w stronę lasu.

– W razie potrzeby zawołaj – powiedział ClanFintan. Jezu, jaki wredny! On i ta cała reszta. Widziałam przecież te ich głupie uśmieški.

– Po moim trupie... – wymamrotałam, kuśtykając przez krzaki, drapiąc się przy tym zawzięcie, a to z powodu frontalnego ataku cholernych muszek.

Mówiłam już wam, że nienawidzę wszelkich odmian kempingu?

Ruch to podobno panaceum na obolałe mięśnie. Pożyjemy, zobaczymy...

Gdy wracałam do naszego obozowiska, nie mogłam się doczekać, kiedy to w końcu mój tyłek i uda zaczną zachowywać się normalnie. Niestety, nie uznawały żadnych standardów.

Nawrzeszczały na mnie: Odbiło ci? Panaceum jej się zachciewa!

Zapomniałaś, ile mamy lat? Trzydzieści pięć! Powinnaś ruszać się jak najmniej i karmić nas batonikami Twinkie! I tak trzymać!

A przede mną długi, naprawdę ciężki dzień.

Ognisko, koło którego spałam, było już ugaszone, podeszłam więc do drugiego, zajętego przez centaurów.

Natychmiast zrobiono mi miejsce, a jeden z nich (bardzo ładny, cudnie żółciutki z białym ogonem) wręczył mi dużą kanapkę z mięsem.

– Dziękuję.

Gdy uśmiechnęłam się miło, koniochłopczyk skłonił się wdzięcznie. Oni wszyscy naprawdę są niebrzydki.

Do ogniska podszedł ClanFintan. Centaury też od razu zrobiły dla niego miejsce, oczywiście obok mnie.

– Jak się czujesz, milady? – spytał uprzejmie.

Na co ja:

– Nieźle, tylko cztery litery bolą mnie jak cholera.

Ładniutki palomino omal nie udławił się swoją kanapką, kilku innych centaurów raptem dostało napadu kaszlu. A ja po prostu się do nich uśmiechnęłam. Chyba się odprężyli. I dobrze.

Zależało mi, żeby nie widzieli we mnie tamtej okropnej Rhiannon.

ClanFintan patrzył na mnie wzrokiem wprost roziskrzonym.

– Może mógłbym coś dla ciebie zrobić?

Oczywiście, że mógłby. Masaż pośladków, ale o tym wolałam nie wspominać w obecności członków jego stada.

– Dziękuję, raczej nie... – bąknęłam. Moje spojrzenie mimo woli przemknęło po jego szerokim grzbiecie, czyli tam, gdzie niebawem będę musiała umieścić swój szanowny tyłek. – Chyba że jesteś w stanie zmienić się w wygodne łóżko, na którym twoi kumple zaciągną mnie do Zamku

MacCallana.

Moje spojrzenie przemknęło po twarzach wszystkich obecnych. Zrobiłam tak specjalnie, na znak, że mój żarcik kieruję do wszystkich. W odpowiedzi usłyszałam gromki śmiech. Kilku z nich klepnęło ClanFintana po plecach. Jeden z nich, przysięgam, powiedział:

– Ale cię zażyła, co?

ClanFintan też się śmiał, widać było, że lubi pożartować z podwładnymi. Ja też się śmiałam i w sumie zrobiło się bardzo sympatycznie. Poczułam się zintegrowana z grupą, a ta głupia Rhiannon na pewno zawsze zadzierała nosa.

– Proszę wybaczyć, milady – odezwał się po chwili ClanFintan – ale nie potrafię zmieniać się w coś, co nie oddycha.

– Wybaczam, milordzie. Proszę tylko, byś obchodził się ze mną łagodnie.

– Nie może być inaczej...

Uśmiechnął się i delikatnie zaczesał mi za ucho rudy kosmyk. Widziałam ponad jego ramieniem, jak kilku niepoprawnych centaurów wymieniło znaczące spojrzenia.

Jak dobrze, że Rhiannon nie dała rady spaprać wszystkiego.

Naprawdę chciałam, żeby mnie polubili. W porządku, będę do końca szczerą. Jeśli chodzi o Wielkiego Szamana, to jasne, że chciałam od niego czegoś zdecydowanie więcej. Ale co do tej reszty... Takie porządne, miłe chłopaki/konie/wszystko jedno.

Naprawdę zależało mi na zdobyciu ich sympatii.

– Czas nagli, milady – powiedział ClanFintan. – Kiedy skończysz śniadanie, ruszamy w drogę.

– *Dobrze...*

Gdy się zawahałam, spytał:

– *Coś nie tak?*

Spojrzałam przez ramię na Epi.

– *Martwię się o nią.*

– *Nie ma powodu. W tym czasie wydobrzeje. I na pewno będzie tu bezpieczna.*

– *Jesteś pewien?*

Przed oczyma na moment pojawił się obraz skrzydlatych stworów.

– *Każdy z nas odda życia za nią i za ciebie, milady.*

Mówił serio. Ale ja oczywiście wcale nie chciałam, żeby ktoś oddawał życie za moją klacz czy za mnie. Niemniej słysząc tę deklarację, aż dostałam gęsiej skórki. I po prostu mnie przytknęło. Znowu. Moi uczniowie byliby zachwyceni, że ich pani od angielskiego w tak krótkim czasie zaniemówiła już po raz drugi.

– *Może chcesz się z nią pożegnać? Powiedzieć jej, że niebawem tu wrócisz?*

No proszę, ile w nim wyczucia!

– O... oczywiście! – wybelkotalam z pełną buzią i swoją obolałą, a zarazem obżerającą się osobę przemieściłam do klaczy, która pasła się nieopodal. – Cześć, skarbie! – Poglaskałam ją po policzku, nie szczędząc słów miłości. Epi trąciła mnie nosem, a ja oparłam się głową o jej szyję i wyszeptalam do srebrzystego ucha: – Kochana moja, muszę niestety wyjechać na kilka dni. ClanFintan zabiera mnie do zamku... – Klaczka wygięła smukłą szyję, żeby spojrzeć mi prosto w twarz. – Nie martw się, Epi. ClanFintan wyznaczył już centaurów, które zostaną tutaj i będą się tobą opiekować.

A ClanFintan mną, tak więc żadnej z nas nic złego nie może się przytrafić... – Chwała Bogu, chyba się trochę uspokoiła. – Muszę ci się przyznać, Epi... – jeszcze bardziej ściszyłam głos – że mam trochę pietra przed tą jazdą do zamku. Będę jechała na ClanFintanie, rozumiesz? Przez cały dzień będę go miała między nogami. Jak moje hormony to wytrzymają?

Epi, wydawszy z siebie długie westchnienie, spojrzała na mnie bardzo wymownie. Jakby mówiła:

– Wiesz co? Najlepiej się niczym nie przejmuj. Będzie, jak będzie. W razie czego idź na całość.

Czy ona nie jest kochana?!

Pocałowałam ją w mięciutkie, aksamitne chrapy.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, Epi. Kocham cię.

Trzymaj się! I bądź grzeczna.

Czułam się prawie jak matka, która swego malucha po raz pierwszy zostawia w przedszkolu.

– Lady Rhiannon!

ClanFintan był wyraźnie zniecierpliwiony.

– Już idę!

Centaury były gotowe do drogi. Noc była bardzo ciemna, dlatego przedtem nie zauważyłam, z jakim rynsztunkiem centaur wyrusza w teren. Teraz zobaczyłam. Każdy z nich miał przewieszane przez koński grzbiet sakwy, a przez ludzkie plecy – groźnie wyglądający długi miecz przymocowany pasami do torsu. Tak, te miecze naprawdę wyglądały groźnie. A z tych sakw zapewne wyciągają jedzenie, stamtąd też wziął się koc.

Ciekawe, co one tam jeszcze mają...

ClanFintan stał na uboczu w niewielkiej odległości od ośmiu centaurów, naszej zbrojnej eskorty w drodze do zamku.

Imponujący tors mojego małżonka obracał się to w jedną, to w drugą stronę, ClanFintan bowiem instalował właśnie na swoim końskim grzbiecie siodło. Dla mnie, rzecz jasna.

Czyli to już... Szybko przełknęłam ostatni kęs i wstałam.

Nadeszła pora, jak to mówią, chwycić byka za rogi.

ClanFintan, kiedy zobaczył, że podchodzę, dociągnął popręgi i spuścił strzemiona.

– Gotowa?

– Jasne.

I stałam. Gapiałam się. Był większy od Epi, a to oznaczało, że z wsiadaniem będę miała naprawdę

duży problem. Sama na pewno tego nie zrobię.

– Pomóc ci?

Miałam wrażenie, że bawi się wspaniale, oczywiście moim kosztem. Zerknęłam na resztę chłopaków. Wszyscy, jak jeden mąż, natychmiast zajęli się wnikliwą obserwacją miejscowej flory i fauny.

– Tak – wyznałam, uśmiechając się promiennie. – Ten jeden jedyny raz.

ClanFintan, a jakże, odwzajemnił uśmiech, po czym pochylił się i lewą ręką chwycił mnie mocno pod mój lewy łokieć.

– Hop na trzy. A więc raz, dwa i... trzy!

I już byłam w górze. Omal nie przeleciałam na drugą stronę. ClanFintan był o wiele silniejszy, niż się spodziewałam, albo ja lżejsza, niż on się spodziewał. W każdym razie musiałam szybko chwycić go za ramiona, żeby nie spaść z tej drugiej strony.

I stęknęłam:

– Uch...

– Bardzo mi przykro.

Oczywiście, że wcale mu nie było przykro!

– Och, nie przejmuj się! – rzuciłam słodko. – Nie na każdego konia wsiada się tak łatwo jak na moją Epi!

Punkt dla mnie. Teraz zajęłam się wsuwaniem stóp w strzemiona. Kiedy byłam już gotowa, spytałam niewinnym głosem:

– Mam cmoknąć czy ścisnąć cię tydkami?

Przełknął i to.

– Po prostu trzymaj się mnie mocno. Tak się składa, że sam będę wiedział, kiedy ruszyć.

Pomachałam Epi na pożegnanie, a ClanFintan ruszył do przodu, reszta centaurów za nami. Kiedy pokonywaliśmy stromy brzeg, odruchowo chciałam chwycić się za przedni łęk, którego przy tym siodle nie było. Czyli mamy pierwszy problem z zestawu Jazda Wierzchem Na Mężu.

– A czego mam się trzymać? – spytałam.

W odpowiedzi spojrział tylko przez ramię i uśmiechnął się.

Nie miałam już najmniejszych wątpliwości, że drogi małżonek bawi się świetnie. Jak już wspomniałam, moim kosztem.

Ale po chwili poinstruował mnie:

– Połóż ręce na moich ramionach albo obejmij mnie w pół.

Jak wolisz.

W odpowiedzi pociągnęłam go za gruby koński ogon (gwoli wyjaśnienia: na głowie).

– A może będę trzymać się za to?

Centaurzy, które biegły obok nas, zaśmiały się cicho.

ClanFintan też.

– Wolałbym nie.

– W porządku. Nie ma sprawy.

Ale znów punkt dla mnie, prawda?!

Mój małżonek, kiedy tylko pokonał brzeg, od razu ruszył

szybkim galopem przez las. Oparłam ręce na jego ramionach, zachwycona tym, jakie to tam wyczuwam mięśnie. I, bądźmy szczerzy, pod udami też. ClanFintan miał bardzo ładny chód, jechało mi się na nim naprawdę super. Po chwili zrelaksowałam się całkowicie i zaczęłam się cieszyć samą jazdą.

– ClanFintanie – zagadnęłam po jakimś czasie do jego ucha – jak długo wytrzymasz w galopie?

Przypominało to trochę rozmowę podczas jazdy motocyklem, oczywiście z tą różnicą, że nie słychać było ryku silnika.

– A... jakiś czas na pewno.

Nachyliłam się ku niemu jeszcze bardziej, mój biust dotknął jego pleców. (Spokojnie! Przecież to mój mąż!).

– Epi moim zadaniem wytrzyma niecałą godzinę, nie dłużej.

Na pewno czuł na uchu mój oddech. Czy to możliwe, że to, co pojawiło się teraz na jego nagim ramieniu, to gęsia skórka?

Reakcja na muśnięcia mojego oddechu? Nie, chyba raczej na mój biust. I kto by pomyślał, że ClanFintan jest taki wrażliwy!

Na mnie! Byłam wniebowzięta.

– Centaury są o wiele bardziej wytrzymałe niż konie... – tu króciutka przerwa, oczywiście, dla większego efektu – i ludzie.

Jego głos stał się nagle jeszcze niższy, a mnie nagle zrobiło się jakoś tak bardzo przyjemnie. Odczucie trochę było podobne do tego, jakby przeleciał przeze mnie prąd od pasa w dół, jakby...

O nie. Jakbym wpadła w sidła gorącego romansu! Nie teraz, jeszcze nie teraz, dziewczyno!

– Miło usłyszeć – szepnęłam mu do ucha, ściskając silne ramiona męża i jednocześnie dochodząc do pewnego wniosku.

Ostatecznego. Rhiannon była po prostu głupia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wcale nie podążaliśmy ścieżką, którą przybyłam tu razem z Epi, lecz przez las, oddalając się od rzeki, i w którymś momencie natrafiliśmy na wyraźnie uczęszczaną drogę, czyli taką, jakiej ja unikałam jak ognia. Dojechaliśmy do rozstaju i pojechaliśmy na północny zachód, zdecydowanie coraz bardziej oddalając się od rzeki. Przywołując w pamięci moją powietrzną wyprawę w czasie snu, doszłam do wniosku, że podążamy niewątpliwie krótszą drogą niż z biegiem rzeki.

A poza tym byłam pod wrażeniem wytrzymałości centaurów. Byli nie do zdarcia. Do tego, gdyby ClanFintan nie wiozł mnie na swoim grzbiecie, on i jego kumple z pewnością biegliby jeszcze szybciej.

Na drodze panował ożywiony ruch, z tym że wszyscy podążali w odwrotnym kierunku niż my. Były to chłopskie rodziny. Kobiety z dziećmi jechały na wozach, mężczyźni szli pieszo albo jechali konno, prowadząc kilka sztuk bydła czy innych zwierząt domowych. Trochę byłam zaskoczona wyglądem tych ludzi. Sprawiali wrażenie sytych i zamożnych, a przecież inaczej wyobrażałam sobie tutejszych wieśniaków.

Tymczasem daleko im było do wychudzonych biedaków z zepsutymi zębami i zawszonymi głowami. Szczerze mówiąc, oprócz tego, że wyglądali zdrowo, byli również po prostu ładni.

Prawie tak ładni jak ich świetnie zadbane konie. Z tym że i tak moja Epi była najpiękniejsza. ClanFintan oczywiście nie zaliczał

się do koni, ale to, co miał z konia, też było najpiękniejsze.

Wcale nie ukrywam, że to również był dla mnie powód do zadowolenia.

Zanim miałam okazję zetknąć się z miejscową ludnością, zastanawiałam się, czy ktokolwiek mnie rozpozna. Ten dylemat rozwiązała już pierwsza mijająca nas rodzina wieśniaków.

Pozdrowili centaurów, a kiedy zauważyli mnie, natychmiast się zatrzymali i uprzejmość przerodziła się w entuzjizm.

– *To Epona!* – *zawołała matka jadąca na wozie wypełnionym szczelnie kilkorgiem ślicznych dzieciaczków oraz workami i torbami, niewątpliwie z zapasami żywności. I matka, i dzieci zaczęły machać gorliwie i wznosić okrzyki na moją cześć.*

– *Epona!*

– *Błogosławimy cię, lady Rhiannon!*

– *Obyś szczęśliwie dojechała do celu podróży!*

Uśmiechałam się, też machałam i czułam się trochę głupio.

Jak Miss Ameryki na wybiegu. Nie, absolutnie nie można mnie było zaliczyć do osób nieśmiałych czy lękliwych, jednak w tego rodzaju sytuacji znalazłam się po raz pierwszy w życiu.

Wiedziałam jednak, że będę musiała przywyknąć do tego. Ci ludzie byli wobec mnie wyjątkowo sympatyczni. Chyba nie wiedzą, jaka naprawdę była Rhiannon, co dla mnie było wielkim bonusem.

I w taki oto sposób minął cały poranek. Centaury galopowały niezmordowanie, a z naprzeciwka nieustannie nadjeżdżali coraz to nowi wieśniacy zmierzający do świątyni.

Podczas jazdy nie prowadziłam z ClanFintanem ożywionej konwersacji. Nie chciałam mu przeszkadzać, zawsze przecież istniała możliwość, że mimo jego zapewnień tak długotrwały galop jest jednak dla centaury dużym wysiłkiem. Głównie więc milczałam, kontemplując okolicę czy też machając do pozdrawiających mnie wieśniaków. A wszędzie dookoła było po prostu pięknie, bujnie i zamożnie. Rozległe winnice poprzetykane polami uprawnymi i gospodarstwami wiejskimi, mnóstwo ukwieconych łąk z przewagą barwy pomarańczowej, fioletowej i żółtej. Przekraczaliśmy też kilka szmerzących strumyków, które nawadniały tę zieloną krainę. W moim Magicznym Śnie, kiedy patrzyłam na wszystko z lotu ptaka, okolica ta przypominała mi Umbrię, region w środkowych Włoszech. Teraz, z bliska, bardziej mi przypominała pojezierze w północno-zachodniej Anglii. Z tym że tutaj okolica była zdecydowanie w większym stopniu zagospodarowana, klimat cieplejszy, a opadów na pewno mniej niż u Brytyjczyków.

Ranek mijał. Kiedy przekroczyliśmy kolejny strumyk, zauważyłam nieopodal zarośla znakomicie nadające się do pewnych celów, ponieważ rosły tam między innymi krzaki o wyjątkowo dużych miękkich liściach.

– Możemy zrobić przystanek na siu? – spytałam ochoczo, chociażby dlatego, że zadając pytanie, miałam pełne prawo przysunąć się bliźutko nagich pleców ClanFintana.

– Na siu? To znaczy?

Jego ramiona pokrywała cieniutka warstwa potu, głos jednak brzmiał normalnie, żadnej zadyszki. Czyli faktycznie musiał być w formie. (Zapamiętaj raz na zawsze: on naprawdę jest super!).

– No... żeby w pewnym sensie odzyskać siły. Załatwiając pewną bardzo pilną sprawę...

Oczywiście, że nie czułam się najzręczniejszą. Wiadomo, im dłużej jesteś mężatką, tym łatwiej ci zakomunikować, że chcesz do toalety, ale z ClanFintanem nie łączyło mnie długoletnie pożycie małżeńskie, poza tym przy drodze nie widać było żadnych moteli czy stacji benzynowych, gdzie mogłabym załatwić tego rodzaju sprawę w sposób dyskretny i cywilizowany.

Tylko zarośla.

– Poza tym chce mi się pić.

– Oczywiście, że się zatrzymamy. Powinienem był sam wcześniej o tym pomyśleć. – Zwolnił i kierując się z powrotem w stronę strumienia, rzucił przez ramię do kumpli: – Robimy przystanek na siu!

Wyraźnie zdezorientowane centaury karnie podążyły za szefem. Kiedy wszyscy dobiegli do brzegu, tors ClanFintana odwrócił się w moją stronę, ręce chwyciły mnie w pól i bez najmniejszego wysiłku

wyjęły z siodła.

A moje głupie nogi, kiedy tylko dotknęły ziemi, ugięły się pode mną i musiałam – wiadomo, że była to dla mnie porażka – oprzeć się o ramię ClanFintana. On zaś zorientował się, w czym problem, i zadziałał. Nagle, dosłownie w ułamku sekundy, znalazłam się tuż przed nim, zwrócona ku niemu twarzą. W jego objęciach. Trzymał mnie tak mocno, że stopami nie dotykałam już ziemi.

– Przepraszam – bąknęłam, bardzo tym wszystkim speszona. – Ale moje nogi jakby zasnęły.

Ostrożnie podniosłam głowę, pewna, że ClanFintan śmieje się (co najmniej w duchu) z mojej chwili słabości.

Ale jego przystojna twarz była tylko i wyłącznie zatroskana.

– Nie masz za co przepraszać, Rhiannon. Jesteś bardzo dzielna, na nic nie narzekasz. To ja powinienem przeprosić, że cię zaniedbuję. Tam leży ścięte drzewo. Usiądziesz sobie na nim, a ja rozmasuję ci nogi i krew znów zacznie w nich krążyć.

Pomógł mi dojsć do przewalonego drzewa i posadził na nim. Drzewo było bardzo stare, pień potężny, więc moje nogi zadyndały w powietrzu. Żeby nie spaść, musiałam się złapać uschniętej gałęzi. Głową sięgałam talii ClanFintana, dlatego mój mąż bez problemu pozbawił mnie butów i zabrał się do mojej prawej nogi. Ugniatał i masował ją całą, zdrętwiałą podeszwę, łydkę, do kolana i z powrotem w dół, aż do palców u stóp.

Rozkosz... W tym momencie absolutnie utożsamiałam się z Marilyn Monroe. Powieki opadły mi do połowy, z ust wydobył

się efektowny jęk.

– Za mocno? – spytał zaniepokojony ClanFintan.

– Ciii... Nic nie mów. Dzięki twoim cudownym rękom moja noga doświadcza czegoś bardzo głębokiego i istotnego.

Proszę, nie przerywaj. – W gardle ClanFintana zabulgotało.

Wiadomo, zaśmiał się, a ja po chwili dodałam: – Jesteś w tym znakomity. – Specjalnie tak powiedziałam, przecież faceci uwielbiają pochwały. Potrzebują tego jak powietrza. I pochwały, i nagrody. – Dziękuję, że poświęcasz mi czas – oświadczyłam na koniec elegancko, zastanawiając się też w duchu, czym mogłabym mu jego starania wynagrodzić.

Nie zdążyłam jednak dojść do jakiegokolwiek wniosku, ponieważ moje rozważania zostały brutalnie przerwane.

ClanFintan klepnął mnie po łydce.

– Koniec. Mam nadzieję, że będzie już lepiej.

Postawił mnie z powrotem na ziemi i musiałam przyznać, że się nie mylił, bo moje nogi funkcjonowały o niebo lepiej.

Choć i tak przez moment zastanawiałam się, czy nie udawać, że dolegliwość wcale nie przeszła.

– Masz rację, dzięki. A jak stoimy z czasem, ClanFintanie?

Mam wielką ochotę choć przez chwilkę pomoczyć nogi w strumyku. Mogę?

– Możesz, ale naprawdę tylko chwilkę. Chcę, żebyśmy dojechali do zamku jeszcze za dnia.

– Myślisz, że damy radę?

Dobry nastrój znikł jak ręką odjął. Znów powiało grozą, powróciła przerażająca wizja tego, co najprawdopodobniej zastaniemy na miejscu.

– Rhiannon, a może pojedę tam sam? – spytał jakoś tak bardzo łagodnie i ciepłutko. – Możesz mi zaufać. Zrobię wszystko, co trzeba. A ty poczekaś tutaj.

– Dziękuję, ClanFintanie, ale nie. Chcę tam pojechać. To mój ojciec, czuję się za niego odpowiedzialna. Muszę zobaczyć na własne oczy, co z nim się stało.

– Rozumiem. Będę przy tobie.

Wyciągnął rękę. Zrobił to bardzo powoli, wręcz uderzająco powoli. I ujął mnie za dłoń. Dziwne, dlaczego zrobił to z takim ociąganiem? Być może wcale nie chciał okazywać mi sympatii, był bowiem przekonany, że w każdej chwili może odezwać się we mnie tamta wredna Rhiannon, która miała go za nic i wcale nie chciała za niego wyjść. Nawet tylko na rok.

A on i tak okazywał mi tyle życzliwości, dlatego w uśmiech, którym go obdarzyłam, włożyłam wiele serca. Miał

być w najwyższym stopniu promienny, życzliwy, aprobujący, pochwalający.

– Jestem bardzo szczęśliwa, że będziesz ze mną, ClanFintanie – powiedziałam, lekko ściskając jego dłoń. – Ale teraz... proszę, czy możesz zostawić mnie na chwilę samą?

Odwzajemnił uśmiech i też lekko ścisnął moje palce.

– Oczywiście. Będę w pobliżu. Gdybyś czegoś potrzebowała, zawołaj.

– A tego to ty się nie doczekasz... – mamrotałam prawie bezgłośnie, oddalając się w stronę

upatrzonych zarośli. Szłam ostrożnie, byłam przecież na bosaka. W zaroślach przebywałam tyle, ile wymagała pilna potrzeba, czyli chwilkę, po czym wróciłam nad strumyk, gdzie czekały na mnie centaury.

Przykucnęłam nad wodą, umyłam ręce i twarz, a potem piłam garściami cudowną, zimną, czyścusięnką wodę. Mało tego, podjęłam nawet próbę doprowadzenia swego wyglądu do stanu przynajmniej znośnego. To znaczy usadziłam cztery litery na suchym kawałku brzegu, nogi wstawiłam do wody i jednocześnie mokrymi palcami przeczesywałam rozbrykane loki. To właśnie była ta próba.

– Pozwól, milady.

Gdy spojrzałam przez ramię, zobaczyłam, że ClanFintan klęczy tuż za mną. W jednym ręku trzymał grzebień o grubych, szeroko rozstawionych zębach, w drugiej rzemyk, który rozpoznałam. Tym rzemykiem ClanFintan miał przedtem związane włosy (grzywę?). Teraz już nie, czyli nietrudno się domyślić, że za pomocą tego rzemyka chce poskromić moje rude loki.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, ClanFintan zdążył

zlikwidować resztki francuskiego warkocza, dzieła Alanny, i zaczął rozczesywać moje włosy tym grzebieniem o grubych, szeroko rozstawionych zębach.

I to już była superrozkosz. Zamknęłam oczy, chyba nawet cichutko wzdychałam. Niestety, nic nie trwa wiecznie, a czasami zdecydowanie za krótko, ale cóż, ClanFintan skończył

rozczesywanie. Zebrał włosy z tyłu i związał rzemykiem, oznajmiając:

– Tak będzie ci wygodniej.

Ja, jeszcze w transie, byłam w stanie wyjęczeć tylko krótkie słowa podziękowania, natomiast ClanFintan przekazał

mi dalsze instrukcje:

– Rhiannon, a teraz wytrzymaj jakoś nogi i wkładaj buty.

Musimy już ruszać.

– Dobrze. Zaraz będę gotowa.

Narwałam wysokiej trawy i zielonym wiechciem otarłam nogi. Kiedy tę czynność już wykonałam, podszedł do mnie jeden z centaurów, bardzo przyjemnie wyglądający kasztanowaty deresz, i uśmiechając się nieśmiało, wręczył mi coś, co wyglądało i pachniało jak zrazik.

Zrazik. Nic dziwnego, że na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Jakie to szczęście, że centaury nie są roślinożerne!

– Dziękuję!

– Życzę milady smacznego – bąknął milutki deresz, rumieniąc się jak panienka. Wrócił do kumpli, którzy już ustawiali się w szyku, ja natomiast, wsadziwszy sobie zrazika do buzi, włożyłam buty i trochę jednak jeszcze kuśtykając, podeszłam do ClanFintana. On też miał w ustach zrazika.

Przeżuwał, dociągając popręgi.

– Jestem gotowa – oznajmiłam.

Wyciągnęliśmy do siebie ręce. Fru! I już siedziałam w siodle. Stało się to szybciej, niż człowiek zdążyłby przeliterować na przykład wyraz „koń”.

ClanFintan wykonał półobrót i ruszyliśmy w drogę.

W sumie ta część dnia niczym nie różniła się od poprzedniej, to znaczy wciąż podążaliśmy do przodu. Po jakimś czasie poczułam, że z moimi nogami znów robi się nieciekawie, poza tym, tradycyjnie już, chciało mi się sikać. Dałam więc ClanFintanowi do zrozumienia, że łaknę

kolejnego przystanku.

Zatrzymaliśmy się. Na dziesięć minut, choć dla mnie to było dziesięć sekund. Przy okazji zaserwowano mi króciutki masaż stóp. A potem znów ruszyliśmy w drogę, przeżuając zraziki.

U centaurów, oprócz cieniutkiej warstwy potu na twarzy i torsach, nie widać było żadnych oznak zmęczenia. Dlatego ja, z tym moim totalnym wykończeniem, czułam się jak ostatnia fujara. Staralam się jednak nie pękać i nie jęczeć, co w sumie jakoś mi się udawało. Pomogły mi w tym moje myśli.

Mianowicie co jakiś czas powtarzałam sobie w duchu, że Rhiannon na pewno już dawno podniosłaby raban.

Nagle dotarło do mnie, że od dłuższego czasu nikogo nie spotykamy, droga była idealnie pusta. Winnice po prawej stronie skończyły się, zastąpił je las. Słońce na horyzoncie było już nisko, a morze zapewne blisko, bo kiedy odetchnęłam głęboko, poczułam wilgoć i sól.

Na moje niezbyt wiarygodne wyczucie podjeżdżaliśmy do zamku od wschodu.

– Chyba już niedaleko – powiedziałam spokojnym głosem, czyli stanowiącym dokładną odwrotność tego, co zaczęło dziać się we mnie, w środku.

– Tak – potwierdził ClanFintan i zwolnił, przechodząc z galopu do łagodnego kłusa. – Mówiłaś, że te stwory wyszły z lasu na północ od zamku?

– Moim zdaniem tak... – szepnęłam z trudem, bo pamięć natychmiast podsunęła przerażające obrazy.

– W takim razie, ponieważ mogą nadal być w zamku, podejmiemy od strony południowo-zachodniej. Spróbujemy skorzystać z zachodzącego słońca, być może w jego blasku nie dostrzegą, że się zbliżamy.

W porządku. Ja osobiście może i miałabym jeszcze kilka pytań, ale ponieważ nauczyciel języka angielskiego nie musi być jednocześnie wybitnym strategiem wojskowym, więc wolałam się nie odzywać.

ClanFintan skinął na centaurów i skierował się w stronę zachodzącego słońca. Płaski teren niebawem się skończył.

Centaury zaczęły wspinać się po coraz bardziej stromym zboczu. Czulałam, jak mięśnie ClanFintana naprężają się, pęcznieją. A morze musiało być już bardzo blisko. Nie tylko czuło się je w powietrzu, ale można było usłyszeć poszum fal bijących o brzeg.

Centaury galopowały po ziemi zasłanej igliwiami, ciche dęby i klony ustąpiły bowiem miejsca szeleszczącym sosnom.

Zapachniało choinką, jak w Boże Narodzenie, ten miły zapach zmieszany był z zapachem morza, poza tym wyczuwałam jeszcze coś, jakąś dziwną i zdecydowanie nieprzyjemną woń.

Taką jakąś... lepką.

W pewnym momencie sosny skończyły się, kopyta centaurów uderzyły o twardą skałę. Tu zatrzymaliśmy się, w miejscu, które tak jak w moim Magicznym Śnie, było dla mnie pełne majestatu. Groźne skały, istotnie bardzo podobne do klifów Moheru w Irlandii. Przed nami urwisko, a w dole morze, jego brzeg ciągnął się daleko, po horyzont. Po stronie północnej imponująca sylweta zamku. Stał tam jak samotny strażnik, który ustawił się niebezpiecznie blisko urwiska.

Szare kamienne mury od strony zachodniej w blasku słońca jaśniały srebrzyście. Zamek MacCallana. Gdybym urodziła się tu, w tym innym świecie, ten przepiękny zamek byłby moim domem rodzinnym...

Zamrugalam szybko oczami, bo zrobiło się w nich dziwnie mokro. Wzruszyłam się? Och nie. To na pewno od tego wiatru...

– Milordzie, proszę spojrzeć, tam, koło murów!

Centaur o żółtawej maści z bardzo posępną miną wskazywał palcem na mury niedaleko bramy zamkowej.

Wyteżyłam wzrok. Na ziemi przed murami leżało coś, chyba jakieś worki, może z ziarnem, przyniesione przez parobków.

Albo bale siana. Albo...

– O Boże! Przecież to ludzie! Oni nie żyją!

Mój głos drżał. Teraz zrozumiałam, co to był za dziwny, nieznany mi dotąd zapach, który wyczułam na brzegu morza.

– Dougal, rozejrzyj się.

Izabelowaty skinął głową i zniknął między drzewami.

– Connor, jedź za nim.

Kasztanowaty deresz wbiegł między sosny i też znikł nam z oczu.

Teraz ClanFintan spojrział przez ramię na mnie.

– Rhiannon, mówiłaś, że tamtej nocy, jeszcze zanim zobaczyłaś te monstra, wyczuwałaś już czające się gdzieś zło.

A teraz? Wyczuwasz je?

Spojrzałam na zamek, skupiłam się, starając się jednocześnie uciszyć swoje rozszalałe serce.

– Nie, teraz jest inaczej. Niczego nie wyczuwam.

– Jesteś pewna, milady?

Zamknęłam oczy i ponownie skoncentrowana maksymalnie, zmusiłam swoją pamięć, by ożyło w niej wspomnienie tamtej strasznej nocy, tego namacalnego zła, które sączyło się z lasu i skradało się do zamku. Jak zatruta mgła.

– Jestem pewna. Nic takiego teraz nie wyczuwam.

– To dobrze – powiedział ClanFintan i lekko uścisnął moje dłonie spoczywające na jego ramionach.

W tym czasie wrócili Dougal i Connor.

– Jak sytuacja? – spytał ClanFintan.

– Nikogo. Jedyne żywe istoty to ptaki padlinożercy. Nie widzieliśmy też ani ognia, nie czuliśmy zapachu dymu –przekazał Dougal opanowanym, służbowym głosem.

– Lady Rhiannon nie wyczuwa obecności tych stworów.

Sądzę, że możemy wejść do zamku. Milady... – ClanFintan ponownie spojrzał na mnie przez ramię. – Nie musisz tam wchodzić. Możesz poczekać tutaj, a ja, kiedy tylko dowiem się, co stało się z twoim ojcem, wrócę i przekażę ci wieść. Możesz mi zaufać. Zadbam o jego szczątki z należytym szacunkiem.

– Ależ ja ci ufam, ClanFintanie – powiedziałam, z trudem wydobywając słowa ze ściśniętego gardła. – Chciałabym jednak zrobić to sama. Poza tym... zrozumię, jeśli nie zobaczę tego na własne oczy... nie, nie będę w stanie w to uwierzyć...

ClanFintan powoli pokiwał głową.

– Dobrze. A więc jedziemy tam wszyscy. Chłopcy, trzymajcie się razem! I bądźcie czujni!

Ruszył klusem w stronę zamku. Centaury ramię w ramię z nim, po czterech z każdej strony. A ja, trzymając się kurczowo ramion ClanFintana, bez przerwy powtarzałam sobie w duchu jedno krótkie zdanie: Dasz radę... dasz radę... dasz radę...

W pewnym momencie wiatr znowu zaczął przywiewać ten lepki zapach. Na początku kwaśny, podobny do smrodku w lodówce, gdy coś się w niej zepsuje. Ale tylko na początku, bo w miarę jak zbliżaliśmy się do zamku, był coraz mocniejszy, w końcu tak mocny, jakby nasycił całe powietrze i można było oddychać tylko nim. W rezultacie zaczęłam się dusić, w wyschniętym na wiórek gardle poczułam obrzydliwy smak, jakby wylała się żółć.

– Rhiannon, oddychaj przez usta, tylko przez usta – poradził ClanFintan.

Posłuchałam. Faktycznie, jedyna metoda, żeby przetrwać.

Ciekawe, skąd on tyle wie o zapachu śmierci?

– Rhiannon – znów po chwili odezwał się ClanFintan. – Gdzie widziałaś wtedy swojego ojca?

– Na schodach... tych, co prowadzą do kwater wojowników.

Dojeżdżaliśmy już do zamkowych murów. Gdy ClanFintan zatrzymał się, to samo zrobiły wszystkie

centaury.

– Rhiannon, będę teraz oglądał ciała. Powiem ci, kiedy rozpoznam twego ojca. Trzymaj się mnie mocno. Jeśli czujesz taką potrzebę, zamknij oczy.

– Wytrzymam. Zaczynajmy.

Staralam się sprawiać wrażenie osoby bardzo dzielnej, ale co tam starania. Mój głos był słaby, drżący. Nie głos, a głosik.

Znów ruszyliśmy do przodu i niebawem zbliżyliśmy się do pierwszych ciał. Czarne ptaki na nasz widok z szumem skrzydeł

poderwały się z ziemi. Szybko odwróciłam głowę, żeby nie widzieć, co te ptaki trzymają w ostrych dziobach.

W jednym miejscu leżało kilku zabitych, kawałek dalej znów kilku, a może więcej. Niezależnie od tego całego horroru, w pewnej chwili pomyślałam, że przynajmniej żaden z nich nie leży sam. Bałam się na nich spojrzeć, oczywiście, ale serce zabraniało odwracać z lękiem głowę. Kazało patrzeć na każdego, by okazać szacunek dla odwagi i poświęcenia. Może dusze zmarłych są jeszcze w tych umęczonych ciałach, może wyczują, ile we mnie podziwu dla ich bohaterstwa. I to będzie dla nich pociechą.

Spojrzałam na centaury, które podążyły tuż obok. Twarze bez wyrazu, nieruchome jak maski. Pochylały się nad każdym ciałem, sprawdzając, czy może tli się w nim jeszcze życie.

W ten sposób przeszliśmy bardzo powoli wzdłuż muru po południowej stronie zamku i dotarliśmy do wielkiej bramy z kutego żelaza. Była otwarta, a za nią też leżały martwe ciała, i też żerowały ptaki.

– Idziemy do kwater.

Beznamiętny głos ClanFintana odbił się upiornym echem wśród cichych, martwych murów zamku, a zaraz potem zapanowała upiorna cisza. Podeszliśmy do gotyckich drzwi w wewnętrznym pierścieniu murów, prowadzących na wielki dziedziniec.

A na dziedzińcu... Jak obraz Salvadora Dali. Tak, tak to wyglądało. Najkoszmarniejszy koszmar. Wszędzie trupy, jeden na drugim, umęczone ciała powykręcane w groteskowy sposób.

Pozarzynani na dziedzińcu ozdobionym pięknymi grubymi kolumnami i fontanną, która dalej szemrała, choć woda w niej miała kolor czerwony.

Mimo otaczającej mnie grozy ta fontanna zaintrygowała mnie. Było w niej coś, co przyciągało mój wzrok. Więc spojrzałam. I znowu szok. Dziewczyna z marmuru, z uniesioną w rękach pięknie pomalowaną wazą, z której wylewała się woda do fontanny, to była... och, to byłam ja. Na pewno ja, tylko o ileś tam lat młodsza. A ta waza... tak, to ten przeklęty garnek z aukcji. Poznaje przecież po tym malowidle na brzuchu, który szkarłatna woda zabarwiła na różowo. Rudowłosa kapłanka odwrócona plecami, z wyciągniętą ręką, wysłuchuje petenta przekazującego swoją prośbę.

Wiedziałałam, że gdybym podeszła bliżej, zobaczyłabym na jej dłoni bliznę, taką samą jak na mojej dłoni. Teraz... teraz dziwnie jakoś niewyraźną, rozmazaną...

– Rhiannon!

ClanFintan obrócił się błyskawicznie i przytrzymał mnie w ostatniej chwili. Gdyby nie on, na pewno bym z niego spadła.

Dygotałam.

– Dam radę...dam radę... dam radę...

– Zabieram cię stąd, Rhiannon.

– Nie! Proszę, daj mi sekundę. O, już wszystko w porządku.

I demonstracyjnie wyprostowałam się jak świeca.

Puścił mnie, zrobił to jednak z wielkim ociąganiem.

– ClanFintanie, poszukajmy mojego ojca.

Chrząknął, taka odpowiedź bez słów, i ruszył w lewo.

Pozostałe centaury powoli podążyły za nim, wykonując smutne zadanie, czyli sprawdzając, czy ci ludzie naprawdę nie żyją.

Przeszliśmy między masywnymi kolumnami, po czym ClanFintan wyprowadził nas na bardzo szeroki korytarz, gdzie po obu stronach było mnóstwo drzwi, a także uderzająco wielkie okna, od sufitu do podłogi.

Kopyta centaurów miarowo stukały o kamienną posadzkę.

Minęliśmy otwarte drzwi prowadzące do wielkiej sali zastawionej długimi drewnianymi stolami. Ta sala też była zastana trupami. Potem korytarz skręcał w lewo. Jeszcze kawałek i przez kolejne drzwi przeszliśmy na inny, o wiele mniejszy dziedziniec. Było tu kilka wejść, między innymi kręcone kamienne schodki, u szczytu których widać było niskie odrzwia, a za nimi dużą salę z niskim sufitem.

Tej sali nie widziałam w swoim Magicznym Śnie, nietrudno jednak było się domyślić, że to kwatera wojowników.

Właśnie stąd tamtej strasznej nocy zbiegali na dół zbrojni, niektórzy na wpół ubrani. Teraz leżeli martwi na schodach i na dziedzińcu.

Niedaleko schodów leżało samotne ciało. Ten mężczyzna walczył sam. Teraz spał snem wiecznym na łóżku z własnej krwi. Wokół niego było pusto.

– To... on. – Wskazałam samotne ciało zdumiona, że moja ręka nie drży.

ClanFintan skinął głową i poszedł tam.

Mój ojciec. Leżał niby na plecach, ale tors wykręcony był

ku ziemi prawie o dziewięćdziesiąt stopni. Lewą rękę miał

wsuniętą pod siebie, prawa była strzaskana. Kości nadgarstka przebiły skórę, ale palce nadal zaciskały się na rękojeści miecza.

Kilt był czarny i sztywny od zaschniętej krwi. Krwi, która wylała się z ojca i opłynęła go ze wszystkich stron. Przez dziury w poszarpanym, porwanym ubraniu widać było głębokie rany na plecach i piersiach.

I... i czarną jamę tam, gdzie kiedyś były wnętrzości...

Szybko spojrzałam na jego twarz. Głowa przekręcona była w bok. Oczy zamknięte, cała twarz stężała, powleczone szarością śmierci. Ale usta nie były wykrzywione w tragicznym grymasie bólu. Po prostu zamknięte, dlatego w tej nieruchomej twarzy był spokój. Jakby ojciec, po wykonaniu jakiejś ciężkiej pracy, udał się na zasłużony odpoczynek.

– Ale dlaczego on leży tu sam? – spytał cicho ClanFintan. –Dlaczego umierał sam?

– Nie sam, ClanFintanie. Przecież wszędzie, w całym zamku, wszyscy stawiali bohaterski opór. Ojciec specjalnie się oddalił, wzywał te potwory do siebie. Chciał odciążyć swoich ludzi. Dlatego walczył sam i dlatego leży z dala od wszystkich.

A ta krew... Myślę, że to też krew tych stworów...

– *Rhiannon, zabiorę już cię stąd, dobrze?*

– *Tak...*

Spojrzałam jeszcze raz na szczątki człowieka, który był lustrzanym odbiciem mojego ojca.

– *Spalcie ich – powiedziałam mocniejszym już głosem. –Zróbcie wielki stos pogrzebowy i spalcie ich wszystkich. Ogień oczyści to miejsce. A im wszystkim zwróci wolność.*

– *Będzie tak, jak powiedziałaś, Rhiannon.*

ClanFintan skłonił się przed nieruchomym ciałem mego ojca, odwrócił się i pobiegł do zamkowej bramy. A ja, na jego grzbiecie, prawie już odchodziłam w niebyt. Byłam półprzytomna. Słowa mojego męża, gdy wydawał rozkazy centaurom, słyszałam jak przez mgłę. Ale ich treść dotarła do mnie.

Zrobią tak, jak powiedziałam. Spalą.

Mój Boże... Gdziekolwiek spojrzałam, wszędzie leżały ciała martwych wojowników. A ja nadal, jak postanowiłam, nie odwracałam od nich głowy, starając się na każdego spojrzeć z osobna. Oddać cześć każdemu z nich, bo każdy z nich był bohaterem.

Nagle, uderzona pewną myślą, aż zachwiałam się w siodle.

Zaniepokojony ClanFintan odwrócił się błyskawicznie, a ja wczepiłam się w jego ramię. Miałam krzyknąć, lecz wyszedł

tylko zdławiony szept:

– Kobiety... ClanFintanie, nie ma tu żadnej kobiety...

Na moment zeszywniał, po czym zawołał:

– Dougal! – Natychmiast pojawił się przy nas żółciutki centaur. Twarz miał ściągniętą, sińce pod oczami. – Czy znaleziono ciała kobiet?

Zdezorientowany Dougal w pierwszej chwili tylko zamrugał, zaraz jednak otrząsnął się, a jego oczy rozszerzyły się w wyrazie paniki.

– Nie, milordzie! Nie znaleźliśmy ani jednej kobiety, ani jednej dziewczyny!

– Zwołaj wszystkich. Trzeba je odnaleźć. Ja zabieram stąd lady Rhiannon. Będziemy koło sosen, na skraju lasu. – Gdy Dougal odbiegł i zaczął zwoływać centaurów, mój mąż polecił: – Trzymaj się mocno, Rhiannon.

Nachyliłam się i objąwszy z całej siły ClanFintana, wtuliłam twarz w jego plecy. Zamknęłam oczy i oddychałam głęboko, by zapach jego ciała przedostał się do moich płuc przesiąkniętych zapachem zmarłych. Czułam, jak potężne mięśnie centaury pracują. Kopyta miarowo uderzały o ziemię.

ClanFintan biegł razem z wiatrem, unosząc mnie coraz dalej od miejsca, gdzie była tylko śmierć.

Zatrzymał się na skraju lasu i dużymi, ciepłymi dłońmi przykrył moje ręce zakleszczone na jego piersi.

Milczeliśmy. Dopiero po dłuższej chwili byłam w stanie poruszyć dłońmi. ClanFintan cofnął swoje ręce i ostrożnie zdjął

mnie z siodła, ale kiedy moje stopy dotknęły ziemi, nie puścił

mnie. Dalej przebywałam w jego ramionach. Całe szczęście, bo samodzielnie nie byłabym w stanie zrobić choćby kroku.

Był taki duży, czubkiem głowy ledwie sięgałam jego piersi.

I było mi tak dobrze w jego objęciach. Wtuliłam się w niego policzkiem, chłonąc jego ciepło. Choć nie sądziłam, że po tym, co widziałam dziś, co przeżywałam, kiedykolwiek jeszcze będzie mi naprawdę ciepło.

Kiedy ClanFintan odezwał się do mnie, słyszałam, jak w jego szerokiej piersi zadudniło.

– Byłaś bardzo dzielna, Rhiannon. MacCallan byłby dumny z ciebie.

– Nieprawda. Bałam się okropnie, przecież omal nie zemdlalam.

– Ale nie zemdlalaś.

– Nie, ale jak tam byliśmy... to omal z ciebie nie spadłam.

– Ale złapałam ciebie.

– Tak. Dziękuję.

Mocno objęłam go wpół, po prostu z całej siły. Czulałam, że nachyla się nade mną, powoli, konsekwentnie. Jego wargi dotknęły czubka mojej głowy.

Uniosłam wzrok i spojrzałam w jego ciemne oczy. Czulałam się kompletnie zagubiona. Bo i jak to niby ma być między mną a tym człowiekokoniem, z którym na cały rok związana jestem węzłem

mażeńskim? Pociągał mnie, oczywiście, chociażby dlatego, że nigdy dotąd kogoś takiego nie spotkałam. Spójrzmy prawdzie w oczy. Tłumy centaurów nie biegają po Oklahomie –przynajmniej nie po Tulsie. Bo co się dzieje na równinach Panhandle, o tym nie wie nikt.

Pod jednym względem miałam już jednak całkowitą pewność. Za każdym razem, gdy dotknęłam ClanFintana, czułam się o wiele lepiej i fizycznie, i psychicznie. Nigdy dotąd coś takiego mi się nie przydarzyło, dlatego teraz, nie tracąc czasu na zastanawianie się nad motywami czy konsekwencjami, powoli podniosłam rękę i pociągnęłam za połę miękkiej kamizelki mojego męża. On zaś, jako istota bardzo inteligentna, nie potrzebował dalszej zachęty. Kiedy jego usta odszukały moje usta, czekał mnie maleńki szok. Wargi ClanFintana były gorące, o wiele cieplejsze niż u zwyczajnego człowieka. Poza tym – on był taki duży! Kiedy objął mnie, zasłonił wszystko, cały świat. I bardzo dobrze, przecież teraz istniał tylko nasz pocałunek. Tylko ręce ClanFintana, tylko jego usta, tylko ciepło ust, kiedy jego język odnalazł mój język...

Stukot kopyt niestety powrócił nas do rzeczywistości.

ClanFintan puścił mnie niechętnie, co bardzo mi się spodobało, a po chwili pojawił się przy nas Dougal, który po przeżyciach tego dnia wyglądał tak, jakby nagle przybyło mu co najmniej dziesięć lat.

– Nie znaleźliśmy szczątków ani jednej kobiety, milordzie – zameldował – ale natrafiliśmy na ślady prowadzące na północ, do lasu. Ślady stworów, wśród nich o wiele mniejsze, ślady sandałów, jakie noszą tutejsze... – Głos mu się załamał.

ClanFintan dokończył:

– Kobiety i dziewczynki.

– Tak, milordzie.

– Rozumiem... Dougal, zostaniesz tutaj, z lady Rhiannon, ja wracam do zamku.

Zaczęłam protestować, ale ClanFintan uciszył mnie, kładąc palec na moich ustach.

– Lepiej, żebyś tu została, Rhiannon. Zaufaj nam, zrobimy wszystko, co należy zrobić, i zaraz potem ruszamy. Chcę, żeby po zapadnięciu zmroku już nas tu nie było.

Akurat z tym nie zamierzałam dyskutować.

– Strzeż jej, Dougal – powiedział jeszcze ClanFintan, pocałował mnie w rękę i pobiegł do zamku.

Szczerze mówiąc, wcale nie zazdrościłam mu zadania, które będzie musiał tam wykonać.

– Milady... – odezwał się nieśmiało Dougal, sięgając po bukłak przypięty paskami do pleców. – Proszę! Może milady napije się wina?

– Tak, tak. Dziękuję.

Jeden porządny łyk i wlepiłam oczy w zamek. Widziałam, jak centaury leżące przed murami zwłoki zaczynają wciągać przez bramę do środka. A czarne ptaki, którym przerwano żerowanie, niespokojnie krążą nad zamkiem. Ich żarłoczne krakanie niosło się z wiatrem. Kiedy widzę wrony, zawsze dostaję gęsiej skórki. Teraz, niestety, wiedziałam dlaczego.

Znów popiłam wina. Tak bardzo chciałam, żeby zabiło we mnie ten smak śmierci.

Zamrugłam oczami i zmusiłam je, by wreszcie odwróciły się od przerażającej sceny przed zamkiem. Spojrzałam na morze, na spienione fale o białych grzywach, potem na przybrzeżne skały. Oprócz wielkich, groźnych klifów było tam jeszcze wiele mniejszych skał, na które mogłabym wspiąć się bez problemu. Usiąść, a porywisty wiatr zabrałby ze sobą z mego ubrania ten

przerażający zapach śmierci.

Bukłak, oczywiście, biorę ze sobą.

Zdążyłam zrobić zaledwie kilka kroków i już usłyszałam za sobą stukot kopyt centaury.

– Posiedzę sobie na skale nad wodą. – Sądząc po minie, ten pomysł absolutnie nie przypadł Dougalowi do gustu, dlatego dodałam: – Obiecuję, że nie rzucę się do morza. – Nadal nie wyglądał na przekonanego, dorzuciłam więc obietnicę: – Usiądę w takim miejscu, żebyś mnie dobrze widział.

Z dotarciem na górę miałam jednak problem, bo skały były gładkie, niż przypuszczałam. Bardzo trudno było znaleźć podparcie dla rąk i nóg, dlatego w końcu zrezygnowałam ze wspinaczki i postanowiłam usiąść na jednym z niewielkich głazów, których tu nie brakowało.

Usiadłam, twarzą oczywiście zwrócona ku morzu, i ściągnęłam rzemyk, zwracając rudym lokom wolność.

Potrząsnęłam głową, zamknęłam oczy i byłam w siódmym niebie, kiedy wiatr zaczął wściekle szarpać moimi włosami.

Niech szarpie jak najmocniej, niech wywieje z nich ten złowrogi zapach...

Znów się napiłam, co też było powodem mojego wielkiego zadowolenia, tak wielkiego, że po przełknięciu boskiego nektaru wygłosiłam w duchu pełną powagi i sporej długości modlitwę dziękczynną do Pana Boga, a może do Epony, w każdym razie do tego kogoś, kto stworzył tę cudowną roślinę rodzącą winogrona.

Otworzyłam oczy. Zrobiłam to powoli, bo wiatr wiał mi prosto w twarz. Brzeg morza w dole był dziki, niebezpieczny.

Żadnej plaży, tylko kamienie i ostre skały katowane przez fale.

A samo morze... bezkresne i przepiękne. Całowane na dobranoc przez zachodzące słońce, które malowało je na różowo i jaśniutki fiolet.

Znów zamknęłam oczy, starając się myśleć tylko o tym, co nie jest przerażające, nie jest źródłem zła. Jest po prostu piękne jak ten zachód słońca nad morzem... jak wysocy mężczyźni...

jak czerwone wino.

Nagle w pamięci ożyło wspomnienie o ostatniej wizycie u taty. Siedzieliśmy na patio, na starych żelaznych krzesłach, mocno zardzewiałych, bo tata notorycznie zapominał

o wniesieniu ich do domu. Nogi oparte na wielkim kamieniu, piaskowcu z Oklahomy służącym jako podnózek. Poza tym kamień ten był zbyt duży, żeby go w dowolnej chwili po prostu przesunąć na bok.

Była to niedziela, przede mną jeszcze tylko jeden tydzień pracy i zaczynałam wakacje. Majowy wieczór był wyjątkowo ciepły. Piliśmy coorsa z lodem, smakował jak wiosenny deszcz.

Łagodny, ciepły wietrzyk niósł ze sobą słodki zapach budlei, które tata przed dwoma laty posadził wokół patio. Powiedziałaś tacie, że nie rozumiem, dlaczego krzaki, które posadził u mnie, nie rosną tak pięknie. A tata przyznał mi się, że moje krzaki, niestety, dostały mniejszą porcję nawozu. O wiele mniejszą.

W rezultacie zaśmiewaliśmy się z tego.

Teraz też się uśmiechnęłam. Bo serce szepnęło: Pamiętaj, on żyje. W tamtym innym świecie.

Co z tymi policzkami? Takie zimne!

Zimne, bo mokre. Od łez.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na zamek. Zachodzące słońce, które zdążyło już tak pięknie pomalować morze, dobrało się do starej budowli, serwując jej kolory zdecydowanie ciemniejsze.

Pomarańczowy i mocna czerwień. Mury zamkowe do połowy pociągnięte były grubą krechą koloru krwi, reszta ciemna, prawie czarna. Teraz zamek przypominał mi gotującą się do skoku bestię, zbryzganą krwią swoich ofiar.

Znam się na metaforach, znam ich siłę. Co innego jednak, kiedy przeżywasz słowa wydrukowane schludnie na papierze.

Kiedy siedzisz sobie wygodnie w fotelu z ulubioną książką i kieliszkiem wina, i trochę za bardzo odpływasz w wymaginowany świat pisarza.

Co innego, kiedy naprawdę masz to przed oczami.

Tylko bez paniki, Parker. Owszem, tym razem nie jest to wytwór twojej bujnej wyobraźni, ponieważ ten świat stał się twoim światem, twoją rzeczywistością. Ale ten złowrogi obraz wcale nie musi być wyznacznikiem twego nowego życia.

Otarłam łzy, znów skierowałam spojrzenie ku morzu i wciągając głęboko w płuca rześkie, oczyszczające powietrze, ponownie zapatrzyłam się na wodę, na fiolet i róż, piękne prezenty od słońca u schyłku dnia.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy słońce już całkiem schowało się za horyzontem, zeszałam z głazu i wróciłam do młodego centaura, który wyraźnie poczuł ulgę.

– Niepotrzebnie się denerwowałeś, że zrobię coś głupiego, Dougal. To kompletnie nie w moim stylu. Ja nigdy nie odpuszczam.

– Tak, milady.

I normalnie poczerwieniał. Zawstydział się. No nie! On naprawdę jest słodziutkim facecikiem/koniem/wszystko jedno!

– Ale dzięki za troskę, Dougal.

Gdy się uśmiechnęłam, młody centaur poczerwieniał

jeszcze bardziej, więc postanowiłam już dłużej go nie dręczyć i spojrzałam na zamek. Niebo jaśniało jeszcze zachodem słońca, z widocznością nie było najlepiej, ale z tego, co udało mi się dojrzeć, wynikało, że wszystkie ciała leżące przed murami zostały wniesione do zamku.

– Jak sądzisz, Dougal, długo tam jeszcze będą? – spytałam z niepokojem. ClanFintan miał rację, nie wyobrażałam sobie, żebyśmy w takim miejscu mogli być po zmroku.

– Wrócą niebawem, milady – odparł też wpatrzony w zamek. – A musiało to trochę potrwać. Większość ciał leżała przecież poza dziedzińcem i przed bramą zamkową.

Zamilkł, a ja w tym momencie zauważyłam na szarzejącym niebie ciemny pióropusz.

– Czy to dym, Dougal?

– Tak, milady. Proszę spojrzeć, już wracają.

Też ich zauważyłam. Wybiegli przez bramę. Każdy z centaurów trzymał w ręku zapaloną pochodnię, każdy z nich odwrócił się i rzucił pochodnię za siebie, do zamku. Buchnął

ogień, blask złocistych płomieni zatańczył na lśniących grzbietach centaurów.

Cała siódemka, jak jeden mąż, skłoniła głowy, potem zasałutowała, oddając cześć poległym.

Na koniec galopem ruszyli ku nam.

Na widok podążającego ku mnie ClanFintana, moje serce zabiło zdecydowanie szybciej. Jego twarz, jak u wszystkich pozostałych centaurów, była pełna powagi i skupienia, ale spojrzenie zdecydowanie szukało mego spojrzenia. A ja, przysięgam, wyczuwałam już na odległość, ile w tym spojrzeniu ciepła.

I tak właśnie na mnie patrzył, kiedy wreszcie pojawił się tuż przy mnie.

– Rhiannon, odjeżdżamy stąd.

Podobnie jak pozostałe centaury nie zatrzymał się, tylko zwolnił. Wyciągnął rękę i raptem znalazłam się na jego grzbiecie, a on dalej biegł ze swoimi towarzyszami, zagłębiając się w sosnowy las.

Zanim znikliśmy wśród drzew, odwróciłam się, by po raz ostatni spojrzeć na zamek zwieńczony czapą kłębiącego się dymu. Czerwone jęzory ognia lizały już mury. Zamek płonął.

– Rhiannon, zrobimy popas w szopie koło tamtego ostatniego strumyka.

Szybko znów spojrzałam do przodu, chwytając się ClanFintana mocniej, ponieważ przyśpieszył. Szopę, o której wspomniał, przypominałam sobie raczej mgliście. Mignęła mi tylko między drzewami, kiedy z drogi skręcaliśmy w las.

Nienawidzę narzekania, od tego pytania jednak nie mogłam się powstrzymać:

– *A nie moglibyśmy zatrzymać się gdzieś w jakimś normalnym domu, w jakimś miasteczku, a chociażby w tej wiosce, co jest na południe od zamku?*

W domyśle w prawdziwym domu. A tam łóżko i kąpiel.

Czy to nie cudowny pomysł?

– *Rhiannon! Przecież mieszkańcy Loth Tor jako pierwsi zostali ewakuowani do świątyni.*

– *Jestem pewna, że nie miałoby nic przeciwko temu, gdybyśmy skorzystali z któregoś z opuszczonych domów.*

O matko! Czy to naprawdę ja? To ja tak jęczę?

ClanFintan spojrzał na mnie jak na jakąś debilkę.

Dokładnie tak.

– *Oczywiście, że nie miałoby nic przeciwko temu. Dla nich byłby to zaszczyt, ale nie zapominaj, że zamek się pali, a ogień widać z daleka. Jeśli te stwory powrócą, najpierw napadną na wioskę koło zamku.*

– *No tak. Nie pomyślałam o tym. Przepraszam. Oczywiście nie mam nic przeciwko szopie.*

– *Myślę, że będzie ci tam całkiem wygodnie.*

No tak, jemu w szopie będzie całkiem wygodnie, skoro w polowie jest koniem. Ale ja to co innego. Podrapałam się dyskretnie w głowę i z czułą nostalgią pomyślałam o wielkim pokoju kąpielowym

w świątyni, gdzie można zanurzyć się po szyję w ciepłutkiej wodzie ze źródła mineralnego. Szopa, niestety, nie oferuje takich luksusów. O robalach, które mają tam swoje lokum, wolałam nawet nie myśleć. Chwileczkę, a czy przypadkiem gdzieś kiedyś nie obito mi się o uszy, że istnieje coś takiego jak wesz końska?

Kiedy centaury wybiegły już z lasu i przechodziliśmy szemrzący, bulgoczący strumyk, dostrzegłam nieopodal między drzewami kanciasty zarys wspomnianej budowli. Kiedy ClanFintan zestawił mnie na ziemię tuż przed szopą, Dougal usłużnie otworzył drzwi, mogłam więc zajrzeć do środka.

Pierwsze wrażenie wcale nie było odrażające. W środku przyjemnie pachniało świeżutkim sianem, którego leżały tu całe góry. Niestety, jako że jestem z Oklahomy, przypomniałam sobie błyskawicznie, że zapach świeżego sianka bardzo lubią żmije, także myszy i szczury. Teraz jednak, udając bohaterkę, o tej drobnej niedogodności nie wspomniałam.

Centaur o imieniu Connor rozpalił ognisko, reszta centaurów szykowała obozowisko koło szopy. Zauważyłam, że wszyscy są bardzo poważni, ale po takim dniu trudno tryskać humorem, prawda?

Zauważyłam też...

– ClanFintanie! – Mój mąż natychmiast przerwał

rozpakowywanie sakw i podszedł, spoglądając na mnie z niepokojem. – ClanFintanie! Brakuje dwóch centaurów!

Byłam przerażona. Czyżby te stwory były jednak gdzieś w pobliżu, czyżby dwóch centaurów padło ich ofiarą?!

Na szczęście małżonek przekazał mi wielce pomyslną wiadomość:

– Polują. Musimy przecież zjeść coś na kolację. Wrócą niebawem.

Odetchnęłam. Zauważyłam, że po twarzach pozostałych centaurów przemknął uśmiech. Śmiali się, że spanikowałam, ale wcale się nie obraziłam. Przeciwnie, pomyślałam, jak to dobrze, że po tych strasznych przeżyciach potrafią się jeszcze uśmiechać.

– A, rozumiem. Powinnam była się domyślić.

Odetchnęłam pełną piersią, niestety zamiast rześkiego nocnego powietrza poczułam bardzo nieprzyjemny smrodek.

A cóż to takiego? Matko święta, czyżby to ja? Nie da się ukryć, to ja. Osobiście. Powęszyłam dalej, zwracając się nosem ku ClanFintanowi. Też fatalnie. Ponownie powąchałam siebie.

Tragedia. Zapach potu zmieszany z nadal utrzymującym się złowrogim zapachem śmierci plus smród oleju (prawdopodobnie do podpalania stosu pogrzebowego użyli oleju do lamp).

Zresztą spójrzmy do końca prawdzie w oczy. Pachnę też koniem.

Reasumując...

– Ja śmierdzę!

ClanFintan moim odkryciem był wyraźnie zszokowany.

Kilku centaurów, niby bardzo czymś tam zajętych, wydało z siebie dźwięki zdecydowanie przypominające prychnięcie.

– Możesz się odświeżyć – powiedział mój mąż. – Ten strumyk kawałek dalej zmienia się w małe jeziorko. Z tym że z góry uprzedzam: woda jest naprawdę zimna.

– Odświeżyć? Żartujesz! Powinnam wziąć porządną, gorącą kąpiel. Zresztą nie tylko ja. – Znacząco pociągnęłam nosem skierowanym w jego stronę. Gdy złocisty centaur roześmiał się,

dodałam, żeby nie było już żadnych wątpliwości: – O Dougala tu nie chodzi, o nie!

Rzeczony centaur naturalnie poczerwieniał, teraz zaśmiał się ClanFintan, natomiast ja podjęłam błyskawiczną decyzję.

– ClanFintanie, łap coś, w co będzie się można wytrzeć, i chodź ze mną!

Wydawszy polecenie małżonkowi, zdecydowanym krokiem ruszyłam w stronę strumyka. Po kilku jednak krokach –tych zdecydowanych – dotarło do mnie, że wcale nie słyszę za sobą stukotu kopyt.

– ClanFintanie! – wrzasnęłam. – Chyba nie sądzisz, że będę sama po nocy kąpać się w strumyku?! – Dalej nie ruszał się z miejsca, tylko stał z miną, bądźmy szczerzy, po prostu głupią.

Wiadomo, jak to facet. – ClanFintanie! Przysięgałeś, że będziesz mnie chronił, prawda?

Wreszcie to go przekonało. Wyrwał z rąk jednego z podsłuchujących centaurów dużą płócienną płachtę i ruszył za mną. A ja szybko podjęłam jeszcze jedną decyzję. Czasami chyba jednak warto poudawać Rhiannon i trochę się porządzić.

A co tam!

Odwróciłam się i tym razem przemówiłam do całego stadka centaurów:

– Będzie mi bardzo miło, jeśli po moim powrocie znad strumyka zastanę tu gorący posiłek – oświadczyłam tonem królowej, ale zaraz potem mrugnęłam do nich wesoło. – Chłopaki, kiszki mi z głodu marsza grają!

I pomaszero wałam dalej zachwycona, że goni mnie śmiech czworonożnych chłopaków.

– A gdzie niby jest to jeziorko? – spytałam ClanFintana.

– Kawalek dalej, w dole strumyka. Zauważyłem tam bobry.

O, tam!

Wskazał palcem. Faktycznie, w pewnym miejscu strumyk zawałony był kawałkami drewna i gałęziami. Bobry zbudowały tamę prawie przez całą szerokość rzeczki i w rezultacie faktycznie powstało maleńkie jeziorko.

Przystanęliśmy na brzegu. Było coraz ciemniej, na szczęście blask ognisk rozpalonych przez centaury odbijał się w wodzie w górze strumyka, dzięki czemu nad jeziorkiem też było trochę jaśniej. Na moje oko wcale nie było głęboko, gdzieś tak do pasa. Jeziorko oprócz wody ze strumyka dodatkowo zasilala woda spływająca gdzieś spomiędzy sosen. Odpływ natomiast, po stronie przeciwległej, tworzył niewielki wodospad.

Odchrząknęłam.

– A więc... woda na pewno jest bardzo zimna.

– Na pewno – przytaknął chyba tym zachwycony ClanFintan.

– A ty się tak nie ciesz! Też nie pachniesz różami, a ja przecież muszę jechać na tobie! Co oznacza, że też musisz się wykapać!

– Aha.

Znów cisza. Ożeż ty! Jakie to wszystko dziwne!

A najbardziej to, że ten facet/koń/wszystko jedno jest moim mężem! Tak, jest, więc z drugiej strony na co mam niby czekać?

Tym bardziej że nie byłam świętoszką i zaznałam wspólnych kąpieli na golasa. A więc...

Głęboki wdech. Plus powtórzenie sobie w duchu, że nie jestem osobą nieśmiałą (ale też i nigdy nie robiłam tych rzeczy z koniem!). Znow głęboki wdech (kobieto, jak na razie, masz tylko razem z nim się wykąpać!).

Dla utrzymania równowagi oparłam jedną rękę na kłębie (!) męża, a drugą ręką zaczęłam zdejmować buty, oświadczając przy tym:

– Nie ma sensu stać tu i się gapić. Woda od tego nie zrobi się cieplejsza.

Ściągnęłam z włosów rzemyk, oddałam go ClanFintanowi, a sama potrząsnęłam głową, pozwalając rudym lokom sterczeć, ewentualnie opadać dowolnie. Potem rozsznurowałam spodnie, zdjęłam je i położyłam na dużym, płaskim kamieniu, zastanawiając się w duchu, czy stringi zostawić, czy nie.

Optowałam za „nie” (głupio potem mieć na sobie mokre majtki).

Zdjęłam je więc i starannie unikając wzroku ClanFintana, podjęłam próbę rozsznurowania topu. Jak pamiętacie, te cholerne troczki były na plecach.

Po chwili usłyszałam za plecami:

– Pomogę ci.

Głos był cudny, niski, aksamitny, naprawdę chciało się go słuchać. Silne ciepłe palce właściciela tego uwodzicielskiego głosu odsunęły na bok moje palce majstrujące przy troczkach i błyskawicznie rozsznurowały top. Zrobiły to stanowczo zbyt szybko. Po minucie, niestety, mogłam już top ściągnąć przez głowę.

Kiedy wchodziłam do wody, przez moment sprawą podstawową stał się dla mnie mój tyłek. A

konkretnie, jak on teraz wygląda (czy za bardzo się nie trzęsie). Kiedy jednak nogą dotknęłam wody, myśli o tyłku natychmiast wywietrzały mi z głowy.

– O Boże! Przecież to lód!

Tym razem zamiast aksamitnego głosu usłyszałam za sobą głośny śmiech, dlatego też ze względów ambicjonalnych nie pozwoliłam sobie na żadną chwilę wahania. Weszłam do jeziorka. Dno było kamieniste, na szczęście zalegały na nim małe otoczaki bez ostrych kantów. Jeszcze by tego brakowało, żebym się poraniła! Kiedy nogi miałam już prawie odmrożone!

Ale szłam dzielnie dalej, powtarzając sobie w duchu: Musisz to zrobić, bo śmierdzisz. Doszłam prawie na środek jeziorka, tam głęboki wdech i kucnęłam w wodzie, zanurzając się prawie po szyję.

Oczywiście, wstrząsnęło mną.

– Brrr...

Jednocześnie jednak doszłam do wniosku, że nie jest tak źle. Przynajmniej byłam już pod wodą, w związku z czym moja nagość została jako tako ukryta przed wzrokiem ClanFintana.

Jego twarz natomiast ukryta była w mroku. Widziałam tylko biel zębów, kiedy się uśmiechnął.

Wtedy zakomunikowałam:

– Szkoda, że nie mam mydła. Moje włosy są w fatalnym stanie.

Widziałam, jak ClanFintan przeszedł kawałek brzegiem jeziorka, spoglądając w dół, jakby szukał czegoś na ziemi.

Czyżby miał nadzieję, że ktoś, kto tu kąpał się przed nami, zapomniał zabrać ze sobą mydło, na przykład kostkę firmy Zest?

W pewnym momencie ClanFintan podniósł nogę i – no cóż, po prostu jak koń – zaczął grzebać kopytem. Kilka razy walnął nim w ciemny, płaski kamień, a ja pomyślałam, że rzuca mu się na koński mózg, bo tak bardzo jest na mnie napalony.

Tymczasem on spytał:

– Może to się przyda?

I wskazał na kawałki pokruszonego kamienia. Dziwnego, podobnego do piaskowca kamienia, który pienił się jak mydło.

Na moment przytknęło mnie. W końcu w Oklahomie nie mamy kamieni, którymi człowiek wypucuje się do czysta.

– Wprawdzie nie jest perfumowane – poinformował

ClanFintan – ale można się nim umyć jak każdym innym mydłem.

A więc przekonamy się.

– Dobrze. Dziękuję, jest tylko jeden mały problem. Jeśli wynurzę się z wody, prawdopodobnie zamarznę. Czy mógłbyś mi przynieść tutaj trochę tego dziwnego mydła?

Oczywiście, że wcale nie miałam ochoty znów paradować przed nim kompletnie goła.

ClanFintan nachylił się i zaczął zbierać z ziemi kamyczki o niezwyklej własnościach.

– Hej, hej! – zawołałam. – Może zdejmiesz tę swoją kamizelkę, bo jeszcze ją zamoczysz?

Chyba jeszcze nigdy w życiu nie widziałam faceta, który by tak szybko zdjął koszulę czy tam kamizelkę. Zrobił to w mgnieniu oka i już szedł do mnie, rozbryzgując wodę. Podał

mi spienione kawałki mydłanego kamienia, które odebrałam z wielką wdzięcznością, i natychmiast zaczęłam się namydlać.

Ramiona, pachy, no i... te inne miejsca. Żeby do nich dotrzeć, musiałam jednak wstać i do pewnego stopnia wynurzyć się z wody. Trochę to było krępujące, ClanFintan stał przecież obok, też się namydlał i gapił się na mnie. Staralam się więc być cały czas odwrócona do niego plecami, co nie bardzo mi wychodziło, bo on tak cudnie namydlał swoją cudną, wielką klatę. Całe szczęście, że woda była lodowata, choć w pewnym momencie wydało mi się, jakby była wrzątkiem. Krótko mówiąc, wyobrażacie sobie, co ja wtedy przeżywałam?

W rezultacie, żeby odwrócić uwagę od jego klatki, dałam nura i zaczęłam potrząsać głową, by włosy porządnie nasiąknęły wodą. Potem wynurzyłam się (starając się nie prychać, bo to przecież nie wygląda zbyt efektownie) i wyciągnęłam rękę do mojej bardzo przystojnej mydelniczki, żeby podała mi następną porcję mydłanego kamienia. Okazało się, że ten kamień wspaniale pieni się na włosach, poza tym pachnie bardzo ładnie, coś jak wanilia plus miód i orzechy.

– Ja to zrobię – powiedział ClanFintan. – Ty siedź już cała w wodzie, będzie ci ciepłej.

Przykucnęłam więc, on zaś, gorliwie namydlając mi głowę, przykląkł przy mnie. Namydlał, masował, bardzo uważał, żeby mydło nie dostało mi się do oczu. Był oddalony ode mnie dosłownie o kilka centymetrów, w związku z czym ciepło jego ciała docierało do mnie przez tę lodowatą wodę.

Krótko mówiąc, zrobiło się...

– Cudownie...

Chciałam, aby zabrzmiało to tak po kumplowsku, że jest oki, a wyszedł idiotyczny jęk. Ale co się dziwić! Trudno było zachować zimną krew, kiedy śliskie, gorące palce ClanFintana przesuwały się z mojej głowy na kark, palce wędrowały po moich ramionach, wracały na kark i ponownie zajmowały się głową. Ja tę głowę odchylałam coraz bardziej w tył, aż na koniec oparłam ją o pierś ClanFintana, co spowodowało, że jego ręce, aktualnie na moich ramionach, znieruchomiły. Wtedy wkroczyłam do akcji. Na moment przykryłam jego dłonie swoimi dłońmi, potem przesunęłam je po śliskich od mydlin twardych mięśniach na przedramionach ClanFintana.

– *Rób dalej* – szepnęłam i ręce ClanFintana posłusznie się uaktywniły, i to w sposób wielce rozkoszny, mianowicie objęły moje piersi i ścisnęły je delikatnie. Tym razem nie siliłam się na jakieś kumplowskie odzywki. Po prostu otwarłam i wydałam z siebie bardzo wymowny jęk, czując, że cała w środku przechodzę w stan ciekły.

Odwróciłam się w ramionach ClanFintana i uniosłam nieco w wodzie, tak że nasze twarze znalazły się mniej więcej na tej samej wysokości. Objął mnie wół, a ja uniosłam ręce i zebrałam namydlone włosy wysoko na głowie, zbijając je w kulę. Po czym, patrząc mężowi w oczy, zaczęłam namydlać jego pierś (na którą to, szczerze mówiąc, wołałabym teraz patrzeć, a nie we wspomniane oczy).

– *Ja to zrobię* – wymruczałam.

Uśmiechnął się, powiedziałałam przecież to samo, co on przed chwilą. A ja namydliłam mu pierś, ramiona i te cudownie umięśnione ręce. Potem wzięłam reszkę kamienia mydlanego, spieniłam go i wsunąwszy ręce pod ramiona ClanFintana, zaczęłam namydlać jego plecy. Moje sutki przez cały czas ocierały się uwodzicielsko o jego pierś, poruszając się zgodnym rytmem z moimi rękoma.

Oddech ClanFintana chyba stał się szybszy, nie byłam jednak tego tak do końca pewna, ponieważ jego serce biło bardzo głośno, praktycznie zagłuszając wszystkie inne dźwięki.

Z tym że jęk męża usłyszałam, o tak. Jęknął, pochylił głowę i ustami odszukał moje usta. Jednocześnie jego ręce puściły moją talię, przemieszczając się na pośladki. A ja objęłam go mocno, w konsekwencji czego moje piersi rozpląszczyły się na jego klatce.

Niestety, moje włosy musiały w tym właśnie momencie opuścić czubek głowy.

Namydlony gąszcz wdarł się między nasze oczy i nosy, co zmusiło nas do natychmiastowego odsunięcia się od siebie.

– Muszę się opłukać... – To króciutkie zdanie miałam wypowiedzieć uwodzicielskim głosem, takim niskim, leciutko zachrypniętym. Niestety głos wyszedł co najwyżej jako tako, a efekt dodatkowo zepsuły bąbelki, które wyskoczyły z moich ust i osiadły na piersi mego małżonka. – Och, przepraszam.

On jednak, zajęty laniem wody na zamydłone oczy, wydał tylko bliżej nieokreślony dźwięk.

Zanurzyłam się, opłukałam, a potem przykucnęłam i gapiłam się, jak ClanFintan walczy z mydłem w oczach.

Wielki facet/koń klęczy w wodzie, połowa jego końskiej postury jest zanurzona. On, ten facet/koń leje sobie na twarz wodę i leje, a bąbelków, zamiast coraz mniej, jest coraz więcej.

Zachichotałam.

Spojrzał na mnie zezem, starając się dojrzeć mnie przez te złośliwe bąbelki.

Znów zachichotałam.

– A co w tym śmiesz...

Nie dokończył, bo przepiękna bańka mydlana wyleciała z jego ust. Serio. Wyobraźcie to sobie. Surowa, bardzo męska twarz i nagle z niej wylatuje kretyńska bańka mydlana. Nie wytrzymałam i ryknęłam śmiechem. ClanFintan w pierwszej chwili tylko na mnie spojrział, ale kiedy zaczęłam z tego śmiechu kichać i prychać, też nie wytrzymał i zawtórował.

Zaraz potem musiał mnie złapać, bo pewnie bym, tak sobie rechocząc, w końcu się utopiła.

Nasz śmiech powoli cichł. Teraz już tylko uśmiechaliśmy się do siebie. W pewnym momencie zadrżałam, co było jednak zastanawiające, bo z wierzchu ziąb, i owszem, ale w środku ciepłutko.

– Zmarzłaś porządnie – powiedziała ClanFintan, zaczesując mi za ucho mokry kosmyk.

– Zgadza się. Chyba powinnam się już wytrzeć.

– Tak.

I żadne z nas nawet się nie poruszyło. Dalej uśmiechnięci patrzyliśmy na siebie, jakby nasz rozsądek tak samo skostniał

jak moje stopy (czy jego kopyta). Pierwsza ruszyłam się ja.

Woda sięgała mi tylko do pasa. Kiedy powoli podchodziłam do ClanFintana, jego spojrzenie przemknęło po moim nagim, mokrym torsie. Co owszem, sprawiło mi przyjemność, tym większą, że byłam podświetlona z tyłu blaskiem ognisk, przez co musiałam wyglądać na szczuplejszą, a w ciemnych oczach ClanFintana widać było pełną aprobatę. Dlatego szybko zmówiłam w duchu modlitwę dziękczynną, dziękując sobie, że nigdy nie należałam do kobiet, które głodzą się czy zwracają wszystko, co zjedzą. Fuj!

Bardzo delikatnie pocałowałam ClanFintana.

– Oplucz się porządnie, kochanie – szepnęłam mu do ust. – Nie zostawiaj mydła na sierści, bo potem będzie cię swędzieć.

Odwróciłam się i poszłam do miejsca, gdzie leżały nasze ubrania i ta wielka płachta, ten niby ręcznik. Za sobą słyszałam głośnie pluski i pochrząkiwania. Pewien ogromniasty koniofacet, zgodnie z instrukcją, usiłował porządnie się oplukać.

Owinęłam się ręcznikiem i jednym z jego rogów zaczęłam się bardzo energicznie wycierać, bo zrobiło mi się okropnie zimno. Trzęsłam się cała, tak bardzo, że z trudem udawało mi się utrzymać wspomniany róg ręcznika w ręku.

Po chwili ClanFintan z bardzo głośnym pluskiem wyszedł z wody i podszedł do mnie.

– Je... je... jeśli się o... otrząśniesz na mnie, wyrwę ci ogon – ostrzegłam, szczękając zębami.

ClanFintan zaśmiał się i wyjął mi ze zdrętwiałych rąk ręcznik.

– Stanowczo wymagasz opieki.

Zanim zdążyłam zaprotestować, zaczął mnie wycierać.

Systematycznie i bardzo, bardzo energicznie. Po chwili było już o wiele lepiej, krew w rękach i nogach znów zaczęła krążyć, ale ClanFintan nie ustawał w zabiegach. Ukląkł przede mną, zarzucił mi róg ręcznika na głowę i dalej tarł i przód, i tył.

Czułam się jak polerowany wyjątkowo gorliwie srebrny sztuciec.

– Tylko nie narzekaj! Bo to wkurza! – oznajmiłam.

Musiałam krzyknąć, bo ręcznik zsunął mi się na twarz i tłumił głos. Nagle jednak znikł, bo ClanFintan zarzucił go sobie na ramiona i zaczął podawać mi po kolei poszczególne części mojej

garderoby.

– Wcale nie narzekam.

Głos miał niby burkliwy, ale w oczach zauważyłam wesołe iskierki.

– A... to w porządku.

Uniosłam mokry gąszcz, odwróciłam się plecami i mój drogi małżonek zasznurował mi top. Potem włożyłam buty, ściągnęłam ręcznik z ClanFintana i oznajmiłam:

– Teraz moja kolej.

ClanFintan wkładał kamizelkę, a ja, tak samo gorliwie jak przedtem on, wycierałam go. To znaczy część końską i nie ma co się oszukiwać, naprawdę było tego niemało. Już po chwili zrobiło mi się gorąco.

Wytarłam go jako tako, złożyłam ręcznik i przerzuciłam przez grzbiet ClanFintana. Potem wsunęłam dłoń w jego dłoń i demonstracyjnie pociągnęłam nosem.

– No i jak? – spytał, spoglądając na mnie z uśmiechem. – Czy pachniemy już ładniej?

– Owszem. Oboje pachniemy bardzo przyjemnie, ale na tym nie koniec. Bo ja czuję jeszcze coś. Twoi kumple coś pichcą, coś chyba bardzo smacznego!

Leciutko poruszył nozdrzami.

– Bażant. – Zrobił krok do przodu, ale następnego już nie, bo złapałam go za rękę, na co spytał zdziwiony: – Nie jesteś głodna?!

– Oczywiście, że jestem, ale najpierw muszę cię o coś zapytać.

Lewą ręką trzymałam go za prawą, a swoją prawą, jak się zorientowałam, nerwowo skubałam dolną wargę.

– A więc proszę, pytaj – powiedział uprzejmie, bez emocji.

A rękę bym dała sobie uciąć, że aż go skręcało, o co mi chodzi!

– Chciałam się zapytać o... o to zmienianie postaci.

Oczywiście, że starałam się mężnie patrzeć mu prosto w oczy. W końcu oboje byliśmy dorośli. Niestety, spojrzenie mimo woli umykało w bok, jak u dziecka, które zadaje pierwsze niezręczne pytania na temat prokreacji.

– Bardzo proszę, pytaj – powiedział ClanFintan nie tylko uprzejmie, lecz i zachęcająco.

– A więc... Czy naprawdę potrafisz to zrobić?

O matko, ja po prostu szepczę! ClanFintan, żeby mnie usłyszeć, musiał się nachylić!

– Naturalnie, że tak.

Oczy miałam gdzieś na poziomie jego klatki. Twarzy nie widziałam, ale w głosie małżonka wyraźnie słychać było śmiech.

Niemniej jednak zadałam kolejne pytanie, co prawda ledwie dosłyszalnym szeptem:

– Może... dziś wieczorem?

Po chwili milczenia ClanFintan wsunął palec pod moją brodę, zmuszając, bym spojrzała mu w oczy.

– Bardzo tego chcę, Rhiannon, ale dziś wieczorem nie mogę tego zrobić.

– Dlaczego?!

Musnął kciukiem moje wargi i uśmiechnął się tak jakoś gorzko.

– Zmiana postaci wymaga, niestety, sporo wysiłku, a ja jutro muszę być w pełnej formie.

– Rozumiem...

Co nie znaczy, że nie byłam rozczarowana. Byłam i wcale nie próbowałam tego ukryć. ClanFintan, próbując jakoś mi to wynagrodzić, pieszczotliwie pogłaskał mnie po karku.

Oczywiście zadrżałam, i wcale nie z zimna!

– Przepraszam. – Podobnie jak po naszych zaślubinach, wziął mnie za rękę, odwrócił moją dłoń i delikatnie chwycił

zębami miękki mięsień pod kciukiem.

Przysięgam – było tak, jakby przeleciał przeze mnie prąd.

W dół. Domyślcie się, dokąd.

– Uważaj... – zamruczałam – też potrafię gryźć.

Więc już mnie nie gryzł, tylko pocałował. Niestety tylko w rękę, ale i tak już kochałam ten moment, kiedy jego gorący oddech owiewał moją dłoń.

Trzymając się za ręce, wróciliśmy do obozowiska. Podczas naszej nieobecności chłopcy nie próżnowali. W pewnym oddaleniu od szopy zapłonęło kilka ognisk, rozsiewając nie tylko blask, ale i cudne zapachy, ponieważ nad każdym ogniskiem piekł się nadziany na patyki jakiś drób. Skwierczący i ociekający tłuszczem, na moje oko już gotowy do konsumpcji.

Poza tym zobaczyłam duże ilości sera i sucharów, w rezultacie poczułam się głodna jak wilk. Dougal podał mi bukłak z winem i suchara, za co podziękowałam mu uśmiechem pełnym wdzięczności. Okazało się, że słodkie koniki pomyślały nawet o tym, żeby przysunąć do ogniska przewalone drzewo, na którym mogłam wygodnie usiąść.

Rozsiadłam się więc i przede wszystkim przeczesałam włosy palcami, próbując je choć trochę ujarzmić. Poza tym między jednym łykiem wina oraz kęsem suchara a drugim starałam się przy ognisku wyschnąć do końca.

– Spróbuj tym – powiedział ClanFintan, podając dobrze mi już znany grzebień o szeroko rozstawionych grubych zębach.

– Dzięki.

Kiedy odbierałam go od niego, specjalnie zrobiłam to tak, żeby moje palce na chwilę zetknęły się z jego palcami. Trudno, nie mogłam się powstrzymać. ClanFintan był wyjątkowo przyjemny w dotyku, co prawdopodobnie związane było z tą mieszanką końsko-ludzką. Wcale nie ukrywam, że

okropnie mi się chciało go pieścić jak czworonożnego ulubieńca.

Siedziałam więc i przeczesywałam grzebieniem moje wyjątkowo dumne i niezależne włosy. Koniki dalej pichciły i gadały sobie, a ClanFintan przechadzał się od jednego ogniska do drugiego, rozmawiał z centaurami, poza tym wykonał jeszcze kilka czynności, takich męskich, jak wytarcie i tak nieskazitelnie czystego ostrza miecza. Czy drapanie się (nie, nie, żartowałam).

Nie zauważyłam, żeby mój małżonek się drapał, przynajmniej przy świadkach).

Spojrzenie ClanFintana bardzo często kierowało się w moją stronę, a ja za każdym razem przechwytywałam jego wzrok.

Rozumiecie, taka cudna gra. On pieści cię wzrokiem, a ty się rozptywasz, bo wyraźnie zaczynasz czuć do niego miętę. Coś cudownego, jak wspomniałam, jednocześnie jednak trochę krępujące. Moja zdolność koncentracji o ile ją w ogóle posiadam była prawie w zaniku, dlatego jak zawsze w tego rodzaju sytuacjach dziękowałam Panu Bogu, że nikt nie każe mi teraz rozwiązywać jakiegoś zadania z matematyki.

Po jakimś czasie – moim zdaniem niezbyt długim –centaury zaczęły kroić upieczone ptactwo. Było gorące, z popękaną skórką i ociekało tłuszczem. Przydzielono mi do konsumpcji nogę. Musiałam dmuchać i na nią, i na swoje palce, ale smakowała bosko, dlatego bez wahania przyjąłam propozycję spożycia drugiej.

Po kolacji wszyscy rozsiedli się wokół ogniska, żeby przetrawić te pyszności i pogadać. ClanFintan cały czas był przy mnie, poza tym do naszego ogniska dosiedli się Dougal i Connor. Trzech innych centaurów spoczęło przy drugim ognisku. Dwóch brakowało, zanim jednak zdążyłam wpaść w panikę, Dougal – jak to Dougal, uśmiechając się nieśmiało –wyjaśnił, że tych dwóch stoi na warcie.

Nigdy bym się nie spodziewała, że te niezwykle istoty, do połowy ludzie, a potem już konie, rozsiadają się po jedzeniu.

A jednak. To znaczy wyraz „siadać” nie oddaje tego w pełni, ponieważ swoją końską część ciała rozkładają na ziemi, podkurczając nogi, natomiast ludzkie tułowia pozostają w pionie. Reasumując, z naszego ludzkiego punktu widzenia niby siedzą, choć tak do końca nie siedzą. Aha, i jeszcze coś muszę wam koniecznie powiedzieć. Niezależnie od tego, czy siedzą, czy nie, wszystko robią z nadzwyczajnym wdziękiem i zręcznością. Tak, nadzwyczajnym, czemu w sumie nie ma co

się dziwić. Przecież to był inny świat, po naszymu całkiem niezwykajny.

W każdym razie wszyscy wypoczywaliśmy po obfitym posiłku. Wyszłam już do końca, było mi ciepłutko, czułam, że zaczyna ogarniać mnie senność, tym bardziej że Dougal zaczął

coś nucić, coś bardzo podobnego do jednej z moich ulubionych piosenek Enyi, choć za Boga nie mogłam sobie przypomnieć, której konkretnie. W każdym razie musiało być to coś celtyckiego.

W pewnym momencie Dougal przestał nucić i spojrzał na mnie, na moje oko chyba wyczekująco...

– Pomyślałem sobie, jaka szkoda, że nie ma tu wędrownego barda. Ale... – tu podniósł głos, żeby słyszeli go wszyscy – spotkało nas przecież to szczęście, że jest z nami Wybranka Epony! Najlepsza bajarka w całym Partholonie!

Wszystkie koniki jak jeden... koń spojrzały na mnie i zaczęły pokrzykiwać coś w stylu:

– Słuchamy, słuchamy!

A ja poczułam, że cała krew odpływa mi z twarzy.

Zerknęłam na ClanFintana, szukając u niego ratunku, lecz on również rozpromieniony przyłączył się do gremialnego pokrzykiwania.

Wiem, że zabrzmiało to co najmniej dziwnie, ale ja naprawdę, i to już po raz któryś z rzędu, nie wiedziałam, co powiedzieć.

Gdy okrzyki ucichły, Dougal patrzył już na mnie inaczej, mianowicie z wyraźną skruchą.

– Proszę o wybaczenie, milady. Po tak ciężkim dniu na pewno nie jest pani w nastroju do opowiadania.

Jego wielkie, brązowe oczy były całe nieszczęśliwe.

Przypominał szczeniaka giganta. Szczeniaka nieszczęśliwego.

Ożeż ty!

– Szczerze mówiąc... no tak... a więc, szczerze mówiąc, potrzebuję chwili, żeby się zastanowić, o czym opowiem wam dzisiaj.

Matko święta! Co?! Którą bajkę? Którą? Którą? Z bajek bardzo dobrze pamiętałam „Kota Prota” Dra Seussa, ale ta bajka jakoś mi nie pasowała, dlatego mój belferski mózdzek zaczął

gorączkowo przeglądać plik „Materiał, który okazał się bezużyteczny, ale go pamiętasz”. I... hurra! Na ratunek pośpieszył mi materiał przerabiany w klasie dziewiątej.

Uśmiechnęłam się do Dougala. Zauważyłam, że radości aż się jakoś tak skręcił. Gdyby faktycznie był szczeniaczkiem, merdałby ogonkiem albo może i by się zsiusiał z radości. Ten Dougal naprawdę był słodziutki.

Od lat próbuję wbić szesnastolatkom do głowy piękno ballad poetyckich. Raczej bezskutecznie, ale moje starania mają bez wątpienia jeden bardzo pozytywny skutek uboczny.

„Rozbójnika” i „Lady z Shallot” potrafię wyrecytować w przód i wstak, nawet we śnie czy stojąc na głowie (czego nigdy nie próbowałam w obecności uczniów, przynajmniej jak dotąd).

Lubię obie ballady, może „Rozbójnika” trochę bardziej, zwłaszcza wersję z muzyką Loreeny McKennitt. Alfred Noyes napisał piękną balladę, a Loreena przydała utworowi tej tak bardzo irlandzkiej magii, bardzo tragicznej i bardzo celtyckiej.

I jej wersję o wiele łatwiej recytować niż oryginalną.

Przed występem podjęłam próbę (daremna) przyglądzenia włosów i wygładzenia ubrania (jw.), jednocześnie gorączkowo obmyślając, jakimi wyrazami zastąpić słowa, które moim zdaniem nie

pasowały do tej rzeczywistości. Zamiast „muszkiet”

zrobić „miecz”, „spust” zastąpić „ostrzem”, „grzmot muszkietów” przerobić na „ciszę nocną rozdarł krzyk” itd., itd.

Nie zauważyłam tu przecież żadnej broni palnej. Gdyby jej w tym świecie używano, na pewno centaury miałyby ją przy sobie.

Wstałam. Wyprostowałam się, uniosłam głowę, starałam się w jak największym stopniu wyglądać według wzorca: Proszę skupić się na mnie! Jestem nauczycielką, uwielbiam być w centrum uwagi. Centaury okazały się uczniami nadzwyczajnymi. Oczy wszystkich bez wyjątku wlepione były we mnie.

Odchrząknęłam, po czym zaczęłam występ:

Wicher jak złowrogi potok ciemności Zalewał drzewa, chłoszcząc je bezlitośnie, Księżyc jak upiorny galeon Kołysał się na siwych falach oceanu chmur.

Droga była wstęgą, srebrzystą od poświaty wstęgą Wijącą się wśród fioletu wrzosowisk.

On pędził. Rozbójnik. Konno – konno – konno Ku drzwiom starej gospody.

Wiem, że śpiewać nie potrafię, ale opowiadać tak, i to znakomicie. Moi uczniowie bardzo lubią, kiedy im coś czytam lub recytuję. Naśladuję przy tym różne głosy, uczniowie mówią, że to prawdziwy „odlot” (ich słownictwo). Krótko mówiąc, nie jestem Loreeną McKennitt z jej urzekającym głosem i muzyką, i wcale nie próbuję nią być. Nie śpiewam ballad, tylko je recytuję. Z sercem, z wielką ekspresją.

Przy drugiej strofie już byli moi.

Na głowie miał trójgraniasty kapelusz nasunięty na czoło,

Pod brodą pienily się białe koronki żabotu.

Frak bordowy z aksamitu,

Brązowe spodnie z kozłowej skóry

Opinały uda bez jednej najmniejszej fałdki.

Buty wysokie aż za kolana!

Jechał, a rękojeść rapiera skrzyła się, skrzyła,

Jeszcze jeden klejnot pod niebem z bogactwem gwiazd.

Wolnym krokiem obeszłam ognisko, snując piękną, tragiczną opowieść o „Rozbójniku”. Centaury, jak powiedziałam, były już moją widownią i uśmiechały się, kiedy Bess (córka oberżysty) wplatała „w długie czarne włosy ciemnoczerwony węzeł miłości”. Kiedy mówiłam o tym, jak Rozbójnik całował wijące się włosy Bess i przysięgał jej, że powróci, kiedy księżyc wzejdzie, powróci, „choćby sam diabeł

zatarasował mu drogę”.

Wtedy stanęłam bliżej ClanFintana.

A potem wyprostowałam się, uniosłam głowę – i stałam się Bess, którą czerwone kubraki, czyli angielskie żoldactwo polujące na Rozbójnika, kneblują i przywiązują do łóżka, by wykorzystać jako przynętę. Moje oczy napęłniły się łzami, kiedy Bess, wykazując ogromną odwagę, wbija sobie szpadę w pierś, krzykiem ostrzegając ukochanego (substytut strzału z muszkietu. Mam nadzieję, że Noyes, już w zaświatach, wybaczy mi pewne nieścisłości).

A potem oczy bardzo poruszonych opowieścią centaurów rozszerzyły się, gdy słuchały, jak to Rozbójnik dowiedział się, że ostrzegła go jego ukochana, co przyplaciła życiem.

Słuchały, jak Rozbójnik...

Śląc ku niebu przekleństwo,

Dźgnął konia ostrogami i zawrócił.

Biały tuman kurzu stał się za nim,

A on gnał z powrotem z rapierem uniesionym wysoko.

W blasku słońca ostrogi zalśniły krwią,

Aksamitny frak przybrał kolor wina,

Kiedy zasiekli go jak psa na tej drodze,

Kiedy leżał w kałuży krwi na tej drodze,

A pod brodą pienily się białe koronki żabotu.

Ostatni wers wyrecytowałam, stojąc w mrocznym miejscu między dwoma ogniskami, tam, gdzie nie sięgał już ich blask.

Wygłosiłam go bardzo dramatycznie, gestykulując uniesionymi rękoma:

Ludzie mówią, że nadal w noc zimową,

Kiedy wicher miota gałęziami drzew,

Kiedy księżyc jak upiorny galeon

Kołysze się na siwym ocenie chmur,

Kiedy droga jak srebrzysta wstęga

Wije się wśród fioletów wrzosowisk,

Rozbójnik jedzie konno – konno – konno,

Podjeżdżając do drzwi starej gospody.

Skończyłam. Złożyłam ręce i spojrzałam przez ramię w dal, jakbym była pewna, że gdzieś tam, w ciemnościach, przejeżdża właśnie konno duch Rozbójnika.

Na moment zapadła cisza, a po sekundzie (chwała Bogu!) usłyszałam gromkie oklaski. Poza tym chłopaki jeden przez drugiego pomstowali na wredne czerwone kubraki, zastanawiali się też, gdzie by tu można znaleźć sobie taką Bess.

Natomiast ja, kłaniając się i uśmiechając, powróciłam na swoje miejsce.

– Bardzo mi się podobało – powiedział ClanFintan, wręczając mi bukłak.

Odebrałam go z wielką wdzięcznością.

– Dzięki. To jeden z moich ulubionych wierszy.

– Nigdy go przedtem nie słyszałem...

Wyraźnie się nad czymś zastanawiał. Czyli niedobrze.

– Wcale się nie dziwię, ClanFintanie! Bo tak się składa, że sama go napisałam.

Jednocześnie dyskretnie schowałam rękę za plecy i zacisnęłam mocno kciuk. Plagiat to naprawdę

coś nie w moim stylu, naprawdę, dlatego bardzo gorąco prosiłam świętej pamięci pana Noyesa o wybaczenie.

– A któż to taki te czerwone kubraki?

– Takie wredusy. Kolor ubrania symbolizuje zło.

Nadal sprawiał wrażenie osoby mającej wątpliwości, więc szybko zatrajkotałam jak rasowy belfer, wykładając kawę na ławę:

– Czerwony to kolor krwi, prawda? Czyli z czymś dobrym raczej się nie kojarzy. I stąd czerwony kubrak jest odpowiednikiem złego człowieka, jednego lub wielu. Kiedy słońce wschodzi rano na czerwonym niebie, to zły znak, prawda? Jednym słowem, czerwony kojarzy się z reguły z czymś negatywnym.

– A król Jerzy to kto?

O matko! Przynajmniej nie spytał się „co”!

– Postać wymyślona.

Znów odruchowo zacisnęłam kciuki. Same ustawiły się w tej pozycji.

– A ten rozbójnik to...

– To złodziej grasujący przy górskiej, krętej drodze. Stąd zwrot „świat tam, w górze”.

Kiedy wciskałam mu ten kit, starałam się jednocześnie patrzeć mu prosto w oczy, co nie bardzo mi wychodziło. Nie potrafię kłamać. Wyolbrzymiać – och, jak najbardziej! Ale kłamać – nie.

ClanFintan chrząknął bardzo znacząco. Takie chrząknięcie centaura, który daje ci do zrozumienia, że chyba polewasz. Ja, oczywiście, udałam, że języka centaurów nie rozumiem ni w ząb.

I zmieniłam temat.

– O nie, jestem wykończona! – Do tego szerokie ziewnięcie i przeciąganie się. – Może bym już się przyłożyła?

Zero reakcji. ClanFintan popatrzył tylko na mnie nieobecny wzrokiem, jakby nadal nad czymś myślał usilnie i usiłował do czegoś dojść.

Trudno, ja mu w tym nie pomogę. Miałam przecież zakodowane w pamięci, że Alanna jest zdecydowanie przeciwna ujawnianiu mojej prawdziwej tożsamości. Alanna, co prawda, była zestresowana i z natury neurotyczna (pod tym względem chyba przegoniła Suzannę), ale spójrzmy prawdzie w oczy. Była jednocześnie, w przeciwieństwie do mnie, na dobre osadzona w tym świecie, a jej paranoiczne reakcje wcale nie musiały być bezpodstawne. Dlatego, choć ta sama Alanna nalegała, bym obdarzyła ClanFintana zaufaniem, wolałam trzymać buzię na kłódkę. Przynajmniej do chwili, gdy nie obgadam tego wszystkiego dokładnie z Alanną.

Dlatego starałam się spoglądać na mego męża wzrokiem jak najbardziej niewinnym. Męża może za bardzo dociekliwego, jednocześnie jednak tak przystojnego. Sam prosił się o pieszczotki!

A więc, jak wspomniałam, najpierw spojrzenie niewiniątka na ClanFintana, potem spojrzenie na szopę.

– Czy mógłbyś, zanim umoszczę się na noc, zajrzeć tam pierwszy i sprawdzić, czy nie ma nic pełzającego i truchtającego?

Trochę nieprzytomne spojrzenie ClanFintana jakby oprzytomniało. Uśmiechnął się.

– Oczywiście. – Zawołał do Dougala, który, jak się domyśliłam, nie chciał nam przeszkadzać i przenieść się do drugiego ogniska. – Dougal! Lady Rhiannon potrzebuje dwóch koców!

Dougal, jak grzeczny chłopczyk, natychmiast zerwał się na równe (cztery) nogi.

– Chodź – powiedział ClanFintan, wyciągając do mnie rękę. – Nie pozwolę, żeby coś do ciebie przypelzło czy przytruchtało.

Wzięłam go za rękę i wkroczyliśmy do mrocznej szopy, bardzo niedużej i wypełnionej szczelnie przewiązanymi szpagatem balami siana. ClanFintan od razu przystąpił do czynu.

Poprzekładał kilka bali, a kilka rozwiązał, w rezultacie zanim pojawił się Dougal nie z dwoma, lecz z kilkoma kocami, całkiem przyjemne gniazdko na sianie dla mnie było już gotowe.

Niedaleko drzwi.

ClanFintan rozłożył w gnieździe jeden z koców i skinął na mnie.

– Chodź, Rhiannon. Nie ma tu nic podejrzanego.

– Dzięki. Po prostu nie lubię, jak coś się skrada albo ucieka.

Usiadłam na środku gniazda i zaczęłam ściągać buty.

ClanFintan od razu nachylił się i sam mi je zdjął. I to właśnie między innymi bardzo mi się w nim podobało.

W szopie było mroczno i przytulnie. Pachniało świeżo skoszoną łąką...

– A gdzie będą spać twoi ludzie?

– Przy ognisku. Poza tym będziemy na zmianę stać na warcie.

– Czyli tutaj mam spać tylko ja?

– Tak. – Przekrzywił głowę, białe zęby błysnęły w uśmiechu.

– Rozumiem. Czyli nie będzie w tym nic nieprzyzwoitego, jeśli ściągnę spodnie? Bo wiesz, nienawidzę spać w spodniach.

– Śmiało możesz to zrobić.

Jego głos znów zmienił się w ciekły aksamit.

Ściągnęłam spodnie, złożyłam je porządnie i (starając się być jak najwierniejszą imitacją Marilyn Monroe) nachyliłam się, by położyć spodnie na pobliskiej beli siana. Oczywiście cały czas czułam na sobie wzrok ClanFintana. Super. Bardzo mi to odpowiadało. Potem ułożyłam się na kocu w moim gnieździe i uśmiechnęłam się. Do góry, czyli wiadomo, do ClanFintana.

Który nakrył mnie starannie drugim kocem.

– Dobranoc. Śpij dobrze, Rhiannon. – powiedział

cieplutko. I nie ruszał się z miejsca.

– Kiedy ty stoisz na warcie? – spytałam. A dlaczego nie?

W końcu to mój mąż!

– Dopiero rano.

– W takim razie mógłbyś posiedzieć tu przy mnie, dopóki nie zasnę?

– Jeśli chcesz...

– Jasne, że chcę.

Usiadłam i przesunęłam się na bok, robiąc miejsce dla mego męża o rozmiarach, wiadomo, imponujących. ClanFintan wszedł do gniazda i ułożył się, oczywiście jak centaur.

Mówiłam wam już o tym. Końska część leży, nogi podkurczone, tułów ludzki pionowo. Jakby siedział za mną. Na szczęście tułów ClanFintana nie był aż tak strasznie wysoki, kiedy tak siedział po swoim, mogłam więc spokojnie oprzeć się o jego pierś. Co też skwapliwie uczyniłam, kiedy tylko się już ulokował. Natychmiast wsunęłam się w jego objęcia, tam zrobiłam w tył zwrot, dzięki czemu byłam teraz zwrócona ku niemu twarzą.

Moje włosy jak zwykle zachowywały się skandalicznie.

Poskręcane były na dziko, ponieważ schły sobie swobodnie przy ognisku. Wcale nie musiałam siebie widzieć, by mieć stuprocentową pewność, że wyglądam jak Meduza.

ClanFintan zgarnął mi z twarzy kilka tych rozpasanych loków.

– Wybacz. – Zdmuchnęłam z czoła jeszcze jeden lok. –Z włosami mam wieczny problem. Powinnam obciąć je na krótko.

Był wyraźnie zaskoczony.

– Przecież kobiety nie obcinają włosów.

No tak. Nomen omen – obciach. Trzeba jakoś wybrnąć.

– Oczywiście, ale tak sobie pomyślałam, że w krótkich byłoby o wiele wygodniej.

Ciekawe, czyżby ClanFintan zauważył, że mam włosy krótsze niż Rhiannon?

– Alanna troszeczkę mi podcięła – dodałam szybko. –Szkoda, że nie poprosiłam, by je skróciła jeszcze bardziej.

– W krótkich włosach na pewno jest wygodniej, ale kobiecie o wiele lepiej w długich. Wtedy wygląda naprawdę pięknie.

Czyli typowe męskie stanowisko. Faceci uwielbiają długie włosy u kobiet, z tym że jeśli chodzi o mnie, to problemu nie ma. Nigdy w życiu nie chciałam mieć krótkich włosów.

ClanFintan wsunął palce w rudy gąszcz, trochę loków odsunął na bok i tam, w tym odsłoniętym miejscu, ukrył twarz.

Jednocześnie jakoś tak mocniej przygarnął, przycisnął mnie do siebie. I wtedy usłyszałam – a może raczej wyczułam – jego jęk.

I podniósł głowę. Jego twarz była bardzo blisko mojej twarzy.

– Czyli... moje włosy podobają ci się? – szepnęłam, zaglądając mu w oczy.

Jego spojrzenie przemknęło ku moim ustom.

– Podobają mi się nie tylko twoje włosy, Rhiannon.

Uśmiechnęłam się do niego słodziutko, jak najwięcej słodczy, rozumiecie.

– Naprawdę? To miło, chociaż odnoszę wrażenie, że jesteś tym zaskoczony. Że cokolwiek ci się we mnie podoba.

Jego wzrok powędrował z powrotem w górę, do moich oczu.

– Tak, jestem.

– To nie bądź. Wszystko, co widzisz, to ja. Jestem naprawdę taka, jaka jestem... – szepnęłam trochę może bez sensu, ale nie szkodzi. W każdym razie zanim wciągnął mnie w rozmowę, której temat przeraziłby Alannę, objęłam go za szyję, przyciągnęłam bliżej głowę i dotknęłam wargami jego ust.

Ciekawe, czy kiedykolwiek przyzwyczaję się do niego, do tego, jaki on jest. Bo ClanFintan był po prostu niezwykły. Kiedy mnie całował, miałam wrażenie, jakbym zetknęła się z ciekłym ogniem. Poza tym miałam wielką, przeogromną ochotę, żeby całował nie tylko usta. Może jeszcze tu, a może tam... O, miałam w głowie już gotową listę tych miejsc. Chociaż od samego pocałunku w usta dostawałam gęsiej skórki.

A teraz z moich ust uleciał cichutki jęk i ClanFintan natychmiast odsunął się ode mnie. Tylko

trochę, ja jednak odczułam to, jakby nagle powiał zimny wiatr.

– Dlaczego? Dlaczego przestałeś?

– Bo powinnaś już zasnąć, Rhiannon. – Żartobliwie musnął

palcem czubek mojego nosa. – A ja mogę zapomnieć, że nie powinienem dziś przybierać innej postaci.

Jego palec opuścił nos i przesunął się po moich wargach.

Od tego też dostałam gęsiej skórki.

– Aha...

Chwyciłam zębami jego palec i ugryzłam. Nie za mocno, ale ugryzłam, po czym usłyszałam, jak ClanFintan dziwnie głośno odetchnął. Pocałowałam więc biedny pogryziony paluszek i puściłam.

– No to kaszana – oświadczyłam.

– Kaszana? Co to znaczy?

– To bardzo dobre określenie na różnego rodzaju niepożądane sploty okoliczności. Jak teraz. Chcesz, a nie możesz. Chodzi o zmianę postaci, oczywiście.

– Rozumiem. Tak, masz rację. Sytuacja jest bardzo niepożądana.

Uśmiechnęliśmy się do siebie jak para nastolatków, która zdobywa wiedzę o różnego rodzaju

sytuacjach, i przytuliłam się do niego, do źródła tego cudownego ciepła.

– Spróbuj zasnąć – szepnął gdzieś tam u góry do moich włosów.

– Zasnąć? Szczerze mówiąc, w głowie mam teraz coś innego.

– Postaraj się jednak zasnąć.

W głosie ClanFintana słychać było napięcie, co sprawiło, że musiałam się uśmiechnąć. Do jego klatki.

Zaczął masować mi plecy, spracowane, jak cała reszta.

– Cudownie... – westchnęłam.

W odpowiedzi chrząknął, coś tam wymamrotał. Chyba rozkaz, że mam być już cicho. Jego ręka, która ugniatała moje obolałe mięśnie pleców, zaczęła przesuwać się w dół, ku bardzo umęczonym pośladkom.

– Uważaj. Bolą mnie jak nie wiem co.

– Domyślam się. Będę uważał. A ty przestań wreszcie gadać i śpij!

No nie. Zachowuje się zupełnie jak moja babcia!

Ale zamilkłam, i to na dobre. Kombinacja – wielkie zmęczenie, ciepło emanujące z ClanFintana

plus cudowny masaż – okazała się bardziej skuteczna niż tylenol PM. Czulałam, jak cała się rozluźniam i nagle, w jednej chwili, odpłynęłam.

Na początku mój sen był zlepkiem różnych scen z udziałem Samotnego Strażnika i jego konia Silvera. We trójkę moczyliśmy się w wannie wypełnionej gorącą wodą. Trochę to było dziwne, ponieważ Samotny Strażnik nigdy dotąd mi się jeszcze nie przyśnił (jeśli zachce mi się faceta w masce, zwykle przywołuję Batmana, bo lubię te jego przemiany ze złego chłopczyka w dobrego i na odwrót). A tu przyśnił mi się i Samotny Jeździec, i jego koń. Dziwny, naprawdę bardzo dziwny sen. Nawet dla mnie.

Nie trwał jednak długo. Może dlatego, że Silver, w przeciwieństwie do Pana Eda, nie umiał mówić, zrobiło się więc trochę nudno, w rezultacie przemieściłam się z wanny do wielkiego sklepu z sieci Saks Fifth Avenue. Stałam tam, ściskając w ręku gruby zwitek banknotów. W pobliżu kręciło się kilka ekspedientek, każda omal nie wyskakiwała ze skóry, żeby mnie obsłużyć. Niestety, dokładnie w chwili, gdy podchodziłam do ślicznego bliźniaka z czerwonego kaszmiru (wyprzedaż, tylko 529 dolców!), nagle pofrunęłam. Do góry, coś wessało mnie przez sufit...

...Tak, zgadza się. Przez sufit czy też dach szopy.

Przelatywałam nad ogniskami i śpiącymi centaurami, leciałam w noc. Księżyc już wzeszedł, srebrzysta kula pyszniła się na granatowym niebie usianym dodatkowo migoczącymi gwiazdami. A ja wzbijałam się coraz wyżej. Tym razem ten proces przebiegł gładko, jako że miałam już pewną praktykę we wsysaniu i lataniu. Dlatego przygotowałam się psychicznie na niezbyt przyjemny zawrót głowy podczas nabierania wysokości i, jak wspomniałam, poszło niezle.

Niosło mnie wyraźnie w kierunku północno-wschodnim.

Spojrzałam w lewo. Kiedy zobaczyłam tłące się zgliszcza Zamku MacCallana, szybko zamknęłam oczy, modląc się w duchu do tego kogoś – czy czegoś, w sumie nieistotne – co kieruje tym wszystkim, żeby nie kazał mi tam wracać.

Poprosiłam bardzo gorąco i rzecz dziwna, zaraz potem poczułam się tak, jakby ktoś szepnął, żebym się nie denerwowała. Otworzyłam więc oczy. Faktycznie, wcale nie leciałam do zamku, lecz w stronę odległych gór. Staralam się siłą woli skłonić moje niewidzialne ciało, by przemieszczało się dokładnie na wschód. Mogłabym wtedy zobaczyć, co z Epi, może przeleciałabym nad świątynią, rozejrzała się, sprawdziła, co tam się dzieje.

Niestety, nie udało się, co właściwie było do przewidzenia, miałam przecież już okazję się przekonać, że w tego rodzaju snach nie ja jestem kierowniczką. Tak samo jak przekonałam się już, że to, co widzę w takim śnie, to jawa, a nie sen.

Najprawdziwsza prawda.

Leciałam na wschód. W dole co jakiś czas widziałam domy i budynki gospodarcze. Wyteżałam wtedy wzrok, pragnąc się upewnić, czy nikt nie zlekceważył ostrzeżenia i w tych domach na pewno nikogo już nie ma. Niestety, przesuwałam się w powietrzu zbyt szybko, żeby nabrać całkowitej pewności. Po jakimś czasie przede mną pojawił się las, a ja zdecydowanie przyspieszyłam, i to tak bardzo, że drzewa w dole zamazywały się mi się przed oczami, praktycznie widziałam już tylko czerń.

Leciałam tak szybko, jakby ktoś wystrzelił mnie z procy.

A potem nagle stop. Zatrzymałam się przed bardzo okazałą budowlą u wylotu przełęczy. Był to wielki zamek, prawie tak duży jak zamek mojego ojca, jednocześnie jednak całkiem inny.

Zamek MacCallana był piękny i malowniczy, a ten bardzo ponury, surowy. Majestatyczny. Tak, właśnie majestatyczny.

Gdybym nie wisiała w powietrzu, na pewno złożyłabym przed nim ukłon.

Niestety znów, podobnie jak tamtej nocy, kiedy byłam świadkiem klęski MacCallana, wyczuwałam zło emanujące z majestatycznej budowli, zło lepkie, wyciekające jak miód z plastra. A może wpadłam już w obsesję? Tamtej strasznej nocy nie sposób było zapomnieć. Na zawsze wryła mi się w pamięć i w serce, może więc w jakiś sposób wpływało to na moją zdolność percepcji. Znów zobaczyłam zamek i wężę zło?

Może i tak, w każdym razie kiedy starałam się skupić maksymalnie i spojrzeć na wielką warownię obiektywnie, nic z tego nie wychodziło. Jakbym nie potrafiła ot tak, po prostu usunąć z serca i pamięci duchów tamtych ludzi.

Sama budowla sprawiała wrażenie, jakby wyrzeźbiono ją z gór. Autentycznych gór. Idealny kwadrat, pierścień grubych murów obronnych i bramy z grubych, żelaznych prętów. Mury wzniesiono z nieociosanego szarego kamienia, od razu przydając mu lat. Przypominały stare drzewo o sękatych konarach, które przetrzymało wiele wichur.

Kiedy tak wpatrywałam się w ponure zamczysko, przypomniało mi się jedno z najbardziej mrocznych opowiadań Edgara Allana Poeego – „Ligea”. Akcja rozgrywa się w starym klasztorze, też otoczonym grubym, starym murem. Za tym to właśnie grubym, starym murem bohater opowiadania jest świadkiem, jak duch jego pierwszej żony stara się zawładnąć ciałem jego zmarłej drugiej żony. Walczy o zdobycie każdego jego skrawka, w rezultacie zwłoki ożywają, z tym że nie są to zwłoki drugiej żony. Trup, który powstaje z mar, wygląda jak ta pierwsza. Makabra, co? Niestety, ta historyjka jakoś pasowała mi do atmosfery tego miejsca.

Po chwili przesunęłam się do przodu i zawisłam nad środkiem zamku, który mimo nocnej pory wcale nie był

pogrążony we śnie. Na wielkim kwadratowym dziedzińcu paliło się wiele ognisk. Moje niewidzialne ciało nie odczuwało żadnej temperatury, tu jednak musiało być bardzo zimno, ponieważ ludzie, którzy siedzieli przy ogniskach, opatuleni byli w koce i peleryny z kapturami.

Nagle zadrżałam. Peleryny... Przecież to znowu mogą być skrzydła! Fomorianie?!

Nie, bo kiedy jedna z tych zakutanych postaci wstała, zsunęła z siebie koc i dorzuciła do ognia, zobaczyłam, że jest to na pewno istota ludzka.

Kobieta.

Moje ciało z własnej inicjatywy przesunęło się bliżej. Tak, przy tych ogniskach siedziały tylko kobiety. Bardzo wiele bardzo dziwnych kobiet. Nie rozmawiały ze sobą, poruszały się dziwnie. Jak automaty.

To są...

– Kobiety z Zamku MacCallana!

Powiedziałam to na głos. Zauważyłam wtedy, że jedna z kobiet zwróciła się twarzą w moją stronę. Nie, nie kobieta.

Dziewczyna, nastolatka, mogła mieć najwyżej trzynaście, czternaście lat. Była bardzo ładna, miała wysoko osadzone kości policzkowe, piękny profil, pulchne, jeszcze dziecinne policzki.

Włosy piękne, bujne, oczy ogromne. Długie, gęste rzęsy trzepotały jak skrzydła motyla, kiedy dziewczyna próbowała otrząsnąć się z tego stanu odrętwienia, w którym znajdowały się wszystkie kobiety. Patrzyła w moją stronę, wyteżala wzrok, starając się cokolwiek dojrzeć.

Na widok ślicznej dziewczyny poczułam wielki smutek.

A widok wszystkich tych kobiet wzbudzał we mnie lęk. Na pewno działo się tu coś strasznego. Nie łudziłam się, tym bardziej że raz, tamtej strasznej nocy, już byłam świadkiem najgorszych okropieństw. Tu też było strasznie, choć nie wiedziałam jeszcze, na czym dokładnie to polega. Czułam jednak, że chodzi o coś więcej, nie tylko wzięcie kobiet w niewolę i wykorzystywanie seksualne.

Nagle w ciszę nocną wdarł się przerażający krzyk.

Dziewczyna, która próbowała mnie zobaczyć, szybko podbiegła do pozostałych kobiet, które zbiły się w przerażone stado. Jak owce, które pasterz wydał na łup wilkom. Wszystkie, skubiąc nerwowo swoje suknie, patrzyły z lękiem w jednym kierunku.

Na zamknięte drzwi. Wielkie drzwi, którymi niewątpliwie wchodziło się do jakiejś wielkiej sali.

Znów przeraźliwy krzyk. Kilka kobiet zaczęło podchodzić do tych wielkich drzwi, cofnęły się jednak, kiedy inne zaczęły wołać, by wracały, i to natychmiast.

Znów ten straszny krzyk.

Ktoś doznawał niewyobrażalnego bólu, ktoś krzyczał już nie głosem człowieka. A ja w tym momencie miałam tylko jedno pragnienie: dowiedzieć się, co dzieje się za tymi drzwiami, i oczywiście temu przeciwdziałać.

Moja prośba została wysłuchana. Błyskawicznie przesunęłam się w powietrzu do złowrogich drzwi, które wessały mnie, podobnie jak odkurzacz wchłania w siebie robala.

Wessały mnie i wypłuły z drugiej strony pod sufitem wielkiej sali, która w pierwszej chwili wydała mi się bardzo podobna do wielkiej sali jadalnej w świątyni Epony. Tu też w każdym rogu był kominek, tak wielki, że śmiało zmieściłoby się w nim kilka osób. W kominkach płonął ogień, na ścianach płonęły pochodnie, nie były jednak w stanie całkowicie rozproszyć mroku w tak wielkim pomieszczeniu.

Pod jedną ze ścian zauważyłam długie drewniane ławki, całkiem zwyczajne. Siedzieli na nich jacyś ludzie ze spuszczoneymi głowami, wielu głowy miało oparte o ramię osoby siedzącej obok. Siedzieli w milczeniu, nieruchomo. Jakby spali.

Nagle znów usłyszałam krzyk, zaraz potem rozdzierający jęk. Wtedy dostrzegłam jeszcze jedną ławkę, inną od tamtych, bardzo szeroką, właściwie był to stół ustawiony nieco dalej.

I tam właśnie zaczęło przesuwać się teraz moje niematerialne ciało. Tam, skąd emanowało zło. Wyczuwałam je, i to wrażenie narastało we mnie w miarę, jak się tam zbliżałam. Fale zła, a za nimi coś, do czego najbardziej pasowało mi określenie: mgła rozpacz. Tak, właśnie to. Podobnie jak tamtej nocy, kiedy napadnięto na Zamek MacCallana, wyczuwałam zło wręcz namacalnie.

Wcale nie chciałam tam patrzeć. Wcale nie chciałam zobaczyć, co jest na tym stole.

Ale moje powieki nie chciały opaść.

Wokół stołu stało kilka... istot. Biło od nich wielkie skupienie. Oprócz tego gremialnego skupienia coś jeszcze mieli ze sobą wspólnego. Skrzydła. Rozłożone skrzydła, które drżały, szeleściły, chociaż reszta ciała pozostawała nieruchoma.

A ja konsekwentnie przysuwałam się do tego stołu, do źródła tego strasznego krzyku.

Kobieta. Naga kobieta, wieku nie sposób było określić.

Mogła być zarówno bardzo młoda, jak i bardzo stara. Leżała na drewnianym stole lśniącem czerwienią jej krwi. Przywiązane do stołu ręce miała wyciągnięte nad głową, a nogi rozstawione tak szeroko, że kolana stykały się ze stołem. Też były do niego przywiązane tak samo jak stopy podsunęte do góry, bliżej ciała.

Wyglądało to tak, jakby tę kobietę do testu na raka macicy przygotowano w sposób wyjątkowo obsceniczny.

Jej wielki, rozdęty brzuch drżał, coś w nim się wilo, coś, co żyło swoim własnym życiem. niezależne od reszty ciała.

Kobieta znów krzyknęła straszliwie, żyły na szyi nabrzmiały jak postronki. Drżała konwulsyjnie, a obserwujące ją stwory ani drgnęły. Nie robiły niczego, żeby jej pomóc. Stały w milczeniu, patrzyły, tylko ich niespokojne skrzydła świadczyły o tym, że wcale nie są takie spokojne.

Rodząca kobieta znów zaczęła rozdzierająco krzyczeć.

W tym krzyku była też kompletna bezradność, świadomość, że jej los jest już przesądzony. Wejście do pochwy rozwarło się.

Nigdy nie przypuszczałam, że ciało ludzkie jest w stanie otworzyć się aż do takiego stopnia. Trysnęła krew, cała fontanna krwi. Czerwone kropelki spadły na rozedrgane skrzydła milczącej widowni, a z drżącej konwulsyjnie kobiety wysunęło się coś w kształcie walca. Coś owiniętego w grubą, pomarszczoną skórę zabarwioną szkarłatem świeżej krwi.

Mój umysł buntował się przeciwko tej przerażającej scenie, jednak oczy dalej patrzyły, nie słuchając rozkazu. Tak samo jak moje niematerialne ciało, któremu kazałam już stąd odejść, nadal unosiło się nad miejscem kaźni.

Zakrwawiona, odrażająca tuba nadal tkwiła w udręczonej kobiecie. W tej tubie coś drżało, skrzyło się jak światło odbijające się od ostrza noża.

Przyciągało mój wzrok i moje ciało. Teraz unosiło się zaledwie metr, dwa nad głowami stworów.

Czas jakby zwolnił. Stwory pode mną stały idealnie nieruchomo, jakby jakaś niewidzialna ręka

nacisnęła przycisk: życie stop.

Zbliżyłam się jeszcze bardziej i nagle uświadomiłam sobie, że ten kawał zdeformowanego mięsa, nadal uwięzionego w ciele kobiety, to nowonarodzony stwór. To, co wydawało mi się pomarszczoną skórą, w rzeczywistości jest parą niewykształconych jeszcze ostatecznie skrzydeł, które otulają noworodka, tworząc coś w rodzaju kokonu, który chroni gąsienicę. W migoczącym świetle pochodni zauważyłam przy skrzydłach, u ich końca, jakieś małe wyrostki. Nie, żadne wyrostki. To malusieńkie szpony lśniące od wód płodowych i krwi.

– O Boże!

Mój okrzyk przerwał bezruch. Jeden ze stworów poderwał głowę i spojrzał w moją stronę.

– Zabierzcie go do pieczary wylęgowej! – powiedział

dziwnym, chrapliwym głosem, jakby mówienie sprawiało mu trudność.

Jeden ze skrzydlatych stworów, niewątpliwie rodzaju żeńskiego, wsunął ręce w rozdarte ciało kobiety. Ostrożnie wyjął schowanego w kokonie skrzydeł noworodka i szybko wyszedł z sali. Za nim ruszyła co najmniej połowa stworów, widzów tego przerażającego spektaklu.

Odprawdzałam ich wzrokiem, dlatego też zauważyłam, że kiedy mijali ławki ustawione pod ścianą, siedzące na nich istoty skuliły się ze strachu. A ja znów krzyknęłam z wielkiego przerażenia, bowiem na tych ławkach siedziały normalne kobiety, istoty ludzkie płci żeńskiej, a wszystkie w różnych stadiach ciąży.

Nagle usłyszałam przedziwny syk dobiegający od strony tego nieszczęsnego stołu.

Stwór rodzaju męskiego, ten, który przedtem przemówił, nadal patrzył w górę. Moje

zdematerializowane ciało zadrżało.

Z trudem udawało mi się to opanować.

– Nuada, co tam jest? – spytał inny stwór.

– Sam nie wiem – warknął pierwszy. Jego skrzydła naprężyły się, płonący wzrok przeszukiwał pustkę nad głową. – Ale wyczuwam tam czyjąś obecność. Tak samo było, kiedy w Zamku MacCallana walczyliśmy z tym samotnym wojownikiem. Tam ktoś musi być. Prawie go widzę...

Wskoczył na stół – człowiek nie byłby w stanie zrobić tego tak zwinnie – i stanął na rozkraczonych nogach nad skąpanym we krwi ciałem martwej kobiety.

Był dokładnie pode mną.

– Może nawet mogę tego dotknąć. – Wyciągnął ku mnie długą, chudą rękę, rozcapierzając zakończone szponami kościste palce.

Czułam, jak w mojej piersi rodzi się krzyk i...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Aaahhh!

Krzyk, który wydobył się z mojego gardła, z pewnością miał moc wybuchu potężnej miny.

Spanikowałam w ciemnościach, chociaż moje zmysły szeptały zawzięcie, że pachnie wiosną i koniem, a nie krwią i horrorem. Mój umysł

jednak był odrętwiały z przerażenia, dlatego, kiedy ktoś próbował mnie pochwycić, zaczęłam zaciekle walczyć.

Szarpałam się, gryzłam i kopałam.

– Rhiannon, uspokój się! Nic złego ci nie grozi!

Po chwili głos ClanFintana przebił się przez lodową skorupę mego strachu i uświadomiłam sobie, że znowu jestem w szopie. Przestałam walczyć, ale adrenalina nadal kursowała po moim ciele. Dygotałam jak w febrze, pojękując przy tym:

– O Boże, o Boże. To było straszne!

Ramiona ClanFintana objęły mnie jeszcze mocniej.

– Znow Magiczny Sen? – spytał cicho. Gdy pokiwałam głową wtuloną w jego pierś, dopytywał dalej: – Znowu te stwory?

– ClanFintanie, odnalazłam kobiety! – Poczulałam, jak drgnął. Potem rozluźnił ramiona i odsunął się trochę, spoglądając mi prosto w oczy. A ja wyrzuciłam z siebie jednym tchem: – Są w zamku koło przełęczy!

– W Warowni!

– To może być tam.

– Może? Czy to znaczy, że nigdy tam nie byłaś?

– Oczywiście, że nie! – zaprzeczyłam odruchowo, a gdy to do mnie dotarło, wcale nie ofuknęłam się w duchu. W końcu to nie pora na zastanawianie się, czy Rhiannon była kiedyś w Warowni, czy nie. – W każdym razie kobiety są w wielkim kwadratowym zamku, który stoi u wylotu przełęczy.

– Czyli na pewno w Warowni.

– One tam są. Uprawdzili je i och... to straszne... oni je...

wykorzystują, rozumiesz...

Nie byłam w stanie nic więcej z siebie wydusić. Ukryłam twarz w rozdygotanych dłoniach, a ClanFintan wstał. Szczelniej owinął mnie w koc i wziął na ręce, po czym wyniósł z mrocznej szopy w kojący krąg światła wokół ogniska.

– Daj mi bukłak! – zawołał do zaspanego Dougala, sadzając mnie na mojej kłodzie.

Dougal, zerkając na mnie z niepokojem, błyskawicznie wykonał polecenie.

– Pij, Rhiannon – powiedział ClanFintan, przytykając bukłak do moich ust. – Pij, to dobrze ci zrobi.

Byłam mu niezmiernie wdzięczna, że o tym pomyślał.

Wypiłam kilka łyków zbawiennego czerwonego płynu i ocierając usta wciąż drżącą, szepnęłam:

– Dzięki...

– A teraz mów.

Głos miał mocny, zdecydowany, taki głos, który krzepi innych. ClanFintan usiadł tuż przy mnie i

lekko ścisnął moją dłoń. Wszystkie pozostałe centaury obudziły się, wszystkie też, rzecz oczywista, zamieniły się w słuch. Ich obecność dodawała mi odwagi, bo wśród tych konioludzi czułam się całkowicie bezpieczna.

Odetchnęłam głęboko, po czym zaczęłam mówić, dziwiąc się, że ten drewniany głos należy do mnie.

– Tam są kobiety. Kiedy tylko je zobaczyłam, uderzyło mnie, że zachowują się bardzo dziwnie, jak żywe trupy albo jak ktoś, kto jest w nieprawdopodobnie potężnym szoku. Gdy usłyszałam przerażające krzyki, podążyłam za tym strasznym głosem i znalazłam się w wielkiej sali, gdzie na stole leżała ciężarna kobieta. Była przywiązana do stołu, a wokół stały skrzydlate stwory. Ona... rodziła. Widziałam, jak noworodek wydobywał się z jej ciała. To było dziecko... stwora... W tej sali były jeszcze inne kobiety, wszystkie ciężarne. Siedziały pod ścianą bez ruchu, jakby dusze już z nich uleciały. Jeden z tych stworów wyczuł moją obecność i próbował mnie złapać. Wtedy zaczęłam krzyczeć i obudziłam się...

Skończyłam i natychmiast podniosłam buklak do ust.

– Co powiedziałaś? Jeden z nich ciebie wyczuł? – spytał

ClanFintan.

– Tak. Z tego, co mówił do innego stwora, wynikało, że prawie mnie zobaczył. Powiedział że wyczuwał moją obecność już tamtej nocy, gdy zabijali mego ojca.

ClanFintan wstał i zaczął niespokojnie chodzić tam i z powrotem koło ogniska.

– Szczerze mówiąc, nie wierzyłem, że uda im się wdrzeć do Partholonu, krainy będącej pod opieką Epony.

– Nie wierzyłeś? ClanFintanie, jak mam to rozumieć?!

Zauważyłam, że spojrzał znacząco na pozostałe centaury, a potem powoli zwrócił się twarzą ku mnie. Jego twarz była surowa, nieruchoma, jak wtedy, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy.

Nagle poczułam na plecach lodowaty dreszcz, przypomniałam sobie bowiem, co powiedział ClanFintan o Fomorianach:

– Oni wyszli z ukrycia.

W domyśle znaczyło to coś więcej: Pójdą dalej? Zaatakują cały Partholon?!

– ClanFintanie, proszę...

– Centaury wiedziały już wcześniej, że Fomorianie napadną na Partholon.

– Tak? To dlaczego...

Dougal wysunął się trochę do przodu.

– Milady, owszem, centaury wiedziały o tym, ale nie wszyscy z nas uwierzyli w te znaki...

– Jakie znaki? O czym on mówi? – spytałam podniesionym głosem, wbijając wzrok w małżonka.

ClanFintan ze spokojem zareagował na moje wzburzenie, przystępując do wyjaśnień:

– Chodzi o mojego ojca, milady. Jak wiesz, tuż przed naszymi zaręczynami zostałem przywódcą Stada Fintan.

Przedtem przywódcą był mój ojciec... – Gdy skinęłam głową potakująco, choć naturalnie nie miałam o tym bladego pojęcia, mówił dalej: – Gdzieś tak przed rokiem mój ojciec zaczął

zachowywać się dziwnie. Najpierw były to niewielkie zmiany w jego przyzwyczajeniach, które zauważali tylko członkowie rodziny i najbliżsi doradcy. Na przykład zaczął kłaść się spać i budzić o bardzo dziwnych porach. Kłopoty ze snem z czasem zaczęły się nasilać, poza tym stał się wyjątkowo małomówny.

Był wiecznie zamyślony, nieobecny duchem i bardzo przybity, jakby przebywał w swoim własnym mrocznym świecie, gdzie za każdym drzewem czai się zło. A kiedy wszyscy serdeczni przyjaciele stali się dla niego podejrzani... – ClanFintan zamilkł

na moment.

– Rozumiem... – szepnęłam wstrząśnięta. Było dla mnie jasne, jak trudno mu opowiadać o degrengoladzie ojca.

Zebrał się jednak w sobie i mówił dalej:

– Zapewne wiesz, że Stado Fintan wybiera sobie przywódcę, podobnie jak szamana. Nie ma dziedziczenia, decyduje wola większości, a przy wyborze bierze się pod uwagę przede wszystkim walory duchowe. To żaden dyshonor, kiedy centaur po wielu latach sprawowania funkcji przywódcy lub szamana ustępuje z własnej woli, by młodszy i bardziej sprawny przejął ster. Dożywa wtedy w spokoju swoich dni, w razie potrzeby służąc radą i pomocą. Jednak zupełnie czym innym jest, gdy od centaura żąda się, by ustąpił...

Znów zamilkł, jakby dokończenie tego zdania było ponad jego siły.

Współczułam mu, bo widziałam, jak cierpiał, wspominając tamte zdarzenia. Nie pocieszałam go jednak, tylko milczałam, by przedłużająca się cisza skłonić ClanFintana do dalszych wyznań. Jako Wielka Kapłanka i Wybranka Epony, która w każdej chwili może być zmuszona do podjęcia decyzji dotyczących najżywoźniejszych spraw Partholonu i jego mieszkańców, musiałam wiedzieć jak najwięcej.

ClanFintan podjął po chwili:

– To dyshonor, największy z możliwych dyshonorów, kiedy Stado przestaje ufać swemu przywódcy i domaga się, by ustąpił. Oczywiście mój ojciec zdawał sobie z tego sprawę, jednocześnie jednak sprawiał wrażenie, jakby całkiem przestał

panować nad sytuacją, której dłużej nie można już było tolerować. Tylko dzięki temu, że przez wiele lat rządził mądrze i sprawiedliwie, nikt przeciwko niemu nie powstał, jednak on sam, a właściwie już tylko jego cień, zwołał Radę Wojowników, na którą przybyły głowy wszystkich rodzin. Ojciec opowiedział

o wizjach, które prześladowały go w snach, zawaładnęły nim i wciągnęły w otchłań zła. Były to wizje straszliwe, pełne krwi i śmierci. Najpierw związane były z Warownią, potem rozciągnęły się na cały Partholon i Równiny Centaurów... –Znów zamilkł, jakby ponownie przeżywał tamte bolesne chwile.

– ClanFintanie... – odezwałam się cichutko i ciepłutko, żeby odczuł, jak bardzo mu współczuję z powodu okropnej historii z ojcem.

Musiał odczuć, bo wyraźnie się odprężył i dokończył swoją opowieść:

– Co było potem, nietrudno się domyślić. Połowa Rady uznała go za szaleńca i wezwała, by sam ustąpił z przywództwa Stada. Druga połowa Rady uwierzyła mu i domagała się, by podjęto działania w celu znalezienia źródła tego zła.

W rezultacie, ponieważ nikt nie miał przewagi, sprawa utknęła w martwym punkcie, aż wreszcie zdecydowano się na kompromis... – Po twarzy ClanFintana przemknął bardzo niewesoły uśmiech. – Wybrano nowego przywódcę. Zostałem nim ja, jego syn. W jednej kwestii wszyscy byli jednomyślni.

Przywódca Stada, który jednocześnie jest Wielkim Szamanem, potrafi dojść prawdy.

Zamilkł, czułam jednak, że jeszcze czegoś powinnam się dowiedzieć, spytałam więc:

– ClanFintanie, a dlaczego, po wszystkich tych wydarzeniach, tak mocno nastawiałeś na zaręczyny ze mną?

– Kiedy Rada Wojowników wybrała mnie na przywódcę Stada, odbyłem z moim ojcem rozmowę w cztery oczy. Ojciec swoje racje wciąż przedstawiał bardzo niezrozumiale, jedną jednak sprawę wyłożył bardzo przejrzyście. Aby pokonać zło, potrzebuję wsparcia Epony, dlatego powinienem bezwzględnie połączyć się węzłem małżeńskim z Wybranką Bogini. Zresztą jest to zgodne z tradycją, bo od pokoleń Wielki Szaman Centaurów jest towarzyszem życia Wybranki Epony. – Wzrok ClanFintana ani na sekundę nie odrywał się od mojej twarzy. – Co prawda oświadczyłaś, że zrywasz z tą tradycją, ale ojciec poradził mi, żebym pojechał do twego ojca i wszystko mu wyłożył. Jeśli MacCallan zezwoli na nasz ślub, to ty, nawet jeśli nadal będziesz przeciwna, jednak się ugniesz z miłości i szacunku do ojca. A nasi ojcowie, jak wiesz, byli druhami i darzyli się wielkim zaufaniem i szacunkiem. W każdym razie podczas rozmowy z moim ojcem powiedziałem mu, że zrobię tak, jak sobie życzę. A na koniec on wyrzekł już tylko jedno słowo: Fomorianie. Ostatnie słowo, które wyszło z jego ust.

Potem zaniemówił, a następnego dnia rano znaleziono go martwego.

– Bardzo mi przykro, ClanFintanie. Twój ojciec był wielkim centaurem.

Choć go nie znałam osobiście, byłam pewna, że to prawda.

– Dziękuję. – Znow widać było po jego minie, jak bardzo ceni sobie moje dobre słowo. Dokończył z wielkim smutkiem: –Niestety i ty, i ja nie mamy już ojców...

Jego opowieść bardzo mnie poruszyła, jednocześnie jednak wzbudziła jeszcze inne, i to całkiem odmienne emocje.

Poczułam się w tym wszystkim po prostu kompletnie zagubiona, a nawet, co już może wydać się śmieszne, zdradzona.

– A więc to dlatego mnie poślubiłeś... ClanFintanie, dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałeś?

Jego spojrzenie pociemniało.

– Sama możesz odpowiedzieć sobie na to pytanie. Chyba że nie pamiętasz naszego pierwszego spotkania, kiedy mieliśmy się zaręczyć. Nie dałaś mi wtedy w ogóle dojść do słowa.

Odmówiłaś mi prawa do ubiegania się o twoje względy, znieważyłaś mnie i wyszłaś.

Oczywiście, że w tym momencie chciałam wrzasnąć: Tą idiotką nie byłam ja! Ale przecież nie mogłam raptem zacząć mu wyjaśniać tego całego galimatiasu z zamianą światów i lustrzanymi odbiciami, i to w obecności posepnych centaurów.

Zdrowy rozsądek podpowiadał też, że nie mam prawa czuć gniewu czy urazy. Rhiannon była wredna dla ClanFintana, miał

więc pełne prawo nie ufać teraz mi... czyli jej.

Niestety, rozum swoje, a serce swoje. Czulałam się nieszczęśliwa, podeptana i naturalnie nie wiedziałam, co powiedzieć. W rezultacie patrzyliśmy tylko na siebie jak dwóch chłopaków, którzy sprawili sobie nawzajem porządne lanie, a teraz chcieliby się pogodzić, tylko nie wiedzą, jak to zrobić.

Czulałam się wykończona i tym, co widziałam, i tym, co usłyszałam. Miałam tylko jedno, jedyne życzenie. Spać. Ale tak naprawdę, bez żadnych zawirowań. Po prostu wyspać się porządnie, stąd bezgłośnie prosba do mojej aktualnie Najwyższej Instancji: Epono, błagam, tej nocy nie wysyłaj mnie już w żadną magiczną podróż.

– Muszę koniecznie się położyć i wyspać.

Wstałam owinięta w koc. Nie patrzyłam na centaury, ale wiedziałam, oczywiście, że mi salutują. Ich słodkie „dobranoc, milady” jak miły wietrzyk towarzyszyło mi aż do szopy. A tam umościłam się z powrotem w moim gnieździe na sianie, starając się nie myśleć o tym, że jeszcze nie tak dawno było tu i wygodnie, i przyjemnie.

Zamknęłam oczy.

Wiedziałałam już od Alanny, że Wielki Szaman zawsze bierze sobie za żonę Wybrankę Epony. ClanFintan ożenił się ze mną z obowiązku. Dlaczego więc, kiedy sam mi o tym powiedział, poczułam się tak nieszczęśliwa? Dlaczego?

W końcu, o czym nie należy zapominać, wcale nie ożenił się ze mną, tylko z Rhiannon, Wcieleniem Bogini i Wybranką Epony.

A ja byłam Shannon Paker, kiepsko opłacaną nauczycielką angielskiego z Broken Arrow w Oklahomie. Nie należałam do tego świata, tym bardziej do pewnego Wielkiego...

– Rhiannon?

Byłam tak zamyślona, że nie słyszałam, kiedy wszedł do szopy. Na jego głos aż podskoczyłam i natychmiast otworzyłam oczy.

– Wybacz, nie chciałem cię wystraszyć – powiedział

wyraźnie zaniepokojony.

No cóż, pewnie przeraził się, że mogłam skończyć na zawał przed spełnieniem obowiązków małżeńskich. Oczywiście nie w sensie biblijnym. Chodzi mi o te mroczne odniesienia do Epony.

Nie odezwałam się, westchnęłam tylko i spojrzałam na niego, lekko wzruszając ramionami.

– Wyszłaś, a ja jeszcze nie dokończyłem – powiedział.

Ponownie westchnęłam, lecz tym razem odezwałam się:

– A cóż tu jest jeszcze do dodania?

– Chciałem ci powiedzieć, Rhiannon, że całkowicie zmieniłem zdanie o tobie. Jesteś zupełnie inna niż przed naszymi zaręczynami... – Jego spojrzenie, w którym odbijał się blask ognisk, było cudownie łagodne. – Dzięki temu złu stało się więc i coś dobrego. Połączyłem się z tobą. Dobranoc, milady.

Gdybyś mnie potrzebowała, będę w pobliżu.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, wyszedł z szopy.

A ja, pozostawiona sam na sam ze swoimi myślami, starałam, by nie wszystkie dotyczyły mojego obecnego stanu ducha.

Przecież wiadomo, że tym, co powiedział, byłam zachwycona!

Byłam też pewna, że tak prędko nie zasnę, tymczasem jakimś cudownym sposobem już po kilku minutach przeniosłam się do mojej Krainy Snów, na szczęście więc reszta nocy minęła wyjątkowo przyjemnie. Zwiedzałam fabrykę czekolady Godiva, i tak fabryka, jak się okazało, miała też swoją winnicę.

Superman i Pierce skakali sobie do oczu, bo obaj mieli ochotę zrobić mi masaż stóp, a potem...

Domyślcie się, prawda? Tym razem zwyciężył Superman.

Jest naprawdę super, nie tylko w lataniu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Obudził mnie bardzo kuszący zapach ryby, czyli o dalszym spaniu nie było mowy. Ziewnęłam, przeciągnęłam się i przetrarłam zaspane oczy, a następne czynności wykonałam już w trochę szybszym tempie. Chwyciłam spodnie, odrzuciłam koce na bok, buty przerzuciłam przez ramię i trochę jeszcze nie do końca obudzona podążyłam za swoim węchem, czyli tam, skąd dobiegał cudowny zapach.

– Dzień dobry, milady.

ClanFintan spojrzenie miał jasne, ogon puszysty (dosłownie).

– Dzień dobry – wymamrotałam, wręczając nieśmiało uśmiechającemu się jak zwykle Dougalowi zbite w kłęb koce i sztywno jak zombi podążyłam do najbliższego ogniska. Nie, absolutnie nie jestem typem skowronka. Och, to za mało powiedziane. Ludzie, którzy o świcie tryskają energią, wydają mi się mocno podejrzani, bo według mnie normalny człowiek ożywa dopiero około dziewiątej. Zmuszanie się do życia o wcześniejszej porze jest dla mnie po prostu wykańczające.

Poza tym wiadomo, że ten, co już o bladym świcie bucha witalnością, wieczorem zaczyna ją tracić zdecydowanie za wcześnie.

Nie zauważyłam, żeby smażyli ryby. Ale zapach był. Co jest grane?

Wciąż sennymi palcami przyczesalam jako tako to, co mam na głowie, przy okazji wyciągając źdźbła siana i unosząc znacząco brwi, spojrzałam na mego męża.

– Czy tu przypadkiem nie pachnie śniadankiem?

– Owszem. Będą roladki rybne. – Wskazał dogasające ognisko, do którego powtykane było coś pozawijanego w duże liście.

Czyli sprawa jasna.

Przede wszystkim ClanFintan najprawdopodobniej jest człowiekiem/koniem/wszystko jedno w typie skowronka.

Musiałam sobie westchnąć, po czym włożyłam buty i ruszyłam nad strumyk, rzucając przez ramię:

– Nie, nie potrzebuję żadnej pomocy.

Po dokonaniu porannych ablucji, na które złożyło się umycie twarzy, umycie zębów (palcem) i wypłukanie ust zimną wodą (i kto by pomyślał, że tak zatęsknię za nitkami dentystycznymi nasączonymi miętą!) poczułam się już obudzona i częściowo zdolna do życia. Gdzieś tak w pięćdziesięciu procentach.

Koniki – tym razem w liczbie tylko dwóch – ochoczo zabierały się do konsumowania ryb. Liście, w których się piekły, służyły za talerze. Usiadłam na mojej kłodzie, ClanFintan spoczywał nieopodal. Connor podał mi talerz z liścia, na talerzu rybka, której, chwała Bogu, obcięto łeppek (bardzo nie lubię, kiedy jedzenie na mnie patrzy). Poza tym naszpikowano ją czosnkiem.

– Wygląda wspaniale – pochwaliłam.

– Dziękuję, milady – odparli zgodnym chórem Dougal i Connor.

– A gdzie reszta chłopaków, ClanFintanie? Polują czy coś w tym stylu?

– Nie. Wysłałem ich do wojowników, żeby jak najszybciej dowiedzieli się o twojej wizji. My, jak wiadomo, pobiegniemy trochę wolniej, niosę przecież na grzbiecie Wybrankę Epony... – Uśmiechał się, i chwała Bogu, bo to znaczyło, że tym faktem spowolnienia i jego przyczyną wcale nie jest wkurzony. – Po drodze powiadomią centaurów, którzy zostali z Eponą. Wszyscy spotkamy się w twojej świątyni.

Kiedy wspomniał o mojej wizji, błyskawicznie obudziłam się do końca, jednocześnie dławiąc się rybką.

– Trzeba powstrzymać te potwory, ClanFintanie.

– Powstrzymamy – oświadczył twardym głosem. – Nasze połączone siły dokonają tego.

Powiało grozą, więc nic dziwnego, że śniadanie kończyliśmy w milczeniu. Trzech centaurów, jak harcerzyki, pogasiło ogniska i zasypało je ziemią, potem spakowano sakwy.

ClanFintan osiodłał się i wyciągnął do mnie rękę, żeby pomóc przy wsiadaniu. Bardzo starałam się nie czuć jak w siódmym niebie, kiedy jego druga ręka na dłuższą chwilę spoczęła na moim ramieniu.

– Trzymaj się mocno, Rhiannon. Dziś będzie ostra jazda.

Oparłam ręce na szerokich ramionach ClanFintana, który z miejsca ruszył szybkim galopem. Nie po raz pierwszy byłam bardzo wdzięczna losowi, że mój mąż ma taki miękki chód.

Głupio przecież mówić wspomnianemu mężowi, że jak na nim jadę, to dzwonię zębami.

Gdy odszukaliśmy drogę, która biegła na południowy wschód, centaury znacznie przyśpieszyły krok. Tym razem na drodze, oprócz nas, nie było żywej duszy. Nikt nas nie witał.

Dziwna była ta pustka, dziwna i złowieszcza, jak w „Strefie mroku”, chociaż nie, bardziej przypominała atmosferkę z „Człowieka Omegi”. Pogoda też idealnie odpowiadała naszemu nastrojowi. Niebo było szare, pokryte ciężkimi chmurami, znad żlebów po lewej i prawej stronie nadciągała mgła, jej strzępki unosiły się już nad drogą.

Tego dnia centaury wyraźnie dawały z siebie więcej. Tors ClanFintana lśnił od potu, chociaż oddech nadal był miarowy i nie za szybki. Jego wytrzymałość zadziwiała mnie. Nie, wcale (to znaczy prawie wcale) nie miałam zamiaru zastanawiać się nad jego wytrzymałością pod innym względem, wiadomo jakim.

Przede wszystkim skoncentrowana byłam na tym, żeby siedzieć spokojnie, trzymać się mocno, a przystanki na siu ograniczyć do minimum. Poza tym skupiona byłam na przeżuwananiu kawałka pysznej wołowinki.

W pewnym momencie zaczęło siąpić. Mgła była coraz bardziej gęsta, a widoczność coraz gorsza, na koniec ograniczona do zaledwie kilku metrów i człowiek odnosił

wrażenie, że centaury galopują wciąż w tym samym miejscu, w związku z czym nigdzie nie dojedziemy. W pewnym momencie zaczęłam sobie wyobrażać, że w tym innym wymiarze, w którym się znalazłam, świat autentycznie potrafi stanąć w miejscu. W tym przypadku jego stagnacja trwać będzie wiecznie. Będę więc w permanentnej podróży, nigdy nie dojeżdżając do celu...

Byłam tak zamyślona, że nie zauważyłam, kiedy zaczęłam zsuwać się na bok. Szybko poprawiłam się w siodle, z nadzieją że ClanFintan niczego nie zauważył. Ta mała wpadka sprawiła jednak, że świat ożył, a czas zaczął mijać w normalnym tempie.

Niestety, zauważył.

– Rhiannon, obejmij mnie mocniej i połóż głowę na moich plecach. Nie masz prawa spaść.

Jego głos był idealnie spokojny, żadnej zadyszki. Byłby świetny w aerobiku. Chociaż... jakoś nie mogłam go sobie wyobrazić, jak trenuje uda.

Tłumiąc w sobie kretyński chichot, pomyślałam, że zmęczenie zaczyna padać mi na mózg, z czym nie czułam się najlepiej. Zmęczona niezmęczona, w końcu to ClanFintan odwała całą robotę. Mało tego, troszczy się o mnie.

– Rhiannon, przytul się do mnie i postaraj zasnąć. Tej nocy przecież prawie nie spałaś.

Jego głos był niski, hipnotyzujący, przysunęłam się więc maksymalnie do małżonka, zachwycona, kiedy moje ręce dotarły prawie do środka jego klatki. Złożyłam głowę w ciepłej dolinie między potężnymi łopatkami. Pomyślałam, że kiedy będę tak wklejona w ClanFintana, łatwiej mi będzie odpędzić te zwidy i przywidzy pchające mi się pod powieki.

Westchnęłam i zamknęłam oczy, starając się oddychać głęboko. Byłam szczęśliwa, że czuję zapach ClanFintana i mam go tak blisko siebie. Wtuliłam policzek w mięciutką skórę kamizelki, czując, jak ogarnia mnie senność. Dzięki ciepłu jego ciała w ogóle nie czułam siąpiącej wilgoci, a stukot kopyt, podobnie jak miarowy stukot kół pociągu, zawsze działa usypiająco.

Jakiś czas potem na moment otworzyłam oczy. Było już całkiem ciemno. Centaury niezmordowanie parły do przodu, choć oddech ClanFintana wydał mi się odrobinę głośniejszy.

Poprawiłam się trochę w siodle i znów przytuliłam do szerokich pleców.

– Śpij – powiedział, lekko ściskając mnie za ramię.

Jedno słowo podziałało jak narkotyk. Znów na jakiś czas pogrążyłam się we śnie, może raczej takim półśnie, potem znów oprzytomniałam, kiedy ClanFintan nagle z galopu, który miał

nigdy nie mieć końca, przeszedł w klusa. Wyprostowałam się, potarłam twarz i zauważyłam, że nadal jest wilgotno i zimno, ale ciemność wyraźnie zaczyna już ustępować szarości. Teresa, moja kumpelka z college'u, w połowie Irlandka, z którą chodziłam na zajęcia z pisania twórczego, nauczyła mnie, że to jest właśnie brzask.

– Gdzie jesteśmy? – spytałam, chłonąc magię mglistego świtu (przepraszam, brzasku), a jednocześnie jak zwykle walcząc z włosami. Tym razem skutecznie, bo udało mi się zapleść coś w rodzaju warkocza (hurra!). Zauważyłam też, że co najmniej połowa włosów ClanFintana wyrwała się z rzemyka na wolność. Nachyliłam się więc i zaczęłam doprowadzać włosy męża do porządku.

– Jesteśmy już niedaleko świątyni – powiedział po chwili.

Zaniepokoiłam się, bo tym razem był wyraźnie zadyszany.

Tak samo ciężkie były oddechy Dougala i Connora, którzy biegli obok nas.

Moje ręce na włosach ClanFintana znieruchomiały, uroda brzasku natychmiast stała się nieistotna.

– Jak z wami? – spytałam, spoglądając na chłopaków. – Może powinniśmy zatrzymać się na chwilę? ClanFintanie... – Mężowi czule odgarnęłam włosy z twarzy, żeby widzieć go lepiej. – Może zsiądę? Nic się nie stanie, jeśli kawalek podejść na piechotę.

Trzy centaury jednocześnie parsknęły literalnie jak konie, po czym Dougal i Connor, wyraźnie zatroskani, podbiegli do przywódcy i zmierzyli go wzrokiem.

– Ej, Dougal – zaczął Connor śpiewnie, teraz dodatkowo z leciutką zadyszką – ClanFintan ma już chyba dość!

Spojrzał na kumpla znacząco. Czyli jest dobrze. Chłopaki nie mogą być wykończeni, skoro stać ich na głupie uśmieški!

– Niestety, Connor, chyba masz rację – przyznał Dougal, aż cmokając, bo tak bardzo tym się zmartwił. Connor też zacmokał.

A ClanFintan tylko słuchał, przenosząc wzrok z jednego na drugiego.

– Milordzie... – głos Dougala stał się aksamitny – jeśli ciężar milady zaczął milordowi już doskwierać, proszę mną dysponować.

No nie! Patrzyłam na niego z rozdziawioną buzią.

– Milordzie... – to Connor, więc ku niemu zwróciłam swój wzrok i rozdziawioną buzią – a kiedy Dougal, niosąc na sobie tak niewielki, piękny ciężar, odczuje zmęczenie, gotów jestem go zmienić.

Złożył przede mną pełen wdzięku ukłon.

A ja spojrzałam na niego groźnie. Wiadomo, jak rasowy belfer.

– Chłopcze! Ja tylko...

Nie dokończyłam, bo zachwycone chłopaki ryknęły śmiechem.

– Bezczelne źrebaki! – podsumował ClanFintan, ale oczy mu się śmiały. – Lepiej nie marnotrawcie sił na głupie żarty, bo zostaniecie w tyle!

Z miejsca ruszył szybkim galopem, a bezczelne źrebaki od razu, jak im wywróżono, zostały w tyle. Ja zaś słyszałam w klatce ClanFintana znajome wibrowanie. Oczywiście, śmiał się.

W nagrodę pociągnęłam go za ten jego drugi koński ogon (na głowie), a on uśmiechnął się do mnie przez ramię.

– Wiesz doskonale, Rhiannon, że czasami mówisz bardzo dziwne rzeczy.

Oczywiście, nie darował sobie!

– Ja? Ja po prostu staram się być miła. Nie chcę, żebyś przeze mnie na przykład upadł czy załamał się...

– Przez ciebie? Nigdy.

Sięgnął ręką w tył i lekko ścisnął mnie za tydkę.

Oczywiście, że natychmiast przez całą nogę przeszedł prąd.

– Nigdy? Skąd ta pewność? Nie zapominaj, że kiedyś będziesz stary i gruby. Ja też, a mój tyłek na pewno powiększy się dwukrotnie. Żeby ciebie dosiąść, będę musiała skorzystać z pomocy ich obu, i Dougala, i Connora.

W klatce ClanFintana znów zawibrowało.

– Ty? Gruba? Rhiannon, jesteś zbyt próżna, żeby do tego dopuścić!

W odpowiedzi bardzo głośno wypuściłam powietrze przez nos, naśladując parskanie centaurów. Była to, rzecz jasna, oznaka wielkiego niezadowolenia. Bo coś mi się wydaje, że ten pan już się trochę na mnie poznał!

Dougal i Connor zrównali z nami krok. Oczywiście, że starałam się patrzeć na nich co najmniej posępnie, ale ich głupkowate uśmiechy były tak rozbrajające, że też musiałam się uśmiechnąć.

Wyładowałam się w inny sposób.

– Tak, bezczelne żrebaki – wymruczałam cichutko do ucha ClanFintana. – Nie uszanują nikogo.

Nie oponował, tylko w jego klatce po raz kolejny zawibrowało. W mojej też.

Potem starałam się ponownie doprowadzić do tego stanu półsnu, ale jakoś mi nie wychodziło. Bo tak jak znikła mgła, tak samo znikło moje zmęczenie. Im bliżej świątyni, tym strach stawał się coraz większy. Co teraz będzie? Przed oczami miałam wciąż te wampiry podobne do nietoperzy. Jak z czymś takim walczyć, jak pokonać? Czułam się bezradna i przerażona, choć w pewnej chwili

ponownie dopadła mnie brzydka egoistyczna myśl. I po co ja się tym tak przejmuję? W końcu to nie mój świat, nie moja rzeczywistość. Jeśli już koniecznie chcę się czymś zamartwiać, to lepiej zacząć kombinować, jak się stąd wydostać. Jak swój obolały tyłek przemieścić z powrotem do Oklahomy.

– Trzymaj się mocno, milady, bo będzie naprawdę stromo.

Ciepłe ręce ClanFintana na moment przykryły moje ręce obejmujące jego tors. Siła i ciepło męzkowskich rąk wnikała w moje. Czulałam się pewnie, bezpiecznie, czulałam się, jak to mówią, zaopiekowana. Jak dotąd było to dla Shannon Parker uczucie całkiem nieznanne.

I to było właśnie to! Oczywiście! Ten facet/koń/wszystko jedno. Poza tym Alanna, Dougal, i Connor. I mój/jej tata, który musiał pożegnać się z życiem, zanim przyszedł jego naturalny czas.

Nie ma co się oszukiwać. Ten zwariowany świat staje się powoli moim miejscem na ziemi.

Tak. Zamknęłam oczy i kryjąc twarz na ramieniu męża, uzmysłowiłam sobie, w jak dużym stopniu jestem już do tego miejsca przywiązana. A tę całą głupią Rhiannon niech trafi szlag! Za te jej intrygi. Ile ona tu namieszała! W rezultacie to ja muszę wszystko odkręcać! Cholera, że też nie zachciało mi się wcześniej poszukać jakiegoś sympatycznego prawnika, z którym, zgodnie ze statystyką, chowalibyśmy w domku na przedmieściu nasze dwa i pół dziecka. Może w którymś momencie fundnęłabym sobie małą przygodę z jakimś bubkiem o włoskim nazwisku. Dla rozrywki, żeby trochę pofantazjować, bo o zdradzie nie byłoby mowy. Co to, to nie!

Zamiast tego wylądowałam w jakimś szalonym lustrzanym świecie, wypełnionym przede wszystkim pewnym facetem/koniem/wszystko jedno, na którego po prostu mam wielką ochotę. W świecie, po którym grasują krwawe monstra i terroryzują cywilizowanych ludzi. W świecie, w którym mój szanowny tyłek, przez tyle godzin przyklejony do siodła, cierpi najstraszliwsze męki. W świecie bez dezodorantów, w związku z czym pod pachami na pewno śmierdzą. W świecie, gdzie nie ma papieru toaletowego.

Moi uczniowie taki mój wywód skomentowaliby bardzo lakonicznie.

Ale to wciągga, prawda?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W ciągu kilku następnych godzin centaury zatrzymały się tylko raz i tylko na chwilę, żeby napić się wody. Mój nagły przyptyw energii należał już do przeszłości, by więc utrzymać się od pasa w górę w pionie, musiałam toczyć ze sobą prawdziwą walkę. Na szczęście rzeka była już blisko, widziałam po prawej stronie, jak skrzyła się w blasku zachodzącego słońca.

A jeśli rzeka blisko, to znak, że do świątyni droga niedaleka.

W pewnej chwili zauważyłam, że ręka ClanFintana unosi się. Zasalutował komuś, kto mignął na poboczu drogi.

– Kto to był? – spytałam. Głos miałam dziwny, taki po prostu skrzypiący.

– Następny wartownik.

– Czy to znaczy, że byli już jacyś po drodze?

– Oczywiście. Porozstawiani są w pewnych odległościach.

Mijamy ich już od kilku godzin.

– A... to świetnie.

ClanFintan tylko cichutko prychnął, przestałam więc zawracać mu głowę.

A jeśli chodzi o sprawy wojskowe... O ile pamięć mnie nie myliła, Epona była nie tylko boginią celtycką. Podkradli ją rzymscy legioniści i czcili jako boginię wojowników. Ciekawe, czy Rhiannon była szkolona w sztuce wojennej.

Jeśli tak, to dobrze. Pomoże jej to w prowadzeniu lekcji.

Czułam, jak potężne mięśnie męża pęcznieją. Droga biegła po stromym zboczu, po jakimś czasie pojawił się ostry zakręt, a zaraz za zakrętem, jak się okazało, była już świątynia.

ClanFintan zatrzymał się gwałtownie, tak samo Dougal i Connor, wyraźnie starając się złapać oddech. A ja po prostu chłoniłam widok, którego od jakiegoś czasu byłam spragniona jak koń, który od dawna nie miał w pysku kropli wody. Widoku świątyni. Tu, od strony drogi, w jasnym świetle dnia widać ją było w całej okazałości, więc człowiek miał okazję przekonać się, że istotnie jest to budowla przepiękna, wprost zachwycająca.

Kiedy wymykałam się stąd razem z Epi, zauważyłam, że świątynia stoi na szczycie łagodnego wzniesienia, na którym nie ma żadnych drzew, czyli inaczej niż wokół Zamku MacCallana.

Tam rosły drzewa, a tu była otwarta przestrzeń wielkości boiska do futbolu, na której nie rośło nic, za czym mógłby ukryć się wróg. Okalający świątynię mur z kremowego marmuru za dnia wyglądał jeszcze piękniej. W pewnym oddaleniu widać było rzekę opływającą świątynię od południowego wschodu, a w miejscu, gdzie kończyła się otwarta przestrzeń wokół

świątyni, zaczynały się krzewy winorośli uginające się pod ciężarem dojrzałych owoców. Między winnicami co jakiś czas pojawiały się pola uprawne i gospodarstwa wiejskie. Muszę zaznaczyć, że bardzo zamożne, więc tutejszą ludność można by zaklasyfikować jako wieśniaczą wyższą klasę średnią. Rodzinne chłopskie siedziby były w świetnym stanie i prezentowały się bardzo malowniczo, coś w stylu domu krytego strzechą Anne Hathaway, żony znanego nam wszystkim Williama Szekspira, w Stratford-Upon-Avon oczywiście. Koło większości tych chat widać było zabudowania gospodarcze, stajnie, obory, zagrody, nie zauważyłam jednak ani jednego zwierzęcia.

Kiedy wyjeżdżałam stąd nocą, wokół świątyni było puściusieńko, teraz kręciło się mnóstwo ludzi i centaurów. Przed murami porozstawiano nadymające się na wietrze namioty, wokół których wartko toczyło się życie, to znaczy gotowanie, gadanie, pokrzykiwanie na dzieci i zwierzęta i co

tam jeszcze chcecie. Niesamowite! Miałam wrażenie, jakbym znalazła się na średniowiecznym targu.

Nagle ktoś głośno coś krzyknął i wszystkie głowy zwróciły się w naszą stronę. Teraz krzyk wydobywał się z wielu gardeł, ludzie i centaury machali do nas na powitanie.

– Ruszamy? – ClanFintan spojrział na swoich towarzyszy, po czym cała trójka spojrzała na mnie.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że czekają na moje zezwolenie.

– Och, naturalnie!

ClanFintan ruszył czymś, do czego najbardziej pasowało mi określenie „żwawy galopik”. Tak, żwawy, a przecież jeszcze przed chwilą on i jego towarzysze z trudem łapali oddech po morderczej jeździe. Ale pokazać się trzeba, prawda?

Uśmiechnęłam się. Facet zawsze jest facetem, nawet jeśli od tyłu do złudzenia przypomina konia.

Trochę poniewczasie próbowałam gorączkowo zrobić coś z włosami, ale po chwili odpuściłam, zdając się całkowicie na wiatr, który w końcu i tak robi, co zechce. Kiedy byliśmy już blisko świątyni, tłum wybiegł nam na spotkanie, a ja powtórzyłam szybko w duchu: Spokojnie, Parker. Nie od dziś jesteś belferką i przywykłaś do tego, że jesteś w centrum uwagi, co zresztą uwielbiasz.

Taka była prawda. Podczas występów przed nastoletnią publicznością zawsze stać mnie było na bardzo dziwne dla postronnego widza posunięcia, więc odgrywanie roli Wcielenia Bogini nie było dla mnie zbyt kłopotliwe. Zrobiłam to, co często robię podczas lekcji. Głowa wysoko uniesiona, na twarzy uśmiech skierowany do mas. Uśmiech typu: Jestem super. (Albo szalona. Dzieciaki nigdy nie mogą się zdecydować, który wariant powinny wybrać).

– Epona!

– *Sławmy Eponę!*

– *Witaj w domu, Wcielenie Bogini!*

– *Wybranko Epony, pobłogosław nam!*

Udało mi się nawet machać elegancko i z wielką godnością. Nie na darmo naoglądałam się w telewizji publicznej programów o rodzinie królewskiej.

Kiedy wjechaliśmy za mur otaczający świątynię, zobaczyłam coś, czego przedtem, w nocy, mogłam się tylko domyślić. Chodziło o źródła mineralne. Były wszędzie, na pewno przepływały również pod świątynią. Teraz, za dnia, widziałam skrzącą się parującą wodę, która wytryskiwała spomiędzy mchu i kamieni. Mały szok przeżyłam, spoglądając na fontannę. Byłam pewna, że to dzieło człowieka, a tymczasem jego ręce wyczarowały tylko z bryły skalnej pięknego konia, natomiast reszty dokonała natura. Woda do fontanny dopływała gdzieś ze zbocza, z któregoś ze źródeł. Na terenie samej świątyni można było wykąpać się w źródlanej wodzie, o czym miałam okazję już się przekonać. Byłam pełna podziwu dla tutejszych architektów i budowniczych, którzy jakimś sposobem poskromili te źródła, choć nie mieli do dyspozycji ani telewizji, ani części wyprodukowanych w Japonii, ani internetu, a i tak im się udało. Proszę, jakie bystrzaki.

Koło drzwi wejściowych, trochę na uboczu, czekała Alanna ubrana w powiewającą szatkę koloru kremowego. Ręce skromnie złożyła na piersiach. Na jej widok poczułam wielką radość i gwałtowną potrzebę natychmiastowego zetknięcia się z ziemią. Moje nogi musiały zasygnalizować to ClanFintanowi (ciekawe, co tam mu jeszcze nagadały!), ponieważ wcale nieproszony odwrócił się i wyjął mnie z siodła. Ruszyłam szybkim krokiem ku Alannie, uprzejmie kiwając głową i uśmiechając się do wiwatującego tłumu, natomiast ClanFintan, Dougal i Connor stanęli frontem do ludzi, którzy przez to nie mogli zatarasować mi drogi. Jednocześnie ClanFintan zapewnił

tłum, że Wcielenie Bogini ma się bardzo dobrze, jest tylko trochę zmęczone. Jutro rano na pewno udzieli wszystkim błogosławieństwa.

A ja, w tym momencie całkowicie niepomna, że Alanna to nie Suzanna, rzuciłam jej się na szyję.

– *O matko! Nie masz pojęcia, jak się za tobą stęskniłam!*

– *Jestem szczęśliwa, że widzę milady – odparła Alanna sztywno.*

To mnie trochę otrzeźwiło. Opuściłam szybko ręce. Alanna złożyła przede mną ukłon i wprowadziła do środka. Nie poszliśmy jednak na piękny, ozdobiony roślinnością dziedziniec gdzie, jak zdążyłam zauważyć, też czekał rozradowany tłum, tylko skręciliśmy w lewo, przeszliśmy kawałeczek i Alanna zatrzymała się przed małymi drzwiami bez żadnych ozdób.

Otworzyła je. Tuż za progiem stało dwóch skąpo odzianych strażników, których już widziałam.

Zanim przekroczyłam próg, odwróciłam się, żeby spojrzeć jeszcze raz na ClanFintana.

Uśmiechał się do mnie.

– *Wypoczywaj, milady, a ja spotkam się z moimi wojownikami, którzy przekażą mi, co działo się podczas naszej nieobecności. Potem pozwolę sobie przyjść do ciebie... – tu króciutka przerwa, wiadomo, dla większego efektu – do twoich pokoi.*

Ostatnia część zdania została wypowiedziana głosem przyciszonym, z taką leciusieńką zadyszka, na co temperatura moich policzków od razu wzrosła. Czyli się zaczerwieniłam.

– *Jeśli takie jest życzenie milady... – dokończył ClanFintan prawie szeptem, a ja byłam już pewna na sto procent, że czerwona jestem jak burak.*

Gdy zajrzał mi w oczy, natychmiast zaczęłam mieć kłopoty z oddychaniem. Zapomniałam, że jestem wykończona i śmierdząca, i podobno marzyłam o kąpieli. Stałam jak kolek zagapiona na gładką,

lśniąca pierś ClanFintana, a na ustach odżył smak jego pocałunku.

– Milady?

To Alanna przerwała czar.

– Tak, tak, już idę! – zwołałam i uniosłam głowę ku ClanFintanowi. – Tak, przyjdź. Takie jest moje życzenie.

Uśmiech, który pojawił się teraz na jego twarzy, można by określić wyłącznie jako zmysłowy i uwodzicielski.

Odpowiedziałam również uśmiechem, odwróciłam się i pognałam za Alanną, zapobiegając w ten sposób dalszemu rozwojowi wypadków w niepożądanym kierunku. Przecież byłam już o krok od zrobienia jakiejś głupoty, na przykład ugryzienia mego męża na oczach licznie zgromadzonej publiczności.

Strażnik zamknął za nami drzwi, a ja posłusznie jak baranek ruszyłam za Alanną korytarzem, który wydawał mi się znajomy.

– Jeszcze tylko kawałek, milady – poinformowała mnie, kiedy skręciliśmy w lewo.

I faktycznie, jeszcze parę kroków i Alanna zatrzymała się przed drzwiami prowadzącymi do moich pokoi. Po obu stronach drzwi, wiadomo, dwa ciacha z mieczami. Zasalutowali słuźbiście, a ja posłałam im promienny uśmiech, po czym włączyłam moją najlepszą imitacją głosu Mae West:

– Dzięki, chłopaki! – Kiedy tylko drzwi za nami się zamknęły, wróciłam do normalnego głosu: – Alanno! Wiesz, co się działo?! Muszę ci koniecznie wszystko opowiedzieć!

– Tak, milady – odparła jakoś tak oficjalnie, zajęta penetracją mojej szafy. Po chwili wyjęła z niej dwie rzeczy, jedną z tiulu czy gazy, prawie przezroczystą, a oprócz tego coś, czego prawie nie było widać.

– A więc posłuchaj... – Odetchnęłam głęboko. – Było strasznie! I cudownie... – Uśmiechnęłam się, wiadomo. Jednak Alanna, o dziwo, wcale nie odwzajemniła uśmiechu. –Najpierw.. – spowaźniałam, nie mogło być przecież inaczej –odnalazłam mojego tatę. To było straszne, Alanno. Nigdy dotąd nie widziałam czegoś tak przerażającego. Wszyscy zginęli.

Spaliliśmy ciała. Mam nadzieję, że tata by sobie tego życzył.

– Jestem pewna, że jego duch jest z tego zadowolony, milady.

Spojrzała mi w oczy, jej głos był już taki jak zwykle, łagodny, pełen życzliwości.

– Naprawdę tak myślisz?

– Naprawdę, milady.

O, znowu oschle i znów dała nurka do szafy.

– Alanno, szykujesz mi czyste ubranie? Bo zaraz będę się kąpać

– Tak, milady. Mam już wszystko. Bardzo proszę, milady, może przejdziemy do pokoju kąpielowego.

Odwróciła się i dosłownie wypadła za drzwi.

Pokój kąpielowy! Wyposażony również w takie cudo jak papier toaletowy! Wcale nie wstydę się przyznać, że nie mogłam się doczekać, kiedy go użyję. A co!

Poleciałam za Alanną.

Wejście do pokoju kąpielowego skojarzyło mi się z przekroczeniem bram rajy. Było tu tak pięknie. Dużo złota, blask świec (kształt świeczników, te cholerne czaszki, starałam się zignorować). Kilka skąpo odzianych nimf na nasz widok zerwało się na równe nogi. Wszystkie dygnęły, wszystkie nieśmiało mruknęły słowa powitania.

– Dziękuję, dziewczęta. Jak dobrze jest wrócić do domu!

Mówiłam to jak najbardziej szczerze, na co nimfy uśmiechnęły się wprawdzie nieśmiało, ale jednak tak jakoś ciepłutko. A ja zwróciłam się do jednej z nich, wysokiej i postawnej, łudzaco podobnej do mojej ulubionej uczennicy Staci.

– ClanFintan będzie jadł kolację razem ze mną, tutaj.

Przekaż to, proszę, kucharkom. Powiedz im też, że umieram z głodu!

– Już biegnę, milady. – Gdy nimfa Staci pognęła do drzwi, dodałam: – Dziewczęta, bardzo was przepraszam, ale chciałabym pobyć z Alanną sama.

Nimfy dygnęły i z wielkim wdziękiem szybko wycofały się za próg.

Alanna natychmiast zaczęła miotać się – tak, miotać! –koło toaletki.

– Cudownie wreszcie się odprężyć! Znikam na chwilę...

Wskazałam głową ustronne miejsce, na co Alanna skinęła głową i powiedziała służbiście:

– Tak, milady.

Wróciłam po chwili i zaczęłam zrzucać z siebie brudne, prze pocone ubranie.

– Brr... okropność. – Usiadłam na brzegu parującego baseniku i ściągnęłam zabłocone buty. – Hej, Alanno, masz może ten olejek, co pachnie jak kamień mydlany? No wiesz, migdały zmieszane z wanilią?

– Wiem, milady – odparła, zabierając się do przeglądania imponującej kolekcji buteleczek ustawionych w pobliżu ogromnego lustra, tego od sufitu do podłogi. Znalazła tę, której szukała, a następnie całą zawartość wlała do baseniku.

– Tak, o to właśnie mi chodziło! – Z lubością wciągnęłam w nozdrza miły zapach, po czym błyskawicznie pozbywszy się spodni i stringów, zanurzyłam się w wodzie. – Cudownie... – jęknęłam, zamykając oczy.

– Tak, milady.

Kiedy znalazłam się w czystej, pachnącej wodzie, wpadłam prawie w ekstazę, nadal jednak docierało do mnie, że z Alanną stanowczo jest coś nie tak, dlatego po chwili otwarłam oczy i przez mgłę z pary zaczęłam ją obserwować. Alanna znów była czymś bardzo pochłonięta, tym razem bezsensownym przekładaniem szczotek i słoiczków z miejsca na miejsce.

– Alanno!

Wcale nie przestała, a odezwała się prawie lodowato:

– *Tak, milady.*

– *Daj sobie spokój z tymi porządkami i chodź tu do mnie.*

Musimy pogadać.

Wcale nie miał być to rozkaz, jednak Alanna i tak zerwała się na równe nogi i podeszła do baseniku.

– *Milady, o czym życzy sobie pani rozmawiać?*

– *A o tym, kochana, że zachowujesz się tak, jakbym była dla ciebie kimś całkowicie obcym! Albo jeszcze gorzej! Jakbym naprawdę była Rhiannon!*

Nie zabrzmiało to miło, ale ja naprawdę zaczynałam być na nią zła.

– *Milady wie, że jestem jej służącą i zachowuję się tak, jak służącej przystoi.*

Wzrok miała wbity w podłogę.

– *Bzdura! – Na ten mój okrzyk na moment poderwała głowę, zdążyłam jednak zauważyć, że jest blada i bardzo spięta.*

O Boże, co się z nią dzieje?! – Myślałam, Alanno, że całą tę sprawę z niewolnictwem wyjaśniłyśmy już sobie przed moim wyjazdem. I problemu nie ma.

– *Jak milady sobie życzy.*

– *Przestań już z tym milejdowaniem! Ile razy mam ci powtarzać, że dla mnie nie jesteś żadną niewolnicą czy służącą?*

Jesteś moją przyjaciółką, rozumiesz? Jesteśmy kumpelkami, rozumiesz? Przyjaciółkami!

Wreszcie spojrzała na mnie, a ja wystraszyłam się nie na żarty, bo jej oczy były pełne łez.

– *Suzanna jest przyjaciółką milady. Ja nie!*

– *Alanno, proszę! Jesteś tak bardzo do niej podobna! Tak bardzo pragnę, żebyś też była moją przyjaciółką.*

Głośno nabrała powietrza.

– *Ale Suzannie milady by powiedziała, że zamierza wyjechać stąd po nocy i narażać się na tak wielkie niebezpieczeństwo! Suzannę milady poprosiłaby o pomoc!*

A przynajmniej poprosiłaby, żeby Suzanna się za nią modliła!

A więc o to chodzi!

– *Tak. Poprosiłabym... – przyznałam, oczywiście bardzo cichutko.*

– *A więc sama milady widzi! Milady tylko tak mówi, że jesteśmy przyjaciółkami, a postępuje tak, jakby było całkiem inaczej!*

– *Masz rację, Alanno.*

Matko święta, co ja narobiłam!

– Lepiej więc niech milady będzie panią, a ja niewolnicą –dokończyła zrezygnowanym głosem.

Na co ja absolutnie nie miałam zamiaru się zgodzić.

– Ależ Alanno! Przyznałam ci rację, ale nie dlatego, że chcę zrezygnować z naszej przyjaźni! Chodzi mi o to, że słusznie jesteś na mnie wkurzona!

– Wku... rzona?

– Och nie! Przecież obiecałam sobie, że będę wyrażać się elegancko! Przepraszam, Alanno. Wkurzona znaczy tyle, że jesteś na mnie zła. I pod tym właśnie względem masz sto procent racji, bo zachowałam się wobec ciebie bardzo głupio.

– Milady! Jakże ja mogę być zła na milady?!

– Oczywiście, że możesz! Masz do tego święte prawo, a teraz masz ku temu rzeczywiście powód. – Zaczęła kręcić głową, nie dałam jej jednak dojść do słowa.- Powtarzam, masz całkowitą rację. Suz powiedziała bym o wszystkim. Tobie też powinnam była powiedzieć. Źle zrobiłam, przepraszam. Proszę, nie gniewaj się już na mnie i daj mi jeszcze jedną szansę.

Bardzo chcę być twoją przyjaciółką.

Patrzyła na mnie tak, jakby nagle na środku czoła wyrosło mi trzecie oko, ale przynajmniej w jej oczach łzy obeschły.

– Ja... ja... – zaczęła z trudem, wyraźnie walcząc ze sobą.

– Alanno, jeszcze raz przepraszam, że zraniłam twoje uczucia. Wybaczysz mi?

– Tak...

Kąciki jej ust drgnęły, powoli zaczął rozkwitać ostrożny uśmiech.

– Świetnie! A następnym razem, kiedy przyjdzie mi do głowy jakiś szalony pomysł, natychmiast ci o tym powiem!

– Bardzo bym tego chciała, milady.

– I tak będzie. – Chwała Bogu, udało się to jakoś wyprostować. Westchnęłam z wielkiej ulgi i zanurzyłam się aż po szyję w cudownej, ciepłutkiej wodzie. – Alanno, możesz mi dać jakąś myjkę czy coś w tym rodzaju?

– Oczywiście, mi...

Niestety, znów musiałam na nią leciutko nawrzeszczyć:

– Alanno, już nerwowo nie wytrzymuję tej milady. Nie możesz się do mnie zwracać jakoś inaczej?

Podeszła do baseniku, niosąc kolejną buteleczkę i gąbkę (prawdziwą! Wyobrażacie to sobie? Najprawdziwszą gąbkę koloru kremowego, taką, jakie mają tylko w najdroższych spa).

Buteleczkę postawiła na marmurowej półce biegnącej wzdłuż brzegu baseniku, a sama zeszła niżej, przykucnęła i zaczęła mnie myć.

– Droga przyjaciółko, proszę, tylko się nie obrażaj, ale naprawdę potrafię się umyć sama. Bardzo chcę, żebyś posiedziała ze mną i pogadała.

Wyraźnie speszona Alanna puściła moją rękę i oddała mi gąbkę.

– Jak sobie pani życzy, milady.

Znów ta milady.

– Dzięki – powiedziałam krótko i zaczęłam się namydlać energicznie, rozkoszując miękkością tutejszej wody. – Alanno, musimy koniecznie coś wymyślić zamiast tej całej milady.

– Może po prostu... Rhiannon? – zaproponowała bez przekonania.

– Rhiannon... Nie, nie podoba mi się to.

– Ale brzmi tak dostojnie.

– Oczywiście! Ale problem w tym, że ja wcale nie chcę być królową... – mruknęłam, zajęta szorowaniem stopy. – Najbardziej bym chciała, żebyś zwracała się do mnie po prostu „Shannon”, ale to raczej zły pomysł.

– Tak, raczej zły – powtórzyła za mną wyraźnie zmartwiona.

– Już wiem! – zawołałam po chwili. – Moi przyjaciele często skracają moje imię. Mówią do mnie „Sha”. Może skrócić tę Rhiannon? Na przykład Rhe? Albo Rhea?

No nie. Moje stopy wyglądają po prostu obskurnie!

– Rhea... – powtórzyła Alanna, nadal jednak bez przekonania.

– Tak, Rhea. Podoba mi się. Postaraj się do tego przyzwyczać.

– Spróbuję, mi... Rheo.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Alanno, masz tam coś takiego, czym można by zmyć z głowy to paskudztwo?

– Oczywiście... – Nastąpiła krótka przerwa, dowód, że droga Alanna potrzebowała chwili, by się przełamać.-

Oczywiście, Rheo. – Przejrzała butelki i wybrała wysmukłą i złocistą. – To mydło do mycia głowy zrobiono z miodu i migdałów. Rhiannon bardzo je lubiła. Na pewno też będziesz zadowolona.

– Już jestem. Bardzo lubię te zapachy, czyli mam podobny gust do Rhiannon. Trochę dziwne, prawda?

W odpowiedzi najpierw usłyszałam ciche prychnięcie z gatunku takich, co absolutnie nie przystoją damie.

– Dziwne? To za mało powiedziane!

– *Może, ale dajmy sobie już z tym spokój. Teraz zanurzam się, moczę głowę, a potem będę wdzięczna, jeśli mi ją namydlisz.*

– *Bardzo chętnie, Rheo.*

Tym razem moje nowe imię jakoś bez problemu przeszło jej przez gardło.

Zatkałam palcem nos i dałam nura, energicznie potrząsając głową, żeby woda dotarła do wszystkich zakamarków w gąszczu zmatowiałych z brudu loków. Po chwili wynurzyłam się, nieelegancko prychając na wszystkie strony, wytarłam ręką oczy i siadłam plecami do Alanny, która wyjęła korek z buteleczki, wylała mi na głowę sporo gęstego, pachnącego płynu, po czym obie z wielką energią zaatakowałyśmy odrażający gąszcz. Mycie i płukanie odbyło się trzykrotnie. Dopiero po trzecim płukaniu poczułam, że głowę mam naprawdę czystą.

Ten basenik był rewelacyjny. Brudna woda wypływała z jednej strony, jednocześnie z drugiej strony wpływała ciepłutka, czyściusieńka. Poza tym, choć mówię o nim pieszczotliwie „basenik”, wcale nie był taki mały i płytki. O nie.

Kiedy stanęłam na środku, woda sięgała mi aż po brodę.

Wreszcie czysta ułożyłam się w wodzie niedaleko miejsca, skąd z bulgotem wypływała ta woda ciepłutka i czyściutka.

Leżałam tam po prostu, żeby woda przyniosła ulgę moim obolałym mięśniom. Alanna usiadła blisko mnie, zanurzyła nogi i machała nimi jak dziecko bawiące się na brzegu rzeki.

– *To straszne – odezwała się po chwili przygnębionym głosem – Że też musiałaś oglądać te wszystkie okropności w Zamku MacCallana.*

– *Trudno. Wcale nie chciałam tam jechać, ale czułam, że powinnam to zrobić.*

– Dobrze, że ClanFintan podążył za tobą.

– O tak. Nie wiem, jak bym sobie bez niego poradziła... –Nagle zamarłam. Boże, jaka ja jestem podła! Nawet o nią nie spytałam! – Alanno, co z Epi? Czy jest już w świątyni?

– Epi? – Alanna w pierwszej chwili zmarszczyła czoło, ale zaraz potem zaskoczyła. – Chodzi ci o Klacz Wybranki? Klacz Rhiannon? Jest już tutaj, przyprowadziły ją centaury ClanFintana. Wypoczywa teraz.

– A co z jej kopytem? Prawa noga, przednia?

– Kiedy widziałam ją ostatnim razem, nie zauważyłam, żeby tę nogę oszczędzała. Czyli wszystko musi być w porządku... – Uśmiechnęła się ciepłutko. – Martwisz się o nią? Coś mi się wydaje, że też jesteście już przyjaciółkami?

– Oczywiście! Ona jest przecudowna! – zapałam z zachwytu jak nastolatka . – Zresztą od zawsze kocham konie.

– Zważywszy na obecne okoliczności... to chyba dobrze? –spytała Alanna nadzwyczaj ostrożnie.

Na co odpowiedziałam krótko, z wielką powagą:

– Oczywiście.

Milczałyśmy przez chwilę pochłonięte swoimi myślami.

Moje oscylowały wokół lustrzanych wymiarów, bogiń koni, poza tym – trudno, będę szczerą – seksu z centaurami.

Wniosek był jeden:

– On naprawdę mi się podoba, Alanno.

– Kto, milady? – spytała niewinnym głosem.

– Prosiłam! Nigdy więcej „milady”! – Ochlapałam ją wodą.

W końcu zasłużyła na karę! – A jeśli chodzi o niego... to wiesz, chodzi o pana Wysokiego, Ciemnego i... Końskiego.

– Czyli nie jesteś nieszczęśliwa, że został twoim mężem? – Popatrzyła na mnie roziskrzonym wzrokiem.

– Nieszczęśliwa? Kobieto, moje ręce same wyciągają się do niego!

Zaraz potem oczywiście poczerwieniałam, ale to mogło być od wody, była przecież gorąca.

– Tak? Teraz mówisz jak Rhiannon! – Alanna zakryła dłonią usta, starając się stłumić głupi chichot.

– Tak? A ty zachowujesz się zupełnie jak Suzanna! Jakby stała tu przede mną! – W rezultacie obie śmiałyśmy się jak głupie, póki nagle sobie o czymś nie przypomniałam. – Ożeż ty!

Alanno, przecież on ma przyjść do mnie! Zapowiedział się na kolację! W moim pokoju! Podobno chce... – mrugnęłam znacząco – zdać mi raport z tego, co działo się podczas naszej nieobecności. Błagam, lećmy już do mnie. Pomożesz mi wybrać jakąś ładną sukienkę!

Natychmiast zerwała się na równe nogi i w sekundę owinęła mnie olbrzymim, grubym ręcznikiem. Pognałyśmy do toaletki, tam usiadłam i zaczęłyśmy gorączkowo osuszać drugim ręcznikiem włosy.

Nagle moje ręce znieruchomiały.

– Poza tym... chodzi też o te stwory, Alanno...

Jej ręce również znieruchomiały. Gdy obie poderwałyśmy głowy, przechwyciłam w lustrze wzrok Alanny.

– Alanno... – Odwróciłam się i ujęłam jej dłonie. – Znow miałam okropny sen, to znaczy wizję. Czy wiesz, że te potwory uprowadziły kobiety do Warowni? Oni... oni z nimi śpią, rozumiesz? Widziałam, jak jedna z kobiet rodziła dziecko stwora. To było... przerażające... – Zadrżałam, a jej palce zacisnęły się na moich. – Och, Alanno, tak bym chciała od ciebie usłyszeć, że centaury są silniejsze od tych potworów i na pewno ich pokonają! A ja tak niewiele wiem o waszym świecie!

Czy w ogóle macie tu jakieś wojsko? Czy strażnicy Rhiannon to tylko takie ładne zabaweczki?

– Centaury to znakomici wojownicy – powiedziała twardym głosem Alanna. – A Rhiannon, kiedy wybierała sobie strażników, patrzyła nie tylko na wygląd czy na to... jak zostali obdarzeni przez naturę. O wyborze decydowała też waleczność!

Bezwarunkowo!

Teraz ja mocno uścisnęłam jej palce.

– Czyli nasza Rhiannon wprawdzie była dziwką, ale dziwką niegłupią. – Jej uśmiech potwierdził moją hipotezę. – A skoro już mówimy o inteligencji... – ciągnęłam, wpatrując się w lustro, czyli w Alannę, która rozczesywała moje wilgotne włosy – to ja osobiście czuję się jak idiotka, nie mając bladego pojęcia, jak dokładnie wygląda ten świat, w którym aktualnie przebywam. Chodzi mi o orientację w terenie, rozumiesz? Czy Rhiannon miała tu może jakąś mapę lub choćby taki mniej szczegółowy, orientacyjny plan? Przecież nawet nie wiedziałam, że Warownia to Warownia! ClanFintan na pewno bierze mnie za przygłupa, co ma głowę w chmurach...

– Tak, jest tu mapa Partholonu... Rheo, na pewno wiesz, że jutro rano udzielasz swemu ludowi błogosławieństwa?

– Ojej, całkiem zapomniałam! – Ale poczułam zero wyrzutów sumienia. W końcu na głowie mam niemało, prawda?

– Alanno, a czy ktoś nie mógłby mnie zastąpić? Na przykład ty?

– Ja?! – Była wyraźnie wstrząśnięta. – To niemożliwe, to może zrobić tylko milady! Bo choć milady nie jest Rhiannon, na pewno jest Wybranką Epony i naszą Wielką Kapłanką! Na pewno!

Teraz ja byłam wstrząśnięta, a mianowicie tą jej pewnością.

Tak wstrząśnięta, że nawet nie zwróciłam uwagi na powrót „milady”.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale Alanna perorowała dalej:

– Milady została obdarowana Magicznymi Snami. To niezbity dowód, że u Epony jest w łaskach. Milady jest Jej Wybranką...

Znów zaczęłam otwierać usta, lecz znów bezskutecznie.

– Poza tym klacz od razu zaakceptowała milady.

Pokochała ją!

O tak. Dlatego już nie otwierałam ust.

– Milady jest Wybranką Epony i naszą duchową przywódczynią! – wygłosiła Alanna z wielką emfazą, po czym jej głos trochę złagodniał. – Milady jest tu bardzo potrzebna, potrzebna nam

wszystkim, zapewne tak jak w tamtym świecie milady potrzebowali jej uczniowie. Nie wierzę, żeby milady kiedykolwiek ich zawiodła.

Miejmy nadzieję, że nie... W każdym razie już nie dyskutowałam, tylko gorączkowo szukałam w pamięci czegoś, czym mogłabym uraczyć lud podczas krótkiego porannego błogosławieństwa. O, chociażby to... taki kawałek bogaty w celtyckie sentymenty. Yeatsa, jednego z moich ulubieńców.

Oscylując między nim a Szekspirem (i może jeszcze coś od kogoś skubnąć), powinnam zebrać wystarczająco dużo materiału na jutrzejszą poranną imprezę, z tym że muszę zrobić to inteligentnie, nie raniąc ani siebie, ani swego zawodu.

A więc... może to? Albo...

– Odchyl głowę, Rheo. Skończę twoje oczy.

Zamrugalam trochę nieprzytomna i zgodnie z poleceniem odchyliłam głowę. Jednocześnie, spoglądając w lustro, byłam pod wielkim wrażeniem. Bo kiedy ja sobie w głowie robiłam próbę przed jutrzejszym występem, Alanna dokonała całkowitej transformacji mojej twarzy. Ze Złej Czarownicy z Zachodu zmieniłam się w Kopciuszka (na balu, czyli przed północą, zaznaczam!).

Kiedy skończyła z oczami, wręczyła mi słoiczek z brązowym błyszczkiem, a potem zademonstrowała dwa kawałki cieniutkiego jak gaza jedwabiu, takie prawie nic.

– Może masz jakieś życzenie, Rheo?

– Owszem. – Przełknęłam. – Wolalabym być przynajmniej w jakimś stopniu zakryta, żeby pobudzić jego wyobraźnię.

Alanna zachichotała.

– Rheo, jak zwykle mówisz coś po prostu nieprawdopodobnego!

– A więc dobrze. Może ta zielona ze złotą nitką.

To drugie, białe, ozdobione srebrnymi koralikami – za nic w świecie. Wyjątkowo cieniutkie. Byłam pewna, że niezależnie od tego, ile razy Alanna owinie mnie tą mgiełką, i tak wszystko będzie widać, jak więc usiąść w czymś takim?

– Bardzo dobrze – pochwaliła Alanna. – Zielony jest pod kolor twoich oczu.

Najpierw podała mi mały kawałek jedwabiu.

Wiedziałam już, że to stringi minimum, w bardzo niewielkim stopniu chroniące przed czynnikami zewnętrznymi. Chociaż tego wieczoru jedynym czynnikiem zewnętrznym, z jakim miałam się zetknąć, był ClanFintan. A więc...

Szybko włożyłam stringi, po czym wyprostowałam się i rozpostarłam ręce, by Alanna mogła przystąpić do owijania mnie w cieniusieńki jedwab.

– Ten złoty ornament jest piękny. A co to? – spytałam, wykręcając szyję, żeby dojrzeć, cóż takiego wyhaftowano w dole.

Alanna, z broszą przejściowo wetkniętą w usta, wymamrotała:

– Oczywiście, czaszki.

– Oczywiście.

Powinnam była sama się domyślić!

Spięła materiał na ramieniu broszą, po czym wręczyła mi sandałki z cieniutkiej skórki ufarbowane na kremowy kolor.

Były sznurowane do połowy łydki, a ku mojemu wielkiemu zadowoleniu miały wysokie obcasy. Super. Buty na płaskim obcasie nigdy nie wyglądają seksowne.

Alanna jeszcze raz obleciała mnie dookoła, podciągając, wyciągając i wygładzając jedwab, po czym spojrzała jeszcze raz bardzo krytycznie i wyraźnie usatysfakcjonowana pokiwała głową. Zaraz potem odwróciła się do toaletki, podniosła wieczka kilku pięknie rzeźbionych szkatulek i zaczęła w nich grzebać.

A ja, kątem oka wychwyciwszy bardzo jednoznaczne błyski, natychmiast zajrzałam przez ramię Alanny do szkatulek. I aż jęknęłam. Były pełne przepięknej biżuterii.

– No nie! To wszystko moje?

– Teraz tak!

Byłam w siódmym niebie. Wspominałam już, że miałyśmy z Rhiannon podobny gust, no i okazało się, że również odnośnie biżuterii. W szkatułkach bowiem znajdowało się przede wszystkim złoto. Cudowne, płaskie naszyjniki, tak zwana „rybia ość”, sznury z diamentów, kolczyki i brosze o najbardziej zawitych ornamentach. Wśród złota mieniły się inne cuda, drogie kamienie, szlachetne i półszlachetne. Mój łakomy wzrok wylawiał po kolei wszystko, od kolczyków z opalizującym niebieskim topazem, po naszyjniki wysadzone staroświeckimi łezkami z skryształizowanego bursztynu. No i te diamenty...

mnóstwo diamentów. Po prostu było tak, jakby ktoś zgarnął

zawartość kilku gablot u Tiffany'ego i wsypał do tych szkatulek.

Staralam się zachować zimną krew. Nie bełkotać z wrażenia, pamiętać, że chcę się przyozdobić, by sprawić przyjemność mężowi, a nie dlatego, że zamierzam wystąpić w jakimś spocie w telewizji na Kanale Religia.

W końcu zdecydowałam się na kombinację skromności ze stylem Marilyn Monroe. Długi, gruby sznur z diamentów, wsuwający się w dołek między piersiami (które miałam prawie całkiem odsłonięte), do tego malutkie złote kolczyki z perełkami oraz (to właśnie ukłon w stronę Marilyn Monroe) na lewym nadgarstku bransoletę z olbrzymich diamentów połączonych maciupeńkami ogniwoami ze złota. Ta bransoleta to był

prawdziwy odłot. Kiedy kręciłam ręką na wszystkie strony, diamenty połyskiwały po prostu bosko. Nawet Pammy, jedna z moich kumpelek, która mieszka w Las Vegas i uwielbia szpanować, byłaby pod wrażeniem.

– Jeszcze to!

Uniosła małą koronę, którą kiedyś miałam już okazję nosić na swej głowie.

– Alanno! Muszę?!

– Rhiannon zawsze wkładała koronę. To symbol władzy, wolno ją nosić tylko kapłance, która jest Wybranką Bogini.

– W takim razie dziś jej nie włożę. Bo dziś wieczorem chcę być tylko i wyłącznie umiłowaną ClanFintana... Oczywiście to wcale nie znaczy, że olewam, przepraszam, lekceważę Boginię.

Jak sądzisz, Alanno, czy Epona będzie bardzo niezadowolona, jeśli dziś wieczorem nie włożę tej korony?

Najpierw uściskała mnie zupełnie jak Suzanna, to znaczy omal mnie nie udusiła, po czym oznajmiła:

– Epona przede wszystkim pragnie, byś uhonorowała swojego męża i była szczęśliwa.

– Świetnie. W takim razie chodźmy już do mnie –powiedziałam, ruszając do drzwi. – Pójdę pierwsza, Alanno.

Pora wczuć się w rolę. Jedno już wiem. Jak mi coś nie będzie wychodzić, po prostu zrobię się wredna. Zdaje się, że wszyscy są do tego przyzwyczajeni.

Kiedy wychodziliśmy z pokoju kąpielowego, dwie żywe ozdoby rzeźbionych drzwi natychmiast stanęły na baczność. Nie mogłam się powstrzymać, żeby tego wyższego nie uszczypnąć żartobliwie w policzek. (Przysięgam, na pewno nie w pośladek!).

– Świetnie się sprawujecie, chłopaki.

Wzrok chłoptasia roziskrzył się, pełne wargi ułożyły w uśmiech, co dało mi do myślenia. Czyżby droga Rhiannon pozwoliła mu poznać siebie... hm... dokładniej? W sensie biblijnym?

W rezultacie, wiadomo, czerwona jak burak pomknęłam korytarzem, po chwili jednak zatrzymałam się i skinęłam na przyjaciółkę, by zrównała ze mną krok.

– Alanno – szepnęłam do niej cichusieńko. – Nie zostawaj w tyle, chcę z tobą pogadać. Powiedz, czy Rhiannon bzykała się ze strażnikami?

– Bzy... kała?

Westchnęłam.

– Nie rozumiesz? Bzykanie to... no, domyślasz się... –Znacząco poruszyłam brwiami.

Alanna, bystra dziewczynka, zaskoczyła, czego dowodem był lekki rumieniec.

– Tak. Rhiannon bzy...kała się ze wszystkimi strażnikami.

Jednak szok, dlatego na moment zapomniałam, że obowiązuje konspiracyjny szept.

– Ze wszystkimi?! – ryknęłam. – Przecież jest ich tu co najmniej setka!

– Ona po prostu bardzo lubiła mężczyzn...

– No to rzeczywiście musiała być bardzo zajęta. Ciekawe, jak znajdowała jeszcze czas na te wszystkie sprawy związane z jej boskością?

– Rhiannon potrafiła wszystko.

W tym czasie doszliśmy do drzwi do moich pokoi, gdzie czekało dwóch nowych strażników. Wiadomo, że po usłyszeniu powyższej rewelacji tym bardziej przyciągali mój wzrok.

Podobnie jak wypadek na ulicy. Głupio się gapić, a jednak się gapisz.

Teraz też. Wcale nie chciałam, szyja jednak jakoś tak sama się wykręcała, co skończyło się kolizją, bo omal nie przewróciłam nimfy Staci, która natychmiast zaczęła zginać się w nerwowych ukłonach.

– Och, milady, stokrotnie proszę o wybaczenie. Jestem taka nieuważna!

Tragedia. Zaraz rzuci mi się do nóg.

Wyciągnęłam rękę, żeby ją pogłaskać po ramieniu, a tu szok, bo śliczna nimfa skuliła się i zasłoniła twarz rękoma.

Jakby była pewna, że ją walnę!

– Co ty wyprawiasz, dziewczyno?! Przecież nie mam zamiaru cię bić!

Nadal drżąc jak liść na wietrze, ostrożnie rozsunęła palce, między którymi ukazało się jedno spanikowane oko. Spojrzałam bezradnie na Alannę, przekazując bezgłośnie: Błagam, pomóż.

Na co Alanna równie bezgłośnie poruszyła ustami. Załapałam.

Spłoszone dziewczę ma na imię Tarah.

– Tarah, przecież to była moja wina. To ja wpadłam na ciebie!

Dziewczyna powoli cofnęła ręce, odstawiając twarz.

Spojrzałam. No tak, po prostu, jak to mówią, skóra żywcem ze Staci zdjęta. Te same prześliczne rysy twarzy, bardzo długie lśniące czarne włosy i ogromne brązowe oczy. Za taką twarz każda supermodelka gotowa by była oddać życie (ewentualnie nawet wpaść w bulimię. Straszne, prawda?).

Uśmiechnęłam się do niej, ręce oczywiście trzymając przy sobie, a ona patrzyła na mnie jak płochliwy żrebaczek. Dopiero po dłuższej chwili zdecydowała się na bardzo nieśmiały uśmiech i wyjąkanie:

– Mi... milady, na...nakryłam do stołu... – Znów chwila ciszy, w trakcie której dziewczę jakoś zebrało się w sobie, bo zakomunikowało głosem znacznie pewniejszym: – Pozwolę sobie poczekać. Nie wiem, czy milady będzie zadowolona.

Spojrzałam w głąb pokoju na niewielki stół pięknie nakryty dla dwóch osób. Przy stole ustawiono dwa szeslongi. Ustawiono tak, żeby głowy biesiadników były blisko siebie.

– *Wspaniale. Jestem bardzo zadowolona. Proszę podać kolację zaraz po przybyciu ClanFintana.*

Nimfa dygnęła i zaczęła wycofywać się do drzwi.

– *Aha, Tarah... – Gdy nimfa znieruchomiła, mówiłam dalej: – Zdaję sobie sprawę, że czasami zdarzało mi się zachowywać nie tak, jak powinnam... – oczy dziewczęcia, rzecz oczywista, ze zdumienia zrobiły się prawie idealnie okrągłe – ...i za to chcę przeprosić. Teraz na pewno będzie inaczej.*

– *Tak, milady!*

Jej twarz pojaśniała. Bił od niej blask, a ja nie po raz pierwszy przeklęłam w duchu tę całą Rhiannon.

– *Dziękuję, Tarah.*

Pobiegła, nie przestając się uśmiechać, i to tak promiennie, że miałam wrażenie, jakby w całym korytarzu pojaśniało.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– *Czy Rhiannon nigdy nie panowała nad sobą? – spytałam Alanny, kiedy znów zostałyśmy same.*

– *Nie musiała, przecież była Wybranką Epony.*

– Rozumiem. Taki właśnie sposób myślenia powoduje, że tacy ludzie jak Kaligula czy Henryk VIII, a także, niestety, niektórzy prezydenci robią z siebie debili. Alanno, powiedz mi, jak to mogło się stać, że ludzie jednak czcili Rhiannon i byli wobec niej lojalni?

– No... wiadomo...

Alanna spojrzała na mnie znacząco, więc szybko uzupełniłam:

– Chodzi mi też o kobiety. Bo jeśli chodzi o mężczyzn, to już wiemy, w jaki sposób ich uszczęśliwiała.

Byłam naprawdę wkurzona, stąd moja poza: ręce oparte nonszalancko na biodrach, a jedna ze stóp wybija rytm zgodny z moim wkurzeniem. (W tym momencie wyglądałam jak rasowa belferka. I przyznaję, że miałam ogromną ochotę, mówiąc elegancko, udzielić reprimendy jakiemuś człowiekowi w wieku nastu lat. Niestety, jeśli akurat kogoś naprawdę potrzebujesz, to oczywiście w tej chwili potrzeby możesz go sobie ze świecą szukać!).

– Rhiannon miała wielką władzę. Była bardzo potężna... – powiedziała Alanna, uciekając wzrokiem.

– Domyślam się, i właśnie w związku z tym mam jeszcze jedno pytanie. Może wreszcie mi zdradzisz, jakim cudem udała jej się ta zamiana miejsc z użyciem ognia? I żadna z nas przy tym nie spłonęła żywcem?!

Zakładałam przecież, że Rhiannon, tak jak ja, z tej płomiennej imprezki wyszła cało.

– Szczegółów nie znam... – wyznała z wyraźnym ociąganiem Alanna. – Rhiannon nie mówiła mi przecież wszystkiego.

– *Ale coś niecoś na pewno wiesz?*

Uff, nareszcie. Alanna, wydawszy z siebie wyjątkowo głębokie westchnienie, w końcu spojrzała mi w oczy.

– *Ona... ona dokonała kilku obrzędów, na próbę... – Głos jej zadrżał. – Nie powiodły się. Ludzie, z którymi próbowała się zamienić, przybywali tutaj w... no, w złym stanie. – Teraz cała zadrżała. – Po prostu nieżywi.*

– *Aha.*

Pokiwałam głową, zachęcając ją w ten sposób, by mówiła dalej.

– *Potem wpadła na pomysł, żeby z naszego świata wysłać do was kogoś, kto zabierze ze sobą jakiś przedmiot, któremu Rhiannon przekaze trochę swojej mocy. To znaczy ten przedmiot przeniesie część mocy Wybranki Epony do waszego świata...*

– *Waza! – wykrzyknęłam.*

– *Tak, Rhiannon wysłała wazę nagrobną. Napelnia się ją specjalnym napojem i polewa nim groby poprzednich Wybranek Epony... – Alanna urwała na moment i głośno przetknęła. – Ta kolejna próba częściowo się powiodła.*

– *To znaczy?*

– *Służący żył jeszcze... przez jakiś czas.*

– *Och...*

– Tak było... Wtedy Rhiannon znów zaczęła pościć i medytować. Po jakimś czasie wydawało się, że wreszcie znalazła sposób... – Alanna usiadła na jednym z szezlongów.

Tym razem to ja nalałam jej wina, potem oczywiście sobie, i zajęłam miejsce obok niej. – Jednym z jej ulubionych służących był pewien szaman, nazywał się Bres... – Kiedy Alanna wymawiała to imię, wyraźnie zbladła, a w jej oczach pojawił się lęk. – On nie był taki jak ClanFintan. Czciliśmy bogów nocy, których imion lepiej nie wymawiać na głos.

– No to nie mów! – Już i tak od tej całej rozmowy dostałam gęsiej skórki.

– Rheo, w dniu, w którym przybyłaś do naszego świata, oni odprawili pewien obrzęd... zły obrzęd. Zerwała się straszna wichura...

– Podczas której miałam wypadek!

– Tak, właśnie tak... – Przymknęła na moment oczy. – Poszli do odludnego miejsca koło jeziora, tam, gdzie zaczynają się Bagna Ufasach. Rhiannon kazała mi też iść, bo zawsze chciała, żebym przebywała w pobliżu. Byłam przerażona, a także oszołomiona tą straszną wichurą i ulewą, dlatego na pewno wiele mi umknęło. W każdym razie znaleźli opuszczoną chatę i podpalili ją. Mimo wichury i deszczu płonęła jak wiązka siana. Pamiętam, jak pomyślałam, że to musi być piekielny ogień. Bres podszedł do buchającej ogniem chaty, mrucząc pod nosem zaklęcia. Niby wymawiał je cicho, ale w jakiś przedziwny sposób kłuły mnie w uszy. Nagle Bres zniknął, a zaraz potem z chaty wybiegł mężczyzna łudzaco do niego podobny, chociaż na pewno nie był to on. Widać było, że jest całkowicie zdezorientowany, spanikowany, bliski hysterii... – Alanna urwała na moment i wypila duży łyk wina.

Ja też, by nie było jej głupio, że sama nasącza się alkoholem.

– Co było dalej? – spytałam cicho.

– Kiedy ten mężczyzna wybiegł z chaty, Rhiannon podkrađła się do niego od tyłu... i poderżnęła mu gardło. Potem nałapała jego krwi do pucharu i wypila. Do końca dnia siedziała nad martwym ciałem i mruczała zaklęcia. A kiedy zapadł

zmierzch, zdjęła wszystko, co miała na sobie, rozłożyła szeroko ramiona i odrzuciwszy w tył głowę, ruszyła ku nadal płonącej chacie. Jakby chciała ją objąć.

Zadrżałam, przypominając sobie dziwną wizję, w której to ja podążałam do ognistej kuli.

– Potem ta chata jakby... wybuchła. Pozostały z niej tylko zgliszcza, w których znalazłam ciebie, Rheo – zakończyła swoją opowieść Alanna, uśmiechając się do mnie cieplutko.

– Ciekawe, czy Rhiannon rzeczywiście udało się przejść do mojego świata... – mruknęłam. Zrozumiałe, że wcale sobie tego nie życzylam, choć negatywne nastawienie do kogoś, kto mógłby być moją siostrą bliźniaczką albo klonem może komuś wydać się jednak dziwne.

– Na pewno jej się udało, Rheo.

– Skąd ta pewność?

– Bo jej zawsze wszystko się udawało. Czegokolwiek zapragnęła, zawsze to zdobywała.

– No cóż, z pewnością szkoła publiczna okaże się dla niej wstrząsem. Wiem, co mówię. Z radością podczas pierwszej wywiadówki, kiedy to nawet cała ta boskość nic by nie pomogła, zmieniałabym się w muchę łązącą po ścianie. No, ale przynajmniej pozbyłyśmy się jej stąd, tak samo Bresa, który, jak mówisz, był prawdziwym czarnym charakterem. – Gdy skwapliwie pokiwała głową, wymieniłyśmy szerokie uśmiechy.

– Alanno, a czy przypadkiem ten Bres to nie był taki chudy gościu, któremu potwornie śmierdziało z ust? Z taką trupioblada twarzą?

– Tak, to on! Widziałaś go?!

– Owszem, tuż przed wichurą. Trzeba przyznać, że faktycznie wystarczyło na niego spojrzeć, a człowiek już czuł

ciarki na plecach. – Na wspomnienie tego indywiduum zgodnie zadrżałyśmy, potem lekko uścisnęłam rękę Alanny. – Jak dobrze, że to ty mnie znalazłaś.

– Też się cieszę. – Odwzajemniła uścisk.

I cudnie, bo siła naszej przyjaźni przywróciła kolory otaczającemu nas światu, który na moment stał się zatrważająco szary.

– Alanno, a może pokazałabyś mi tę mapę? Teraz, zanim przyjdzie ClanFintan i zacznie mi mieszać w głowie.

I w ciele, na co miałam wielką nadzieję.

Alanna wstała, napelniła puste kieliszki, a potem otworzyła drzwi na samym końcu pokoju. Za nimi, jak się okazało, znajdował się bardzo przyjemny pokój dzienny urządony z wielkim smakiem. Były tam i ławeczka dla zakochanych, i wygodny fotel przed stoliczkiem, na którym mogłaś położyć książkę, i szeszlony (ten mebel w tym świecie musiał mieć wyjątkowe znaczenie). Poza tym kominek z pięknie rzeźbionym marmurowym gzymsem, a pod ścianami półki, całe rzędy półek, a na półkach...

– Książki! – wrzasnęłam i omal nie zwalając Alanny z nóg, popędziłam przez próg. – Super! Myślałam, że to drzwi do garderoby, a tu proszę! Książki! Przecież ja je kocham!

– Rhiannon też je kochała – powiedziała Alanna, podążając za mną. – Skrybowie zawsze mieli pełne ręce roboty.

Podeszła do jednej ze ścian, wdrapała się na niewielką drewnianą drabinkę i z najwyższej półki zdjęła rulon.

– To mapa Partholonu.

– Och, cudnie!

Wydawało się, że rulon, gdy tylko dotknął podłogi, rozwinął się sam. Była to bardzo piękna mapa wykonana z materiału utkanego w zawile wzory, podobnego do jedwabiu, tylko o wiele grubszego i zapewne bardzo miękkiego. Ręka sama się wyciągała, żeby go dotknąć.

Co też uczyniłam. Podeszłam bliżej i musnęłam palcami jedwabistą powierzchnię.

I natychmiast uciekłam z ręką.

– Ojej!

Jakby poraził mnie prąd. Zabolało porządnie, a Alanna była zachwycona.

– Jeszcze jeden niezbity dowód, Rheo. Kiedy między świętą mapą Partholonu a ręką przelatuje iskra, wiadomo, że jest to ręka Wybranki Epony, Najwyższej Kapłanki Bogini.

Potarłam palce, a ponieważ ostrożność nigdy nie zawadzi, odsunęłam się troszkę od mapy.

– Mogłaś mnie uprzedzić, Alanno.

– I co? Wtedy byś jej nie dotknęła?

– Na pewno!

– Właśnie dlatego cię nie uprzedziłam!

– Ale spryściuła – mruknęłam, uśmiechając się pod nosem, po czym zabrałam się do dokładnego studiowania mapy.

Świątynia Epony, zaznaczona złotą nitką, usytuowana była w południowo-wschodniej części Partholonu, na północ od szerokiej rzeki płynącej w kierunku wschód-zachód. Rzeka ta nazywała się Geal, wypływała z północno-wschodniego krańca gór Trier, po czym rozwidlała się, a jej część płynąca na północ nosiła nazwę Calman, która również w pewnym miejscu się rozwidlała. Lewa odnoga, zachowując nazwę Calman, płynęła w dół, do morza, druga, o nazwie Clare, zmierzała bardziej na północ, by również, jak to najczęściej robią rzeki, wpaść do morza. Niedaleko odnogi rzeki Geal wpływającej do Bagien Ufasach zauważyłam coś bardzo interesującego, a mianowicie drugą budowlę, Świątynię Muz. A kiedy przemknęłam spojrzeniem na zachód, tam, gdzie przez całą wysokość mapy ciągnęło się morze B'an, zobaczyłam stojący dumnie na brzegu morza Zamek MacCallana. Westchnęłam – co się dziwić – i spojrzałam dalej na północ, tam, gdzie stała Warownia u wylotu przełęczy między wielkimi górami o białych, ośnieżonych szczytach. Kiedy moje spojrzenie zaczęło przesuwać się w dół, z powrotem ku świątyni Epony, napotkało jezioro Loch Selkie, które od wschodu stykało się z Bagnami Ufasach. Dostrzegłam też jeszcze jedną ogromną fortalicję, czyli Zamek Laragona, który leżał mniej więcej w połowie drogi znad jeziora do Warowni – na północ od jeziora, a od Warowni na południowy wschód. Z tym że nie przypominałam sobie, byśmy podczas naszej podróży do Zamku MacCallana przejeżdżali koło jeziora czy innych zamków...

Nagle z korytarza dobiegł odgłos szybkich kroków.

– To na pewno któraś z twoich pokojówek z wieścią od ClanFintana. – Alanna uśmiechnęła się znacząco, ja oczywiście, poczerwieniałam. – Powiem jej, że może go już zaanonsować, czy tak?

Skinęłam głowę i spojrzałam na mapę, starając się szybko ogarnąć pozostałą jej część. Zauważyłam jeszcze trzy zamki, jednak żaden z nich nie był tak blisko Warowni jak Zamek Laragona i Zamek MacCallana. Zdążyłam jeszcze dostrzec rozległe zielone tereny, już poza granicami Partholonu, nazwane Równinami Centaurów.

I na tym koniec, bo do pokoju weszła Alanna, a za nią śliczna nimfa Staci, która dygnęła przede mną nadzwyczaj wdzięcznie.

– Milady, ClanFintan pyta, czy może już zawitać na pokoje milady.

– Dziękuję, Sta... to znaczy... Tarah. Bądź tak miła i poproś ClanFintana. Aha, i podaj już do stołu.

– Tak, milady!

Zabrzmiało to tak jakoś bardzo radośnie.

Alanna i ja wróciliśmy do głównego pokoju (tego, w którym stało olbrzymie łóżko).

– Troszkę jestem zdenerwowana – wyznałam, starając się nie skubać nerwowo nitek w ubraniu.

– Bądź po prostu sobą – powiedziała ciepłutko Alanna, przyglądając jeden z moich niesfornych loków. – Pamiętaj, on urodził się po to, by cię kochać. Jesteś Wybranką Epony, dla ciebie Bogini stworzyła Wielkiego Szamana, twego towarzysza życia.

W tym momencie rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Ja zamarłam, odezwała się więc Alanna:

– Proszę!

Do pokoju wszedł ClanFintan i w moim brzuchu, jak to mówią, natychmiast zatrzepotały motyle. Mój małżonek bez wątpienia też wziął kąpiel, bo błyszczał cały jak podgrzany syrop klonowy. Długie, zaczesane do tyłu gęste włosy przykrywały jak czarna peleryna opalone na brąz plecy. Miał na sobie skórzaną kamizelkę ozdobioną złotym haftem. Kiedy ClanFintan się poruszał i mięśnie się napinały, piękny haft też się napinał, złocił niemal magicznie.

Kiedy się poruszał, bo teraz, po zamknięciu drzwi znieruchomiał. Stał, jego oczy były wpatrzone we mnie.

– Witaj, milordzie! – powiedziała Alanna niby grzecznie, ale w jej głosie słycać było powstrzymywany uśmiech.

– Dziękuję, Alanno. – Czar prysł. ClanFintan zręcznie pokonał odległość dzielącą go ode mnie. – Proszę wybaczyć tę chwilę milczenia, ale jestem oszołomiony urodą pani mego serca. – Wyciągnął rękę i powoli podniósł moją prawą dłoń do ust.

Spojrzeiliśmy sobie głęboko w oczy, czułam, jak mój oddech przyśpiesza.

O matko, jaki on jest wielki!

I umięśniony.

I gorący (w każdym znaczeniu tego słowa).

– Dobry wieczór, ClanFintanie. Miło mi ciebie znów zobaczyć.

I wcale nie była to tylko grzecznościowa formułka. Przez całe popołudnie naprawdę bardzo mi go brakowało.

– *Jestem szczęśliwy, że znów cię widzę, milady.*

Najpierw poczułam na dłoni gorący oddech, zaraz potem gorące wargi, które dotknęły mojej odwróconej dłoni tuż obok żył na nadgarstku.

Oczywiście, że przez moment zastanawiałam się, czy ugryzie mnie, czy nie (osobiście nie miałabym nic przeciwko temu). Nie ugryzł, stąd westchnienie (moje), kiedy puszczał

dłoń.

W tym czasie Alanna szykowała się już do odwrotu.

– *Jeśli milady nie ma dla mnie żadnych poleceń, życzę dobrej nocy i...*

– *Och, nie!* – *krzyknęłam. Alanna, która już podążała do drzwi, zatrzymała się w pół kroku. ClanFintan spojrział na mnie, wyraźnie zaskoczony tym gwałtownym protestem. – Alanno, proszę, zostań, dopóki nie podadzą kolacji. – Alanna i ClanFintan wbili we mnie wzrok. Wcale nie było łatwo pod tym obstrzałem podejść do jednego z szezlongów i dolać sobie wina. – ClanFintanie, bardzo mi zależy na tym, żeby Alanna też wysłuchała, co masz do powiedzenia na temat bieżącej sytuacji.*

Znakomicie się orientuje w wielu sprawach... – Nadal w wymownym milczeniu gapili się na mnie. – Alanna, choć formalnie występuje w innej roli, przede wszystkim jest moją przyjaciółką, a ja bardzo cenię sobie i szanuję jej zdanie.

Ten argument, jak zauważyłam, wreszcie przekonał

ClanFintana. Przyjaźń, szacunek, zaufanie, to dla niego mocne argumenty. Jak dobrze!

– *Oczywiście, lady Rhiannon. Skoro tak uważasz, powinna tu zostać.*

Zajął miejsce na drugim szezlongu, natomiast Alanna obeszła stół w kształcie bardzo grubego ściętego słupa, żeby nalać ClanFintanowi wina. Ja w tym czasie próbowałam przekazać jej telepatycznie, że ma się zrelaksować, bo musi mi pomóc.

Tymczasem przede wszystkim powróciła do roli służącej.

– Czy milord życzy sobie wina?

– Tak.

ClanFintan zaczął popijać wyborny trunek, cały czas popatrując na mnie. Oczywiście, że tak było. Przecież czułam na sobie jego wzrok.

Spojrzałam na przyjaciółkę i westchnęłam.

– Alanno, proszę, nalej sobie wina i usiądź koło mnie.

Z kolei teraz ona spojrzała na mnie trochę dziwnie, nie stawiała jednak żadnych pytań, tylko karnie nalała sobie wina.

Czasami odnosiłam wrażenie, że Alanna potrzebuje kilku minut, by przypomnieć sobie, że nie mam najmniejszego zamiaru bić jej czy na nią krzyczeć. Chociaż moi nastoletni uczniowie też czasami spoglądali na mnie ze strachem...

Było, minęło. Skup się teraz na swoim mężu centaurze.

– ClanFintanie, czy wojsko gotowe jest do walki?

Miałam nadzieję, że nie zabrzmiało to za bardzo jak wypowiedź typu: Do cholery, nie mam bladego pojęcia, o czym mówię.

– Tak. Wysłałem gońców na Równiny. Centaury już się zbierają i formują oddziały, które niedługo powinny tu dotrzeć.

Twoja straż jest w gotowości bojowej, by bronić ciebie i Świątyni Epony. Zwołałem w twoim imieniu radę wojenną.

W ciągu siedmiu dni zjadą tu przywódcy wszystkich klanów, którym będziesz mogła opowiedzieć, co przekazała ci Epona –ClanFintan uśmiechnął się niewesoło – i wspólnie opracujemy strategię, jak pokonać fomoriańskie zło.

– ClanFintanie, bardzo bym chciała, żebyś poprowadził tę naradę. – Wyraźnie zamierzał zaprotestować, ale nie dopuściłam go do głosu. – Proszę. Będę czuła się o wiele pewniej.

– Zgodnie z prawem, milady, ty powinnaś przewodniczyć naradzie.

Czyli super.

– Wiem, ale chyba mam prawo poprosić swego towarzysza życia, by zajął moje miejsce.

Szybko zacisnęłam kciuki, oczywiście w duchu, z nadzieją że to, o co proszę, nie będzie zbyt wielkim naruszeniem obyczajów wojennych. Zerknęłam na Alanę. Chyba nie jest tak źle, bo wcale nie wyglądała na przerażoną.

– Jeśli taka jest twoja wola, milady, to oczywiście tak zrobię. Dołożę wszelkich starań, by jak najlepiej wykonać powierzone mi zadanie.

Nie, wcale nie powiedział tego z wielkim entuzjazmem, ale mniejsza z tym. Najważniejsze, że się zgodził. Przecież wiadomo, że bardziej wierzyłam w jego umiejętności niż moje, delikatnie mówiąc. Na Boga, tu chodziło o prawdziwą wojnę, a nie na przykład o literacką analizę krótkich esejów o tematyce militarnej.

– Dziękuję. ClanFintanie, jest jeszcze coś, co mnie niepokoi. – Znow spojrzałam na Alannę. – Oglądając mapę Partholonu, zauważyłam, że Zamek Laragona jest bardzo blisko Warowni. Czy Laragona powiadomiono już o zagrożeniu?

– Oczywiście. Pierwszego dnia wysłano gołębie pocztowe, poza tym odkomenderowano do nich oddział centaurów, by pomógł w przygotowaniach do obrony.

– Sądysz, że te monstra nie zostaną w Warowni? Znow zaatakują?

Już na samą myśl o tym czułam ciarki na plecach.

– Wiem o nich niewiele, nie sądzę jednak, żeby zadowolili się tym, co udało im się zdobyć do tej pory.

– A czy istnieje ktoś, kto wie więcej, zna szczegóły o tych...

– Fomorianach – odpowiedziała szybko Alanna.

– Tak. Fomorianach. Mówiłeś, że wiesz o nich niewiele, tylko to, czego dowiedziałeś się z bajek i podań.

– I tak jest w istocie. Wiem tylko tyle, że w dawnych czasach ponieśli klęskę i przegnano ich na tamtą stronę gór.

Poza tym wierzą w ciemne moce i uciekają się do ich pomocy.

Piją krew istot żywych.

No i proszę, ileż to nowych, pomyslnych wiadomości.

– Czyli są pieprzonymi wampirami!

– Wampiry?! – powtórzyli zgodnym chórem.

Znów musiałam westchnąć. Cóż, nie czytali „Draculi”

Brama Stokera.

– Wampiry to istoty, które odżywiają się krwią innych istot. Jest to ich, że tak powiem, podstawowy posiłek... – Zauważyłam, że Alanna i ClanFintan zbledli. – Unikają wychodzenia na dwór w ciągu dnia. Zabić wampira można tylko w specjalny sposób, to znaczy tych sposobów jest kilka...

Bladość nagle ustąpiła z twarzy ClanFintana. Znów jawił

się jako koń/człowiek/wszystko jedno czynu.

– Zaraz... zaraz... a może Fomorianie też mają jakieś słabe strony, tak jak te wampiry. Mówisz, że boją się dziennego światła...

– Racja – przytaknęłam. – Tylko skąd zdobyć na ten temat dokładne informacje?

Spojrzeliśmy po sobie, po czym nastąpiła chwila ciszy, po upływie której nagle mnie olśniło. Przecież wiadomo! Kto by się teraz przydał? Nauczyciel!

– Czy mamy tu jakiegoś historyka? – spytałam Alanny. –Rozumiesz, kogoś, kto naucza o przeszłości.

I tu czekał mnie szok.

– Naturalnie, milady – odparła Alanna, cała nagle zmieniając się w różyczkę. Nawet jej uszy zrobiły się różowiutki.

O matko! A co z nią?

– Świetnie. Czy mogłabyś skontaktować się z tą nauczycielką? Przekazać jej, jakich informacji potrzebujemy i przyprowadzić ją do mnie jutro rano jeszcze przed błogosławieństwem albo zaraz po nim?

– Tak, milady. Zrobię tak, jak milady sobie życzy.

Wyraźnie unikała mojego wzroku, poza tym nerwowo postukiwała w swój kieliszek. (Nie zapomnij! Masz dojść, co jest między Alanną a tą nauczycielką).

– Dobrze. Cieszę się, że udało się nam to ustalić.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Mój umysł tym razem był na tyle przytomny, że zareagowałam osobiście.

– Proszę wejść!

Z radosnym uśmiechem na ślicznej twarzy do pokoju weszła nimfa Staci/Tarah.

– Milady, czy można podać już do stołu?

Uśmiechnęłam się ciepło do tej kwintesencji radosnej młodości.

– Tak, bardzo proszę.

Staci/Tarah odsunęła się nieco na bok, władczo klasnęła w ręce i do pokoju zaczęły wchodzić służące, każda z tacą zastawioną po brzegi i rozsiewającą smakowite zapachy.

Uśmiechnęłam się do niej jeszcze szerzej.

– Dziewnie się sprawiłaś, Tarah!

Widać było, że z powodu pochwały jest wniebowzięta.

– Milady mówiła, że jest bardzo głodna!

– Tak, to prawda, jestem bardzo głodna...

Odszukałam spojrzeniem ClanFintana i wymieniliśmy ukradkiem uśmiechy. Wiecie, takie wiele mówiące.

O tak, oboje byliśmy bardzo głodni...

Kiedy służące zaczęły opróżniać tace, Alanna postanowiła się wycofać.

Dygnęła przede mną.

– Zajmę się sprawą, o której mówiła mi lady.

Następne dygnięcie przed ClanFintanem.

– Życzę milordowi pięknego wieczoru,

– Dziękuję, Alanno – odparł ciepłym głosem.

– Ja też ci dziękuję... – Zawiesiłam głos i odczekałam, aż oczy wszystkich obecnych zwrócą się w moją stronę. Wtedy dokończyłam: – Moja przyjaciółko. Znaczysz dla mnie bardzo dużo i niezmiernie cenię sobie twoją lojalność.

Trzeba przyznać, że Alanna wykazała się klasą. Nie zaczerwieniła się, nie wyglądała na zszokowaną czy przerażoną, co pomyślą sobie inni, słysząc moją zaskakującą deklarację. Po prostu spojrzała na mnie z wdzięcznością, po czym wyszła z głową uniesioną wysoko.

Na moment zapadła cisza, po upływie której trochę zmieszani i wyciszeni służący również opuścili pokój.

Zauważyłam, że urocza nimfa Staci/Tarah wychodziła uśmiechnięta od ucha do ucha, jak Barbie po zakupach w Saks Fifth Avenue.

Czyli Rhiannon musiała być wyjątkowo wredna.

Drzwi zamknęły się. Ja, jak zwykle umierając z głodu, rzuciłam na żarcie, a ponieważ jednocześnie byłam okropnie zdenerwowana, mój zachwyty nad wspaniałym jedzeniem był na pewno nadmierny i zbyt hałaśliwy.

– Och, to wygląda cudownie! – zapiłam, chwytając spory kawałek czegoś, co wyglądało na drób, i w całości pakując sobie do ust.

– Tak... w istocie wygląda wspaniale – zawtórował mi ClanFintan.

W jego głosie znów pojawiła się ta cudowna leciutka zadyszka. Siedział wygodnie z łokciem na oparciu szeszlona.

W drugim ręku trzymał kieliszek wina. Jedzenie tak naprawdę wcale go nie interesowało, szczerze mówiąc, wcale na nie nie spojrzał.

– Nie jesteś głodny?

Pełne wargi ClanFintana rozciągnęły się w cudownym, leniwym uśmiechu.

– Nie. Zjadłem coś tam wcześniej.

– Ale dlaczego?- zawołałam rozżalona. A zarazem zadowolona, że kiedy się wydarłam, nic nie wyleciało z mojego zapchanego jedzeniem gardła. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Też bym coś zjadła wcześniej.

– Lubię patrzeć, jak jesz. Bo ty bardzo lubisz jeść.

No tak. Zdążył mnie już przejrzeć na wylot.

Nadal nie czułam się najswobodniej.

– Ale nie chcę jeść sama.

– Przecież jestem tutaj.

– Jesteś, to fakt – wymamrotałam znów z pełną buzią tego czegoś, co smakowało jak kurczak.

Roześmiał się.

– Masz dziwny sposób mówienia. Przedtem tego nie zauważyłem.

– No cóż, człowiek każdego dnia uczy się czegoś nowego.

– To prawda.

Jakby nieco się odprężył.

Czyli i w tym świecie banały mają swoją moc.

Przez następną chwilę przeżuwałam powoli to, co miałam w ustach, jednocześnie przyglądając się mojemu współbiednikowi.

– ClanFintanie, wcale nie wyglądasz na kogoś, kto ma za sobą długą, męczącą drogę, i to z

pasażerem na grzbiecie, o braku snu przez kilka minionych nocy nawet już nie wspominając.

Bo wyglądał na istotę w pełni sił, tryskającą energią i świeżusieńką. Wyrażając się precyzyjniej: ciacho ekstra.

– Ciebie zawsze niosę z wielkim zadowoleniem – powiedział lekko zachrypniętym głosem, zniżając go, przez co wypowiedź stała się sugestywniejsza. – Poza tym jestem bardziej wytrzymały niż człowiek.

A ja kawałek homara, ociekający roztopionym masłem, z lubością wciągnęłam do ust.

ClanFintan miał chyba problem z nabraniem powietrza.

Powoli zlizalam z warg maselko.

– A tak, wspominałeś już o tym.

– Wspominałem.

Oczywiście, że był spięty. Wyczuwało się to w jego głosie.

Był spięty, a ja wcale nie będę ukrywać, że dawało mi to wielką satysfakcję.

– ClanFintanie, jeszcze ci nie podziękowałam, że pojechałeś za mną. Jestem niezmiernie wdzięczna. Wolę nawet nie myśleć, do czego by doszło, gdybyś tego nie zrobił.

Koło jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

– Miło mi to usłyszeć. Kiedy będziesz ruszała na kolejną wyprawę, pozwól mi od samego początku być u swego boku.

Zanim wessałam następny kawałek homara w masełku, wymruczałam:

– Nigdy już nie ruszę się stąd bez ciebie. Nigdy... – Wessałam białe, soczyste mięsko, czubkiem języka zlizalam, oczywiście powolusieńku, drobinę masła, która osiadła na górnej wardze. Przeżułam, przełknęłam i znów powoli oblizalam usta, i dopiero wtedy dokończyłam wypowiedź: – Będę ciebie nazywać pan American Express.

– Jak? American Express? A co to znaczy?

– Och, właściwie nic. Tak to sobie wymyśliłam. – Ponieważ homar się skończył, sięgnęłam po truskawkę posypaną cukrem. Włożyłam ją do ust i powoli odgryzłam koniuszek, cały czas patrząc, jak ClanFintan wpatruje się we mnie. – Mmm... pyszności – mruknęłam.

– Owszem – przytaknął.

Śmiem twierdzić, że nie chodziło mu o truskawkę.

Popijaliśmy wino, przez cały czas nie odrywając od siebie oczu. Oczywiście, starałam się zachowywać powściągliwie i skromnie. Podkreślam – naprawdę się starałam. Jednocześnie jednak czułam, jak wino zaczyna uderzać mi do głowy, czyli niebawem zaczną znikać wszelkie hamulce. Szczerze mówiąc, nigdy nie miałam problemu z tymi hamulcami, tym razem jednak, przyznacie sami, sytuacja była wyjątkowa. Chodziło przecież o faceta/konia.

Problem więc się pojawił. Byłam onieśmielona, ale tylko na początku, bo już po chwili moje wargi zaczęły rozciągać się w uśmiechu zaplanowanym jako uwodzicielski. Jednocześnie przez głowę przemknęła myśl, że już chyba wiem, co czuła Piękna, gdy zakochała się w Bestii.

Chciałam ClanFintana. Mojego męża. Wystarczyło wyciągnąć rękę...

Odstawiłam kieliszek i nachyliłam się ku prawej ręce ClanFintana spoczywającej na oparciu szeszlona. Moje palce przesunęły się pieszczotliwie po bicepsie i przedramieniu, a zatrzymały na dłoni, która natychmiast zareagowała. Gorące palce objęły moją dłoń... I tu niespodzianka. Standardowy mężczyzna natychmiast przyciągnąłby mnie do siebie, a ClanFintan tylko głaskał mnie delikatnie kciukiem po nadgarstku i czekał, umożliwiając mi samodzielne podjęcie decyzji, co dalej.

Decyzję podjęłam błyskawicznie.

Wstałam i obeszłam jego szeszlona, podchodząc do ClanFintana z drugiej strony. Przesunął się trochę, żeby być twarzą do mnie. Wspominałam wam już nie raz, że mój mąż jest facetem ogromnym. Ja stałam, on spoczywał na szeszlona, ale nasze głowy i tak nie były na jednej wysokości. Ale przynajmniej nie górował nade mną.

Podeszłam do niego bardzo blisko, natychmiast czując to niesamowite ciepło bijące od ClanFintana. Położyłam ręce na jego ramionach, a potem powolutku przesunęłam je trochę w dół i ku sobie, tak że spotkały się na środku klatki piersiowej. Kiedy je przesunęłam, najpierw czułam pod palcami mięciutką skórę kamizelki, potem miękkość ustąpiła nagiej skórze pokrytej włoskami.

Podniosłam głowę i napotkałam jego wzrok... taki leciutko przymglony.

– Uwielbiam cię dotykać – szepnęłam.

– Cieszę się.

Jego głos... Nigdy dotąd nie słyszałam bardziej uwodzicielskich dźwięków. Już sam głos był

słodkiutką pieszczotą, która wzniecała płomień w moim już i tak pobudzonym ciele.

Wsunęłam dłonie za kamizelkę ClanFintana, przesunęłam palce po klatce i po umięśnionym brzuchu, zatrzymując się na każdej wypukłości. Byłam zachwycona, kiedy drżał pod moim dotykiem.

Gdy doszłam do miejsca, gdzie kończył się człowiek, moje ręce znieruchomiały.

Poczułam lęk przed tym, co nieznane.

Poderwałam głowę, szukając wzroku ClanFintana.

– Nigdy cię nie skrzywdzę – powiedział cicho, spokojnie. – Nie powinnaś się mnie bać.

– Ale to wszystko dla mnie jest takie nowe, nieznane...

Spuściłam głowę. Och, gdyby wiedział, jak wszystko tutaj, cały ich ten świat, jest dla mnie przerażająco obce...

Czułam, jak pod moją brodę wsuwają się palce ClanFintana i zmuszają, bym znów spojrzała mu w oczy.

– Przysięgałem ci, Rhiannon.

– Tak... Ale czy... mnie chcesz?

Mój głos drżał w oczekiwaniu.

Na „tak”? Czy na „nie”?

– Chcę. Tak bardzo, że nie potrafię wyrazić tego słowami.

Jego ręka powoli wysunęła się spod mojej brody i przemknęła tuż nad moim ramieniem. Pieścił mnie, nie dotykając. Ręka pomknęła dalej ku mojej dłoni opartej na jego talii. Ale też jej nie dotknęła, tylko spoczęła obok.

Nie dotknął mnie ani razu, a ja i tak dostałam gęsiej skórki, i to pewnie na całym ciele.

Delikatna pieszczota odegnała też mój strach. Czulałam się jak nurek gotowy do skoku z wysokiej skały.

Na moment wstrzymałam oddech, po czym spytałam:

– ClanFintanie, czy mógłbyś zdjąć kamizelkę?

Jego poważną twarz rozjaśnił uśmiech. Przechylił głowę na bok, żartobliwie unosząc brwi, a zaraz potem, cały czas patrząc mi w oczy, ściągnął z siebie kamizelkę i upuścił ją na podłogę.

(Cóż, typowy facet).

Był wspaniały. Pięknie wyrzeźbione mięśnie, opalone na brąz, od razu przyciągnęły moje dłonie. Poglaskałam tu i tam, delikatnie podrażniłam palcami sutki. ClanFintan zaśmiał się i chwycił mnie za rękę.

– Masz łaskotki? – spytałam rozbawiona.

– Tak się składa, że właśnie w tym miejscu – wyznał.

Wybuchnęliśmy śmiechem.

I bardzo dobrze, bo odprężyliśmy się. Po tej krótkiej przerwie na śmiech podjęłam wędrówkę po ciele ClanFintana.

Klatka, umięśniony brzuch... Kiedy doszłam do miejsca, gdzie zaczynała się sierść, spojrzałam w górę. Spojrzenie ClanFintana było ciepłutkie, jego uśmiech dodawał odwagi. Spojrzałam więc znów w dół, tam, gdzie pod szczupłą talią zaczynały się zaokrąglone, piękne linie końskiego ciała. I bez wahania przesunęłam ręce dalej, po lśniącej sierści.

– Jesteś piękny. – Objęłam go za szyję i swoją wypowiedź

dokończyłam szeptem wprost do jego ust: – Cały. Wszystko w tobie jest piękne.

Jęknął i przygarnął mnie do nagiej piersi, a nasze usta złączyły się w żarliwym pocałunku.

Zawsze będę orędownikiem pocałunków długich i dogłębnych. Kiedy ma się w ustach język drugiego człowieka, jest w tym coś nieprawdopodobnie intymnego. A kiedy mój z kolei język znajdzie się w czyichś ustach... och, już na samą myśl o tym potrafiłam dostać dygotek, a co dopiero kiedy przechodziłam do praktyki...

A teraz na dodatek całowałam się z nim, z ClanFintanem, dlatego pozwoliłam sobie, by naprawdę porozkoszować się powyższym układem ust i języków. Mój małżonek chyba nie miał nic przeciwko temu. Chociaż, kiedy tak szczypałam wargami jego wargi i ssalam jego język, czułam, że wkłada wiele wysiłku w opanowanie podniecenia. Oddychał bardzo szybko, mięśnie pod moimi wędrującymi dłońmi napinały się i drżały. Jego dłonie natomiast, umieszczone gdzieś w okolicy mojego krzyża, były nieruchome, jakby nie chciał mi w niczym przeszkadzać, w niczym krępować. Ktoś niedoinformowany mógłby pomyśleć, że taka powściągliwość w takim momencie jest niedobrym objawem, może bowiem w końcu stłumić jego pierwotne intencje. (Wiadomo, że przyświecał mu jeden cel –czyli dobrać się do moich majątek. Tak określiłaby to przeciętna Amerykanka). Tymczasem wcale nie, bo ClanFintan po prostu zastosował pewną metodę

uwodzenia, i to wyjątkowo dla niego korzystną. Dowód? Nie minęło wiele czasu, a ja już, prawie półprzytomna, ocierałam się o niego całym ciałem, mało tego, sama chwyciłam go za rękę i usiłowałam nakierować ją... no, wiadomo gdzie.

Mówię wam, ten facet mógłby prowadzić kursy dla tysiąjących rozwodników w średnim wieku. Szkoląc ich w powyższej technice, zbilby majątek.

Swoją ręką poruszył dopiero teraz. Położył ją na mojej piersi i ciepłym szorstkim palcem podrażnił sutkę. Stwardniała natychmiast, druga też. Jednocześnie gorące, wilgotne wargi ClanFintana przesuwają się wzdłuż mojej szyi w dół. Zrobiły przystanek w dołku koło obojczyka, powoli przemaszerowały po wypukłości piersi i objęły sutkę. Była zakryta cieniutką tkaniną, ale w niczym mu to nie przeszkadzało. Przejechał po sutku językiem, potem zaczął ssać i leciutko poszcypywać wargami.

Odlot.

Z moich warg wydobył się cichy jęk, potem szept:

– O, jak mi dobrze...

Wygięłam się, wbiłam w ClanFintana, miałam wrażenie, że stapiam się z nim w jedną całość.

– Mmm...

Uniósł głowę i odszukał ustami moje usta. Jednocześnie objął mnie mocno, bardzo, bardzo mocno.

Odlot. Odlot. Odlot.

Niestety w chwili, kiedy w mojej głowie zaczynał się rozkoszny zawrót, ClanFintan zakończył

pocałunek. Nie wypuścił mnie jednak z objęć. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

Zdawałam sobie sprawę, że jestem czerwona jak piwonia, a wargi od gorących pocałunków miałam cudownie obrzmiałe i obolałe.

– Nie czujesz już lęku? – spytał.

Odpowiedź padła natychmiast:

– Nie!

Po czym zaczęłam wysuwać się z jego ramion. Zaskoczony ClanFintan spojrział na mnie pytająco, ale nie przytrzymał

mnie. Tylko patrzył, jak cofam się jakieś pół kroku i odpinam broszę spinającą suknię. Potrząsnęłam ramieniem, jedwabny tiul zsunął się, odsłaniając piersi. Jedno pociągnięcie w okolicy talii i jedwabna mgielka osiadła miękko u moich stóp. Teraz miałam na sobie tylko stringi, sandałki na wysokich obcasach i uśmiech.

Wciągnęłam brzuch (to zrozumiałe samo przez się, prawda? Na moim miejscu każda by tak zrobiła) i pozwoliłam mu obejrzeć siebie. Dokładnie.

Byłam w siódmym niebie, ponieważ podczas tej inspekcji w jego spojrzeniu zdecydowanie dominowało pożądanie.

Właściwie było tam tylko to.

ClanFintan wyciągnął po mnie ręce i omal nie zgniótł mnie w uścisku.

A potem wstał, nadal mnie obejmując, siłą rzeczy więc moje stopy oderwały się od podłogi. Wsunął jedną rękę pod moje pośladki i zdecydowanym krokiem ruszył ku wielkiemu łóżu. (Innymi słowy, scena w stylu „Przeminęło z wiatrem”, prawda?).

Kiedy doszedł do łóżka, dokonał zasadniczej zmiany w położeniu mojego ciała. Kazał mi miękko zsunąć się po jego ciele i przysiąść na łóżku. Kiedy już siedziałam, ukląkł przede mną i rozwiązał długie sznurowadła w sandałkach, całując przy tym każdą stopę. Cudne, prawda? Kiedy zdjął sandały, wziął

mnie pod boki, podniósł i postawił na podłodze. Oparłam ręce na jego ramionach, a ręce ClanFintana przyjęły kierunek od mojego pasa w dół. Przesuwały się, póki palce nie natrafiły na stringi. Zsuwając się dalej, zabrały mikroskopijny kawałeczek jedwabiu ze sobą. Oczekałam, aż dotrą do podłogi, i zrobiłam krok w bok. Stringi zostały na podłodze, a mnie, gołą jak święty turecki, ClanFintan znów podniósł i pocałował delikatnie, po czym złożył na łóżku. I wypuścił z objąć, co, moim zdaniem, zrobił bardzo niechętnie.

– To nie potrwa długo – powiedział. – Chciałbym cię tylko prosić, żebyś w trakcie Przemiany nie odzywała się. Pamiętaj o tym.

Pokiwałam głową. Zrobiłam to nader skwapliwie, wiadomo przecież, że umierałam z ciekawości.

ClanFintan zamknął oczy i opuścił głowę. Jego usta zaczęły się poruszać. Najpierw bezgłośnie, nie słyszałam ani słowa, po chwili jednak głos zaczął odzyskiwać moc.

ClanFintan mówił coraz głośniejsze i coraz szybciej. W pewnym momencie wyrzucił ramiona w bok i zaczął jednocześnie podnosić powoli i głowę, i ręce. Coraz wyżej, aż ręce znalazły się nad głową, a twarz była uniesiona ku niebu. Oczy nadal miał

zamknięte, z ust nadal ulatywały słowa. Nie krzyczał, ale jego słowa, wypowiedane niezwykle żarliwie, musiały mieć wielką siłę.

Wypowiadał je tak żarliwie, że mimo woli też poczułam się uczestnikiem tej magii. Zapomniałam o bożym świecie, tylko jak urzeczona wpatrywałam się w ClanFintana, a moje ręce też bezwiednie się uniosły...

Nagle... nagle całe jego ciało zaczęło migotać. Najpierw zajaśniało, potem ten blask zaczął się poruszać. A zaraz potem zorientowałam się, że to nie blask się porusza, tylko jaśniejąca skóra ClanFintana. Falowała, a mięśnie konia zanikały, jakby zaczynały się topić.

Gdy spojrzałam na twarz, zobaczyłam grymas bólu i przeraziłam się. W pierwszym odruchu chciałam krzyknąć, kazać mu przestać. Ale powstrzymałam się, przecież prosił, żebym się nie odzywała.

Potem już wszystko odbyło się błyskawicznie. Ciało ClanFintana wyrzuciło z siebie snopy iskier. Zrobiło się tak niesamowicie jasno, że musiałam zasłonić oczy, a jednocześnie słyszałam, jak odścian pokoju odbija echem krzyk wielkiego bólu.

Nagle oślepiające światło znikło. Pokój znów spowity był

w mrok, choć wiadomo, że po takiej jasności człowiek miał

wrażenie, że jest tu o wiele ciemniej niż przedtem. Dopiero po dość długiej chwili zaczęłam znów wszystko dobrze widzieć.

I wtedy zobaczyłam... ludzką postać. Mężczyznę, który klęczał w tym samym miejscu, gdzie przedtem stał ClanFintan.

Mężczyznę z głowę pochyloną, gęste czarne włosy opadały mu na twarz. Jedną ręką opierał się o ziemię, drugą miał nadal wyciągniętą nad sobą. Oddychał ciężko, całe ciało pokryły kropelki potu, jakby właśnie ukończył bieg maratoński.

Podniósł głowę. Potrząsnął nią, odrzucając włosy w tył, i spojrzał mi prosto w oczy. W jego oczach widniał jeszcze ból, a twarz była ściągnięta, dlatego wydawał się jakby trochę starszy. I bezbronny, co w przypadku ClanFintana zakrawało na niebywały absurd.

Uśmiechnął się do mnie.

– Może powinienem był... – Odchrząknął kilkakrotnie.

Mówienie wyraźnie sprawiało mu trudność. – Uprzedzić ciebie, że będzie to światło.

– Światło?

O Boże! Tuż po takim przeżyciu martwi się przede wszystkim o mnie!

Przesunęłam się na brzeg łóżka, pragnąc jak najszybciej znaleźć się koło ClanFintan. Ale nie zrobiłam tego, bałam się bowiem, że jeśli zbliżę się do niego, jeśli go dotknę, sprawię mu ból.

– *ClanFintanie, przede wszystkim chciałabym wiedzieć, jak z tobą. Czy wszystko w porządku?*

Nie odezwał się, tylko odetchnął głęboko, a potem podniósł

się z kolan. Pierwszy krok był trochę chwiejny, w miarę jednak jak mój mąż zbliżał się do łóżka, szedł coraz pewniej. A kiedy stanął przy mnie, widać było, że wszystko ma już pod kontrolą.

– *Nic mi nie jest. – Znow się uśmiechając, żartobliwie szturchnął mnie palcem w czubek nosa. – Po prostu zmiana postaci nie jest czymś lekkim, łatwym i przyjemnym.*

– *Zauważyłam! – Ostrożnie dotknęłam jego piersi. Nic się nie zmieniła, była ciepła i mocna. – Bardzo bolało?*

– *Nieważne – odparł, biorąc mnie za rękę. – Zazwyczaj coś, co jest naprawdę cenne i upragnione, nie przychodzi nam łatwo, tylko z trudem i cierpieniem.*

– *Fakt... – mruknęłam, zajęta dokładnym studiowaniem jego nowej postaci. Wielce pociągającej, zaznaczam od razu.*

ClanFintan przeistoczył się w bardzo wysokiego mężczyznę, miał chyba ze dwa metry wzrostu. Skóra, gładki brąz, zachowała swoją barwę, i to wszędzie, przecież teraz cały był człowiekiem o długich, umięśnionych nogach. Człowiekiem nagim... Moje spojrzenie mimo woli skierowało się w dół. Tak, nagi.

Wszędzie.

Pod każdym względem był istotą ludzką płci męskiej.

Mężczyznę, który choć przed chwilą przeżywał niełatwe chwile, absolutnie odzyskał już formę. Mało tego, obecna sytuacja, wiadomo, tak bardzo intymna i z moim udziałem, sprawiała mu wielką przyjemność, czego dowód był aż nadto widoczny.

Dowód wielkości imponującej. Podobno jeśli chcesz wiedzieć, jakim penisem dysponuje facet, spojrzij mu na ręce, a dokładniej na palce. Wielkość tych narządów jest wprost proporcjonalna. A ClanFintan... Och, zapewniam, że nie miał

małych rąk!

Odchrząknął, oderwałam więc oczy od wspomnianego obiektu i skierowałam spojrzenie na twarz.

– Jak wypadły oględziny? – spytał ClanFintan. – Czy pomyślnie zdałem egzamin na męczyznę rodzaju ludzkiego?

Byłam zadowolona, że jego głos również odzyskał formę.

Był niski, głęboki i uwodzicielski.

– Tak tak! Osiągnąłeś znakomite wyniki!

Oczywiście, najchętniej wrzasnęłabym do niego:

– Na co jeszcze czekasz, chłopcze?!

Nie byliśmy jednak w Oklahomie, nie miałam więc pewności, jak by na to zareagował, dlatego obrałam inną taktykę. Wstałam, objęłam go i uściskałam z całej siły, dając w ten sposób wyraz pełnej aprobaty dla jego męskości rodzaju ludzkiego.

ClanFintan również mnie objął i nie wypuszczając z ramion, usiadł na brzegu łóżka i posadził mnie na swoich kolanach. Jedną ręką objął moją pierś, pochylił głowę i wargami zaczął pieścić sutkę. Co, niestety, trwało za krótko. Stanowczo za krótko. Ale skończyło się.

ClanFintan podniósł głowę.

– Powiedz, co chcesz, żebym zrobił – powiedział, zaglądając mi w oczy. – Ja... jeszcze nigdy nie kochałem się jako mężczyzna.

W odpowiedzi znów objęłam go za szyję, wtuliłam się w niego i szepnęłam mu do ust:

– Też jeszcze nigdy nie kochałam się z... – przerwałam na moment – ...z mężczyzną, ale mam dziwne przeczucie, że damy sobie radę.

Jego śmiech, stłumiony przez moje łakome wargi, szybko przeszedł w cichy jęk. Kiedy moja ręka złapała jego rękę i kazała jej zniknąć między moimi nogami...

Aha! Jeszcze tylko dodam, że pomyliłam się. Nie tylko daliśmy sobie radę. Poszło nam po prostu znakomicie!

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Czy to przypadkiem nie ty mówiłeś mi, że po zmianie postaci jesteś osłabiony? – spytałam niewinnym głosem, kiedy po raz trzeci skończyliśmy jakoś dawać sobie radę. Tak sobie radziliśmy, że teraz brakowało mi tchu. Kompletnie bez sił

leżałam wtulona w męża z głową opartą na jego piersi.

ClanFintan, zanim udzielił odpowiedzi, najpierw zdmuchnął mi z czoła rudy lok.

– Jestem, ale dopiero po powrocie do mojej pierwotnej postaci. A w każdej zmienionej postaci mogę być tylko przez jedną noc, nie dłużej. Rhiannon... – Nagle spoważniał

i zaglądając mi w oczy, spytał z niepokojem: – Rozumiesz więc, że nie mogę na zawsze pozostać człowiekiem.

– Oczywiście... – Poglaskałam go po policzku, w pierwszej chwili zaskoczona, że pod palcami nie wyczuwam świeżego zarostu. Przypomniałam sobie jednak, że podczas naszej kilkudniowej wyprawy ani razu nie widziałam golącego się centaury. – Nie jesteś człowiekiem, ClanFintanie. Jesteś centaurem, doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

Przez moment patrzyliśmy na siebie w głuchej ciszy. Gdy chwila milczenia przedłużała się nienaturalnie, poczułam lęk, że być może to koniec naszego zbliżenia, koniec cudownej intymności. Bo w istocie wcale tak do końca nie pojmowałam, jakiego rodzaju istotą jest ClanFintan. Zmiana postaci za bardzo przypominała science fiction, było to coś tak nieprawdopodobnego, tak kompletnie obcego dla świata, w którym wyrosłam i do którego byłam przyzwyczajona, że cóż, sami rozumiecie...

Tyle że ClanFintan wcale nie był dla mnie obcy.

– Jesteś moim mężem, ClanFintanie, bez względu na to, czy jesteś człowiekiem, czy centaurem. – Uśmiechnęłam się, starając się, żeby było to coś w rodzaju tak zwanego krzywego uśmiechu. – I bez względu na to, w co jeszcze możesz się zmienić.

Miałam nadzieję, że będzie mnie o tym uprzedzał.

Wyraźnie się odprężył, po czym powtórzył za mną:

– Tak. Jestem twoim mężem.

– A ja jestem z tego bardzo rada.

Oczywiście! Aż sobie westchnęłam i wtuliłam się w niego jeszcze mocniej.

– Ja też – powiedział cicho ClanFintan. – Jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy.

No i czy nie jest cudownie? Zachwycona zarzuciłam na niego jeszcze nogi. ClanFintan natychmiast to wykorzystał

i zaczął jedną z nich pieścić. Głaskał od bardzo czułego miejsca za kolanem w górę, do miejsca, gdzie kończyła się noga, a zaczynał pośladek. Natychmiast przymknęłam oczy. Ten masaż działał na mnie jak mocny narkotyk, a ja absolutnie nie miałam zamiaru zasnąć. Nie chciałam tracić ani minuty z tej naszej pierwszej wspólnej i jakże cudownej nocy.

– Śpij... – szepnął ClanFintan do moich włosów. – Będę cały czas przy tobie.

Pokiwałam głową i natychmiast zapadłam w zdrowy, mocny sen, który nawiedza kogoś, kto jest nadzwyczaj zadowolony.

Budziłam się powoli, świadoma jednak, że skłonił mnie do tego słodki całus w policzek. Pod zamkniętymi powiekami nie było czarno, czyli mamy już dzień. Ale co z tego? I tak zamierzałam jeszcze trochę pospać. Zacisnęłam mocniej powieki i znów poczułam słodki całus, tym razem na drugim policzku. I wtedy obudziła się pamięć. Przypomniałam sobie, gdzie jestem. A kiedy przeciągnęłam się i poczułam, jak spracowane jest moje ciało, przypominałam sobie też, z kim jestem.

Uśmiechnęłam się. Ziewnęłam i powoli otworzyłam oczy.

Pierwsze, co zobaczyłam, to źródło światła. Całkiem niespotykane! Bo na moje oko światło przenikało przez jedną ze ścian... albo też i ściany wcale tam nie było. Wyteżyłam wzrok, by rozwiązać tę zagadkę. I udało się. Ściana była prawie w zaniku z powodu niebywałych rozmiarów

okien, a przez te przeogromne okna widać było przepiękny ogród pełen róż. Na moje wycucie okna wychodziły na wschód, ponieważ na szarym niebie widać było już różowe smugi, znak, że niebawem ukaże się tu słońce.

Zaraz potem kątem oka zauważyłam koło łóżka jakąś górę, która nachyliła się, żeby mnie znowu pocałować. A ja zaspną rękę leniwie pogłaskałam jedwab, którym pokryte były nogi tej góry, i wydobyłam z siebie zaspany głos:

– Dzień dobry... Rany, a ja myślałam, że za tą wielką zasłoną jest ściana!

– Co ty mówisz, Rhiannon? Czyżbyś nie poznawała swojej sypialni?

Otrzeźwiałam błyskawicznie. O matko, ale dałam plamę!

Usiadłam i przecierając zaspane oczy, zerknęłam ostrożnie przez palce na ClanFintana. Patrzył na mnie, co tu się oszukiwać, bardzo podejrzliwie. Więc ja, co tu się dziwić, od razu zajęczałam:

– O matko, jaki ja miałam sen! Okropny! Śniło mi się, że w tym pokoju nagle wszystko zrobiło się inaczej. Dlatego w końcu wszystko mi się pomieszało...

Mój głos zamierał. ClanFintan otworzył usta. Chciał mnie dalej przepytować, to jasne, dlatego błyskawicznie podjęłam decyzję. Najlepszą taktyką będzie odwrócenie uwagi. Nie schodząc z łóżka, zerwałam się na równe nogi i objęłam męża za szyję. On odruchowo też mnie objął, a ja przyssałam się do niego.

– No, wreszcie obudziłam się na dobre – oznajmiłam po chwili, a kiedy usłyszałam znajome grzmoty w klatce męża, omal nie podskoczyłam z radości. Udało się, udało! Śmieje się, więc niebezpieczeństwo zażegnane, niemniej trzeba będzie naradzić się z Alanną, czy dalsze ukrywanie przed ClanFintanem mojej prawdziwej tożsamości jest konieczne.

Kiedy energicznie zapukano do drzwi, małżonek złożył

mnie z powrotem na łóżku i dopiero po bardzo starannym ukryciu mojej nagości pod

prześcieradłem zawołał:

– Proszę wejść!

Po chwili próg przekroczyła Alanna. Błąkający się po jej twarzy uśmieszek był bardzo łatwy do rozszyfrowania.

I wielce znaczący.

– Milordzie, milady, mam nadzieję, że macie za sobą noc pełną wrażeń!

ClanFintan cicho prychnął (czyżby na potwierdzenie?), ja oczywiście zarumieniłam się jak niewinne dziewczę (którym rzecz jasna nie jestem).

Alanna natomiast, uśmiechając się już całkiem otwarcie i od ucha do ucha, wygłosiła:

– Rheo, myślę, że przed udzieleniem swemu ludowi błogosławieństwa, powinnaś przejść do pokoju kąpielowego i odświeżyć się. – Skinęłam głową, policzki nadal mnie paliły, a droga Alanna, wyraźnie w nastroju figlarnym, zaatakowała mojego męża: – Może milord zechciałby się przyłączyć? Jestem pewna, że ja i dziewczęta wspólnymi siłami poradzimy sobie z odświeżeniem milorda. Kilka pokojówek zgłosiło się już na ochotnika.

Na twarzy ClanFintana pojawił się zabójczy uśmiech.

(Typowy facet. Wiele razy już o tym wspominałam).

Zareagowałam błyskawicznie, śmiem twierdzić, jak prawdziwa żona. Poderwałam się z łóżka, starając się nie zaplątać w moje tymczasowe ubranie, czyli w prześcieradło, i walnęłam mężusia w twardego brzuch. Och, walnęłam z całej siły!

Uśmiech znikł, ClanFintan nawet cicho jęknął. Super. O to przecież chodziło. Jęknął, złapał mnie i bardzo mocno przycisnął do siebie (prawdopodobnie po to, żeby go już nie biła. Ale na kopyto mogłabym mu nadepnąć!).

Po dokonaniu powyższych czynności udzielił odpowiedzi Alannie:

– Dziękuję. Teraz przede wszystkim muszę spotkać się z wojownikami, którzy w nocy stali na straży. Wykąpię się potem, w kwaterach dla wojowników. Niemniej bardzo ci dziękuję za miłą propozycję.

I ścisnął mnie za ramię. Wcale nie zrobił tego leciutko!

– Ejże!

Taka była moja odpowiedź na to ściskanie. Wyszarpnęłam się z objęć ClanFintana i posunęłam do drzwi, w których czekała Alanna, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że tych dwoje, drogi mąż i droga przyjaciółka, podśmiewają się ze mnie.

W drodze do drzwi zerknęłam na wielkie okna i zobaczyłam w nich swoje odbicie. Nie było to miłe, bo patrzyłam na żalostną postać owiniętą w wygniecione prześcieradło, do tego z włosami sterczącymi we wszystkie strony. Ale głowę trzymałam uniesioną wysoko... w daremnej próbie opuszczenia pokoju z godnością.

Zaczęłam się śmiać, zanim jeszcze doszłam do Alanny.

A kiedy już doszłam, Alanna objęła mnie ramieniem i obie zaczęłyśmy rechotać. Z tyłu słyszałam stuk, stuk, czyli mój mąż podązał za mną jak cień. Spojrzałam na niego przez ramię, uśmiechając się promiennie, i zagadnęłam do Alanny:

– Naprawdę zgłosiło się kilka ochotniczek?

– Naprawdę – potwierdziła Alanna. – O wiele za dużo, do tego klóciły się zajadle, bo każda chciałyby odświeżać milorda.

– Aha...

Spojrzałyśmy na siebie porozumiewawczo, po czym jak na komendę odwróciłyśmy się i wlepiliśmy oczy w pewnego bardzo przystojnego centaury. A on, wzięwszy się pod boki, przekazywał nam spojrzeniem, że uważa nas obie za prawdziwe wreduski.

– Centaur niczego sobie – oświadczyła po chwili Alanna. – A co milady o nim sądzi?

– Ja? Hm... Poczekaj, niech się zastanowię. Przystojny, i owszem, wysoki w kłębie, co bardzo istotne. Ale sama wiesz, że to nie wszystko. Warto by sprawdzić jeszcze jego wytrzymałość, pod pewnym względem, rozumiesz...

Nie dane mi było skończyć, musiałam bowiem wydać z siebie przeraźliwy pisk, kiedy kontemplowany przez nas obiekt porwał mnie na ręce. Alanna szybko pobiegła otworzyć drzwi i ClanFintan wyniósł mnie na korytarz, mamrocząc coś pod nosem. Na moje ucho:

– Wysoki w kłębie to istotne, ale wymyśliła...

Z tym że nie jestem pewna, bo ClanFintana skutecznie zagłuszał perlisty śmiech Alanny, nad którym nie była w stanie zapanować.

Nie szkodzi. Niech dziewczyna się pośmieje. Objęłam męża mocno za szyję, zadowolona, że zadbał o to, by prześcieradło nadal okrywało mnie całkowicie, skoro znaleźliśmy się w miejscu publicznym. Poza tym było cudownie, kiedy tak mnie niósł i niósł... Stanowczo zbyt szybko dotarliśmy do pokoju kąpielowego. Dwóch strażników natychmiast stanęło na baczność, a ja zauważyłam, że ClanFintan każdemu z nich jakoś tak bardzo intensywnie spojrzał w oczy. Przede wszystkim surowo. Potem pocałował

mnie, długo, wręcz demonstracyjnie. W tym czasie dobiegła do nas Alanna, otworzyła drzwi i ClanFintan postawił mnie na podłodze. Bardzo niechętnie opuściłam jego ramiona, czułam, że on też nie ucieszył się z tego.

– Ale będziesz na ceremonii błogosławieństwa? – spytałam, co zabrzmiało po prostu żałośnie. Tak więc osiągnęłam już stadium, w którym rozłąka z ClanFintanem jest dla mnie tragedią.

Czyli fatalnie.

– Będę razem z tobą – powiedział ku mojej uldze i znów posłał strażnikom srogie spojrzenie. – Będę tam, gdzie powinienem być.

Jeszcze raz mnie pocałował, tym razem zdecydowanie krócej, a na odchodnym przekazał chłoptasiom przy drzwiach:

– Macie pilnować milady, a w razie potrzeby oddać za nią życie, lecz jeśli który z was jej dotknie, zabiję. Zrozumiano?

Ale draka! Cóż, mój szanowny małżonek musiał usłyszeć plotki o nadmiernej sympatii Rhiannon do płci przeciwnej.

Strażnicy wyprężyli się i zasalutowali, na moje oko usatysfakcjonowany małżonek pogłaskał mnie po policzku, odwrócił się i ruszył korytarzem. Kopyta rażno zastukały o posadzkę. Tak, ClanFintan zdecydowanie był zadowolony z siebie.

Odszedł, a ja pomknęłam za Alanną do cudownego pokoju kąpielowego. Najpierw chwilka w ustronnym miejscu, powrót i błyskawiczne pozbycie się zmiętoszonego prześcieradła.

Wreszcie mogłam, wzdychając z rozkoszy, zanurzyć spracowane miłością ciało w cudownej źródlanej wodzie.

Alanna usiadła na marmurowej półce. Odebrałam od niej gąbkę oraz buteleczkę z tym mydłem, które było już moim ulubionym, i przystąpiłam do usuwania szkód po nocnych szaleństwach, uśmiechając się do siebie co jakiś czas, kiedy na przykład odkrywałam na udzie kilka niewielkich śladów po ugryzieniu.

Gdzieś tak po kwadransie Alanna nie wytrzymała:

– Jesteś... zadowolona? – spytała ostrożnie.

– Tylko zadowolona? Po prostu szczęśliwa! Alanno, to była cudowna noc! – wykrzyknęłam i jak prawdziwe przyjaciółki, wymieniliśmy bardzo znaczące i bardzo szerokie uśmiechy.

– Rheo, czy widziałaś Przemianę?

– Oczywiście! Po raz pierwszy w życiu byłam świadkiem czegoś tak niezwykłego! Alanno, a ty widziałaś kiedyś Przemianę?

– Ja?! Ależ skąd! – zaprzeczyła wystraszona, zaraz jednak uśmiechnęła się i pociągnęła mnie żartobliwie za mokry lok. – Tu, w Partholonie, bardzo niewiele istot posiada ten dar. Wielki Szaman zawsze może zmieniać postać, z tym że nigdy tego nie robi przy świadkach, chyba że są nimi inni Wielcy Szamani lub, jak w twoim przypadku, towarzyszka życia. Po Przemianie Wielki Szaman w nowej postaci pozostaje szamanem, może odprawić obrzędy czy oddać posługę innym.

– A czy wiesz, że ta Przemiana jest bardzo bolesnym procesem?

– Nie! Tego nie wiedziałam.

– A tak jest! Może właśnie dlatego nie dokonuje się jej przy świadkach.

Zadrżałam, kiedy przed moimi oczyma pojawiła się ściągnięta bólem twarz ClanFintana.

– Naprawdę to takie trudne? – spytała cicho Alanna.

– Tak, ale ClanFintan powiedział, że rzadko kiedy coś naprawdę cennego i upragnionego przychodzi nam bez wysiłku i bólu.

– Sądysz, że ta noc warta była takiego poświęcenia?

– Tak, na pewno tak. W każdym razie mam nadzieję, że ClanFintan niczego nie żałuje, tylko wprost przeciwnie. Takie przynajmniej sprawiał wrażenie...

– Ja bym mu uwierzyła. Nic nie powinno teraz zmącić twojej radości.

Jaka ta Alanna mądra! Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że gdzieś tam w środku czułam niepokój, dręczyło mnie pytanie: Czy ClanFintan faktycznie niczego nie żałuje? A tych kilka słów Alanny bardzo podniosło mnie na duchu.

– No cóż... mój mądry małżonek chyba wie, co robi –mruknęłam, kończąc namydlenie się mydełkiem o rozkosznym zapachu.

– Na pewno, Rheo.

– A tak w ogóle, Alanno, to on jest cudowny.

– Domyślam się. I jest ci bardzo oddany.

Przesunęłam się na środek baseniku, gdzie było najgłębiej, i zanurzyłam się cała, jednocześnie zastanawiając się w duchu nad tym, co przed chwilą powiedziała Alanna. Oddany... Miło to usłyszeć, ale czy oddany do takiego stopnia, żeby mnie pokochać? Tę prawdziwą?

– Alanno! – wybuchnęłam – a jeśli on wcale nie jest oddany mnie, tylko Rhiannon?! Co będzie, kiedy dowie się, kim jestem naprawdę?!

– Nic się nie stanie. – Uśmiechnęła się ciepłutko. –Przecież on kocha ciebie, właśnie ciebie.

– Tak powiadasz?

Na chwilę zajęłam się przeżuwaniami dolnej wargi.

– Może... właśnie.. powinnaś mu powiedzieć prawdę? –spytała ostrożnie Alanna.

– Co?! – Pisk, wrzask, wszystko jedno. Przecież ja z tych nerwów już prawie, jak to się kiedyś mówiło, odchodziłam od zmysłów. – A kto, jak nie ty, powtarzał mi tyle razy, że mam trzymać to w największej tajemnicy?

– Ja, ale to było, zanim milord cię pokochał. Teraz uważam inaczej.

– Och, Alanno, już sama nie wiem, co robić. Wszystko dzieje się tak szybko, o tym, że co chwila doznaję jakiegoś szoku, już nie wspominając...

– Rheo, boisz się wyjawić mu prawdę?

– Przede wszystkim boję się stracić to, co już jest między nami.

– A ja myślę, że nie doceniasz Wielkiego Szamana. Mam nadzieję, że z czasem się tego nauczysz. Poza tym sama na pewno wiesz, że jeśli mężczyzna naprawdę jest oddany kobiecie, nikomu nie zdradza jej sekretów.

To, co mówiła moja przyjaciółka, było w sumie bardzo optymistyczne, dlaczego więc w jej głosie pobrzmiwało przygnębienie?

Niestety, tego nie udało mi się rozwikłać, ponieważ Alanna nagle zaczęła mnie poganiać:

– Rheo, proszę, wychodź już z wody! Błogosławieństwa udziela się w ściśle określonej chwili, gdy promienie wschodzącego słońca zaczynają odbijać się w rzece.

Wcale nie chciało mi się wychodzić z ciepłutkiej wody, ale cóż... Wyszłam i owinęłam się grubym ręcznikiem, który podała mi Alanna.

– Ile mamy jeszcze czasu?

– Tyle, ile trzeba na włożenie, i to piorunem, sukni, w której udzielisz błogosławieństwa.

Szybko poprowadziła mnie do toaletki.

– To dlaczego nie zwołasz tu kilka tych nimf pokojówek, żeby pomogły?

W końcu, jak to mówią, co dwie pary rąk, to nie jedna. A tu byłoby ich kilka.

Alanna przed udzieleniem odpowiedzi najpierw skoncentrowała się na moich włosach, to znaczy zaczęła nakładać na nie, tak jak odżywkę, jakiś olejek. Pewnie miała nadzieję, że łatwiej je będzie ułożyć. Cóż, ja takiej nadziei nie miałam.

– Wczoraj wieczorem, kiedy wyszłam od ciebie, Rheo, przyszła do mnie Tarah i powiedziała, że

kilka pokojówek nagle się pochorowało. – Po jej widocznej w lustrze twarzy przemknął

ironiczny uśmiezek. – Pochorowały się, bo uważają, że mają za dużo roboty, ponieważ kazałam im pomagać w opiece nad małymi dziećmi. A ja uważam, że wcale nie są przepracowane!

Mało tego, niedawno były w Świątyni Muz, żeby odpocząć i pomedytować. Moim zdaniem są po prostu leniwe. Powinnaś je skarcić!

– Nigdy! Mnie też w moim długim życiu zdarzyło się bawić w opiekunkę dzieci. Nienawidziłam tego! Niech dziewczyny odpoczną, niech dobrze się wyśpią, a ty lepiej opowiedz ze szczegółami, jak to wszystko ma wyglądać. No wiesz, z tym błogosławieństwem.

Zaczęłam się pudrować, natomiast Alanna uparcie walczyła z moimi włosami. Nie przerywając tego zajęcia, powiedziała:

– Rheo, a więc... Udzielisz błogosławieństwa na brzegu rzeki...

– Geal, prawda?

– Tak. „Geal” znaczy „jasny”, „promienny”. Rzeka Geal na południe od naszej świątyni łączy się z rzeką Calman. „Calman”

znaczy „gołąb”. Płyną razem, u ich ujścia do morza są przepiękne progi, wyglądają jak lśniące, pikujące ptaki.

Cudownie tam być i patrzeć... Gołębie o jasnych skrzydłach, Geal Calman, rozumiesz. Musisz koniecznie to zobaczyć...

– Oczywiście, postaram się. Ale teraz, Alanno, błagam, mów mi o tym błogosławieństwie.

– Wsiądziesz na Eponę...

– Cudnie!- Och, jak się ucieszyłam!

– I pojedziesz do Świętej Bramy. Tak nazywamy wzgórze koło rzeki. I tam, nie zsiadając z konia, udzielisz błogosławieństwa.

– Ale co mam powiedzieć? Co? Macie jakiś tekst, jakieś formułki?

– Nie, Rhiannon zawsze sama obmyślała błogosławieństwo. Ale nie sądzę, żeby sprawiło ci to kłopot, przecież w dniu zaślubin poradziłaś sobie znakomicie. Tym razem też tak będzie.

– Pożyjemy, zobaczymy... Powiedz mi, jak długo ma to trwać?

– Och, bardzo niedługo! Poranne błogosławieństwo to króciutkie nabożeństwo, które raz na dwa tygodnie odprawia Wybranka Epony, żeby przypomnieć ludziom, jak wielką miłością darzy ich Bogini. Natomiast pierwszej nocy podczas pełni księżyca musisz poprowadzić obrzędowy taniec i ofiarę...

Naprawdę?! No nie, po prostu nie mogę się tego doczekać!

– Alanno, a czy podczas błogosławieństwa wspomnieć o Fomorianach?

– Moim zdaniem tak. Powiedzieć, że przygotowujemy się do wojny z nimi i poprosić Eponę o opiekę i pomoc w walce ze złem. Z tym że... – Jej głos zamierał, wreszcie ucichła zupełnie.

Widziałam, że coś bardzo ją speszyło.

– Alanno, proszę, bądź ze mną szczerą. Mów wszystko, dla mnie każda twoja uwaga jest bardzo cenna.

– A więc dobrze, Rheo. Masz wielką władzę, ale moim zdaniem, kiedy zawitasz w Partholonie, powinnaś ograniczyć się tylko do roli kapłanki, choćby jak dziś do porannego błogosławieństwa. Tylko to, Rheo, a wszystkie sprawy związane z wojną powinnaś przekazać ClanFintanowi. Błagam, mianuj go Wodzem Naczelnym, przecież doskonale zna się na sztuce wojennej i na ludziach. A ty... wybacz, ale nie podejrzewam, żeby uczono cię sztuki wojennej, poza tym, jeśli chodzi o kierowanie mężczyznami, nie masz takiego doświadczenia jak Rhiannon.

No cóż... Swoje przeżyłam, ale oczywiście to pestka w porównaniu z drogą Rhiannon i całą chmarą jej strażników.

– Rozumiem, Alanno. Zgadzam się z tobą całkowicie.

I jeszcze raz proszę, mów mi wszystko otwarcie. Wal śmiało... –Gdy dostrzegłam pytanie w spojrzeniu Alanny, wyjaśniłam: –To taka przerośnięta. Wal śmiało czyli mów szczerze, nie bojąc się, że zranisz moje uczucia. Rozumiesz? Bo, powtarzam, każde twoje słowo jest dla mnie na wagę złota. Zrozum, boję się nawet pomyśleć, co by to było, gdybym cię tutaj nie miała!

– Dobrze, Rheo, będę o tym pamiętać.

– Świetnie... – Pociągnęłam usta szminką. – Alanno, możemy wkładać suknię.

– Już po nią idę. A ty w tym czasie włóż koronę.

Podawała mi tę małą, prześliczną koronę, która za każdym razem, gdy brałam ją do ręki, budziła mój największy zachwyty.

– Mam nadzieję, że znajdą się jakieś pasujące do niej kolczyki?

– Oczywiście! – rzuciła przez ramię Alanna, otwierając drzwi jednej z ogromnych szaf ustawionych pod przeciwległą ścianą. – Zajrzyj do tej pierwszej szkatułki, tuż obok ciebie. Na pewno znajdziesz tam odpowiednie kolczyki i bransoletę.

Otworzyłam szkatułkę i z lubością zaczęłam w niej grzebać. Niestety, Alanna wróciła już po sekundzie.

– Proszę – powiedziała, wręczając mi jedwabne stringi w kolorze ciekłego złota.

Tak więc moje podejrzenia są chyba słuszne. Rhiannon miała bzika na punkcie majtek.

Kiedy włożyłam stringi, usłyszałam kolejne instrukcje:

– Stań, proszę, przodem do mnie i rozłóż szeroko ręce.

Udrapowanie tej szaty jest dość skomplikowane.

Zrobiłam, jak powiedziała, i Alanna zaczęła owijać mnie czymś, co wyglądało jak wodospad czegoś w kolorze, a jakże, ciekłego złota. Coś bardzo intrygującego. Alanna owijała mnie, owijała, owi...

– Chwileczkę! A gdzie góra od tej sukni?

Skończyła owijanie. Niczego nie spięła, żadną broszką. Nie wiem, jakim cudem ta spódnica trzymała mi się na biodrach.

Tak, spódnica, bo to była spódnica, długa, z rozcięciami. Było ich o wiele więcej niż w innych spódnicach Rhiannon. I dobrze, pomyślałam, dzięki temu kiedy dosiędę Epi, ta spódnica pięknie ułoży się na końskim grzbiecie.

Czyli ze strojem od pasa w dół wszystko było w porządku.

Gorzej od pasa w górę. Owszem, żebra miałam owinięte. Ale tylko żebra! Natomiast piersi były całkowicie odsłonięte.

Całkowicie!

– Rheo... – Musiałam wyglądać na bardzo przerażoną, bo Alanna z kolei wyglądała jak ktoś, kto za chwilę będzie turlać się ze śmiechu po podłodze. – Po prostu tak ma być, Rheo.

Wybranka Epony zawsze udziela błogosławieństwa w takim stroju.

– Suknia! Mówiłaś, że mam włożyć suknię! A suknia tak nie wygląda! No nie... – Jęknęłam rozziewając, wpatrując się w mój biedny trzydziestopięcioletni biust.

– Suknia? Ależ oczywiście! – wykrzyknęła Alanna. – Przecież o niej nie zapomniałam! – Znów pobiegła do szafy i wróciła z kolejnym kawałkiem ciekłego złota wyszytego migoczącymi paciorkami z kryształu.

Wlepiałam oczy w delikatne, zawile wzorki.

– O ile mnie wzrok nie myli, to czaszki. Czy tak, Alanno?

– Oczywiście!

Uśmiechnęła się jak sądzę z zadowolenia, że faktycznie zaczynam przyzwyczajać się do mojej nowej rzeczywistości.

A dodatkowa porcja ciekłego złota okazała się powiewną peleryną. Alanna spięła mi ją pod szyję, peleryna migotała na moich plecach jak gwiazdy nad Oklahomą w pogodną noc.

Ale nie zakrywała ani kawałeczka cholernego biustu.

– Wyglądasz bardzo pięknie, Rheo. Jak zwykle.

- *Dzięki, Alanno, ale coś musisz mi jeszcze wyjaśnić! Czy rzeczywiście mam pokazywać tym wszystkim ludziom gołe cycki? I to w obecności Boga... przepraszam, Bogini, w ogóle wszystkich?*
– *O ClanFintanie nie wspominając. On, co prawda, obejrzał je już sobie dokładnie, niemniej...*

Przerażona skrzyżowałam ramiona, kryjąc problematyczne, jak nagle się okazało, części ciała. Ożeż ty! I to po trzykroć! Już czułam na moich cyckach łagodny powiew wiatru, czułam spojrzenie setek par oczu... Nie, ja chyba się zabiję...

Alanna była wyraźnie zaskoczona moją reakcją.

- *Czy w twoim starym świecie kapłanki nie mają szat obrzędowych?*

Owszem, coś tam na siebie wkładają i kapłanki, i kapłani.

Ale jakoś trudno mi było sobie wyobrazić Teda Foote'a, mojego prezbiteriańskiego pastora (lubię go. Świetny facet i bardzo odważny, pozwolił mi prowadzić zajęcia w szkółce niedzielnej dla dorosłych) z nagą pierśią ukazującego się wiernym w świąteczny poranek. O nie! Nawet w Niedzielę Wielkanocną byłoby to niemożliwe.

- *Tak, ale niczego nie odsłaniają.*

– *Niczego?! – Spojrzała na mnie przerażona barbarzyńskimi obyczajami w moim starym świecie. – Rheo, przecież obnażone ciało kapłanki symbolizuje jej największe oddanie Bogini! Jej prawość, uczciwość. Gdybyś się zakryła, ludzie gotowi pomyśleć, że Bogini się od ciebie odwróciła! Albo jeszcze gorzej... Że bluźnisz!*

– *Nie sędzę, by Rhiannon była wzorem uczciwości –mruknęłam rozgoryczona, starając się zmusić ręce, by opadły.*

– *Ależ ona była wyjątkowo uczciwa! Nigdy nie udawała, że jest inna niż jest. A była zepsuta, egoistyczna i zachłanna.*

– Ale... – Uff, udało się. Ręce opadły, co prawda bardzo niechętnie, i od razu przykleiły się do boków. – Ale ludzie kochali ją, Alanno.

– To prawda, kochali ją, bo była Wybranką Epony. Tak jak ty.

– A więc dobrze. Postaram się zignorować fakt, że moje cycki będą powiewać na wietrze, a wszyscy będą się na nie gapić, choć wolałabym w takim stroju nie prezentować się tej nauczycielce. Czy mogłabyś poprosić ją, by przyszła tu po błogosławieństwo, kiedy już się przebiorę?

– Tak. – Alanna skinęła głową.

Tylko dlaczego tak bardzo się zarumieniła?

– Alanno, jeśli dla ciebie to kłopot...

– Żaden kłopot! – zaprotestowała, popychając mnie ku drzwiom. – Rheo, już czas. Najwyższy czas. Nie wolno ci się spóźnić.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

O nie! Tylko powtarzanie w duchu pewnego bardzo znanego i niezbyt wyrafinowanego przekleństwa Brytyjczyków pozwalało mi w jakimś stopniu zachować godność.

Przynajmniej teoretycznie. A w praktyce? To, co czułam w środku, nie da przełożyć się na słowa.

Miałam obowiązek wyglądać godnie, dlatego wyprostowałam plecy, wskutek czego mój nieszczęsny biust wydawał się jeszcze bardziej okazały. Bo mały to on naprawdę nie jest. Zawsze był to dla mnie powód do radości, a szczerze mówiąc i dumy, kiedy płaskie jak deski kumpelki załamywały ręce, ponieważ nie miały czym zapłacić stanika od bikini. No i efekt był taki, że ustawiały się w kolejce do naszego miejscowego chirurga plastycznego w celu powiększenia wspomnianej części ciała.

Teraz, opuszczając w ślad za Alanną bezpieczne ściany pokoju kąpielowego, uzmysłowiłam sobie, że po raz pierwszy w moim dorosłym życiu życzyłam sobie, by Wróżka Cycuszka (bardziej popularna niż jej kuzynka, Wróżka Zębuszka) nie była wobec mnie tak hojna.

Zaraz po przekroczeniu progu Alanna odsunęła się na bok, puszczając mnie przodem. Jednocześnie uśmiechnęła się ciepło, niewątpliwie starając się w ten sposób dodać mi odwagi.

A bardzo jej potrzebowałam, i to teraz, natychmiast. Na strażników przy drzwiach po prostu bałam się spojrzeć. Oni przeciwnie. Przecież czułam na sobie ich spojrzenia, oczywiście na nieszczęsnych cyckach.

Nic dziwnego, że od razu ruszyłam, niech mi ClanFintan wybaczy, z kopyta, to znaczy szybkim krokiem zaczęłam przemierzać długi korytarz, usłyszałam jednak gromkie:

– Milady!

Odwróciłam się i na Alannę, która nadal stała przed drzwiami pokoju kąpielowego, spojrzałam bardzo nieprzychylnie. Byłam pewna, że w tym momencie do złudzenia przypominam wredną Rhiannon.

– Co jest? – syknęłam.

– Czas nagli, milady. Jeśli milady potrzebuje czegoś ze swoich pokoi, poślę po to pokojówkę. – Jednocześnie dyskretnie wskazała głową kierunek dokładnie przeciwny temu, jaki obrałam przed chwilą.

Zaskoczyłam. Idę w złą stronę. I to na oczach strażników!

– Dziękuję, że o tym pomyślałaś! – Zrobiłam w tył zwrot i pomaszerowałam z powrotem, a mijając Alannę, chwyciłam ją za rękę i pociągnęłam za sobą, szepcząc przy tym: – Jak mam tam iść?

– Rhiannon zawsze chciała, żeby wszyscy, którzy przybyli, by uczestniczyć w obrzędzie, czekali na nią przed stajnią Epony – odszepnęła Alanna. – Uwielbiała ten moment. Ludzie czekają, ona ukazuje się na pięknej klaczy, a pokojówki sypią przed nią kwiatki.

Gdy minęłyśmy zakręt, korytarz zdecydowanie się poszerzył. Piękne podwójne rzeźbione drzwi, które prowadziły na dziedziniec – o czym już wiedziałam – były otwarte.

Kiedy przechodziłyśmy przez próg, Alanna szeptem udzielała mi dalszych instrukcji:

– Milady niech idzie tym chodnikiem przez środek dziedzińca. Czy milady widzi tamte drzwi? Tam? – Gdy skinęłam głową, mówiła dalej: – Przejdziemy przez te drzwi, potem trzeba iść od razu w prawo i przejść przez następne drzwi, które będą otwarte. I tam milady zobaczy już stajnie i swoją świtę.

Moja świta... No nie...

Wyrwałam do przodu, ale Alanna złapała mnie za rękę.

– Rheo, nie śpiesz się tak. Idź powoli, pewnym krokiem.

Nie zapominaj, że jesteś tutaj panią. Jesteś Wybranką Epony, Wielką Kapłanką Partholonu. Udzielałaś błogosławieństwa ludowi już wiele, wiele razy.

Naturalnie postępowałam jej rady i zwolniłam, choć i tak byłam zaskoczona, że jakoś tak szybko

pokonałyśmy wspomnianą trasę. Kiedy poczułam na twarzy promienie porannego słońca, co uświadomiło mi, że jestem już na dworze, nagle zatrzymałam się. To znaczy moje nogi same znieruchomiały. Na szczęście nieoceniona Alanna tym razem nie popędzała mnie ani nie ciągnęła, tylko spokojnie odczekała, aż znów ruszę do przodu. Rozumiała, że ta minuta jest mi potrzebna na wyciszenie się, na zebranie sił przed zadaniem w końcu dla mnie niełatwym.

Wyszłyśmy przez drzwi na tyłach świątyni, gdzie były stajnie. Parę metrów od nas zaczynał się padok, przed którym czekało kilka pokojówek nimfetek, odzianych, jak zwykle, bardzo skąpo w śliczne, przeźroczyste białe sukieneczki. Z tym że tylko ja jedna byłam w sukni pozbawionej gorsu. Każda z dziewcząt trzymała koszyczek pełen płatków róż, między nimi stał ClanFintan, a obok niego Epi.

Kochana klaczka wyczuła, że nadchodzę. Zastrzygła uszami, potem odwróciła ku mnie łeb i zarżała głośno na powitanie.

Alanna lekko uścisnęła moje palce.

– Jesteś Wybranką Epony. Dasz radę. Pamiętaj, jesteś bardzo potrzebna swojemu ludowi.

Odetchnęłam głęboko i uniosłam dumnie głowę. Trudno, skoro mam to zrobić, postaram się zrobić jak najlepiej.

Dostojnym krokiem podeszłam do czekającej mnie grupki złożonej z ludzi, centaura i konia. Mój wzrok utkwiony był

w Epi, na ClanFintana nie spojrzałam, ale i tak byłam pewna, że pożera wzrokiem moje podskakujące cycki, szczęśliwe, że mają chwilę swobody na świeżym powietrzu.

Nimfy jak zwykle dygnęły wdzięcznie. Epi na powitanie trąciła mnie pyskiem w policzek. Ja na powitanie cmoknęłam ją w aksamitne chrapy i zagruchałam:

– Jak z tobą, kochanie moje? Tak się o ciebie martwiłam.

A tęskniłam za tobą okropnie!

W odpowiedzi Epi jeszcze raz trąciła mnie pyskiem.

Zrobiła to bardzo energicznie, czyli wyraźnie przekazywała, że jest super.

– A za mną też się stęskniłaś? – spytał ktoś niskim głębokim głosem, w konsekwencji czego natychmiast poczułam rozkoszny dreszczyk. – Martwiłaś się o mnie?

Oparłam się plecami o ciepły bok Epi i podniosłam oczy na swego małżonka.

– Owszem, stęskniłam się za tobą, ale wcale się o ciebie nie martwiłam. Przecież wiem, że jesteś w znakomitej formie.

Chyba że ta noc nie wyszła ci na zdrowie. Jakież problemy?

Może... z kopytkiem?

Nimfetki zachichotały, czyli słodkie dziewczynki musiały mieć już jakieś doświadczenie w sprawach damsko-męskich.

A ClanFintan spojrział na mnie jakoś tak bardzo po męsku, z góry i zuchwale, po czym z uśmiechem podniósł moją rękę do ust i ucałował najpierw dłoń, a potem nadgarstek tuż koło pulsujących żyłek.

– Nie. Tej nocy żadne z nas niczego sobie nie uszkodziło.

Przeciwnie...

Jego aksamitny głos pieścił mnie, dzięki czemu na chwilę udało mi się zapomnieć o tych nieszczęsnych gołych cyckach.

Niestety, ta chwila trwała bardzo krótko, bo zaraz głos Alanny kazał mi powrócić do rzeczywistości. Chociaż rzeczywistość tego zwariowanego świata była dla mnie czymś co najmniej

względnym.

– Czy milady jest gotowa rozpocząć ceremonię?

– Tak.

Spojrzałam na Epi. Jej uprzęż skrzyła się w blasku porannego słońca. Ogłowie i siodło nabite były złotymi ćwiekami (oczywiście w kształcie tych cholernych czaszek).

Nawet strzemiona wysadzone były drogimi kamieniami.

– Pozwól, Rhiannon.

ClanFintan wziął mnie pod boki i posadził w siodle. Do konia podeszły dziewczęta i wsunęły moje stopy w strzemiona.

Co do spódnicy miałam rację. Dzięki rozcięciom pięknie rozłożyła się na grzbiecie Epi. Co prawda zakrywała moje nogi w bardzo niewielkim stopniu, ale z tego byłam nawet zadowolona, łudząc się, że dzięki temu nagość moich piersi nie będzie aż tak oczywista i rzucająca się w oczy.

Nimfy ustawiły się w dwuszeregu przed Epi, Alanna stanęła po mojej lewej stronie, ClanFintan po prawej.

Spojrzałam na Alannę, a ona skinęła głową.

– Ruszamy – powiedziałam, po czym cmoknęłam, oczywiście bez sensu, bo Epi doskonale wiedziała, co ma robić.

Ruszyła wolnym, dostojnym stępem, poprzedzana przez nimfy, które ruszyły w płasy jak baletnice. Co kilka kroków jedna z nich sięgała do koszyczka i sypała płatki róż przed kopytami Epi, inna znów robiła regularny piruet, śliczny i pełen radości.

(Zapewne dlatego, że nimfetki piersi miały zasłonięte. Chociaż mogłam się mylić. Może z gołymi cycuszkami byłyby jeszcze weselsze?).

W ten oto efektowny sposób przejechaliśmy przez drzwi w murze otaczającym świątynię, o wiele mniejsze niż te od frontu. I miały tę samą właściwość co drzwi wiodące do stajni, to znaczy po zamknięciu jakby wtapiały się w mur, stawały się niewidoczne.

Opuściliśmy teren świątyni i moim zdaniem (wiecie już, jakie mam wycucie w kierunkach) Epi skierowała się na północny wschód, gdzie widać było wzgórze o łagodnych zboczach. Kiedy klaczka zaczęła wspinać się na szczyt, usłyszałam entuzjastyczne okrzyki. Tych, co krzyczeli, zobaczyłam, gdy Epi, pokonawszy szczyt, zaczęła schodzić po zboczu z drugiej strony.

Zobaczyłam morze centaurzych i ludzkich głów, ciągnące się od podnóża wzgórza aż po rzekę Geal.

Moje spojrzenie na moment zatrzymało się na rzece, którą widziałam już w swojej wizji. Teraz wydała mi się jeszcze szersza. I faktycznie, była tam przystań, a może nawet prawdziwy rzeczny port, bo do nabrzeża przycumowano kilka barek.

Epi cały czas podążała do przodu poprzedzana naszą forpocztą, czyli płasającymi, kręcącymi piruety i sypiącymi kwiatki nimfami. Tłum rozstępował się, jakbym była co najmniej Mojżeszem z obnażoną piersią. Nadal zewsząd słyhać było okrzyki powitalne, pełne entuzjazmu i oddania, co było po prostu wzruszające. W pewnej chwili zauważyłam w grupie centaurów Dougala i Connora, też oczywiście wiwatujących na moją cześć. Kochane chłopaki... Nagle moje ręce przestały drżeć z emocji, nie musiałam już tak kurczowo zaciskać palców na wodzach. Nawet zachciało mi się uśmiechnąć. Oczywiście!

Przecież to jest cudowna widownia, nadzwyczajna!

Uśmiechnęłam się tak ogólnie do wszystkich, a do chłopaków pomachałam, starając się, naturalnie, zrobić to jak królowa angielska, choć troszkę cieplej. Ona mimo wszystko zawsze jest sztywna, taka po prostu bardzo brytyjska.

Epi szła dalej w stronę drugiego, porośniętego zieloną koniczyną wzgórza, u podnóża którego zobaczyłam wielkie kamienie, właściwie głazy. Były wyjątkowo jasne, koloru mgły.

Moje baletnice rozpięzły się, każda ustawiła się przy jednym z tych kamieni, Epi natomiast bez wahania przeszła między dwoma największymi głazami i zaczęła wspinać się na wzgórze.

I tak właśnie miało być, bo ClanFintan i Alanna spokojnie szli za nami.

Epi weszła na szczyt, po czym ustawiła się tyłem do rzeki, a przodem do tłumu, który wyraźnie przycichł. Spojrzałam na Alannę, która bardzo dyskretnie wskazała głową na rzekę.

Spojrzałam tam i z wrażenia dosłownie zaparło mi dech. Była to właśnie ta chwila, o której mówiła Alanna. Kiedy słońce wynurzyło się spoza koron drzew, rzeka roziskrzyła się, jakby płynęła w niej nie woda, lecz roztopione drogie kamienie.

Widok był urzekający. Dopiero po dłuższej chwili udało mi się oderwać zachwycony wzrok od rzeki i spojrzeć na Alannę, która skinęła głową i przekazała prawie niedosłyszalnie:

– Już czas.

Odchrząknęłam i ogarniając spojrzeniem morze głów, pomodliłam się szybko.

Do Epony.

– Jeśli naprawdę jestem Twoją Wybranką – szeptałam, niemal nie ruszając wargami – pomóż mi, proszę, znaleźć odpowiednie słowa, które mogłabym wypowiedzieć do tych ludzi. – A potem, włączając swój najbardziej belferski głos, powitałam ich, tak zwyczajnie, tak po prostu: – Dzień dobry!

Najpierw przez tłum przetoczył się śmiech, zaraz potem usłyszałam entuzjastyczne:

– Dzień dobry, Wybranko Epony!

Uff... Jak dotąd jakoś idzie.

– Dzisiejszego poranka przybyłam do was w dwojakim celu. – Cisza jak makiem zasiał. Szkoda, że nie ma tu moich uczniów. Może by w końcu pojęli, na czym naprawdę polega skupienie podczas lekcji. – Po pierwsze, żeby powiedzieć wam o wielkim niebezpieczeństwie, które zagraża nam wszystkim, a po drugie prosić Eponę o błogosławieństwo i opiekę w tak trudnym dla nas czasie. – Moje przenikliwe spojrzenie przemknęło po twarzach ludzi i centaurów, z kilkoma udało mi się nawiązać kontakt wzrokowy. – Jak wiecie, na Zamek MacCallana napadli Fomorianie, mój ojciec nie żyje...

Tu na moment zawiesiłam głos, żeby ludzie i centaury mogli głośno dać wyraz swojemu oburzeniu i rozpaczce.

Kiedy ucichli, mówiłam dalej:

– Bogini Epona objawiła mi, że Fomorianie zajęli też Warownię...

Tym razem reakcja tłumu była inna. Cisza. Niewątpliwie był to dla nich straszny szok, dlatego, spoglądając na poblądłe, nieruchome twarze, powstrzymałam się od przekazania kolejnej hiobowej wieści o uprowadzeniu kobiet z Zamku MacCallana.

Byłam prawie pewna, że centaury wiedzą o już tym, nie miałam jednak pojęcia, czy wieść rozeszła się już po całym Partholonie.

Ale po prostu czułam, że lepiej powiedzieć to później, kiedy ludzie ochłoną po pierwszym szoku spowodowanym wieścią o inwazji.

Odwróciłam się i skinęłam na ClanFintana, który stanął

blisko Epi.

– Mojego małżonka, ClanFintana, mianowałam Wodzem Naczelnym!

Centaury zaczęły wiwatować, zawtórowali im ludzie. A ja spojrzałam przelotnie na Alannę i dyskretnie puściłam do niej oczko, przekazując następujący komunikat:

No i co, kochana? Jakoś udaje mi się dyrygować tymi facetami!

Kiedy okrzyki ucichły, kontynuowałam:

– ClanFintan wysłał już posłańców do wszystkich przywódców klanów, zwołując ich na naradę wojenną. Po tej naradzie... – Tu sekunda namysłu, czy to, co chcę teraz powiedzieć, ma sens. Decyzję podjęłam na „tak”. – Po tej naradzie ClanFintan spotka się z głowami wszystkich tutejszych rodzin. Przekáže, co uzgodniono podczas narady i wszyscy zaczniemy szykować się do wojny. Pierwszy, bardzo istotny krok, to poznanie wroga. Powinno się wiedzieć o nim jak najwięcej. Dlatego każdy, kto cokolwiek wie na ich temat, nawet jeśli wydawać mu się będzie, że to tylko bajka dla niegrzecznych dzieci, niech przyjdzie z tym do świątyni.

Odszuka Alannę, a Alanna zaprowadzi go do kogoś, kto zajmuje się historią i z uwagą wysłucha tego, co będzie mu przekazane.

Postarajmy się wszyscy dowiedzieć jak najwięcej, zdobyć rzetelną wiedzę o Fomorianach. I pamiętajmy, dobro ma jednego wroga. Jest nim zło. A zło ma zawsze dwóch wrogów.

Dobro i samego siebie...

Gdzie ja to słyszałam? Za nic nie mogłam sobie przypomnieć, ale w tym momencie naprawdę nie było to żadną tragedią. Najważniejsze, że utrafiłam, bo zewsząd słyhać było słowa aprobaty.

Odczekałam, by trochę się uciszyło, a taka pauza to znany oratorski chwyt.

Po czym powiedziałam:

– A teraz poprośmy Eponę o błogosławieństwo.

Tłum zamilkł całkowicie, a ja przez moment zastanawiałam się gorączkowo, co zrobić z rękoma.

Do góry? W bok? Nagle przypomniałam sobie tamtą wazę, od której wszystko się zaczęło. To wystarczyło. Moje ciało samorzutnie przyjęło dokładnie taką samą pozę jak Rhiannon, kiedy nieznany artysta utrwał ją pociągnięciami pędzla. Wykręciłam tułów, taki półobrót, zwracając się ku rzece. Uniosłam prawą rękę, też wyciągając ją w stronę rzeki. Odwróciłam dłoń, zamknęłam oczy i skupiłam się na pewnym wierszu Yeatsa, którego fragmenty nagle jeden po drugim zaczęły przemykać mi przez głowę, zupełnie jakby podsuwała mi je sama Bogini.

Jeszcze sekunda, jeszcze druga i trzecia – i byłam gotowa.

Starając się, by mój głos rzeczywiście zabrzmiał jak dzwon, zaczęłam recytować piękne słowa poety:

Kiedy dzień budzi się ze snu,

Przywołuję w pamięci wszystko, co dał Los,

Co dobre, także to, z czym przyjdzie się zmierzyć,

A co zawsze gotowa jestem uczynić,

Pomna swoich powinności wobec was, drodzy przyjaciele,

Których widok napawa mnie słodyczą

Tak wielką, że cała drzę od stóp do głów.

Gdy skończyłam recytować, znów zapadła cisza. Miałam nadzieję, że Yeats wybaczy mi manipulowanie jego utworem, a moi nowi, zmodyfikowani uczniowie prawidłowo załapali treść.

Powiodłam wzrokiem po tłumie, przymknęłam oczy i rzekłam:

– Niech błogosławieństwo Epony podąży za nami dzień po dniu jak czuła matka strzegąca pilnie swoich dzieci. Niech pomoże nam uwierzyć, że zło tak naprawdę nigdy nie triumfuje!

Otworzyłam oczy i powoli opuściłam rękę. Spojrzałam na tłum i uśmiechając się jak najcieplej, dodałam jeszcze coś, tak od serca:

– Niech następne dni będą dla was pełne szczęścia i dostatku!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Kiedy tłum zaczął się rozchodzić, odetchnęłam z ulgą, a potem zerknęłam na Alannę, bardzo ciekawa jej reakcji.

I znów westchnienie pełne ulgi, bo Alanna była rozpromieniona, mało tego – mrugnęła do mnie. Przysięgam! Od razu resztki zdenerwowania wyparowały jak kamfora. W rezultacie kiedy Epi zaczęła schodzić po zboczu wzgórza, byłam w siódmym niebie, radosna i lekka jak piórko, otoczona miłością i akceptacją.

– Rhiannon!

Szybko ściągnęłam wodze, zaskoczona ostrym tonem małżonka. Spojrzałam za siebie, tam, skąd dobiegał głos.

ClanFintan nadal stał szczycie zielonego wzgórza zwanego Świętą Bramą i mrużąc oczy, wpatrywał się gdzieś w dal, chyba na północ. Jego nozdrza poruszały się, jakby coś zwietrzył.

– Tam! – zawołał, wskazując palcem skraj lasu.

Spojrzałam w tamtą stronę, jednocześnie Epi zrobiła się niespokojna. Pokierowałam nią i bez dalszego ponaglania weszła z powrotem na szczyt.

– Niedobrze – posepnie oświadczył ClanFintan, nie odrywając oczu od odległych drzew. – Wiatr z północy niesie zapach ciemności. Rhiannon, ten zapach czułam już wcześniej...

A ja czułam, jak wszystko we mnie zamiera.

– Wcześniej? W Zamku MacCallana? – spytałam drżącym głosem.

Skinął głową. Jednocześnie w tłumie u stóp wzgórza zakotłowało się gwałtownie, zaraz potem otoczyły nas centaury, a ze świątyni zaczęli wybiegać moi strażnicy i kierować się ku nam.

Kiedy dobiegli, ClanFintan donośnym głosem zaczął

wydawać rozkazy. Najpierw strażnikom:

– Ktoś zbliża się do nas od strony lasu. Odprowadźcie waszą panią do świątyni, potem macie dopilnować, żeby wszystkie kobiety i dzieci jak najszybciej znalazły się w obrębie murów świątyni.

Mam wracać do świątyni? Teraz? Nie. Tym bardziej że wewnętrzny głos bardzo się temu sprzeciwiał, krzyczał, że nie wolno mi zostawiać ClanFintana.

Spojrzałam na swoich wojowników.

– Zostaję tutaj, z ClanFintanem. Wy zajmijcie się kobietami i dziećmi.

Strażnicy zasalutowali i odbiegli. Mążnek wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale uprzedziłam go, powtórzyłam mianowicie, spoglądając mu prosto w oczy:

– Zostaję tutaj. – Mój głos był stanowczy, twardy, tak samo jak mój wzrok.

Równie stanowczy był głos Alanny, która stała po drugiej stronie ClanFintana:

– A ja zostaję z Rhiannon.

Mój mąż westchnął, ale z żadną z nas nie dyskutował, tylko znów wbił wzrok w odległy las.

Wiatr z północy, z pozoru niewinny wietrzyk, łagodnymi podmuchami pieścił nasze twarze. Na wzgórzu pojawił się Dougal i stanął po drugiej strony Epi. Teraz miałam centaurów z obu stron, co było bardzo korzystne, jeśli chodzi o bezpieczeństwo moje i klaczy, jednocześnie jednak bardzo utrudniało mi dostrzeżenie tego, co zwietryły oba centaury.

– Wyczuwam też centaura – powiedział po chwili Dougal posepnym głosem.

ClanFintan w odpowiedzi tylko skinął głową, dalej wpatrując się w las.

– Tam! – krzyknął Connor, wskazując drzewa rosnące blisko rzeki.

Istotnie po chwili spośród drzew wypadł samotny centaur.

Biegł w naszą stronę, nawet w miarę szybko, choć krok miał dość niepewny.

Nagle ClanFintan drgnął, jakby rozpoznał towarzysza, a w tej samej chwili rozległ się pełen przerażenia krzyk Dougala:

– Ian! Przecież to Ian!

Zaraz też zagrzmiął mój mąż:

– Dougal, Connor, biegniecie z nami! Reszta osłania. Jak najszybciej na skraj lasu, rozstawiacie się wśród drzew. Mogą iść za nim. Jeśli tak, macie ich powstrzymać, dopóki razem z Ianem nie

znajdziemy się w bezpiecznym miejscu.

Zgarnął z ziemi Alannę i posadził ją na swoim grzbiecie.

– Trzymaj się mocno. Będzie ostra jazda.

Alanna skinęła głową, natomiast ClanFintan spojrział na mnie i oznajmił autorytatywnie:

– Masz być cały czas przy mnie.

– Dobrze.

Zebrałam wodze, dla pewności chwyciłam się też grzywy Epi. Byłam bardzo wystraszona, tak bardzo, że brak sportowego stanika właściwie nie był dla mnie tragedią.

Galop, potem cwał. Mimo grozy sytuacji poczułam się dumna z mojej Epi, która biegła wspaniale, jak wicher, co w jakimś stopniu pomagało mi zapanować nad strachem.

Pierwszy do samotnego centaura dobiegł Dougal. Złapał go wpół, gdy Ian potknął się i osunął na ziemię.

ClanFintan, Connor i Epi wraz ze mną w sekundę byliśmy przy nich. Dougal klęczał, starając się podtrzymać zakrwawiony tors samotnego centaura, a mój mąż przykląkł koło niego z drugiej strony. Alanna zsunęła się z grzbietu ClanFintana i przerażona strasznym widokiem znieruchomiła.

– Ian! Idą za tobą? – spytał ClanFintan.

Ian potrząsnął głową, po czym wyrzucił z siebie:

– Nie!

– Oddychaj, Ianie, oddychaj głęboko i spróbuj powiedzieć nam, co się stało.

Drżąc konwulsyjnie, z wielkim trudem łapał powietrze.

Dougal cały czas go podtrzymywał i przemawiał do niego, starając się dodać mu otuchy. Całe potężne ciało centaura pokryte było krwią i potem. W pierwszej chwili pomyślałam, że dziwne, tyle krwi, a żadnej rany nie widać, ale kiedy Ian próbował wstać i zmienić pozycję, zauważyłam straszliwą ranę przez całą szerokość jego końskiej piersi. Trysnęła z niej świeża krew na sierść i tak już ciemną od zeschniętej krwi.

– Nie wstawaj! – zawołali jednocześnie i ClanFintan i Dougal, chwytając go za ręce. – Nie wolno ci tego robić.

Zeskoczyłam z Epi i zerwałam z siebie skrzącą się pelerynę. Na szczęście wiedziałam, jak zatamować krwotok.

Spojrzałam na ClanFintana, a gdy skinął głową, przykucnęłam przy rannym centaurze. Zbiłam pelerynę w kłęb i przycisnęłam do strasznej rany.

– Connor! Nie ma na co czekać! – zawołał ClanFintan. – Biegnij po Uzdrowiciela!

Centaur natychmiast pognał do świątyni.

Wśród drzew coś się poruszyło. Przerazona spojrzałam tam i odetchnęłam z ulgą, gdy zobaczyłam wojowników gotowych w każdej chwili zmierzyć się z wrogiem. Skupiłam się więc znów na rannym centaurze. Okazało się, że ma mnóstwo bardzo groźnych ran, cały był pocięty, porozrywany, podziurawiony.

Na jego ludzkiej i końskiej części ciała przeważał jeden kolor – kolor zakrzepłej krwi. Część

końska były to kawałki pięknej żółtawej sierści na przemian z czeluściami otwartych ran, w których widać było żywe ciało. Jedyne w swoim rodzaju groteskowy, przerażający patchwork. Przy każdym ruchu rozedrganego ciała z ran tryskała krew.

Nagle odezwał się, natychmiast więc spojrzałam na poszarzałą, zakrwawioną, wykrzywioną w okropnym grymasie bólu twarz.

– Laragon... padł – wykrztusił, ciężko dysząc. – Wszyscy...

nie żyją.

– Kobiety też? – spytał ClanFintan.

Ian pokręcił głową i jęknął. Nawet to sprawiało mu ból.

– Nie... Oni... nie zabijali kobiet.

– A reszta centaurów?

– Nie żyją.

Gdy jego powieki zaczęły opadać, rozległ się pełen rozpaczony głos Dougala:

– Ian! Ian! Błagam, nie! Nie odchodź!

Kiedy ranny centaur z wielkim trudem uniósł powieki, ClanFintan spytał:

– Powiedz, ilu ich jest?

– Bardzo dużo. Za... dużo. Nie daliśmy rady ich powstrzymać...

Oddech Iana znów niebezpiecznie przyśpieszył, znów zaczął drżeć konwulsyjnie.

A ja czułam ciepło krwi, którą przesiąkła zbita w kłęb skrząca się peleryna.

Nagle Ian uniósł powieki. Oczy miał rozbiegane, jakby nic nie widział.

– Dougal! Gdzie jesteś?

– Tu jestem! Jestem przy tobie, mój bracie. – Dougal objął

go mocno ramionami. – Wszystko będzie dobrze. Z nami jesteś bezpieczny.

Ian umierał. Ian, brat Dougala, teraz już wiedziałam...

ClanFintan chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

Przytuliłam się do jego ciepłego boku i patrzyłam przez łzy, jak w kącikach ust Iana pojawia się różowa piana.

Nagle usłyszałam, że ClanFintan zaczyna coś nucić cicho i bardzo łagodnie. Dougal poderwał głowę, w jego oczach był

gniew, ale ClanFintan, nie przerywając cichej pieśni, potrząsnął

smutno głową. W ten sposób przekazał Dougalowi to, co zapewne on już i tak już wiedział.

– ClanFintanie! – odezwał się nagle Ian nadspodziewanie mocnym, dźwięcznym głosem.

– Jestem tu, Ianie – powiedział mój mąż bardzo cicho i miękko. – Jestem tutaj. Poprowadzę cię do domu.

Uniósł twarz ku niebu, i tam, ku wysokościach skierował

swoje słowa. Mówił w nieznanym mi języku, na pewno jednak było to zaklęcie, które miało ulżyć w cierpieniu.

I istotnie Ian wyraźnie się odprężył, a dreszcze ustały.

Zrozpaczony Dougal przytulił głowę do jego głowy i zamknął

oczy, z których płynęły strumienie łez, mieszając się z braterską krwią.

– Kocham cię, mój bracie – szeptał – kocham cię.

Spotkamy się na pachnących łąkach Bogini Epony, czekaj tam na mnie...

Ciche, nabrzmiałe rozpaczą słowa miały moc najgłośniejszego, najbardziej rozdzierającego krzyku.

Ian jeszcze raz zadrżał konwulsyjnie i z ust wyleciało ostatnie tchnienie.

Znieruchomiał.

ClanFintan, z pochyloną teraz głową, nie przestawał nucić.

Oczy miał zamknięte. Nucił coraz ciszej i ciszej, aż wreszcie umilkł.

Wstał, delikatnie pomógł mi wstać i podeszliśmy do Dougala, który szlochał pochylony nad zmarłym.

– Dougal... – odezwał się cichym, pełnym smutku głosem ClanFintan. – On już odszedł.

Młody centaur powoli podniósł głowę, by spojrzeć na swego szamana.

– Ale... dlaczego?! Dlaczego? Był taki młody, nie powinien jeszcze umierać!

– Masz rację, nie powinien. – ClanFintan był bardzo przybity, śmierć młodego centaura musiała być i dla niego wielkim ciosem.

Ja, wiadomo, zalana byłam łzami. Jakie to wszystko straszne... Jeszcze wczoraj Dougal rumienił się, kiedy się do niego uśmiechałam. Taki rozbrajająco młody i nieśmiały...

Podniosłam z ziemi moją skrzącą się pelerynę, strzepnęłam i przykryłam nią najgłębszą ranę na klatce piersiowej Iana.

Alanna od razu poszła za moim przykładem. Też zdjęła pelerynę i ostrożnie, z wielkim poszanowaniem, przykryła nią zmarłego centaura. Tak samo jak ja, twarz miała mokrą od łez.

Delikatnie dotknęłam policzka Dougala.

– Był bardzo odważny. Jak ty, jego brat. Szkoda, że nie miałam okazji go poznać.

Palce Dougala kurczowo zacisnęły się na moim ręku.

– Czy milady mogłaby poprosić Eponę, by mu pobłogosławiła?

– Tak, Dougalu! Tak uczynię dla twojego brata.

Nie puszczając jego ręki, drugą podałam mężowi. Między naszymi złączonymi palcami czułam ciepłą lepłą krew Iana.

Alanna podeszła z drugiej strony do Dougala, który z wielkim ociąganiem puścił ramię zmarłego brata i wziął ją za rękę.

Pochyliłam głowę, wpatrując się ze szczerym uczuciem w zmarłego centaura.

– Epono, proszę, pobłogosław temu młodemu centaurowi, który zmarł, zanim nadszedł jego czas. Dotknij go swymi delikatnymi, czułymi dłońmi i spraw, by nigdy już nie dręczył

go ból... – Spojrzałam w bok, na pobladłą, ściągniętą twarz Dougala, i cichy wewnętrzny głos podpowiedział mi dalsze słowa: – Spraw, Epono, byśmy nigdy nie zapominali, że śmiertelni jesteśmy tylko na tym świecie. Potem przenosimy się do świata życia wiecznego, a tam nasza dusza spotyka dusze tych, których kochamy i nic już jej z nimi nie rozłączy.

Dougal, zanim puścił moją rękę, uścisnął ją lekko, wyrażając tym swoją wdzięczność. Potem powoli wstał, nie odrywając oczu od zmarłego brata.

Stukot kopyt zapowiadał przybycie Connora. Na jego grzbiecie siedział mężczyzna, który jeszcze nim Connor się zatrzymał, zeskoczył na ziemię i zsuwając z ramienia rzemień wielkiej skórzanej torby, podobnej do sportowej, podbiegł do zmarłego. Przykląkł przy nim, dotknął żyły na szyi i obejrzał

ranę na piersi. Słyszałam, jak westchnął.

– Proszę, przyjmij ode mnie wyrazy głębokiego współczucia – powiedział, patrząc na Dougala. – Jeśli pozwolisz, umyję go, namaszczę olejkami i przygotuję do obrzędu spalenia.

– Do... dobrze – wykrztusił Dougal. – Tak. – Potem spojrział na ClanFintana. – Matka i ojciec powinni... – Jego głos załamał się.

– Na to jeszcze czas, chłopcze – powiedział cicho ClanFintan. – Connor, zabierz Dougala do świątyni. Ja zostanę przy Ianie.

Connor wziął przyjaciela za ramię i poprowadził

z powrotem do świątyni. Dougal szedł posłusznie, jednak co chwilę odwracał głowę, by jeszcze raz spojrzeć na brata. Tak było, dopóki nie znikli nam z oczu.

Odprowadzałam ich wzrokiem, jednocześnie zerkając na Uzdrowiciela. Nie mogłam się powstrzymać. Przecież ja go znałam, i to na pewno. Chociaż nie, może powinnam powiedzieć, że znałam bardzo dobrze jego lustrzane odbicie.

Naprawdę bardzo dobrze.

ClanFintan zagwizdał przeraźliwie i wojownicy, którzy nas osłaniali, natychmiast opuścili swoje pozycje i dołączyli do nas.

– Centaury zawiozą Iana, dokąd wskażesz – powiedział

ClanFintan do Uzdrowiciela. – Będę ci niezmiernie wdzięczny, jeśli zajmiesz się ciałem i przygotujesz je do pożegnania z najbliższymi.

– Proszę, nie wspominaj o wdzięczności – odparł

Uzdrowiciel. – Naturalnie, że to zrobię.

Wyczuwało się, że Szaman i Uzdrowiciel darzą siebie nawzajem największym szacunkiem.

– Dziękuję – powiedziałam. – Wiemy, że nikt nie zrobi tego jak ty, a zależy nam, żeby przynajmniej pod tym względem Dougal miał spokojniejszą głowę.

Mówiłam z trudem, wylałam przecież niejedną łzę, ale sama słyszałam w moim głosie ciepło i życzliwość. To czułam przecież do lustrzanego odbicia Uzdrowiciela.

On jednak ku mojemu zaskoczeniu odparł mi bardzo chłodno:

– Zrobię, co należy zrobić.

ClanFintan wydał rozkazy. Jeden z centaurów wziął

Uzdrowiciela na swój grzbiet, pozostali podnieśli z ziemi nieruchome ciało Iana i smutny pochód ruszył w stronę świątyni.

Znów odprowadzałam kogoś wzrokiem, znów jednocześnie zerktałam co chwilę na kogoś innego. Na Alannę, która patrzyła za Uzdrowicielem, wyraźnie za nim. A on, kiedy odjeżdżał, spojrzął ukradkiem na nią.

– Rhiannon, wracamy do świątyni – powiedział

ClanFintan.

– Dobrze, dobrze... – odparłam drżącym głosem.

Odchrząknęłam i zawołałam cicho Epi. Klacz posłusznie podeszła do mnie. Kiedy Ian umierał, stała nieruchomo, jakby rozumiała powagę chwili. Mądre, kochane stworzenie, i tak bardzo wrażliwe. Trąciła mnie pyskiem, jakby prosiła, żeby ją pocieszyć. – Już po wszystkim, skarbie. Nie denerwuj się – przemówiłam do niej czule. Na lewym policzku klaczy zauważyłam biegnącą od oka wilgotną ścieżkę. Łza? Tak!

Jeszcze jeden dowód, że ten niezwykły koń bardzo różni się od swoich pobratymców.

Silne ręce ClanFintana uniosły mnie w górę i posadziły na grzbiecie Epi. Potem posadził na swoim grzbiecie Alannę i ruszyliśmy w drogę powrotną do świątyni.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ClanFintan podbiegł pod stajnię, gdzie tym razem nie czekało stadko nimf, lecz kilku dobrze uzbrojonych strażników.

Pomógł mi zsiąść z Epi, ostrożnie zsadził ze swego grzbietu Alannę i wydał rozkaz jednemu ze strażników:

– Wszystkich przywódców Klanów i Stad zaprowadźcie do sali audiencyjnej.

Strażnik nie ruszył się z miejsca, tylko spojrzał na mnie.

– ClanFintan został przez mnie mianowany Wodzem Naczelnym – oznajmiłam, starając się mówić stanowczo i donośnie. – Macie wykonywać jego rozkazy bez wahania, jakbym wydawała je osobiście.

Strażnik zasalutował, odwrócił się i wyprężył przed ClanFintanem.

– Tak jest, milordzie.

I oddalił się, by wykonać jego rozkaz.

Wyklepałam Epi na pożegnanie i dałam jej buziaka.

– Zadbajcie o nią należycie – przykazałam strażnikowi, który czekał, by odprowadzić konia do stajni. Głupio, bo o tym na pewno nikomu tutaj nie trzeba przypominać! Ale tak jakoś mi się wymknęło.

– Tak jest, milady!

U mojego boku pojawiła się Alanna.

– Rheo, musisz się umyć i przebrać, i to jak najszybciej.

Spojrzałam po sobie zdziwiona, że do tej chwili nie zauważyłam, w jak żalonym jestem stanie. Ręce, piersi, jedwab, tak skąpo okrywający moje ciało – wszystko było we krwi.

Tyle krwi...

Nagle poczułam, że robi mi się słabo, w ogóle robię się taka przymulona, jakbym wzięła za dużo benadrylu.

Zachwiałam się.

– Rhiannon? – spytał zaniepokojony małżonek.

Mrugnęłam, starając się zetrzeć z mózgu ogłupiającą mgielkę.

– To było... straszne – wyjąkałam. – Biedny centaur...

– Rhiannon... – ClanFintan objął mnie, otulając rozdygotane ciało swoją siłą i ciepłem. – Tak już jest. Zło idzie za dobrem jak cień. My, którzy kierujemy się dobrem, idziemy za dnia, zło przemyka nocą, kryjąc się w ciemnościach. Ale wykurzymy ich ogniem z mrocznych kryjówek.

Cudowna mieszanka jego ciepła i siły, także niezłomna wiara w słuszność naszej sprawy, wszystko to bardzo mi pomogło. W mojej głowie się przejaśniło, mgielka znikła.

– Alanno... – Przekręciłam się w ramionach męża, żeby stanąć twarzą do przyjaciółki. – Zanim spotkamy się z przywódcami Klanów i Stad, musimy porozmawiać z nauczycielką, wciągnąć ją do współpracy. Moim zdaniem powinna przekazać wszystko, co wie o tych kreaturach. Poproś ją, by przyszła do biblioteki, to znaczy do pokoju obok mojej sypialni. Aha, i jeszcze jedno. Jak ona się nazywa?

– On – powiedziała z naciskiem Alanna.

A policzki miała czerwone jak piwonia.

– On? Przepraszam. Nie wiem, dlaczego byłam pewna, że to kobieta. Więc jak się nazywa ten nauczyciel?

– Carolan. Nie jest nauczycielem, ale zajmuje się historią.

Oczywiście jest Uzdrowicielem.

– Uzdrowicielem? Czy to nie jego Connor sprowadził do Iana?

– Tak, Rheo...

Mówiła prawie szeptem, a poza tym ten rumieniec. Alanna była okropnie speszona. Dlaczego?

– Jest bardzo dobrym i troskliwym Uzdrowicielem – wtrącił ClanFintan.

Na pewno nie zauważył rumieńca Alanny, nie wyczuł też, jak bardzo jestem ciekawa, co się za tym rumieńcem kryje.

Wiadomo, typowy facet (mówię to już wam chyba po raz setny).

Z powrotem przekręciłam się w jego ramionach i pociągnęłam go za rękę, żeby pochylił głowę. Pocałowałam go szybciotko, z takiej nagłej potrzeby.

– Alanna i ja idziemy się oporządzić, a ty czy mógłbyś pójść po Uzdrowiciela i przyprowadzić go do moich pokoi?

– Oczywiście – powiedział, głaszcząc mnie po policzku. – Już po niego idę. – Oczekałam, aż zniknie mi z oczu, i spojrzałam na Alannę. – Droga przyjaciółko, koniecznie musimy o czymś pogadać.

Alanna bez słowa skinęła głową. Ruszyłam pierwsza wielce rada, że wreszcie zaczynam pewniej poruszać się po świątyni. Bez problemu odnalazłam drzwi w murze, którymi wchodziło się na dziedziniec, tym razem pełen zdenerwowanych kobiet z dziećmi otoczonych pierścieniem wojowników. Na mój widok – wiadomo, że teraz przerażający – zapadła cisza jak makiem zasiał. W oczach kobiet i dzieci dojrzałam strach. Taki sam wyraz oczu mieli moi uczniowie, gdy pewnego wiosennego dnia po szkole rozeszła się wieść, że przyłapano jednego z ich kolegów, jak wychodził z internatu uzbrojony w dwa naładowane karabinki, fachowo zwane samopowtarzalnymi.

Zdawałam sobie wtedy sprawę, że zatajenie prawdy czy zbagatelizowanie sytuacji tylko ją pogorszy. Podobnie jak teraz.

Dlatego wcale nie starałam się zakryć rękoma zaplamionego krwią torsu. Przeciwnie, wyprostowałam się i w odpowiedzi na wylęknione spojrzenia zaserwowałam belferskie spojrzenie typu: Tylko bez obaw, wszystko mam pod kontrolą!

Kawa na ławę. To jedna z podstawowych broni w arsenale nauczyciela.

– Zabito młodego centaury... – Oczekałam chwilę, gdy z ust zgromadzonych uleciało w niebo jedno gremialne trwożliwe westchnienie. – Nie jesteśmy bezpośrednio zagrożeni, ale musimy się przygotować do obrony przed ewentualnym atakiem wroga. My wszyscy.

A tak. Postanowiłam bowiem zastosować taką samą taktykę, jaką stosowałam wobec moich uczniów. W przypadku jakichkolwiek zawirowań czy sytuacji niepewnej po prostu każ im coś zrobić. Po pierwsze staną się użyteczni, a po drugie, co bardzo istotne, nie będą mieli czasu na zastanawianie się, mędrkowanie czy strach.

– Potrzebuję waszej pomocy! Jest mnóstwo do zrobienia, przyda się każda para rąk. Trzeba przygotować miejsce, gdzie będzie się pielęgnować rannych, przygotować środki opatrunkowe... – Zauważyłam, że kilka kobiet pokiwało głowami. Czyli super, bo już jest odzew. – Moje pokojówki oczywiście też się włączą. Oprócz zorganizowania opieki nad rannymi szalenie istotną sprawą jest szykowanie strawy.

Wszyscy wiemy, jak ważny dla wojownika jest obfity posiłek.

Te z was, które dobrze gotują, proszę, niech zgłoszą się do kuchni.

– Milady! – zawołała jakaś kobieta ze środka tłumu. – A my z siostrą umiemy robić strzały! Robimy je dla centaurów i handlujemy z nimi!

– Znakomicie! – wydarłam się. – Kto to powiedział?!

Pokaż się, proszę!

Kobiety rozstąpiły się, przepuszczając wysoką, szczupłą blondynkę, a moja twarz pojaśniała (na pewno!) na widok osoby ładząco podobnej do najlepszej w naszej szkole nauczycielki informatyki, która ponadto była nadzwyczajną organizatorką.

– Jak masz na imię?

Dziewczyna dygnęła.

– *Maraid, milady.*

– *Świetnie, że się zgłosiłaś, Maraid – powiedziałam ciepłutko i wyłowiłam wzrokiem jednego z wszechobecnych strażników. – Wezwij dwóch centaurów, Dougala i Connora.*

Niech przyjdą na dziedziniec, żeby poinstruować kobiety, co mogą zrobić, by pomóc wojownikom w walce. Tymi kobietami kierować będzie Maraid. – Wskazałam na szczupłą blondynkę.

Strażnik zasalutował i odbiegł, a ja kontynuowałam donośnym głosem: – Centaury powiedzą wam, czego dokładnie potrzebują.

Pomagając im, pomożecie nam wszystkim. Bardzo wam za to dziękuję... – I jeszcze to, jako niezbędny dodatek: – Epona wam błogosławi!

Pomknęłam dalej, a za mną Alanna. Kiedy znalazłyśmy się w korytarzu, z którego wchodziło się do moich pokoi, czyli kiedy dotarłyśmy w bardziej prywatne rejony, odetchnęłam głęboko i nie zwalniając, szepnęłam do kłusującej obok Alanny:

– *Jak oceniasz mój pomysł?*

– *Wspaniały, milady, naprawdę wspaniały – odszepnęła, nachylając ku mnie głowę. W biegu, oczywiście. – Nie będą miały czasu się bać!*

– *No właśnie. O to mi chodzi...*

Strażnik otworzył przed nami drzwi. Do pokoju kąpielowego wpadłyśmy galopem, ja natychmiast zdarłam z siebie poplamione krwią ubranie. Alanna podała mi gąbkę i buteleczkę z mydłem.

– Tylko tak sobie myślę, milady... Dougal... Jest milady pewna, że to właśnie jego należało poprosić?

– Oczywiście, Alanno. Ten biedny chłopak, którego spotkało wielkie nieszczęście, powinien mieć teraz ręce pełne roboty – oświadczyłam, sadowiac się na marmurowej półce.

Najpierw zaczęłam się oskrobywać, to znaczy zdrapywałam z siebie zeschniętą krew.

A Alanna, jak to Alanna, oczywiście zaczęła od grzebania w szafach.

Czas naglił. Namydliłam się szybko i weszłam do baseniku, żeby się opłukać. Też szybko, ale bardzo dokładnie, i wreszcie czysta wyszłam z wody, by piorunem owinąć się wielkim, miękkim ręcznikiem, który czekał na mnie na marmurowej półce.

– Alanno, może uda ci się znaleźć coś, co nie będzie półprzezroczyste? Coś w rodzaju bluzki...

– Już mam. Myślę, że ci się spodoba.

Podeszła do mnie z całym naręczem kremowej tkaniny.

Postusznie rozłożyłam ręce, łokcie w górę, i Alanna przystąpiła do magicznego owijania. Tym razem efekt końcowy bardzo mi przypadł do gustu. Tkanina faktycznie nie była przezświetlająca, a ponadto szata była zdecydowanie krótsza, dzięki czemu długie nogi wystawiłam na pokaz, i wcale nie byłam temu przeciwna.

Alanna zamaszystym ruchem skończyła owijanie i spięła strój kunsztowną broszką.

– Masz rację. Podoba mi się. – Uśmiechnąwszy się miło do drogiej przyjaciółki, przystąpiłam do gruntownej penetracji cudownych szkatulek. – Wiesz, Alanno, uważam, że to właśnie umiejętność dobierania odpowiednich dodatków odróżnia nas od niższych form życia. Nie sądzisz? Tak, włożę te... – Wyjęłam diamentowe kolczyki i dokończyłam enigmatycznie: – Dotyczy to również doboru

mężczyzn... – Uśmiechnęłam się, Alanna również, zaserwowałam więc pytanie bardzo już konkretne: –Może opowiesz mi, jak to jest z tym Carolanem? – Gdy uśmiech na jej twarzy błyskawicznie zastąpił rumieniec, rzuciłam niecierpliwie: – Ożeż ty! Alanno, czy musisz od razu robić się taka czerwona?! – Oczywiście róż rumieńca natychmiast przeszedł w szkarłat.

Westchnęłam i wzięwszy Alannę za rękę, podprowadziłam do ławki przed toaletką i usiadłam.

– Siadaj – zarządziłam, wskazując miejsce obok. – Siadaj.

I opowiadaj.

Alanna też westchnęła. Posłusznie zajęła miejsce obok mnie i najpierw zajrzała mi w oczy. Ja, oczywiście, postarałam się, żeby w moim spojrzeniu były tylko spokój i zdecydowane.

A moja droga przyjaciółka, westchnąwszy ponownie, dalej milczała.

– Czujesz się skrepowana? – spytałam delikatnie. – Chcesz, żebym ci trochę pomogła? – Gdy w milczeniu pokiwała głową, zadałam to najważniejsze pytanie: – Alanno, jesteś w nim zakochana?

Jej oczy zrobiły się okrągłutkie. Teraz wyglądała jak jelonek Bambi.

I wykrztusiła:

– Ale skąd ty...

– Intuicja, Alanno. Wrodzona albo kolejny dar, którym dysponuje Wybranka Epony – oświadczyłam z powagą, po czym, spuszcając z tonu, żartobliwie szturchnęłam jelonka ramieniem. – Szczerze mówiąc, nietrudno się było tego domyślić. Alanno, on jest lustrzanym odbiciem Gene'a, męża Suzanny! Są małżeństwem od niepamiętnych czasów, a on nadal adoruje ją tak, jakby ślub wzięli dopiero wczoraj. Mówię ci, czasami jest to aż wkurzające...

Zszokowana powyższymi rewelacjami Alanna była w stanie wydać z siebie tylko cichutki pisk, więc koniecznie należało ją czymś wzmocnić. Sięgnęłam do moich niewyczerpanych zapasów zbawionego płynu w kolorze czerwonym i napełniłam dwa kielichy. Alanna piła i piła, natomiast ja, wypiwszy łyk, nawijałam dalej:

– W moim starym świecie Gene jest profesorem, doktorem nauk prawnych i historii, dlatego Suzanna i ja nazywamy go doktor-doktor, rozumiesz, tak dubeltowo. Suzanna mówi jeszcze czasami o sobie „pani doktorowa do kwadratu”, poza tym twierdzi, że mąż z takim mózgiem to większe ciacho niż najładniejszy chłopczyk z przerośniętymi mięśniami, taki neandertalczyk, rozumiesz...

– Nie. Co to jest ten neandertalczyk?! Ja nie wiem! Nic nie wiem...

Biedna przyjaciółka wyraźnie była na pograniczu hysterii.

– Nieważne, Alanno, chciałam ci tylko tak obrazowo przedstawić, że Suzanna również uwielbia swojego męża. –Dobrze, że to powiedziałam, bo wyraźnie się odprężyła. –Alanno, ale w tym świecie ty i Carolan nie jesteście małżeństwem, prawda?

– A skąd! – krzyknęła, podskakując jak biedny skazaniec na krześle elektrycznym.

– Dlaczego?

Cisza, tylko oczy Alanny zalśniły od łez.

O matko...

– Tylko mi nie mów, że on cię nie kocha! Przecież sama widziałam, jak na ciebie patrzy!

– *On... kocha mnie – zakomunikowała słabiutkim głosem.*

Przypomniałam sobie, że Gene, zanim poznał Suzannę, był już kiedyś żonaty, oczywiście bardzo krótko. Klasyczny błąd młodości.

– *Ma żonę? – spytałam, biorąc Alannę za rękę. Byłam cała sprężona, gotowa służyć radą i pomocą jak prawdziwa przyjaciółka.*

– *Nie! Ależ nie! On kocha tylko mnie!*

– *Więc do jasnej... hm... więc w czym tkwi problem?!*

– *W tobie... – szepnęła Alanna.*

A we mnie, oczywiście, aż się zagotowało.

– *We mnie?! Chyba masz na myśli tę głupią Rhiannon?!*

– *Oczywiście. Przepraszam. Chodzi o Rhiannon, absolutnie nie o ciebie.*

– *W porządku. Więc powiedz mi wreszcie tak dokładnie, ze szczegółami, o co w tym wszystkim chodzi.*

– *Kiedy Rhiannon dowiedziała się, że ja i Carolan kochamy się, zabroniła nam tej miłości. Nigdy nie pozwalała mi być z nim sam na sam, nawet zamienić z nim choćby słowa. Nigdy!*

Mówiła, że jestem jej własnością. Carolan będzie mógł sobie mnie wziąć dopiero wtedy, kiedy przestanę u niej służyć. Niech poczeka.

Czyli miał tak czekać bez końca. Przecież Alanna była jej niewolnicą!

– Podła suka! – wyrzuciłam z siebie. – Miała facetów na pęczki, a tobie żałowała tego jednego...

– Może gdyby chodziło o kogoś innego, nie upierałaby się aż tak bardzo, ale tu chodziło o Carolana.

– A ty chcesz tylko jego, prawda?

– O tak!

Napiliśmy się. Bardzo tego potrzebowałam, bo tym wszystkim powyższym byłam przerażona. By nie dobijać Alanny, nie powiedziałam jej, że w tamtym innym świecie Suzanna, czyli ona, oraz Gene, czyli Carolan, nie tylko są wyjątkowo szczęśliwym małżeństwem, ale mają też trzy prześliczne, słodkie córeczki. Nie, nie mogłam jej tego powiedzieć.

I chyba nie znam większej idiotki niż ta Rhiannon.

I większej wreduski. Cholera, a teraz ja płacę za tę jej wredność...

– On mnie nienawidzi.

Gdy Alanna pokiwała głową, uświadomiłam sobie, że powiedziałam to na głos.

Wstałam.

– *W takim razie trzeba to wszystko jak najszybciej naprawić. Jeszcze dziś wyjdiesz za niego.*

Alanna też wstała. To znaczy zerwała się na równe nogi.

Błyskawicznie.

– *Ale... ale jak? – wyjąkała. – Jak?*

– *Jak? A co u was się robi, żeby zostać mężem i żoną?*

– *Kapłan lub kapłanka wypowiada słowa przysięgi, która łączy mężczyznę i kobietę na zawsze.*

– *W porządku. Przecież jestem kapłanką. Prawda? – Alanna milczała. Wyraźnie ją przytknęło, wyglądało więc na to, że wreszcie zaczęło do niej docierać, co się święci. – A ponieważ jestem kapłanką, to powiem słowa przysięgi.*

Przecież mogę, prawda?

– *Tak... – Biedactwo. Już dotarło, bo wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć. – Och... och, Rheo, ale teraz? Szykujemy się przecież do wojny...*

– *Tym bardziej trzeba to zrobić – oświadczyłam zdecydowanym tonem. – Chcesz z tym czekać do końca wojny?*

– *Och, nie! Oczywiście, że nie!*

Teraz była przerażona.

– A więc postanowione. Super. Idziemy, Alanno. –Energicznie nakierowałam ją na drzwi. – A kiedy cały ten cyrk z wampirami się skończy, możecie odnowić małżeńską przysięgę. Wtedy wydamy wielkie przyjęcie. Zgoda?

Półprzytomna z wrażenia Alanna była w stanie tylko pokiwać głową. A ja zaczynałam być zachwycona. Udzielę ślubu! Ja! Osobiście! Ale kino! Na pewno rola kaznodziei jest równie zabawna jak rola druhny.

Po wyjściu z pokoju kąpielowego, zaraz za progiem, zatrzymałam się jednak na moment, żeby dość do siebie.

W końcu, trzeba przyznać, ten dzień jest pełen wrażeń.

W każdym razie początek dnia okazał się tragiczny. Jak to dobrze, że jest szansa, by wydarzyło się coś pozytywnego!

Cudnie! Kiedy szłyśmy do mojego pokoju, zaczęłam już wczuwać się w atmosferę zaślubin, nucąc sobie cichutko „Oto nadchodzi panna młoda...” i z wielką przyjemnością zerkając na Alannę. Była oszołomiona takim obrotem spraw, a zarazem jakże szczęśliwa. Widać to było po niej.

Czyli nasuwał się jeden wniosek: bycie dobrym facetem jest o wiele zabawniejsze niż bycie złym facetem. (John Wayne na pewno wiedział coś o tym).

Dziewczyna wyglądająca jak Staci doglądała nakrywania stołu do śniadania. Podano coś, co bardzo przypominało płatki śniadaniowe z miodem. Pachniało cudnie, więc nic dziwnego, że w brzuchu mi zaburczało. Uśmiechając się miło, podziękowałam ślicznej nimfetce, pamiętając, że to nie Staci, lecz Tarah, i trochę się zdziwiłam, kiedy odpowiedziała jakoś tak niewyraźnie i powoli, po czym chwiejnym krokiem wyszła z pokoju.

Kiedy zostałyśmy same, postanowiłam to wyjaśnić

– Nie sądzisz, że ta dziewczyna za bardzo pociąga nogami?

– *Przepraszam, co?*

– *Ach, nieważne.*

Nie było sensu półprzytomnej ze szczęścia Alannie zawracać głowy innymi sprawami. Do niej naprawdę niewiele docierało, poza tym chwiejny krok nimfetki można było wytłumaczyć w różny sposób. Może trochę przesadziła z winem, ale to wcale nie znaczy, że mam się jej od razu czepiać (tym bardziej że może wcale nie miała takiego zamiaru, tylko był to tak zwany wypadek przy pracy).

– *Chodź, Alanno, przelkniesz coś, bo jeszcze mi tu zemdlejesz.*

Zabrałyśmy się do jedzenia. To znaczy ja jak zwykle do obżarstwa, natomiast Alanna dziobała owsiankę jak wróbelek.

Nie minęła chwila, kiedy przystopowałyśmy, bo ktoś energicznie zastukał do drzwi.

– *Wejść!* – *wrzasnęłam z buzią pełną słodkiej papki.*

(Mówiłam, że to owsianka. Może i tak, chociaż smakowała jakoś tak bardziej... dziko. Wiem, wiem, zabrzmiało głupio, ale naprawdę tylko tak można to określić).

Drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczył ClanFintan, a za nim postępował Carolan. Oczywiście, że miałam zamiar przede wszystkim zerknąć na Alannę, na jej niewątpliwie czerwoną (rumieniec) reakcję na widok przyszłego męża. Mój wzrok jednak od razu przyciągnął ktoś inny, a kolejnych kilka minut stanowiło moment pod tytułem: Chwila jak ze „Star Treka”.

Bo widok ClanFintana pochłonął mnie całkowicie, jakby był wielkim czarnym tunelem czasoprzestrzennym, a ja malutkim wahadłowcem.

Dla niedoinformowanych cywili tłumaczę powyższy tekst: ClanFintan wessał mnie jak odkurzacz.

– O, cześć! – zapięłam jak głupia Gidget.

ClanFintan pocałował mnie w rękę. Muszę się przyznać, że zaczynałam się już do tego przyzwyczajać.

– Witaj – powiedział, dosłownie otulając mnie swoim cudownym głosem.

Oczywiście zadrżałam, tym bardziej że po ucałowaniu mojej ręki wcale jej nie puszczał, tylko delikatnie głaskał

kciukiem nadgarstek.

– Co z Dougalem? – spytałam.

Po twarzy ClanFintana przemknął cień.

– Chłopak jakby do końca jeszcze nie zdawał sobie sprawy, co się stało. Po prostu to go przerasta. On i Ian byli bardzo do siebie przywiązani. Dougalowi bardzo trudno będzie pogodzić się ze stratą brata... – ClanFintan lekko ścisnął moje palce. – Słyszałem, Rhiannon, że dałaś mu zadanie do wykonania.

Bardzo mądrze zrobiłaś. Będzie miał mniej czasu na smutne rozmyślenia.

– Cieszę się, że nie jesteś zły, że bez twojej wiedzy sama zadysponowałam i Connorem, i Dougalem – powiedziałam, uśmiechając się do jego oczu. W tym cudownym momencie reszta świata obróciła się w nicość.

Niestety cudowny moment trwał krótko, a zakończył się z powodu interwencji Alanny. Mianowicie chrząknęła znacząco, nakazując powrócić do rzeczywistości.

Cóż, powróciłam, musiałam sobie jednak westchnąć cichutko.

Po czym spojrzałam nieco wyżej, ponad wielkim ciałem mojego męża, i dostrzegłam Carolana. Stał przed progiem i przyglądał mi się tak jakoś bardzo czujnie, powiedziałabym nawet, że podejrzliwie. Nic dziwnego, że poczułam się speszona. Nie jest miło, gdy ktoś, z kim było się w bardzo serdecznych stosunkach, spogląda na ciebie w taki właśnie sposób. Trzeba będzie to wyjaśnić, najlepiej stosując tę samą taktykę, którą zastosowałam wobec Alanny, to znaczy zachowywać się jakby nigdy nic, i w pewnym momencie wszystko od niego wyciągnąć.

– Witaj, Carolanie – powiedziałam, uśmiechając się miło, choć na jego twarzy nie było cienia uśmiechu. – Bardzo dobrze, że jesteś. Potrzebujemy twojej rady.

Alanna siedziała na jednym szeszlunku, ja na drugim.

ClanFintan zdecydowanym krokiem podszedł do jedzenia (i do mnie), Carolan natomiast podchodził bardzo powoli, powiedziałabym ostrożnie.

A ja, jakby nigdy nic, wskazałam ręką na szeszlunek, na którym siedziała Alanna.

– Bardzo proszę, siadaj. Może masz ochotę coś zjeść?

Carolan zatrzymał się przy stole.

– Wolalbym stać, lady Rhiannon – powiedział bardzo chłodno, nie patrząc na Alannę. – I dziękuję, jestem już po śniadaniu.

Wzruszyłam leciutko ramionami.

– Jak chcesz, ale ponieważ zanosi się na dłuższą rozmowę, wolalabym, żebyś usiadł i przynajmniej nalał sobie wina. Muszę ci się przyznać, że jeśli chodzi o owoce, to do śniadania najchętniej spożywam właśnie winogrona...

Może i trochę bredziłam, ale to naprawdę jeszcze nie powód, żeby patrzeć na mnie jak na bombę, która ma za chwilę wybuchnąć. A Carolan tak właśnie na mnie patrzył.

ClanFintan pociągnął mnie żartobliwie za rudy kosmyk.

– Po prostu lubisz wino... – powiedział, spoglądając znacząco na mój opróżniony do połowy puchar.

– Wino dla mnie jest jak lek! – Poklepałam męża po rękę i znów uśmiechając się do Carolana, spytałam konspiracyjnym szeptem: – Czy mam rację, panie Uzdrowicielu?

– Wino nazywają wodą życia. – powiedział w taki sam sposób, w jaki przed chwilą szedł, to znaczy powoli i ostrożnie.

– A widzisz? – zawołałam, uśmiechając się triumfująco do ClanFintana, który tylko chrząknął, po czym spojrzałam na Alannę. – Kiedy urządzimy ci prawdziwe wesele, wino będzie się lało strumieniami. Zobaczysz!

Oczywiście zarumieniła się po białka oczu, natomiast na Carolana moje słowa podziałyły zdecydowanie inaczej. Zbladł

mianowicie, i to okropnie. Jego twarz zrobiła się trupioblada, a ja przeraziłam się, że w rezultacie zamiast ślubu będziemy mieli pogrzeb.

Minęła chwila, aż wreszcie Carolan przemówił. Już po pierwszym jego słowie ClanFintan drgnął i poderwał głowę.

Nic jednak dziwnego, skoro w głosie Carolana była czysta nienawiść.

– Lady Rhiannon, wiem, że jesteś zdolna do wielu nikczemnych czynów, ale to...

Z każdym słowem jego głos stawał się mocniejszy. Carolan drżał, wyraźnie starając się powstrzymać wybuch straszliwego gniewu.

ClanFintan w jednej sekundzie wysunął się do przodu, osłaniając mnie sobą.

– Licz się ze słowami, Uzdrowicielu!

Dla odmiany w jego głosie mojego męża była śmierć.

– Gdybyś wiedział, jaka ona jest, to byś jej nie bronił! – wysyczał przez zaciśnięte zęby Carolan. I splunął na podłogę.

Alanna i ja poderwałyśmy się z szezlongów. Przed nami przemknął wielki cień. ClanFintan doskoczył do Carolana, chwycił go za kark i zmusił, by padł na kolana.

– Proś o wybaczenie! – zawarczał. – Proś!

– Nie! – wrzasnęłam, rozpaczliwie szarpiąc się z moim mężem, z jego stalowymi mięśniami. – Puść go! To ja powinnam prosić o wybaczenie! Ja! Bo od razu powinnam była wszystko dokładnie

wyjaśnić. Przepraszam, nie pomyślałam o tym...

Darłam się jak opętana, w końcu kompletnie zdezorientowany ClanFintan puścił nieszczęsnego Uzdrowiciela.

Carolan wstał. Szybko złapałam rękę Alanny i zanim Carolan zdążył znów splunąć czy w jakiś inny sposób wyrazić swoją nienawiść, drugą ręką chwyciłam jego dłoń i wcisnęłam do niej dłoń Alanny.

– Ona ma wyjść za ciebie, Carolanie. Dzisiaj. Nie powinno się was rozłączać, to był niewybaczalny błąd.

Jego oczy stały się wielkie i okrągłe, i maksymalnie otwarte, ze zdziwienia oczywiście. (Usta szczerze mówiąc też, ale przez grzeczność pomijam ten szczegół). Dlatego kilkakrotnie pokiwałam głową, a także zaserwowałam spojrzenie typu: To prawda, uwierz mi.

Carolan spojrział na Alannę tak, jakby się bał, że niby to ona, ale w każdej chwili może się zmienić w jakiegoś potwora.

No cóż, w tym ich świecie nigdy nic nie wiadomo. Kiedy jednak dotarło do niego, że to, co na twarzy ukochanej (w niezmienionej postaci) to radosny uśmiech – usłyszałam, jak odetchnął głęboko...

I wtedy ja, uprzedzając jego kolejny wybuch gniewu (podczas którego mój kochany mąż mógłby złamać mu coś, co człowiekowi jest bardzo przydatne, na przykład kark) szybko położyłam dłonie na ich złączonych dłoniach i zaczęłam recytować małżeńską przysięgę, zapożyczoną, jak się zaraz sami przekonacie, od Longfellowa:

– W naszym życiu nie ma nic bardziej świętego niż chwila, gdy po raz pierwszy uprzytomnisz sobie, że kochasz. Po raz pierwszy usłyszysz trzepotanie jedwabistych skrzydeł miłości, usłyszysz szelest wiatru, poczujesz jego powiew, który niebawem zawładnie twoją duszą. – Lekko ścisnęłam ich dłonie i cofnęłam rękę. – Teraz powinnam powiedzieć, że połączyłam was świętym węzłem małżeńskim. Prawda jest jednak taka, że wy sami połączyliście się o wiele wcześniej. Dlatego powiem inaczej. Ja po prostu dokonałam formalności. Carolanie... – Spojrzałam nowożeńcowi w twarz, naturalnie zszokowaną. – Bądź przy niej zawsze. Opiekuj się nią, chroń swoją oblubienicę jak najcenniejszy skarb. – Potem cofnęłam się i uśmiechając się najpiękniej, jak potrafię,

dokończyłam: – Teraz możesz pocałować swoją żonę.

Ładnie, prawda?

Niestety Carolan, zamiast pocałować Alannę, gwałtownie puścił jej rękę.

I wbił we mnie wzrok.

– Kim ty jesteś?!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Otworzyłam usta w celu udzielenia odpowiedzi, Carolan jednak jeszcze nie zamierzał dopuścić mnie do głosu.

– Tylko nie próbuj ukryć prawdy, zwodzić pokrętnymi słówkami! Dobrze znam Rhiannon i nienawidzę jej od wielu lat.

Jest jak zepsute dziecko, okrutne i bezmyślne

W tym momencie Alanna bardzo głośno nabrała powietrza.

Carolan odwrócił się do niej, jego twarz od razu złagodniała.

– Dobrze wiesz, kochanie, że to prawda – powiedział, muskając palcem jej policzek. – Zawsze byłaś wobec niej bardzo lojalna i gotowa do poświęceń, a ona odplacała ci się zazdrością i złośliwościami. – I znów odwrócił się do mnie. Na szczęście już nie patrzył na mnie tak podejrzliwe, tylko raczej z ciekawością. – Więc pytam jeszcze raz: kim jesteś? Co tu w ogóle się

dzieje? – Teraz spojrzal jak lekarz, to znaczy bardzo uważnie. – Jesteś do niej zdumiewająco podobna, oczywiście z wyglądu.

No cóż, zawsze się obawiałam, że Gene jest zbyt mądry i zbyt dociekliwy, co pewnego dnia może mi zaszkodzić.

Podszedł bliżej. Zauważyłam, że tym razem ClanFintan wcale nie próbuje go powstrzymać. Przeciwnie, ani drgnie, tylko patrzy na mnie tak samo badawczo jak Carolan. Z jedną jednak różnicą. Carolan patrzył z satysfakcją, ClanFintan absolutnie nie.

– Twojej włosy są chyba trochę krótsze – powiedział po chwili Carolan. – Poza tym kiedy mówisz, używasz dziwnych wyrażeń. Ale jesteś zdumiewająco do niej podobna...

– Mylisz się, Carolanie! – przerwała mu nagle Alanna.

Uciszyłam ją jednak:

– Alanno, pozwól mu się wypowiedzieć.

Carolan znów omiółt mnie przenikliwym spojrzeniem.

– Nie jesteś Rhiannon. Może i jesteś Wybranką Epony, ale nie jesteś Rhiannon. Kiedy patrzę ci w oczy, nie widzę wroga.

Nie masz w sobie tego zła, które ona nosiła.

A ja westchnęłam i odszukałam spłoszony wzrok przyjaciółki.

– Alanno, ja już dłużej tak nie mogę. – I nastąpiła najtrudniejsza chwila, spojrzałam bowiem na męża. – Nie chcę już dłużej cię okłamywać.

ClanFintan nie poruszył się, nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Wyraz jego twarzy był nieprzenikniony, jak wtedy, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy.

Nie mogłam cofnąć swoich słów, zresztą wcale nie chciałam. Bo ja to ja i miałam już szczerze dość mylenia mnie z jakąś wredną suką.

– Nie jestem Rhiannon. – Słyszałam, jak usatysfakcjonowany Carolan chrząknął, jednak nawet nie zerknęłam na niego, tylko patrzyłam na mojego męża. W jego ciemne oczy. – Jestem Shannon Parker. Nielatwo mi to wszystko wytłumaczyć, skoro sama tego do końca nie pojmuję.

W każdym razie nie jestem stąd. Przybyłam tu z innego świata, świata, gdzie jest wielu ludzi takich jak wy czy też bardzo podobnych, jak lustrzane odbicia. Jednocześnie ten mój świat bardzo różni się od waszego... – Zamilkłam. Bardzo chciałam, żeby ClanFintan coś powiedział, ale nie odzywał się, tylko skinął głową, zachęcając, bym mówiła dalej. – Rhiannon skądś dowiedziała się o moim świecie i zapragnęła tam się przenieść, zajmując moje miejsce. Ja miałam zająć jej miejsce. Wszystko sobie obmyśliła. Co dokładnie, tego nie wiem, w każdym razie najistotniejsza była waza, na której namalowana była Rhiannon.

Ta waza znalazła się w moim świecie. Kiedy tylko ją zobaczyłam, zaczęło dziać się tak, jakbym uruchomiła całą lawinę wydarzeń. Następowaly jedno po drugim, z tym że akurat ja kompletnie nie miałam pojęcia, do czego to prowadzi.

A na koniec, kiedy jechałam samochodem, miałam wypadek i byłam pewna, że zginęłam. ClanFintanie, pamiętasz dzień naszych zaślubin? Pamiętasz, że mówiłam z wielkim trudem. –Gdy ponownie tylko skinął głową, wyjaśniłam: – Nie byłam w formie, bo... jak to powiedzieć... byłam wykończona po tej zamianie światów.

U mojego boku pojawiła się Alanna i oświadczyła z mocą:

– To prawda, ona nie jest Rhiannon, ale my wszyscy powinniśmy się tylko z tego cieszyć.

W tym momencie ClanFintan wreszcie odzyskał głos:

– Z czego? Z czegoś, co oparte jest na kłamstwie?!

– Ale to nie ona kłamała! Tylko ja! – zawołała bardzo zdenerwowana Alanna, nie dając mi się uciszyć. – Ona wcale nie chciała udawać! Robiła to, bo ja jej powiedziałam, że lud bardzo jej potrzebuje jako Rhiannon... – Spojrzała na mnie, zmuszając, bym odwróciła wzrok od zimnego, nieruchomego spojrzenia ClanFintana. – Chciałam, Rheo, żebyś powiedziała ClanFintanowi prawdę, ale jednocześnie bałam się. O siebie, przyznaję. Bałam się, że obarczy się mnie winą za zniknięcie Rhiannon. A potem, kiedy coraz lepiej cię poznawałam, coraz bardziej bałam się o ciebie. Obawiałam się, że ludzie uznają cię za uzurpatorkę i zwrócą się przeciwko tobie. A twoi najbliżsi... – Alanna niby to przelotnie, ale bardzo wymownie spojrzała na ClanFintana – kiedy dowiedzą się, kim jesteś naprawdę, odwrócą się od ciebie. Ale w którymś momencie uświadomiłam sobie, że przecież nasza Bogini musiała mieć jakiś wpływ na tę zamianę. Jeśli tak, na pewno zrobiła to dla naszego dobra. – Alanna wzięła mnie za rękę i zwróciła się do mojego męża: – ClanFintanie, jeśli uważasz, że padłeś ofiarą oszustwa, skieruj swój gniew na mnie, ale zanim to zrobisz, pomyśl, jaki dar otrzymałeś dzięki tej zamianie. Pomyśl, jak wyglądałoby twoje życie, gdybyś poślubił prawdziwą Rhiannon!

– Tylko nie to!

Wszystkich nas zaskoczył głośny śmiech Carolana, który objął żonę i uściskał ją, a potem zwrócił się do ClanFintana:

– Nie tylko twoje życie byłoby paskudne. Zły, mściwy charakter Rhiannon zaważył na życiu nas wszystkich. Nigdy nie przestanę się cieszyć, że w końcu sama siebie skazała na wygnanie. – Uśmiechnął się do mnie bardzo ciepło i z wielkim szacunkiem pocałował w rękę. – Witaj, milady, Wybranko Epony! Oby nasz świat odwdzieczył ci się z nawiązką za tyle dobrego, co już dla nas uczyniłaś.

Uśmiechnęłam się do niego, a zaraz potem, wiadomo że potwornie zdenerwowana, spojrzałam na mego męża.

ClanFintan wreszcie otworzył usta, choć zaczął swą przemowę głosem idealnie beznamiętnym:

– Już na samym początku zauważyłem różnicę, przede wszystkim chodziło o sposób mówienia. Pomyślałem jednak, że przecież tak naprawdę cię nie znam, a to, że wydajesz się inna niż wszyscy, to normalne, skoro jesteś Wybranką Epony. I...

Carolanie, masz rację. Już jakiś czas temu zauważyłem, że nie ma w niej cienia złośliwości, tak charakterystycznej dla Rhiannon. – Znowu spojrzał na mnie. – O tym, co zauważyłem, nie

rozmawiałem z tobą. Miałem nadzieję, że z czasem uda mi się zdobyć twoje całkowite zaufanie i jeśli jest coś, co chciałabyś mi wyznać, zrobisz to w swoim czasie. – Jego głos wreszcie przestał być tak koszmarnie beznamiętny.

Niestety, słychać w nim było przede wszystkim smutek.

– Ależ ClanFintanie! Przecież ci ufam, i to od samego początku! A że milczałam... Przyznasz, że jakoś dotychczas nie było odpowiedniej chwili do takiej rozmowy. Poza tym... poza tym bałam się, że kiedy wyznam ci prawdę, to stracę... twoją miłość.

Oczywiście, że mniej więcej od połowy mówiłam szeptem.

Przecież kochałam go! A poza tym to wszystko zaczynało mnie już przerastać. Ta cała historia nie z tej ziemi, romantyczna aż do bólu, pełna mocnych przeżyć. W końcu spędzenie nocy z kimś, kto potrafi zmienić swoją postać, odbiega od standardów. I, co najważniejsze, ClanFintan bezwzględnie był

bohaterem pozytywnym, jak John Wayne czy James Bond. A ja zawsze miałam słabość do tak zwanych przyzwoitych facetów.

Stałam więc jak kolek, mrugając w celu powstrzymania łez, które absolutnie zamierzały zrosić me policzki. Na szczęście, zanim zdążyłam rozkleić się do końca, ClanFintan – przedtem chyba westchnął – szybko pokonał dzielącą nas odległość.

Pogłaskał mnie po policzku, potem, wsuwając mi ciepłą dłoń pod brodę, delikatnie uniósł moją twarz.

– Moja miłość będzie z tobą zawsze. Nigdy jej nie stracisz.

– I pocałował mnie tak rozkosznie, tak delikatnie, po czym się uśmiechnął, niewątpliwie dlatego, że minę miałam bardzo głupią (innej przecież w takiej chwili mieć nie mogłam).

Uśmiechnął się więc i dokończył: – Ja, owszem, mogę czasami stracić cierpliwość, ale mojej miłości nigdy nie stracisz.

Najchętniej objęłabym go za szyję i z całej siły wtuliła się w znajome mi ciepło, niestety czułam na sobie świdrujące spojrzenia Alanny i Carolana, którzy podglądali nas i podsłuchiwali po prostu bezwstydnie. Dlatego męża pocałowałam krótko, ale znacząco, na zakończenie wyszeptując mu do ucha króciutkie wyznanie.

– Uwielbiam cię...

I dosłownie w tym momencie, jakże cudownie romantycznym, zaburczało mi brzuchu, i to wystarczająco głośno, by wszyscy usłyszeli. ClanFintan zaśmiał się i natychmiast nakierował mnie w stronę stołu. Najpierw sam się usadowił, po swojemu, jak to centaur, potem usadowił mnie tuż obok siebie, a jednocześnie w bezpośredniej bliskości pożywienia. Bardzo korzystnym był fakt, że szezlongi były duże, właściwie dwuosobowe. (Nad tym, co Rhiannon zapewne wyrabiała na tych szezlongach, wolałam się nie zastanawiać).

ClanFintan objął mnie w pól, przytulił i zaprosił do stołu resztę biesiadników.

– Siadajcie, proszę.

Tym razem Carolan się nie ociągał, tylko podprowadził

Alannę do drugiego szezlonga. Usiedli bliziotko siebie.

Zauważyłam też, że Carolan przez cały czas trzyma Alannę za rękę, jakby jeszcze nie wierzył swemu szczęściu i bał się, że ukochana w każdej chwili może zniknąć.

– Założę się, że tak naprawdę śniadania dziś jeszcze nie jadłeś, prawda? – spytałam Carolana po przełknięciu kawałka słodkiej bułeczki, naprawdę pysznej.

– Nie – przyznał z uśmiechem. – Dziś rano byłem bardzo zajęty. Pomagałem przyjść na świat parze bliźniąt. Dlatego zresztą nie byłem na błogosławieństwie.

– A więc częstuj się, bardzo proszę – powiedziała elegancko, po czym, jak to ja, spojrzawszy na męża przez ramię, błysnęłam dowcipem: – Tyle tego tutaj, że nawet koń by się najadł...

ClanFintan omal nie zadławił się swoją owsianką i Alanna – która zdążyła się już przyzwyczaić do mojego dość specyficznego poczucia humoru, dlatego zachowała zimną krew – musiała walnąć go w plecy.

ClanFintan mojego dowcipku nie skomentował, ale kiedy nasi goście byli czymś pochłonięci, ugryzł mnie w ramię. Ja, oczywiście, zapiszczałam, więc goście natychmiast poderwali głowy. ClanFintan miał twarz kamienną, ja zresztą już też.

W końcu wiedziałam nie od dziś, że mój mąż gryzie.

Dalej sobie jedliśmy, aż w pewnym momencie Carolan, robiąc przerwę w przeżuwananiu, spytał:

– Czyli jak właściwie mamy zwracać się do ciebie?

– A właśnie! – ClanFintan przechylił głowę, spoglądając mi prosto w twarz. – Mówiłaś, że w twoim starym świecie nazywano ciebie... Shannon Parker...

I jak on to powiedział! Moje zwyczajne w końcu imię zabrzmiało tak pięknie i egzotycznie, że w pierwszym odruchu miałam zamiar zlekceważyć środki ostrożności i oznajmić, że mają mówić do mnie Shannon.

Zaraz jednak potem otrzeźwiałam (oczywiście, w przenośni!).

– Tak. Na imię mam Shannon, ale przecież głupio wam będzie raptem nazywać mnie inaczej niż dotychczas. Dajmy więc sobie spokój z Shannon. Chyba że... – Co szkodzi wybadać grunt? – Chyba że uważacie, że powinno się w całym Partholonie ogłosić, kim naprawdę jestem.

– Nie! – zakrzyknęli chórem wszyscy obecni, czyli Alanna, Carolan i ClanFintan, a potem na

chwile zapadła cisza. Zapewne każde z nich miało teraz przerażającą wizję tego, co by się wtedy działo.

Ciszę przerwał Carolan:

– Wydaje mi się, że nie przyniosłoby to nic dobrego.

Zwłaszcza teraz, w tak burzliwych czasach... Alanno, czy ona na pewno jest Wybranką Epony?

– Na pewno – odparła skwapliwie. – Na pewno jest Wybranką Epony.

Carolan wyraźnie się odprężył.

– W takim razie moim zdaniem absolutnie nie sensu mówić o tym wszystkim, wprowadzając niepotrzebne zamieszanie.

ClanFintan i Alanna jednocześnie pokiwali głowami, wyrażając swoją aprobatę.

– W porządku – powiedziałam. – Ale chodzi też o to, że Rhiannon robiła wiele rzeczy, z którymi ja absolutnie się nie zgadzam!

– Zgadza się! – wykrzyknął ClanFintan i wszyscy zaśmialiśmy się.

Ja dodatkowo cmoknęłam go w policzek.

– Rheo – odezwała się Alanna. – Ludzie kochali Rhiannon, bo zawsze kochają Wybrankę Epony, a wojownicy bali się jej, dlatego nikomu nie opowiadali, jaką była zepsutą istotą. Bądź

po prostu sobą, a błędy Rhiannon pójdą w niepamięć.

Co brzmiało, moim zdaniem, całkiem rozsądnie.

– Ale jak mamy ją w końcu nazywać? – z uporem spytał

ClanFintan.

– Może Rhea? – zaproponowałam. – Tak zwraca się do mnie Alanna i bardzo mi się to podoba. Nie jest to „Rhiannon”, co dla mnie ważne, a jednocześnie nie różni się aż tak bardzo, żeby wzbudzać podejrzenia.

Cała trójka pokiwała głowami. Czyli ustalone. Na dłuższą chwilę zajęliśmy się tylko przeżuwaniem. A potem znowu ja:

– Szkoda, że innych problemów nie da się rozwiązać w tak prosty sposób – mruknęłam.

Cała trójka ponownie pokiwała głowami. Nikt nie pociągnął

tematu, ale ja, ponieważ nie dawał mi spokoju, nie zamierzałam rezygnować. W końcu jeśli mam żyć w tym właśnie świecie, stanowczo powinno się go uwolnić od skrzydlatych wampirów.

– Carolanie...

Niechętnie odwrócił się od swojej świeżo poślubionej żony.

– Tak, Rheo?

– Powiedz, co wiesz o Fomorianach.

– *Fomorianie? Uosobienie zła.*

– *Żartujesz!*

Carolan zignorował moją drobną złośliwość i zaczął

wykład:

– *Fomorianie przybyli tutaj z dalekiego wschodu...*

Zaskoczony ClanFintan poderwał głowę. Wiedziałaam, dlaczego. Przecież nie na darmo obejrzałam mapę i wiedziałam, że na wschód od Partholonu ciągną się Równiny Centaurów.

– *Tak, ze wschodu, jeszcze zanim te rozległe zielone równiny zajęły centaury – wyjaśnił szybko Carolan, domyślając się, skąd niepokój ClanFintana. – W starych podaniach o Fomorianach mówi się raczej mętnie, jakieś jednak wnioski można wyciągnąć. Na początku między Partholończykami a Fomorianami nie było ożywionych kontaktów, jednak w pewnym okresie równiny dotknęła długotrwała klęska suszy, potem zaczęły się pożary. Ognia nie dawało się opanować, Fomorianom groziło spłonięcie żywcem i wtedy zwrócili się do naszych przodków o pomoc. Chcieli przekroczyć rzekę Geal, jednak bez pomocy Partholonu nie mogli tego zrobić.*

– *Dlaczego? – spytałam.*

– *Z tego, co mówią stare podania, Fomorianinowi nie wolno zrywać kontaktu z ziemią, na przykład wchodzić do bieżącej wody, czyli rzeki. Nie wolno, dla nich to kwestia życia i śmierci.*

– *Chwileczkę! Przecież mają skrzydła. Kiedy fruną, odrywają się od ziemi, to logiczne, prawda?*

– Słuszna uwaga – przyznał z uśmiechem Carolan. – Ale nigdzie nie ma przekazu, że Fomorianie potrafią latać. Mówi się o nich „szybujące demony”, a nie „fruwające”. Podejrzewam, że ich skrzydła spełniają podobną rolę jak błony przy kończynach latających wiewiórek. Tak je nazywamy, chociaż wcale nie latają jak ptaki. Dzięki tej błonie jednak mogą poruszać się niezwykle szybko.

To, co mówił, miało sens. Pamiętałam przecież doskonale ten ich dziwny bieg połączony z szybowaniem tuż nad ziemią.

Taki swego rodzaju lot ślizgowy.

– Partholończycy zebrali się – mówił dalej Carolan – i zdecydowali, że wydanie Fomorian na pastwę płomieni czy też dopuszczenie, by po okrutnej klęsce poumierali z głodu, byłoby haniebne. W rezultacie na rzece Geal zbudowano ogromny most z drewnianych bali. Pierwszą warstwę bali grubo posypano ziemią, na to znów położono bale i znów sypano ziemię. Szczątki tego mostu zachowały się do dziś, zresztą niedaleko świątyni... – Nastąpiła krótka przerwa, ponieważ Carolan przez moment raczył się winem. – Fomorianie przeszli przez most i obie rasy podjęły próbę współżycia w pokoju.

– Bardzo ciekawe – odezwał się ClanFintan. – Słyszałem o Fomorianach tylko pełne grozy opowieści, którymi straszy się niegrzeczne dzieci. Nie wiedziałem, że Partholończycy kiedyś pomogli Fomorianom. Chyba mało kto o tym wie.

– Dlatego że bardzo niewiele przekazów zachowało się w źródłach pisanych, a nawet jeśli, to często są to zapisy w językach tak starych, że trudno je przetłumaczyć.

W rezultacie niewielu skrybów poluje na wiadomości o Fomorianach. Naprawdę garstka oraz pewien historyk, który nie boi się tracić czasu na wertowanie starych ksiąg.

– Mamy go przed sobą – powiedziała Alanna, spoglądając z dumą na swego małżonka.

Carolan uśmiechnął się do niej ciepłutko i mówił dalej:

– Natomiast jeśli chodzi o przekazy ustne, motyw Fomorian przewija się w pieśniach naszych bardów, ale ogranicza się tylko do tego, co wydarzyło w okresie powojennym.

Zauważyłam, że nie tylko ja, ale także Alanna i ClanFintan słuchają bardzo uważnie. Jak to miło nie być jedyną osobą niedoinformowaną!

– W ustnych przekazach zachowały się informacje o tym, co wydarzyło się po przejściu Fomorian przez most na rzece Geal.

W tym momencie, podsumowując to wszystko, pomyślałam, że w moim starym świecie nie brakuje polityków, dla których to niedoinformowanie byłoby po prostu zaletą. Bo tak ogólnie rzecz biorąc, życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby analfabetyzm był zjawiskiem powszechnym.

– To znaczy co dokładnie? – spytałam.

– Fomorianie byli zdziesiątkowani, wycieńczeni klęskami żywiołowymi. Niestety, po niedługim czasie ich prawdziwa natura doszła do głosu. A oni, wiadomo, są rasą demonów, ohydnych potworami, które wykorzystują ciemne moce... – Carolan zaczął wyliczać na palcach wszystkie mroczne cechy Fomorian: – Bardzo smakuje im ludzka krew. Blask słońca bardzo im szkodzi. Nie wolno im wchodzić do płynącej wody.

Uważają, że żadne prawa natury ani Epony ich nie obowiązują.

Po usłyszeniu ostatniego zdania nasunęła mi się refleksja, że ich sposób myślenia pod wieloma względami przypomina zasady głoszone przez Fidela Castro. Zachowałam to jednak dla siebie, ponieważ wytłumaczenie obecnym tej sprawy zajęłoby zbyt wiele czasu.

– W rezultacie, jeśli dać wiarę starym przekazom, doszło do wojny. Fomorianie, jak wspomniałem, przystąpili do niej zdziesiątkowani po klęskach żywiołowych, więc zostali pokonani, zmuszeni do wycofania się przez przełęcz za Góry Trier i wygnani daleko na północ. U wylotu przełęczy zbudowano strażnicę zwaną Warownią, która od pokoleń strzeże tego przejścia. W rezultacie Fomorianie znikli na długo, pojawiali się głównie w bajkach dla niegrzecznych dzieci.

– Aż do tej chwili... – mruknęłam.

– Tak, bo życie na północy dało im w kość. Panuje tam surowy klimat, zostali odcięci od reszty świata. Wprawdzie słońce świeci tam jasno, ale daje bardzo mało ciepła.

– A jak można zabić tę kreaturę? – spytał ClanFintan.

Nadstawiłam uszu. W końcu to pytanie w naszej sytuacji było pytaniem podstawowym.

– Niestety, nie jest to łatwe, tak przynajmniej wynika ze starych podań. Żadnych półśrodków, tylko radykalne metody.

Jeśli chcesz pozbawić Fomorianina życia, musisz pozbawić go głowy albo spalić.

Również poczułam potrzebę postawienia pewnego, w moim pojęciu istotnego pytania:

– A czy w tych starych podaniach wspomina się o współżyciu Fomorian z kobietami?

– Ależ nie! – Carolan wyraźnie był zszokowany. – Fomorian, jak powiedziałem, jest niewielu, ale są wśród nich również osobnicy płci żeńskiej.

Może i tak, ja jednak nie mogłam zapomnieć widoku skrzydlatych stworów wyciągających fomoriańskiego noworodka z łona tamtej nieszczęsnej kobiety.

– Nawet jeśli tak, to raczej nie mogą mieć dzieci, dlatego Fomorianie śpią z naszymi kobietami, z kobietami rodzaju ludzkiego i... dosłownie wyrywają noworodka z łona matki.

Carolan zbladł. Potem jeszcze bardziej, kiedy ClanFintan to potwierdził i uzupełnił:

– Tak. W tym celu uprowadzili kobiety z Zamku MacCallana.

– Czyli rozmnażają się – powiedział cicho Carolan.

Przez co, jak wiadomo, robi się jeszcze groźniej.

– Owszem – powiedział ClanFintan. – Ian przed śmiercią powiedział, że jest ich bardzo wielu.

– To straszne! – zawołała Alanna, z trudem panując nad histerią. – Trzeba ich powstrzymać!

Carolan objął ją ramieniem. Ten męski gest stał się dla mnie standardem. Już prawie sobie nie wyobrażałam, że miałabym z powrotem znaleźć się w moim mieszkaniu, gdzie mieszkam solo, i ewentualnie czekać, że Gene i Suz wpadną do mnie na drugie śniadanie.

Spojrzałam na mego męża, dokładniej na jego tył, czyli dowód, że mój mąż w połowie jest koniem. W tym moim nowym świecie nikogo to nie dziwi. Ten świat był taki inny od mojego dawnego. Bez samochodów, samolotów, telewizji (chwała Bogu), która w ludziach wyrabia przekonanie, że przemoc to coś, co dotyka tylko innych ludzi, ale mnie na pewno nie.

Przez chwilę poczułam się jednak tym wszystkim przytłoczona, tą innością, ty, że wszystko jest tu nie tak. Nadal przecież zadawałam sobie pytanie: Do cholery, co ja tu robię?!

A niestety jestem tu i jakby jeszcze tego było mało, zajmuję wyjątkowo wysokie stanowisko, i to w sytuacji, kiedy ci, którymi ponoć rządzę, potrzebują na gwałt kogoś, kto wie, co jak się to robi.

Masakra.

Potarłam ręką czoło, pewna, że jeszcze chwila, a z tego napięcia zacznie rozsadzać mi głowę. I od razu otoczyło mnie silne ramię męża, ponownie przygarniając do źródła cudownego ciepła. Czulałam, jak napięcie powoli znika. Bo ciepło ciepłem, najważniejsza jednak była świadomość, że nie jestem sama. Po prostu.

Otworzyłam oczy, spojrzałam w górę na mego męża i uśmiechnęłam się do niego. Odwzajemnił uśmiech, a potem powiedział twardym głosem:

– Fomorianie kiedyś zostali już pokonani. Tym razem będzie tak samo.

– I tym razem Partholon ma wspaniałych sojuszników.

Mężnych centaurów – powiedział Carolan.

ClanFintan skłonił głowę, dziękując za te słowa, po czym znów uśmiechnął się do mnie, tym razem łobuzersko.

– Centaur i człowiek, kiedy połączą siły, dokonają prawie wszystkiego.

Alanna zachichotała, ja poczerwieniałam, ale błyskawicznie dotarło do mnie, że jednak nie, to wcale nie była aluzja do naszego związku. Chodziło o to, że działając ramię w ramię, pokonamy Fomorian. Każdy może mieć w tym swój udział. Ja, oczywiście, mogłabym tylko siedzieć w czterech ścianach, zamartwiać się, nawet histeryzować i pozwolić, by inni ludzie (wśród nich ci, którzy w połowie są zwierzętami) myśleli za mnie. Ale mogłam też działać, taki zresztą miałam zamiar. Zawsze wyznawałam zasadę, że od problemów nie należy uciekać, tylko je rozwiązywać. Same się nie rozwiążę, choć nastolatkom jakoś trudno to pojąć.

Krótko mówiąc, wolałabym teraz coś robić, a nie siedzieć z założonymi rękoma i porosnąć mchem (co nie byłoby zbyt przyjemne, prawda?).

– A więc ostatnio napadli na Zamek Laragona – powiedziałam – Niedawno oglądałam mapę Partholonu. O ile pamiętam, ten zamek stoi niedaleko wielkiego jeziora, w pobliżu jest też...

I tu włos zjeżył mi się na głowie. Matko święta, przecież tam niedaleko jest...

– Świątynia Muz! – zawołała równie przerażona jak ja Alanna.

– Jak się domyślam, tam są przede wszystkim kobiety, prawda? – spytałam zdławionym głosem.

– Niestety, tak – odparł Carolan. – Dziewięć Wcieleń Bogiń, każda z nich posiada szczególne umiejętności. Mają wiele pomocnic i uczennic. Świątynia Muzy jest miejscem, gdzie najpiękniejsze i najzdolniejsze dziewczęta Partholonu kształcone są w sztuce tańca, poezji, muzyce, naukach ścisłych i tak dalej. Te, które pozytywnie ukończą nauki, cieszą się wielkim poważaniem, ponieważ błyszczą nie tylko urodą i wdziękiem, ale także inteligencją i wiedzą. Rhiannon też pobierała nauki u Muz.

– Czy w tej świątyni też są strażnicy, jak tutaj?

– Nie. Epona jest Boginią wojowników, dlatego Jej Wybrankę otaczają zbrojni. A Muzy nie są wojownikami, tylko nauczycielkami sztuk pięknych i nauk ścisłych, więc nie potrzebują strażników.

– Niestety, teraz bardzo by im się przydali.

Byłam przerażona. Przypomniałam sobie tancerkę, która dała występ w dniu moich zaślubin z ClanFintanem. Muza Tańca, łudzaco podobna do mojej koleżanki Michelle. Nie tylko piękna, lecz także bardzo ponętna. Bałam się nawet pomyśleć, co te potwory będą wyczyniać w świątyni pełnej tak wspaniałych kobiet jak ona.

Wstałam i wskazałam ręką na drzwi do sąsiedniego pokoju, pełniącego rolę biblioteki.

– Bardzo proszę, chodźcie ze mną. Postudiujemy mapę i wspólnie zastanowimy się, jak powstrzymać te potwory, zanim uprowadzą następne kobiety.

